

Victoria Holt

Klątwa rodu Pendorriców

Bride of Pendorric
Tłumaczyła Ewa Hauzer

1

Po przybyciu do Pendorric często ze zdumieniem rozważałam kwestię, jak egzystencja ludzka może tak szybko się zmienić i tak raptownie lec w gruzach. Słyszałam, że życie bywa porównywane do kalejdoskopu i takim właśnie przedstawiało się moim oczom. Wpierw było bowiem mozaiką spokoju i zadowolenia, ale potem wzór ten począł gdzieś się zmieniać, aż wreszcie końcowy obraz przestał być pogodny i sielankowy, ale stał się po prostu groźny. Wysłałam za męża za człowieka, który wydawał się być dla mnie wszystkim tym, czego oczekuje się od męża — troskliwy, kochający, przywiązany. Niespodziewanie wzór kalejdoskopu ułożył się tak, jakbym żyła z kimś obcym.

Pierwszy raz ujrzałam Roca Pendorrica, gdy pewnego ranka wróciłam z plaży do domu. Siedział w studio z moim ojcem, w rękę trzymał terakotową statuetkę. To ja byłam modelem. Jeszcze jako chude, siedmioletnie dziecko. Pamiętam dobrze, kiedy ojciec ją rzeźbił — przeszło jedenaście lat temu. Odtąd powtarzał zawsze, że posążek nie jest na sprzedaż.

Zasłony nie były jeszcze zaciągnięte i obaj mężczyźni siedzący w ostrym słonecznym blasku stanowili uderzające przeciwieństwo: ojciec cały w jasnych barwach, a nieznajomy w ciemnych. Na naszej wyspie, ojca określano często mianem Angelo — Anioł — właśnie ze względu na jego jasne włosy i karnację oraz pogodny wyraz twarzy, był bowiem niezwykle łagodnego usposobienia. Może dlatego miałam wrażenie, że w jego towarzyszu było coś ponurego.

— A oto i ona, moja córka Favel — odezwał się ojciec, tak jakby właśnie mówili o mnie.

Obaj wstali. Nieznajomy górował wzrostem nad moim ojcem. Potem przybysz ujął moją rękę i wpatrywał się we mnie badawczo. Był szczupły, co jeszcze podkreślało wysoki wzrost, jego włosy miały odcień prawie czarny, w czujnych oczach krył się wyraz, który sprawiał, że wydawało mi się, jakby szukał czegoś, co go bawiło. Przyszło mi także na myśl, że w jego rozbawieniu może tkwić domieszka groźby. Nieco spiczaste uszy nadawały mu wygląd satyra. Twarz stanowiła zlepek kontrastów: pełne wargi świadczyły o delikatności i namiętności, mocny zarys podbródka dowodził, że właściciel jest osobnikiem stanowczym. Długi, prosty nos wyrażał arogancję, a niewątpliwe iskierki humoru w bystrych oczach sugerowały swawolność. Później doszłam do wniosku, że ta jego intrygująca powierzchowność i pełne nieoczekiwanych reakcji zachowanie, były powodem, iż tak szybko znalazłam się pod jego urokiem.

— Pan Pendorric oglądał pracownię — rzekł ojciec. — Kupił akwarelę „Zatoka Neapolitańska”.

— Cieszę się — odparłam. — To piękny obraz.

Nieznajomy podniósł statuetkę.

— Tak samo jak to.

— Ona nie jest na sprzedaż — oznajmiłam.

— Rozumiem, że jest zbyt cenna.

Sprawa miała wrażenie, jakby porównywał mnie z figurką, więc chyba ojciec powiedział mu to, co mówił wszystkim, którzy zachwycali się jego rzeźbą: „To moja córka w wieku siedmiu lat”

— Jednak — ciągnął przybysz — próbowałem przekonać mistrza, żeby mi ją odstąpił, wciąż przecież ma oryginał.

Ojciec roześmiał się gromkim, choć raczej wymuszonym śmiechem jak zwykle wtedy, gdy pozostawał w obecności klienta gotowego wydobyć trochę pieniędzy — zawsze był szczęśliwy tworząc swoje dzieła, a ze sprzedaży nie czerpał radości. Kiedy żyła moja matka, ona przeprowadzała większość transakcji. Teraz, od paru miesięcy, odkąd powróciłam do domu, sama

musiałam się tym zająć. Ojciec miał zwyczaj rozdawać swoje prace wszystkim, którzy, według niego, doceniali ich piękno, potrzebował więc kogoś rozsądnego, kto pilnowałby praktycznej strony interesów. Gdy zmarła matka i tego właśnie zabrakło, staliśmy się bardzo biedni. Jednak, od czasu gdy byłam znów w domu pochlebiam sobie, zaczęliśmy na siebie zarabiać.

— Favel, mogłabyś podać nam coś do picia? — Spytał ojciec.

Odparłam, że owszem, jeśli poczekają, aż się przebiorę. Zostawiłam ich i wyszłam do sypialni. Włożyłam niebieską, bawełnianą sukienkę i poszłam do naszej małej kuchni zająć się napojami. Kiedy wróciłam do studia, ojciec pokazywał gościowi Wenus z brązu — jedną z naszych najdroższych rzeźb.

Jeśli ją kupi, pomyślałam, będę w stanie zapłacić kilka zaległych rachunków. Mogłabym wtedy wydać pieniądze, zanim ojciec miałby okazję przegrać je w karty lub w ruletkę.

Ponad posążkiem z brązu napotkałam wzrok Roca Pendorrice, a kiedy ujrzałam w nim iskierki rozbawienia, zgadłam, że zdradziłam dość wyraźnie, jak zależy mi na tym, żeby transakcja doszła do skutku. Odłożył jednak figurkę na miejsce i odwrócił się do mnie, jakby chciał podkreślić, że dopóki tu jestem, żadna rzeźba nie ma prawa skupić na sobie jego uwagi. Poczulałam złość na siebie, że im przeszkodziłam, lecz gdy ujrzałam błysk w jego oczach, przemknęło mi przez myśl, że tego się właśnie spodziewał.

Zaczął opowiadać o wyspie. Przyjechał tu poprzedniego dnia, nie zdążył jeszcze nawet zwiedzić willi Tyberiusza ani San Michele. Kiedy usłyszał o pracowni Angela i wspaniałych dziełach sztuki, które można tam nabyć, za cel swojej pierwszej wycieczki obrał studio artysty.

Ojciec aż zaczerwienił się z radości, ale nie byłam całkiem przekonana o prawdziwości tych słów.

— A kiedy przyszedłem i okazało się, że Angelo to pan Frederick Farington, mówiący po angielsku jak Anglik, którym zresztą jest, byłem jeszcze bardziej zachwycony. Mój włoski jest okropny, a napisy głoszące: „Tu mówi się po angielsku” bywają zazwyczaj przesadzone. Panno Farington, proszę mi powiedzieć, co powinienem zobaczyć podczas mego pobytu?

Opisałam mu pokrótce wszystkie atrakcje turystyczne okolicy.

— Ale — dodałam — po powrocie z Anglii zawsze miałam wrażenie, że piękno tej wyspy to jej krajobrazy i błękit morza.

— Miło byłoby mieć jakieś towarzystwo do zwiedzania — wyraził życzenie przybysz.

— Pan podróżuje sam? — Spytałam.

— Tak.

— Tutaj, na wyspie, jest wielu przyjezdnych — pocieszyłam go. — Na pewno znajdzie pan kogoś, kto chętnie będzie panu towarzyszył.

— Trzeba byłoby znaleźć kogoś odpowiedniego... kogoś, kto dobrze zna okolice.

— Mamy tu, oczywiście, przewodników.

— Nie myślałem o przewodniku.

— Mieszkańcy wyspy są na to zbyt zajęci.

— Znajdę kogoś, gdy będę potrzebował — zapewnił mnie. Podeszedł do Wenus z brązu i zaczął gładzić metal palcami.

— Podoba się panu — stwierdziłam.

Odwrócił się do mnie i wlepił wzrok tak samo, jak przedtem w posążek.

— Ogromnie. Ale nie podjąłem jeszcze decyzji. Czy mogę przyjść później?

— Naturalnie — odpowiedzieliśmy równocześnie z ojcem.

* * *

Przyszedł powtórnie. Potem raz jeszcze i jeszcze raz. Z początku w swej naiwności sądziłam, że nie może się zdecydować na kupno figurki, później myślałam, że fascynuje go pracownia ojca, pełna swoistego koloru i tak różna od miejsc, skąd przybywa. A zresztą czy można oczekiwać od każdego, aby od razu kupił? Cechą naszej pracowni i jej podobnych było to, że ludzie lubili tu wpadać przy okazji, zatrzymywali się na pogawędkę, niekiedy coś wypili, obejrzeni prace, a czasem kupili, gdy im się coś spodobało.

Martwiło mnie jednak to, że zaczęłam oczekiwać jego wizyt. Niekiedy byłam pewna, że przychodzi tu dla mnie, innym razem mówiłam sobie, że tylko ponosi mnie fantazja i ta myśl wprawiała mnie w zły nastrój.

Trzy dni po jego pierwszej wizycie wybrałam się na jedną z małych plaż na Marina Piccola i tam go spotkałam. Pływaliśmy razem, a później leżeliśmy na słońcu.

Spytałam, czy jest zadowolony z pobytu.

— Bardziej niż myślałem — odparł.

— Spodziewam się, że dużo pan zwiedza.

— Niewiele. Nadal jestem zdania, że wycieczki w pojedynkę są nudne.

— Naprawdę? Nietypowo. Zwykle ludzie narzekają na tłumy.

— Ale nie ja — odrzekł z naciskiem. — Ja nie zadowolam się byle towarzystwem.

W podłużnych, lekko skośnych oczach widniała jakaś sugestia. W tej chwili byłam pewna, że jest typem mężczyzny, któremu większość kobiet nie potrafi się oprzeć. Wiedziałam także, że zdaje sobie z tego sprawę. Sama zaczęłam zbyt silnie odczuwać wpływ jego męskiego czaru i nie byłam też pewna, czy się z tym nie zdradziłam.

— Dziś rano ktoś pytał o Wenus — oświadczyłam chłodno. Oczy załśniły mu rozbawieniem.

— Doprawdy, jeśli ją stracę, będę mógł winić jedynie siebie. Nacisk na słowo „jedynie” był wymowny i oznaczał, że przejrzał moje zabiegi. Poczułam do niego złość. Cóż on sobie wyobraża?! Że po co prowadzimy otwartą pracownię i gościmy klientów, jeśli nie w nadziei sprzedania czegokolwiek?! A z czego, jak sądzi, żyjemy?!

— Chcielibyśmy, żeby kupił ją pan z przekonaniem, że panu na niej bardzo zależy.

— Ależ ja nigdy nie biorę niczego, czego gorąco nie pragnę. Choć, prawdę mówiąc, wolałbym figurkę tej młodszej Wenus.

— Och... tamtą!

Położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

— Jest urzekająca. Tak, wolę tamtą.

Oparł się na łokciu i uśmiechnął, a ja miałam wrażenie, że czyta w myślach i wie, iż jego towarzystwo uważam za niezwykle interesujące i chciałabym z nim dłużej przebywać, a także odgadł już, że jest dla mnie kimś więcej niż obiecującym klientem.

— Ojciec pani opowiadał mi, że pani jest handlowym mózgiem firmy. Sądzę, że to prawda — rzucił lekko.

— Artyści potrzebują kogoś praktycznego, kto nad nimi czuwa — odparłam. — Teraz, kiedy moja mama nie żyje...

Czułam, że głos mi się załamał, kiedy to mówiłam. To się wciąż zdarzało, choć upłynęły już trzy lata od tamtej chwili. Zła na siebie jak zawsze, gdy nie potrafiłam ukryć swoich uczuć, dokończyłam szybko:

— Umarła na gruźlicę. Rodzice przyjechali tu w nadziei, że klimat jej pomoże. Cudownie radziła sobie z interesami.

— Więc pani odziedziczyła to po niej?

Jego oczy były teraz pełne sympatii i ucieszyłam się, że potrafił zrozumieć co czuję. Pomyślałam więc, że domieszka czegoś intrygującego, co czasem widziałam w jego wzroku, to

tylko gra mojej wyobraźni. Być może określenie „coś intrygującego” nie było tu całkiem odpowiednie, ale stawało się jasne, że im bardziej pociągał mnie ten mężczyzna, tym częściej wyczuwałam w nim coś, czego nie mogłam zrozumieć, coś co zdecydowanie skrywał przede mną. Niekiedy mnie to niepokoiło, ale nie w sposób, który mógłby umniejszyć moje zainteresowanie, raczej odwrotnie, ta drażniąca tajemniczość dodawała mu w moich oczach uroku. Jednakże to, co ujrzałam teraz, było czystą i niewątpliwie szczerą sympatią.

— Mam taką nadzieję — odparłam.

— Musiała być wspaniałą kobietą.

— Tak. Była nią.

Wciąż jeszcze nie potrafiłam opanować bólu w głosie, gdy wywoływałam z pamięci obraz przeszłości i przywodziłam na myśl postać matki. Miałam ją przed oczyma — filigranową i zgrabną, z jaskrawymi rumieńcami, które przydawały jej urody, ale w istocie były świadectwem choroby; aż do ostatnich miesięcy kipiała energią, która spalała ją jak ogień. Wyspa wydawała się całkiem innym miejscem, kiedy matka jeszcze była z nami. Na początku nauczyła mnie czytać i pisać, a także szybko liczyć. Pamiętam też długie leniwe dni, gdy leżałam w słońcu na plaży lub pływałam w błękitnej wodzie. Jak rzadko które dziecko przeżyłam najpiękniejsze dzieciństwo, mając w tle całe piękno tego miejsca, wszystkie echa starożytnej historii. Byłam chowana swobodnie, to prawda. Wolno mi było rozmawiać z turystami, niekiedy towarzyszyłam miejscowym rybakom wożącym przybyszów do grot lub na wycieczki wokół wyspy, czasami wspinałam się górską ścieżką do willi Tyberiusza i patrzyłam przez morze na Neapol. Potem zwykle wracałam do pracowni i przysłuchiwałam się prowadzonym tam rozmowom.

Dzieliłam z ojcem dumę z jego prac i radość mamy, kiedy udało się coś korzystnie sprzedać.

Moi rodzice okazywali sobie miłość na każdym kroku. Czasem wydawali mi się podobni do wspaniałych motyli, upojonych radością życia. Jakby wiedzieli, że ich słońce musi zająć wkrótce i nieodwołalnie.

Byłam oburzona, gdy mi obwieścili, że muszę jechać do szkoły do Anglii. To konieczność, tłumaczyła mi matka twierdząc, że już wyczerpała swoje możliwości. Byłam wprawdzie nie najgorszą lingwistką — w domu mówiło się po angielsku, z sąsiadami rozmawiałam po włosku, a ponieważ gościliśmy często Francuzów i Niemców, to i w tych językach nauczyłam się trochę porozumiewać — to jednak nie miałam prawdziwego wykształcenia. Matce zależało na tym, żebym poszła do jej dawnej szkoły, malutkiej szkółki, w sercu Sessex. Pracowała tam nadal ta sama dyrektorka i podejrzewałam, że wszystko było tak samo jak za szkolnych dni mojej matki. Po pierwszym trymestrze pogodziłam się z losem, częściowo dlatego, że od razu zaprzyjaźniłam się z Esther Mc Bane, a także z tego powodu, że często mogłam jeździć do domu. Na wyspę wracałam na święta Bożego Narodzenia, na Wielkanoc i wakacje, a ponieważ byłam prostą, nieskomplikowaną osobką, wkrótce czułam się dobrze w obu moich światach.

Ale kiedy zmarła mama, nic nie było już takie samo. Odkryłam wtedy, że na opłaty za moją edukację szła jej biżuteria. Planowała dla mnie studia na uniwersytecie, ale okazało się, że drogocennych drobiazgów nie starczy. Po śmierci matki, zgodnie z jej życzeniem, wróciłam do szkoły jeszcze na dwa lata. W tym czasie Esther była mi ostoją; sama będąc sierotą wychowywaną przez ciotkę, potrafiła okazać mi wiele zrozumienia i sympatii. Przyjechała wtedy na letnie wakacje i jej obecność pomagała nam łatwiej znosić uciążliwych czasem klientów w pracowni. Zaprosiliśmy ją na każde kolejne lato. Ukończyliśmy szkołę i z końcem ostatniego trymestru przyjechaliśmy na wyspę. Podczas naszych wolnych dni zastanawialiśmy się nad naszą przyszłością. Esther planowała poważnie zająć się sztuką. Ja musiałam w swych zamierzeniach uwzględnić ojca, i spróbować zająć w pracowni miejsce mojej matki, choć mocno obawiałam się, że nigdy w pełni nie uda mi się tego osiągnąć.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie długiego listu, który dostałam od Esther, co już samo w sobie było wydarzeniem niezwykłym, bo ona zawsze miała odrazę do pisania i unikała tego jak mogła. Tym razem musiała podzielić się ze mną wrażeniami. W drodze powrotnej do Szkocji spotkała mężczyznę, który wracał do domu na kilka miesięcy z Afryki, gdzie uprawiał tytoń. Cały list był pełen opisów jej przygody. Dwa miesiące później przyszedł drugi list; Esther wychodziła za mąż i wyjeżdżała do Rodezji.

To było podniecające. Była taka szczęśliwa, ale ja wiedziałam, że to zwiastuje koniec naszej przyjaźni. Pozostanie nam co najwyżej tylko więź listowna, zaś Esther z pewnością nie znajdzie na listy czasu ani ochoty. Poza tym małżeństwo zmieniło ją w inną osobę; nie było to już to bliskie, długonogie i nieporządnie uczesane dziewczę, które spacerowało ze mną po szkolnym dziedzińcu i rozprawiało o poświęceniu się sztuce — przez duże „S”.

Z podróży w przeszłość zawrócił mnie widok twarzy Roca Pendorrica, przysuniętej blisko mojej z wyrazem szczerzej życzliwości w oczach.

— Wywołałem smutne wspomnienia?

— Myślałam o matce i przeszłości.

Kiwnął głową i przez kilka sekund zachował milczenie. Potem zapytał:

— Czy pani kiedykolwiek myślała o powrocie do rodziny? Do krewnych ze strony matki... lub ojca?

— Do rodziny? — Wyszepiałam.

— Czy matka nigdy nie opowiadała o swoim domu w Anglii?

— Nie. Nie wspominała ani słowem.

— Może te wspomnienia były nieszczęśliwe.

— Nie uświadamiałam sobie tego dotychczas, ale żadne z moich rodziców nie mówiło nigdy o swoim życiu z okresu przed małżeństwem. Sądzę, iż uważali, że wszystko co wydarzyło im się przed ślubem nie miało kompletnie znaczenia.

— To musiało być bardzo szczęśliwe małżeństwo.

— Tak.

Chwilę milczeliśmy.

— Favel! To bardzo niezwykle imię.

— Nie bardziej niż pańskie. Zawsze myślałam, że Roc to jakiś legendarny ptak.

— Baśniowy, niesamowitej wielkości i siły, zdolny unieść nawet słońca... gdyby tylko zechciał.

Mówił to z zadowoloną miną, więc zakpiłam:

— Jestem pewna, że nawet pan nie jest w stanie unieść słońca. Czy to przydomek?

— Używam imienia Roc, jak długo pamiętam, ale to skrót od Petroc.

— Też oryginalne.

— Nie w tych stronach skąd pochodzę. Mam wielu przodków, zmuszonych cierpliwie znosić to imię całe swe życie. Ten pierwszy, z szóstego wieku, był nawet jakimś świętym, fundatorem klasztoru. Roc jest współczesną wersją, tylko dla mnie. Jak pani myśli, pasuje do mnie to imię?

— Tak. Sądzę, że tak.

Ku memu zaskoczeniu pochylił się i pocałował mnie w czubek nosa. Wstałam pospiesznie.

— Na mnie naprawdę już pora. Muszę wracać.

* * *

Nasza przyjaźń rozwijała się szybko i dla mnie była ogromnie ekscytująca. Nie zdawałam sobie sprawy z braku własnego doświadczenia, toteż wydawało mi się, że potrafię sobie poradzić w każdej sytuacji. Zapomniałam, że moją obecną egzystencję kształtowała szkoła w Anglii, z jej

typowymi przepisami i ograniczeniami, nasza niekonwencjonalna pracownia na wyspie i życie z ojcem, który uważał mnie wciąż za dziecko. Wyobrażałam sobie, że jestem kobietą światową, podczas gdy osoba roszcząca sobie prawo do takiej pozycji nie zakochałaby się przecież w pierwszym mężczyźnie, który wydał jej się inny od dotychczas znanych.

Ale Roc Pendoric roztaczał wokół siebie jakiś nieuchwytny magnetyzm, zwłaszcza gdy chciał być czarujący, a niewątpliwie zdecydowany był oczarować mnie.

Przychodził do studia codziennie. Zawsze brał figurkę w dłonie i gładził ją z upodobaniem.

— Postanowiłem ją zdobyć — rzekł któregoś dnia.

— Ojciec nigdy jej nie sprzeda.

— A ja nigdy nie dam za wygraną.

Kiedy patrzyłam na mocną linię jego podbródka, stanowczy błysk w oku, wierzyłam mu. Był człowiekiem, który zwykł brać od życia, to co chciał i przyszło mi do głowy, że niewiele jest rzeczy, z których łatwo rezygnuje. To było powodem, że tak zależało mu na figurce. Nie znosił porażek.

Po jakimś czasie kupił Wenus z brązu.

— Proszę nie sądzić, — oznajmił mi wtedy — że zaprzestam prób zdobycia tej drugiej. Jeszcze będzie moja, zobaczy pani.

Kiedy to mówił, miał w oczach błysk zdobywcy i pewnej przekory.

Dużo wspólnie pływaliśmy. Zwiedzaliśmy całą wyspę i zwykle wybieraliśmy miejsca mniej uczęszczane, aby uniknąć tłumów. Roc wynajął dwóch neapolitańskich wioślarzy, którzy zabierali nas na morskie wycieczki. Przeżywaliśmy cudowne chwile, pływając w łodzi, nurzając dłonie w turkusowych i szmaragdowych wodach zatoki, a Giuseppe i Umberto spoglądając na nas z pobłażliwością, jaką synowie Italii obdarzają kochanków, śpiewali arie operowe.

Pomimo smagłości, w wyglądzie Roca musiało być coś bardzo angielskiego, gdyż nasi neapolitańscy przewoźnicy od razu odgadli jego narodowość. Ich zdolności w tej dziedzinie nieraz mnie zdumiewały. Ze mną sprawa była jeszcze prostsza. Byłam ciemną blondynką, ale od urodzenia miałam we włosach platynowe pasma, rozjaśniające w naturalny sposób fryzurę. Moje oczy były koloru wody, o odcieniu zależnym od tego jakie ubranie miałam na sobie — czasem były zielone, a niekiedy jasnoniebieskie. Miałam mały, zadarty nos, szerokie usta i ładne zęby. Nie byłam wcale piękną. Na wyspie zawsze wyglądałam bardziej na turystkę, aniżeli mieszkankę.

W czasie tych kilku naszych wspólnych tygodni nigdy nie byłam całkiem pewna uczuć Roca. Bywały momenty, gdy czułam się w pełni szczęśliwa, cieszyłam się każdą mijającą chwilą i nie myślałam o przyszłości, ale kiedy zostawałam sama — zwłaszcza w nocy — zastanawiałam się co będzie, gdy Roc odjedzie do domu.

Już wtedy, w tych pierwszych dniach, odczułam zwiastuny udreki, która później miała wnieść w moje życie strach i grozę. Wesołość Roca często wydawała mi się maską kryjącą głębsze uczucia. Zdawało mi się, że widzę w jego wzroku błysk spekulacji, nawet w chwilach okazywanej „ni czułości. Intrygował mnie na tysiąc sposobów. Wiedziałam też że gdybym znalazła jakąś zachętę, mogłabym kompletnie stracić dla niego głowę. Nie byłam go jednak pewna i może to właśnie stanowiło główny powód tego, że każdą spędzoną z nim chwilę przeżywałam w ogromnym emocjonalnym napięciu.

Kiedyś, w początkach naszej znajomości, wspinaliśmy się górską ścieżką do willi Tyberiusza i nigdy jeszcze ten wspaniały widok nie wydał mi się tak cudowny jak właśnie tego dnia. Wszystko było takie jak zawsze, oglądane przeze mnie już wielokrotnie — Capri i Monte Solaro, Zatoka Solerno od Amalfi do Paestum, Zatoka Neapolitańska od Sorrento do Przylądka Misena. Znałam dobrze te miejsca, a przecież oglądane wspólnie z Rokiem, nabrały nowego uroku.

— Czy kiedykolwiek widział pan coś tak urzekającego?

Namyślał się chwilę.

— Tam, gdzie mieszkam, jest równie pięknie.

— A gdzie pan mieszka?

— W Kornwalii. Nasza zatoka jest też malownicza — sędzę, że nawet piękniejsza od tej, bo częściej zmienia swój wygląd. Czy panią nie nużą te wieczne szafirowe wody? Nasze także bywają błękitne — powiedzmy, prawie błękitne — ale są również zielone pod siekącym deszczem, brunatne po sztormie i różowe, w barwach świtu. Widywałem je jak wściekle biją o skały wyrzucając wysoko w górę pióropusze piany i bywają gładkie jak jedwab, podobne do morza przed nami. U nas jest bardzo pięknie, zapewniam panią i choć nie sędzę, by kiedyś cesarze rzymscy zaszczytili nas swoją bytnością, ze swoimi willami i legendami o tańczących chłopcach i dziewczętach, to jednak Kornwalia ma swoją własną historię, tak samo urzekającą.

— Nigdy nie byłam w Kornwalii.

Raptownie odwrócił się do mnie i wziął mnie w objęcia tak nagle, że aż krzyknęłam cichutko. Przysunął blisko twarz i wyszeptał:

— Ale będziesz... wkrótce.

Ujrzałam niezwykle wyraźnie czerwonobrunatne ruiny, zielonkawą, omszałą statwę Madonny, głęboki błękit morza i raptem życie wydało się zbyt cudowne, aby to wszystko mogło być prawdziwe.

Roc podniósł mnie do góry i trzymając wysoko śmiał się ze mnie.

— Ktoś nas może zobaczyć — wyjąkałam niepewnie.

— A cóż to szkodzi?

— W każdym razie protestuję przeciwko pozbawieniu mnie solidnego oparcia.

Postawił mnie na ziemi i ku mojemu rozczarowaniu nie powiedział już ani słowa o Kornwalii. Ten incydent był typowym dla naszego związku.

* * *

Zauważyłam, że ojciec interesuje się bardzo moją zażyłością z młodym lordem, zawsze się cieszył, gdy Roc mnie odwiedzał. Niekiedy nawet wychodził do drzwi pracowni, by nas powitać gdy wracaliśmy — miał wtedy minę spiskowca. Ojciec nie był przebiegły i nie musiałam uciekać się do podstępu, by odkryć, że pielęgnuje w sobie jakiś plan, plan dotyczący Roca i mnie.

Może myślał, że Roc mi się oświadczy? Czyżby uczucie Roca było bardziej znaczące niż się ważyłam przypuszczać, a ojciec je dostrzegał? Ale założmy, że nawet wyjdę za Roca, co wtedy stanie się z pracownią? Jak sobie ojciec poradzi beze mnie? Bo przecież po ślubie będę musiała wyjechać z mężem.

Czułam się na rozdrożu. Chciałam poślubić Roca, ale nie byłam pewna jego uczuć, nie wiedziałam też, czy potrafię zdobyć się na to, by opuścić ojca. Ale przecież kiedyś już zostawał sam, wtedy gdy przebywałam w szkole — mówiłam sobie. Tak, ale z jakim skutkiem! Błędne koło! Miłość do Roca utrzymywała mnie w stanie zawieszenia pomiędzy uniesieniem a niepokojem.

Ale Roc ani nie wspomniał o małżeństwie.

Ojciec często zapraszał go na wspólny posiłek. Roc nigdy nie odmawiał, pod warunkiem, że weźmie na siebie dostarczenie wina. Smażyłam omlety, rybę, pastę, a nawet pieczeń czy pudding. Jedzenie było smaczne, gdyż mama nauczyła mnie dobrze gotować, a tradycją naszej pracowni było podawać zawsze jakieś angielskie danie.

Nasz gość sprawiał wrażenie, że istotnie smakują mu moje potrawy. Delektował się nimi gawędząc przy tym i pijąc wino. Opowiadał dużo o sobie, o domu w Kornwalii, potrafił nawet

skłonić ojca do wynurzeń, szybko się więc dowiedział o naszych kłopotach finansowych, i o tym, że musieliśmy zarobić w sezonie turystycznym tyle pieniędzy, żeby za nie potem przeżyć „chude miesiące”. Spostrzegłam też, że ojciec nie dał się jednak nigdy sprowokować do opowieści o czasach poprzedzających małżeństwo i Roc po jednej lub dwu próbach nakłonienia go do zwierzeń, przestał — o dziwo — naciskać. Było to dość niezwykle, gdyż Roc zazwyczaj wykazywał upór w takich sytuacjach, ale i typowe bo lubił dziwić i zaskakiwać.

Pamiętam, jak któregoś dnia, wróciwszy do domu, zastałam ich grających w karty. Ojciec miał ten wyraz twarzy, który mnie zawsze przerażał — oczy błyszczały mu jak błękitne ognie. Na policzkach miał słabe różowe rumieńce, a kiedy weszłam, ledwo rzucił na mnie okiem.

Roc wstał, ale widziałam wyraźnie, że podziela emocje mojego ojca. A więc to także gracz, pomyślałam z troską.

— Favel nie zechce przeszkadzać nam w grze — rzekł ojciec.

— Mam nadzieję, że nie gracie wysoko — zaczęłam, spoglądając Rocowi prosto w oczy.

— Moja droga, nie musisz się o to martwić — uspokajał mnie ojciec.

— Twój ojciec postanowił wyciągnąć mi z kieszeni ostatniego lira — dodał Roc z błyszczącymi oczyma.

— Pójdę coś zrobić do jedzenia — zakończyłam rozmowę i wyszłam do kuchni.

Powinłam mu dać do zrozumienia, że nas nie stać na grę — mówiłam sobie.

Gdy zasiedliśmy do kolacji ojciec promieniał, zgadłam więc, że wygrał.

Nazajutrz na plaży przeprowadziłam z Rokiem rozmowę.

— Proszę cię, nie zachęcaj ojca do gry. On po prostu nie może sobie na to pozwolić.

— Ale czerpie z tego tyle przyjemności!

— Wielu ludzi znajduje przyjemność w rzeczach, które niekoniecznie są dla nich właściwe.

— Jesteś trochę zbyt drobiazgowa — roześmiał się Roc.

— Posłuchaj, proszę. Nie jesteśmy na tyle bogaci, by ryzykować utratę pieniędzy, które tak ciężko zarabiamy. Żyjemy tu bardzo skromnie, ale i tak nie jest nam łatwo. Czy to tak trudno zrozumieć?

— Favel, nie martw się, proszę. — Roc przykrył ręką moją dłoń.

— Więc nie będziesz grał już z ojcem o pieniądze?

— A jeśli mnie poprosi? Cóż mu wtedy powiem? Że odmawiam, bo zabroniła mi jego despotyczna córka?

— Możesz wymyślić coś lepszego.

— Ale to będzie nieprawda — zaznaczył obłudnie z miną oburzonego świętoszka.

Wzruszyłam ramionami.

— Z pewnością możesz znaleźć sobie innych partnerów do gry. Czemu wybrałaś ojca?

— Chyba dlatego, że lubię atmosferę pracowni — odparł z namysłem. Leżeliśmy na plaży; Roc wyciągnął rękę i obróciwszy mnie twarzą do siebie i patrząc mi w oczy, ciągnął znacząco: — Lubię też skarby, które mogę oglądać w pracowni.

W chwilach takich jak te wierzyłam, że jego uczucia są takie same jak moje. Czułam radosne uniesienie, obawiając się zarazem, by się z tym nie zdradzić. Wstałam szybko i ruszyłam do morza, Roc szedł tuż za mną.

— Favel, — zaczął, obejmując mnie ramieniem — czy nie widzisz, jak bardzo chcę ci sprawić przyjemność?

Musiałam, po prostu musiałam odpowiedzieć mu na to uśmiechem. W tej chwili byłam pewna, że spojrzenie, którym mnie obrzucił, było wyrazem miłości.

Byliśmy szczęśliwi i beztroscy; pływaliśmy, leżeliśmy na piasku pławiąc się w słońcu. Znow miałam poczucie doskonałego szczęścia jak ktoś, kto kocha i wie, że jest kochany.

* * *

Dwa dni później, gdy wróciłam z targu, znalazłam ich znów przy karcianym stoliku. Gra była już zakończona; z miny ojca mogłam wyczytać, że przegrał, a na twarzy Roca widniała radość.

Poczułam, że policzki stanęły mi w płomieniach, a wzrok stwardniał, gdy spojrzałam na Roca. Nie powiedziałam ani słowa, wzięłam koszyk i poszłam prosto do kuchni. Postawiłam go z gniewem na stole i ku swemu przerażeniu poczułam, że oczy mam pełne łez. To łzy złości, powiedziałam sobie, z gniewu, że Roc mnie oszukał. Nie można mu ufać. Oto pierwsza wskazówka — obiecuje jedno, a robi całkiem coś innego.

Chciałabym móc pędem wybiec ze studia i znaleźć jakieś odludne miejsce, gdzie mogłabym się uspokoić na tyle, żeby zdołać znów spojrzeć nut w twarz.

— W czym mógłbym ci pomóc? — Usłyszałam za sobą. Odwróciłam się. Byłam zadowolona, że łzy jednak nie popłynęły.

Sprawiły tylko, że oczy wydawały się bardziej błyszczące i nie zdradziły, jaka jestem nieszczęśliwa.

— Dziękuję, nie trzeba. Poradzę sobie — ucięłam krótko. Ustawiłam się znów przodem do stołu, a on stanął za mną, złapał

mnie za ramiona i roześmiał się.

— Dotrzymałem obietnicy i nie graliśmy na pieniądze — szepnął mi do ucha.

Strząsnęłam z barków jego ręce, wysunęłam szufladę i szperałam w niej, sama nie wiedząc po co.

— Nonsens — odpałam. — Gra nie pociągałaby żadnego z was, gdybyście nie ustalili stawek. To nie czysta gra was podnieca, ekscytuje was dopiero możliwość wygranej lub przegranej. I oczywiście każdy z was wierzy w swoje szczęście. To czysta dziecinada. Ktoś przecież musi przegrać.

— Ale uwierz mi, że dotrzymałem obietnicy.

— Nie fatyguj się, by mi to tłumaczyć, Mam oczy i widzę.

— Istotnie... graliśmy. Masz rację mówiąc, że nie gralibyśmy o nic. Jak myślisz, do kogo uśmiechnął się los tym razem?

— Muszę przygotować jedzenie.

— Wygrałem to. — Sięgnął do kieszeni i wyciągnął posążek.

— Postanowiłem to zdobyć nie przebierając w środkach. Na szczęście dla mnie mogłem to osiągnąć uczciwie. Widzisz więc, że dotrzymałem obietnicy, miałem swoją grę i jestem właścicielem tej cudownej figurki. — Roześmiał się.

— Weź noże i widelce i nakryj do stołu.

— Z największą przyjemnością.

Wsunął statuetkę do kieszeni i uśmiechnął się do mnie szeroko.

Nazajutrz poprosił mnie o rękę. Zapropozował wycieczkę stromą ścieżką do Groty Matromania. Zawsze twierdziłam, że jest ona najmniej atrakcyjna, a Groty Błękitna, Zielona, Żółta i Czerwona oraz Grota Świętych są o wiele bardziej warte zachodu. Roc jednak upierał się żeby go zaprowadzić właśnie tam.

— Bardzo stosowne miejsce — oznajmił, gdy dotarliśmy do celu.

— Dlaczego?

— Wiesz przecież.

Lecz ja nadal nie byłam pewna jego uczuć — nawet teraz, gdy patrzył na mnie z tak wielką czułością.

— Matromania — wymruczał.

— Słyszałam, że została poświęcona bóstwu Mithromania znanemu jako Mithras zaczęłam szybko objaśniać, gdyż bałam się zdradzić swoje uczucia.

— Nonsens. Tutaj Tyberiusz wyprawiał uczty dla młodzieńców i dziewic. Czytałem o tym w przewodniku. To były uczty weselne, tu odbywały się zaślubiny. Stąd ta matrymonialna nazwa.

— Są zatem dwie opinie.

— Dodajmy więc jeszcze jeden przyczynek do nazwy. Teraz będzie się mówić: „Jest to miejsce, gdzie Petroc Pendorríc poprosił Favel Farington, by została jego żoną i gdzie ona odpowiedziała...

Odwrócił się do mnie i w tym momencie byłam już pewna, że kocha mnie równie gorąco jak ja jego.

Nie musiałam udzielać odpowiedzi.

Gdy wracaliśmy do domu Roc był dumny, a ja szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

* * *

Ojciec tak się ucieszył, gdy obwieściliśmy mu tę nowinę, że sprawiał niemal wrażenie, jakby o niczym innym nie marzył jak tylko o pozbyciu się własnej córki. Nie chciał się wdawać w dyskusję o tym, co pocznie, kiedy ja odjadę, i okropnie się tym martwiłam do czasu, gdy Roc mi powiedział, że będzie nalegał, aby ojciec przyjął od niego miesięczną pensję. Przecież powinien się zgodzić wziąć trochę pieniędzy od własnego zięcia. By mu ułatwić decyzję, Roc chce u niego zamówić kilka obrazów. To jest chyba dobry pomysł.

— W Pendorríc jest jeszcze wiele miejsca na ścianach — oświadczył. Wtedy po raz pierwszy zaczęłam myśleć poważnie o miejscu, które ma być moim domem, ale choć Roc był zawsze gotów do ogólnych opowieści o domostwie, jednak moje szczegółowe pytania kwitował stwierdzeniem, że muszę to zobaczyć i ocenić sama. Tłumaczył się przy tym, że gdyby rozprawiał zbyt dużo, mogłabym sobie wyobrazić coś całkiem różnego od rzeczywistości i być może mógłby tym narazić mnie na rozczarowanie — choć ja nie mogłam sobie nawet wyobrazić, by istniała możliwość rozczarowania domem, który miałam dzielić razem z nim.

Byliśmy w sobie bardzo zakochani. Roc był mi ogromnie bliski. Czułam, że go rozumiem. Miał poczucie humoru, był wesoły i lubił przekomarzać się ze mną.

— To dlatego, — mawiał — że jesteś za poważna, trochę niedzisiejsza, jakby nie z tej epoki.

Zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że byłam inna, głównie z powodu mojego wychowania, na które składały się mały, intymny krąg rodzinny i staroświecka szkoła, cofnięta w czasie o prawie pół wieku. A może również i dlatego, że wzięłam na siebie poważne obowiązki, gdy po śmierci matki przejęłam odpowiedzialność za dom. Muszę nauczyć się być bardziej beztróską, radosną i nowoczesną, powiedziałam sobie.

Nasz ślub miał być cichy; zaprosiliśmy jedynie niewielkie grono gości z angielskiej kolonii. Roc i ja zamierzaliśmy po ślubie zostać tydzień z ojcem, a potem wyjechać do Anglii.

Spytałam kiedyś Roca, co sobie pomyśli rodzina, gdy przywiezie do domu żonę, której wcześniej nawet nie widzieli.

— Napisałem im, że wkrótce wracamy. Nie będą wcale tak zdumieni, jak sobie wyobrażasz. Jednego już dotąd się nauczyli, że po mnie mogą się spodziewać niespodzianek — oznajmił pogodnie. — Szaleją z radości. Wiesz, oni są przeświadczeni, że obowiązkiem każdego Pendorríca jest ożenić się we właściwym czasie, a ich zdaniem, ja już za długo zwlekałem.

Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o rodzinie, chciałam być przygotowana na spotkanie z nimi, ale Roc zawsze wykręcał się od pytań.

— Nie mam talentu do opisywania osób i rzeczy — odpowiadał wtedy. — Sama wkrótce zobaczysz.

— Ale to miejsce... ta nazwa... Pendorric, to brzmi jakby to było coś w rodzaju dworu.

— To wielki dom rodzinny. Sądzę, że można to tak określić. Dom dla całej rodziny.

— A... a kto wchodzi w jej skład?

— Moja siostra, jej mąż i dwie córki — bliźniaczki. Ale nie musisz się martwić. Oni nie będą przebywać w naszym skrzydle. Dom jest duży, a nasz stary zwyczaj mówi, że wszyscy członkowie rodziny powinni mieszkać ze swymi z kolei rodzinami pod wspólnym dachem.

— Mówiłeś, że to blisko morza.

— Na brzegu morskim. Pokochasz to miejsce. Wszyscy Pendorricowie kochają swoją siedzibę, a ty już wkrótce będziesz jedną z nas.

Mniej więcej na tydzień przed ślubem spostrzegłam, że ojciec jakoś się zmienił.

Kiedy pewnego dnia weszłam cicho do pracowni, zastałam go siedzącego przy stole i wpatrującego się przed siebie pustym wzrokiem. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, przyłapałam go więc w momencie nie kontrolowanego bezruchu — sprawiał wrażenie jakby się nagle ogromnie postarzał, a co gorsza był jakiś, taki... przerażony.

— Tato! — Krzyknęłam — co się stało?

Zerwał się, uśmiechnął, ale nie był to jego zwykły, szczery uśmiech.

— Stało? Nie, nic się nie stało.

— Ale siedzisz tak tutaj...

— A co w tym dziwnego? Pracowałem nad popiersiem Tyberiusza, zmęczyłem się.

Na razie przyjąłem jego wyjaśnienie i zapomniałam o całej sprawie.

* * *

Ale mój spokój nie trwał długo. Ojciec nigdy nie potrafił niczego przede mną dłużej ukrywać i wkrótce spostrzegłam, że coś mu leży na sercu.

Wczesnie rano, na dwa dni przed ślubem, obudziłam się w przeświadczeniu, że ktoś jest w pracowni. Zegar przy łóżku wskazywał godzinę trzecią.

Pośpiesznie włożyłam szlafrok i otworzywszy po cichu drzwi, ujrzałam cień postaci przy stole.

— Tato! — Krzyknęłam.

Ojciec poderwał się.

— Obudziłem cię moje dziecko? Wszystko w porządku, wracaj do łóżka.

Podeszłam do niego, posadziłam z powrotem i przysunęłam sobie krzesło.

— Tatusiu, o co chodzi? Przecież widzę, że coś ci dolega.

Chwilę się wahał, ale w końcu powiedział

— Ależ nic, naprawdę nic, moje dziecko. Nie mogłem spać, więc pomyślałem sobie, że dobrze mi zrobi, jak sobie tu chwilę posiedzę.

— Ale dlaczego nie mogłeś spać? Coś cię chyba dręczy?

— Nie. Całkiem dobrze się czuję.

— Nie mów tak, bo widzę przecież, że to nieprawda. Czy martwisz się o mnie... że wychodzę za mąż?

Zapanowało milczenie. Oczywiście, że o to chodzi, pomyślałam. Ojciec jest zmartwiony. Zaczyna sobie uświadamiać, jak będzie samotny beze mnie.

— Drogie dziecko, bardzo kochasz Roca, prawda? — Przerwał milczenie.

— Tak, tatusiu.

— Favel... jesteś tego pewna?

— Tatusiu, czy dlatego tak się przejmujesz, że Roca znamy tak krótko?

Na to pytanie nie odpowiedział, tylko zamruczał:

— Wyjeżdżasz stąd... do tego miejsca w Kornwalii... do Pendorric.

— Ależ będziemy tu przyjeżdżać! I ty przyjedziesz nas odwiedzić, możesz nawet zostać z nami!

— Tak sobie myślę, — ciągnął, jakby mówił sam do siebie — że gdyby coś stanęło na przeszkodzie twojemu małżeństwu, to złamałoby ci to serce.

Wstał nagle. — Zimno mi. Wracajmy do łóżek. Przepraszam Favel, że cię obudziłem.

— Tatusiu, musimy porozmawiać. Chcę, żebyś powiedział mi czym się gryziesz.

— Chodźmy spać, Favel. Przykro mi, że ci przeszkodziłem.

Pocałował mnie i poszliśmy do swoich sypialni. Jakże często później robiłam sobie wyrzuty, że pozwoliłam mu wtedy tak odejść. Powinnam mocniej nalegać i dowiedzieć się, czym się tak zamartwiał.

Nadszedł dzień ślubu. Byłam tak pochłonięta nowymi i ekscytującymi wrażeniami, że nie dostrzegałam, co działo się z moim ojcem. W tych pierwszych dniach nie potrafiłam myśleć o niczym innym jak tylko o sobie i Rocu.

Jakże było cudownie być zawsze razem, we dnie i w nocy. Zaśmiewaliśmy się z lada głupstewka; zobaczyłam wtedy jak łatwo ze szczęścia rodzi się śmiech. Spozstrzegłam też, że Umberto i Giuseppe cieszą się naszą radością; ich arie były bardziej ogniste niż zazwyczaj. Kiedy odchodzili, parodiowaliśmy ich gwałtowną gestykulację i pokładając się ze śmiechu, śpiewaliśmy fałszywie pieśni, robiąc na dodatek odpowiednio komiczne lub tragiczne miny. Roc miał zwyczaj przychodzić do kuchni, kiedy przygotowywałam posiłki — aby mi pomagać, jak powiadał — siadał na stole kuchennym i dotąd mi przeszkadzał, aż z udawanym gniewem próbowałam wyrzucić go siłą, co kończyło się tym, że zawsze lądowałam w jego objęciach.

Nie wiedziałam jeszcze wtedy, jak trudne przeżycia czekają mnie wkrótce. Wspomnienia tych beztrudnych, szczęśliwych dni miały mi towarzyszyć w ciężkich chwilach, podtrzymywać mnie na duchu, gdy tego bardzo potrzebowałam.

Roc, tak zresztą jak się spodziewałam, był namiętym i wymagającym kochankiem. Uczył mnie miłości, porywał za sobą swoją pasją i choć czasem czułam oszołomienie bogactwem doświadczeń i doznań, towarzyszyło mi stałe przeświadczenie, że wszystko w przyszłości ułoży się cudownie. W te dni z całego serca cieszyłam się życiem. Przestałam się nawet zastanawiać jaki będzie mój nowy dom. Zapewniałam samą siebie, że ojciec nie musi się o nic martwić; Roc zadba o jego przyszłość z taką samą troską, z jaką troszczy się o mnie.

Pewnego dnia wybrałam się sama na targ i wróciłam wcześniej niż się spodziewałam.

Drzwi pracowni były otwarte i obaj tam byli. Wstrząsnął mną wyraz ich twarzy. Roc był ponury, jak chmura gradowa, a ojciec jakby przeżywał katusze. Wydawało mi się, że papa powiedział coś, na co Roc zareagował tak gwałtownie; nie mogłam odgadnąć, czy był zły czy zaszokowany.

Gdy mnie ujrzeni, Roc szybko zawołał:

— O, jest już Favel.

W jednej chwili uspokoili się, jakby jednocześnie nałożyli, maski.

— Czy coś się stało?

— Nic, tylko jesteśmy głodni — odparł Roc, podchodząc do mnie i wyjmując mi z rąk koszyk.

— Zdaje mi się, że nie było cię ze mną całe wieki. — Uśmiechnął się, objął mnie i uściśnął.

Spojrzałam na ojca; też się uśmiechał, lecz jego poszarzała twarz nie odzyskała jeszcze zwykłej barwy.

— Tatusiu, o co chodzi?

— Nic moje dziecko, coś ci się przywidziało — odsunął mój niepokój.

Nie powinnam pozwolić wtedy zbyć się tak łatwo, ale przystałam na ich wyjaśnienia, bo nie chciałam, aby cokolwiek zakłóciło moje świeże i cudowne poczucie szczęścia.

* * *

Słońce świeciło olśniewająco. Ranek w pracowni był dość ruchliwy. Po takich pracowitych godzinach ojciec zwykł schodzić na plażę, by odpocząć i popływać w morzu. Przygotowywałam wtedy południowy posiłek. Tego dnia zachęcałam Roca, by poszedł z ojcem.

— Ty się z nami nie wybierzesz?

— Muszę się zająć lunchem. Zrobię to szybciej, jeśli obydwaj zejdziecie mi z oczu.

Po dziesięciu minutach Roc wrócił. Wszedł do kuchni i usiadł na stole tyłem do okna.

— Wyglądasz czasem jak satyr.

— Bo nim jestem.

— Czemu wróciłeś tak wcześnie?

— Stwierdziłem, że nie mogę bez ciebie wytrzymać.

Zostawiłem ojca na plaży i przyszedłem do domu.

— Jesteś naprawdę zabawny — roześmiałam się. — Nawet głupich piętnastu minut nie mogłeś obejść się beze mnie?

— To dla mnie za długo — zapewnił.

Byłam zachwycona. Wkrótce jedzenie było gotowe, a ojciec nie wracał.

— Mam nadzieję, że nie wdał się w jakąś dłuższą pogawędkę.

— Nie miał z kim. Wiesz, jak jest pusto na plaży o tej porze. Ludzie odchodzą do domów na posiłek i sjęstę.

Pięć minut później zaczęłam się bardzo niepokoić, a jak się okazało, miałam ku temu powody.

Tego ranka ojciec wszedł do morza i już nie wrócił. Dużo później, lecz jeszcze w tym samym dniu, znaleziono ciało. Obdukcja wykazała, że prawdopodobnie złapał go skurcz i zatonął.

Wtedy wydawało się to jedynym, możliwym wyjaśnieniem. Moje szczęście rozwiało się jak dym, ale dziękowałam losowi, że mam Roca. Gdyby go przy mnie nie było, nie wiem jak bym przeżyła te tragiczne chwile. Jedyne i ogromne pocieszenie stanowił fakt, że choć straciłam ojca, w moim życiu pojawił się Roc.

Te okropne wątpliwości zaczęły się pojawiać dopiero później.

* * *

Zgasła naturalnie cała radość naszego miesiąca miodowego i nie mogłam pozbyć się uczucia, że zawiodłam ojca.

Pamiętam, jak w noc po wypadku leżałam w ramionach Roca i wypłakiwałam sobie oczy:

— Wiem, że istniała jakaś szansa. Coś, co mogłabym zrobić.

— Ale co mogłaś zrobić, kochanie? Czy potrafiłabyś przewidzieć, że ojca złapie skurcz? To się zdarza każdemu, morze było spokojne, nikt nie słyszał wołania o pomoc, koniec musiał nastąpić od razu.

— Nigdy w życiu ojciec nie miał skurczów.

— Kiedyś musi być pierwszy raz.

— Ależ Roc... na pewno coś się stało...

— Kochanie, nie można się tak zadrećcać. Nic już nie można na to poradzić. — Odgarnął mi włosy z twarzy.

Miał oczywiście rację. Cóż mogliśmy zrobić?

— Ojciec byłby zadowolony, — pocieszał mnie Roc — że ja tu jestem, aby się tobą opiekować.

Kiedy to mówił, wyczuwałam w jego głosie ton ulgi. Nie rozumiałam tego wtedy, ale poczułam ukłucia pierwszych igiełek strachu, strachu który miałam poznać później aż nadto dobrze.

Roc zajął się wszystkim. Twierdził, że jak najszybciej musimy opuścić wyspę, bo w przeciwnym razie będę coraz ciężiej znosić nieszczęście, a gdy zabierze mnie do domu, to po pewnym czasie zdołam zapomnieć o tragedii.

We wszystkich sprawach praktycznych zdałam się całkowicie na męża, sama byłam zbyt przybita nieszczęściem, żeby cokolwiek móc załatwiać. Część dzieł ojca została spakowana i wysłana do Pendorric reszta została sprzedana. Roc spotkał się z naszym dzierżawcą i załatwił wymówienie dzierżawy, a w dwa tygodnie później opuściliśmy Capri.

— Musimy spróbować zapomnieć o tym nieszczęściu — powiedział Roc podczas przejazdu z wyspy na kontynent.

Spoglądałam na jego profil i przez krótką chwilę wydawało mi się, że patrzę na nieznanego. Nie miałam pojęcia dlaczego — być może z tego powodu, że od śmierci ojca zaczęła mnie nachodzić myśl, iż jeszcze dużo muszę się dowiedzieć o moim mężu.

Dwa dni spędziliśmy w Neapolu i tam Roc oznajmił mi, że nie będzie przyspieszał wyjazdu do domu, bo ja nadal jestem jeszcze wstrząśnięta i rozstrojona, a on chciałby dać mi trochę czasu na dojście do siebie, zanim mnie zabierze do Pendorric.

— Kochanie, skończymy nasz miodowy miesiąc.

Ale zareagowałam apatycznie i obojętnie. Wciąż miałam w pamięci obraz ojca siedzącego w ciemnej pracowni i stale zastanawiałam się, co go wówczas trapiło.

— Powinnam się wtedy dowiedzieć, co go dręczy — powtarzałam w kółko. — Jak mogłam być taka bezmyślna?! Przecież zawsze wiedziałam, kiedy się czymś martwił. Nie mógł nic ukryć przede mną. I nie ukrył...

— Co masz na myśli? — Zapytał Roc niemal gwałtownie.

— On był chory. Chyba dlatego złapał go ten skurcz. Roc, co tam się zdarzyło na plaży? Czy ojciec sprawiał wrażenie chorego?

— Nie. Wyglądał tak samo jak zwykle.

— Och, Roc, gdybyś wtedy nie wrócił, gdybyś z nim został.

— Favel, nie ma sensu powtarzać tych wszystkich „gdybyś”. Po prostu nie byłem z nim wówczas i to się nie odstanie. Opuszczamy Neapol. Musimy naprawdę zostawić to wszystko za sobą. — Wziął mnie za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował z czułością i pasją. — Jesteś moją żoną, pamiętaj. Chcę sprawić, żebyś zapomniała jak umarł ojciec, a pamiętała tylko, że jesteśmy teraz razem. Ojciec na pewno nie byłby zadowolony, że tak się zamartwiasz.

Roc miał rację. Mijały tygodnie, zmniejszał się ból. Nauczyłam się akceptować fakt, że śmierć ojca nie była niczym znów takim niezwykłym. Musiałam pamiętać, że mam przecież męża. Czas, wbrew wszystkiemu, pogodzić się ze stratą i walczyć o szczęście.

I rzeczywiście, lżej znosiłam nieszczęście gdy znaleźliśmy się z dala od wyspy.

Podczas tych trudnych dla mnie dni, Roc był cudowny. Cały czas czułam jego determinację, by odegnać moje smutki i przywrócić mi radość życia.

Kiedyś powiedział do mnie:

— Nic nam nie da rozdrapywanie ran, Favel. Spróbujmy o tym zapomnieć. Pamiętajmy przede wszystkim o tym, że za sprawą wspianego przypadku, poznaliśmy się i zakochali w sobie.

Na dwa tygodnie zatrzymaliśmy się na południu Francji, a każdy spędzony tam dzień zdawał się odsuwać mnie o jeden krok od niedawnych bolesnych przeżyć. Wynajęliśmy samochód i Roc szczególnie upodobał sobie kręte drogi śmiejąc się ze mnie, gdy wstrzymywałam oddech jak brał

ostre zakręty. Okolica podobała mi się bardzo, lecz kiedy rozglądałam się wokół i podziwiałam wille ukryte w pomarańczowych gajach, przytulone do skalnych ścian, Roc zwykł pstrykać palcami i mawiać:

— Poczekaj tylko, aż zobaczysz Pendorric!

Był to nasz prywatny żart. Roc wyrażał przekonanie, że ani cała piękność Alp, ani malownicze drogi czy majestatyczne wąwozy nie mogą się równać z jego ojczystą Kornwalią. Odpowiadałam mu wtedy:

— Ależ naturalnie, Konwalii nic nie dorówna.

Zwykle kwitowaliśmy to wspólnym śmiechem, a mijający nas ludzie też uśmiechali się, biorąc nas za kochanków.

Z początku zmuszałam się do wesołości. Chciałam sprawiać przyjemność mężowi, a wiedziałam, że nic bardziej go nie ucieszy niż widok mojej szczęśliwej twarzy. Ale z czasem zauważyłam, że już nie muszę udawać. Kochałam Roca tak bardzo, tak głęboko, że sam fakt, iż byliśmy razem, stał się dla mnie najważniejszy i wszystko inne wydawało się nieistotne. Roc gorąco pragnął wyciągnąć mnie z zakłętego kręgu smutku, a ponieważ był typem człowieka, który zwykł stawiać na swoim, mogło mu się to udać. Byłam świadoma jego siły, jego dominującego charakteru, ale godziłam się z tym chętnie, nie chciałam, żeby się pieniał. Był przecież wspianiałym mężem i dziwiłam się sobie, że mogłam choć przez chwilę w niego wątpić.

Ale pewnej nocy w Nicei znowu poczułam ukłucie niepokoju. Przyjechaliśmy wtedy z Villefranche. Ciemne chmury wiszące nad górami stanowiły mroczny kontrast czarnego tła z jaskrawo oświetlonym miastem. Roc zaproponował wizytę w kasynie, a ja jak zwykle ochoczo wyraziłam zgodę. Dopiero kiedy skręcił w kierunku zielonych stolików, przypomniałam sobie błysk w jego wzroku, gdy zasiadał do gry z moim ojcem. Teraz miał w oczach ten sam wyraz płonącego ożywienia, który mnie u ojca zawsze trwożył.

Wygrał tej nocy i to go wprawiło w nastrój podniecenia, ja natomiast nie potrafiłam ukryć swego niezadowolenia, a kiedy w pokoju hotelowym dałam temu wyraz, śmiał się ze mnie i uspokajał.

— Nie martw się. Nigdy nie popełniam takiego błędu, by grać wyżej, niż mogę przegrać. Nie ryzykuję zbyt wysokich stawek.

— Jesteś graczem — powiedziałam z wyrzutem. Ujął w dłonie moją twarz.

— A czemuż by nie? Życie to gra, więc jeśli jesteś dobrym graczem, bierzesz od życia najwięcej.

Znów droczył się ze mną jak dawniej, a ja wiedziałam, że to tylko żarty, ale incydent ten oznaczał też zmianę w naszych stosunkach. Świadczył, że Roc uznał, iż otrząsnęłam się już z bólu i nie trzeba dłużej traktować mnie ze szczególną ostrożnością. Wtedy też doszłam do przekonania, że Roc zawsze będzie miał duszę gracza niezależnie od tego jak wiele wysiłku włożę w to, żeby go odwieść od gry. Odczułam kolejne ukłucie lęku.

* * *

W miarę upływu czasu coraz częściej myślałam o przyszłości i powracało znowu poczucie niepokoju. Pierwszy raz doświadczyłam tego w nocy; obudziłam się nagle z jakiegoś koszmarne go snu z lękiem, że zagraża mi jakieś nieokreślone nieszczęście.

Leżałam u boku uśpionego głęboko Roca i dumiałam: Cóż to mi się przytrafiło? Dwa miesiące temu nie znałam jeszcze tego mężczyzny. Moim domem była wyspa i pracownia, teraz zajmuje ją inny artysta, a ja nie mam już ojca.

Ale mam męża. Lecz co o nim wiem? Tylko tyle, że go kocham. Czy to wystarczy? W naszym związku istotną rolę odgrywa namiętność i niekiedy te porywy i pragnienia przesłaniały mi wszystko inne do tego stopnia, że wydawało mi się, iż tylko tego chcę od małżeństwa. A przecież, w istocie, były one jedynie jego częścią. Rozmyślałam o życiu małżeńskim moich rodziców, o tym czym byli dla siebie, o ich wzajemnej bliskości i zaufaniu, które rodziło przekonanie, że dopóty, dopóki ta druga, najbliższa osoba jest w pobliżu, nic naprawdę złego nie może się im przydarzyć.

W moim małżeństwie tego jeszcze nie było. Wciąż brakowało mi poczucia pełnej więzi i bezpieczeństwa. Choć miałam już oczy otwarte, senna zmora nadal wisiała nade mną na kształt niesprecyzowanego ostrzeżenia.

Spojrzałam prawdzie w oczy — zbyt mało wiem o człowieku, którego poślubiłam i o życiu, które poprzez małżeństwo mi oferował.

Postanowiłam z nim o tym porozmawiać, a następnego dnia, gdy wybraliśmy się samochodem na górską przejażdżkę, zdecydowałam się przeprowadzić swój zamiar. Co prawda, strachy nocne pierzchnęły przed blaskiem dnia i wydawały się teraz jakieś bezsensowne i niepoważne, ale powiedziałam sobie — to absurdalne żebym tak mało wiedziała o życiu własnego męża.

Na lunch zatrzymaliśmy się w małym hoteliku.

W czasie posiłku byłam zamyślona, a kiedy Roc zapytał mnie o powód mojego milczenia, wyjął:

— Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o Pendoric i twojej rodzinie.

— Jestem gotów na krzyżowy ogień pytań. Strzelaj więc.

— Wpierw samo miejsce. Spróbuj mi je opisać, a potem opowiedz o ludziach.

Oparł łokcie na stole i przymrużył oczy, jakby wpatrywał się w jakiś odległy obraz, niezbyt wyraźnie widoczny.

— Najpierw dom — zaczął. — Budynek ma około czterystu lat, a przynajmniej niektóre jego partie. W tym miejscu podobno był niegdyś jeszcze starszy dom — tak głoszą rodzinne przekazy. Stoi na skale około pół kilometra od brzegu; dawniej odległość ta była znacznie większa, ale zachłanne morze przez te stulecia zdążyło wygryźć spory kawał gruntu.

Zbudowany jest z szarego kornwalijskiego granitu, by móc z łatwością wytrzymać ostre sztormowe wiatry; motto wycięte w kamieniu nad frontowym wejściem, w najstarszej części domu, głosi: „Gdy budujemy, wierzymy, że to na zawsze”. Pamiętam jak ojciec podniósł mnie wysoko żebym przeczytał ten napis. Powiedział przy tym, że my, Pendoricowie, jesteśmy taką samą istotną częścią domostwa jak to wiekowe kamienne wejście. Oświadczył także, że w chwili, gdy rodzina opuści to miejsce, przodkowie nie zazną spokoju w grobie.

— Ach, jak cudownie należeć do takiej rodziny.

— Teraz jest to i twoim udziałem.

— Tak, ale nadal jestem kimś z zewnątrz... tak jak wszyscy ci, którzy weszli do waszej rodziny poprzez związki małżeńskie.

— Wkrótce poczujesz się jedną z nas. Zawsze tak bywało z żonami Pendoriców, już po krótkim czasie pielegnowały one rodzinne tradycje z większym zapałem niż ci, którzy nazwisko rodowe nosili od kolebki.

— Czy jesteś kimś w rodzaju dziedzica?

— To pojęcie już dawno wyszło z mody. Choć prawdą jest, że jesteśmy właścicielami większości farm na tym terenie, a obyczajnie zamierają tu dłużej niż w innych rejonach Anglii. Tutaj trzymamy się mocno naszych starych tradycji i obrządków. Wiem, że taką praktyczną, młodą kobietę, jaką ty jesteś, będą niecierpliwiły niektóre z zasłyszanych historii, ale znoś to cierpliwie. Proszę — pamiętaj, że z nas takie kornwalijskie dziwadła, ale ty przez małżeństwo teraz jesteś z nami.

— Z pewnością nie będę się skarżyć. Opowiedz mi coś jeszcze.

— Cóż, weźmy dom — solidny, zbudowany w prostokąt, o bokach skierowanych na cztery strony świata. Od północy rozciągają się wzgórza i uprawna ziemia, od południa morze, od wschodu zaś i z zachodu mamy wspaniałą panoramę linii brzegowej, jednej z najpiękniejszych i najbardziej zdradzieckiej w Anglii. W czasie odpływu morze odsłania tu rafy, ostre jak zęby rekina i możesz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby jakaś łódź zapędziła się na te wody. Och, zapomniałem wspomnieć jaki widok mamy z okna wschodniego, widok, którego nikt z nas nie lubi. W naszej rodzinie nazywamy to Polhorgan's Folly — Dziwactwem Polhorgana. Mianem tym określamy dom, który stanowi dokładną kopię naszego własnego. Czujemy do niego obrzydzenie, nie cierpimy go. Co noc wznosimy modły do niebios, aby go pochłonęło morze.

— Nie mówisz tego poważnie.

— Naprawdę? — Oczy mu błyszczały i śmiały się ze mnie.

— Naturalnie, że nie. Byłbyś przerażony, gdyby się tak zdarzyło.

— Nie ma najmniejszej obawy. Stoi tu już pięćdziesiąt lat — doskonały symulant — i zamydla oczy turystom oglądającym go z plaży udając wspaniałość i sławę prawdziwego Pendorrice.

— Kto jest właścicielem tego domu?

Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym malowała się jakaś złośliwość; zatrwożyłam się przez chwilę, bo myślałam, że jest to skierowane do mnie, ale wnet rozpoznałam w tym wyraz niechęci do właściciela bliźniaczej posiadłości.

— Niejaki Josiah Fleet, bardziej znany jako lord Polhorgan. Przybył tu jakieś pięćdziesiąt lat temu, gdzieś ze środkowej Anglii, gdzie zbił majątek na handlu — zapomniałem czym. Spodobało mu się nasze wybrzeże, nasz klimat i postanowił zbudować tu sobie rezydencję. Zrealizował swój zamiar i spędzał tu każdego roku około miesiąca, w końcu przeniósł się na stałe i przyjął nazwisko od zatoki poniżej skalistego brzegu na którym stoi dom.

— Najwyraźniej bardzo go nie lubisz. Nie przesadzasz?

— Możliwe. — Roc wzruszył ramionami. Jest rzeczą naturalną i uczucie niechęci pomiędzy *nouveaux* biednym a *nouveaux* bogatym.

— Czy jesteśmy bardzo biedni?

— W porównaniu z lordem Polhorganem... tak. Myślę, że najbardziej irytuje nas fakt, że gdy sześćdziesiąt lat temu my tak jak dziś byliśmy panami na Pendorrice, on biegał na bosaka po ulicach Birmingham, Leeds czy Manchester — nigdy nie mogę zapamiętać, o które miasto chodzi. Przemysł i wrodzony spryt uczyniły z niego milionera. A my? Nas lenistwo i dziedziczna indolencja zepchnęły do pretensjonalnego ubóstwa i musimy zastanawiać się z tygodnia na tydzień, czy nie należałoby wezwać Bank Kredytowy aby przejął dom i pozwolił nam w nim mieszkać jedynie po, by oprowadzać za biletami po pół korony turystów, ciekawych życia dawnej arystokracji.

— Przemawia przez ciebie gorycz.

— A ty chyba jesteś po stronie przemysłu i sprytu. Och, Favel, co za dobrana z nas para! Patrz, w tobie jest wszystko to, czego nie ma we mnie. Możesz wspaniale trzymać mnie w ryzach.

— Znów sobie pokpiwasz ze mnie.

— Kochanie, taką mam naturę. Lubię śmiać się ze wszystkiego, a czasem im bardziej czuję się poważny, tym głośniejsze się śmieję. — Złapał mnie za rękę i ścisnął tak mocno, aż się skrzywiłam.

— Nie sądzę, żebyś kiedyś pozwolił, by ktokolwiek ujął cię w rzyzy.

— Cóż, moja droga, takiego mnie wybrałaś i chyba nie będziesz chciała mnie zmienić, prawda?

— Chcę żyć nadzieję, że żadne z nas się nie zmieni, że zawsze będziemy tak szczęśliwi jak dotąd.

Przez chwilę na twarzy malował mu się wyraz najwyższej czułości, potem znów się roześmiał.

— Mówiłem ci, że zrobiłem dobry wybór.

Zostałam wtedy uderzona nagłą myślą, że może rodzina, która — jak sądziłam — kocha Pendorrice równie silnie jak on, będzie rozczarowana jego mariażem z dziewczyną bez grosza, lecz, z drugiej strony, byłam wzruszona i szczęśliwa, że wybrał właśnie mnie, mimo iż nic mu nie wniosłam w posagu. Czułam jak blednie pamięć koszmaru, jakim była śmierć ojca, ulatują gdzieś resztki wątpliwości i jeszcze tylko zastanawiałam się chwilę, czym taki męczący majak mógł być spowodowany.

— Czy z lordem Polhorganem jesteś na przyjaznej stopie? — Spytałam szybko, by ukryć emocje.

— Nikt chyba nie potrafiłby się z nim zaprzyjaźnić. Ale nasze stosunki układają się przyzwoicie. Jesteśmy dla siebie uprzejmi. Poza tym, nieczęsto go widuję. To chory człowiek pod opieką pielęgniarki i służby.

— Nie ma rodziny?

— Pokłócił się ze wszystkimi. Teraz mieszka samotnie. W Polhorgan jest ze sto pokoi — wszystkie przeładowane meblami, urządzone pretensjonalnie. Choć sądzę, że to wrażenie łagodzą znacznie pokrowce od kurzu, stała osłona sprzętów.

— Biedny staruszek.

— Wiedziałem, że twoje miękkie serduszko okaże mu współczucie.

Być może spotkasz się z nim. On przypuszczalnie rozważa możliwość przyjęcia wizyty Młodej Małżonki Pendorrice.

— Dlaczego tak mnie określasz? Jakbyś nadawał mi jakiś staroświecki tytuł, pisany w dodatku z dużej litery.

— To tradycja Pandorrice. Mamy więcej takich dziwacznych, podobnych zwyczajów.

— A rodzina?

— Och, teraz w Pendorrice wiele się zmieniło, choć niektóre z naszych mebli tkwią wciąż na tym samym miejscu od dobrych czterystu lat. Naszym domownikiem jest stara pani Penhalligan, córka Josse'go i Lizzie Pleydellów, a Pleydellowie służyli u Pendorriców od wielu pokoleń. Zawsze był jakiś wierny człowiek tej rodziny, chętny do pracy u nas. Stara pani Penhalligan jest doskonałą ochmistrzynią; reperuje pościel, zasłony i trzyma pieczę, zarówno nad służbą, jak i nad nami. Ma sześćdziesiąt pięć lat, ale jej córka Maria, która nie wyszła za mąż, przejmie po niej te obowiązki.

— A co z twoją siostrą?

— Moja siostra wyszła za mąż za Charlesa Chastona, którego poznała jeszcze za życia ojca. Ojciec dużo podróżował a Charles zarządzał u nas gospodarstwem. Teraz, wraz ze mną, zajmuje się majątkiem. Siostra z rodziną mieszka w północnym skrzydle. My dla siebie będziemy mieć skrzydło południowe. Nie musisz się martwić, że będziesz się wszędzie potykać o krewnych; jeśli nie będziesz chciała, możesz się z nimi nie spotykać. Wyjątek stanowią posiłki. Jadamy razem — to stara rodzinna tradycja — a obecnie także i konieczność, ze względu na szczupłość służby. Będziesz zdumiona, ile zwyczajów rodzinnych jeszcze tu zachowujemy. Pewnie nieraz mieć będziesz wrażenie, że cofasz się w przeszłość o sto lat. Sam tego czasem doświadczam, zwłaszcza gdy wracam do domu z jakiejś dłuższej podróży.

— Jak ma na imię twoja siostra?

— Morwenna. Rodzice wszystkich kolejnych pokoleń nadawali dzieciom możliwie zawsze imiona kornwalijskie. Stąd te wszystkie Morwenny i Petroki. Dziewczynki bliźniaczki to Lowella i Hyson — Hyson była panieńskim nazwiskiem mojej matki. Lowella skróciła te imiona na własny użytek; siebie nazywa Lo, siostrę Hy. Podejrzewam, że wymyśliła przydomki nam wszystkim tylko się jeszcze nie zdradza. To nieznośne stworzenie.

— Ile lat mają bliźniaczki?

— Dwanaście.

— Gdzie chodzą do szkoły?

— Nigdzie. Były wysyłane do szkół, ale Lowella miała nieszczęsny, stały zwyczaj regularnego uciekania ze szkoły i ciągnięcia ze sobą siostry. Mawiała przy tym zawsze, że nie może być nigdzie szczęśliwa poza Pendorrlic. W obecnej chwili musieliśmy znaleźć kompromisowe wyjście — przyjęliśmy wykwalifikowaną nauczycielkę. Trudno było uzyskać zgodę władz szkolnych na taki tryb indywidualnego nauczania, ale Morwenna i Charles chcą zatrzymać dziewczynki w domu jeszcze z rok, zanim dzieciaki trochę nie okrzepną emocjonalnie. A na Lowellę muszą szczególnie uważać.

— Jak to?

— Wszystko będzie dobrze, jeśli cię polubi, ale uwielbia psoty. Zupełnie inna jest Hyson. Ona jest ta spokojna. Dziewczynki podobne są do siebie jak dwie krople wody, ale charaktery mają całkiem odmienne. Dzięki Bogu i za to. Nikt nie zdołałby znieść dwóch takich jak Lowella.

— Nie opowiadasz nic o rodzicach.

— Oboje nie żyją i nie bardzo ich pamiętam. Mama umarła, kiedy mieliśmy pięć lat, a potem wychowywała nas ciotka. Często do nas przyjeżdża i teraz; ma nawet swoje pokoje w Pendorrlic. Odkąd Charles zatrudnił się u nas, ojciec większość czasu spędzał za granicą. Charles jest piętnaście lat starszy od Morwenny.

— Powiedziałeś, że matka zmarła, gdy mieliście pięć lat. Skąd ta liczba mnoga?

— Czy ci nie wspominałem, że ja i Morwenna jesteśmy bliźniakami?

— Nie. Mówiłeś tylko o siostrzenicach.

— Cóż, bliźniaki w rodzinie bywają cechą dziedziczną. Całkiem możliwe, że nas też to czeka.

— Czy Morwenna jest bardzo podobna do ciebie?

— Na pewno nie w takim stopniu jak Lowella i Hyson, ale powiadają ludzie, że jest pewne podobieństwo.

— Wiesz co, Roc, — powiedziałam, pochylając się ku niemu — nie mogę się doczekać spotkania z twoją rodziną.

— Cudownie. To znak, że najwyższy czas udać się do domu.

* * *

Byłam więc w pewnym sensie przygotowana na spotkanie Pendorrlic.

Z Londynu wyjechaliśmy w porze lunchu, a po ósmej wysiadaliśmy z pociągu. Roc narzekał, że nie pojechaliśmy samochodem, jako że wtedy, z mojego pierwszego przekroczenia granicznej rzeki Tamar, mógłby uczynić coś na kształt ceremonii, ale ja mimo wszystko byłam ogromnie podniecona. Na stacji miał czekać na nas samochód, podstawiony rankiem przez starego Tomsa — szofera, ogrodnika i pracownika do wszystkiego w majątku Pendorrlic.

Za chwilę siedziałam u boku Roca w raczej wysłużonym daimlerze i byłam rozdarta między pragnieniem poznania rodziny a obawą przed tym, co zresztą było chyba naturalne w tych okolicznościach.

— Bardzo chciałam wyrzucić dobre wrażenie, bo w tym nowym życiu, w które właśnie wkraczałam, nie znałam nikogo prócz męża. Nagle też zdałam sobie sprawę w jak dziwnym jestem położeniu.

Znalazłam się właściwie w obcym kraju — bowiem dotychczas wyspa była moim jedynym domem — i całkowicie bez przyjaciół. Gdyby chociaż Esther Mc Bane była w Anglii, nie czułabym się tak całkowicie samotna. Miałabym przynajmniej jedną przyjazną duszę; ale ona była obecnie w Rodezji, w dodatku całkowicie pochłonięta swoim nowym życiem. Miałam co prawda

w szkole i inne koleżanki, ale nie byłam z nimi tak zżyta jak z Esther i po skończeniu nauki nie utrzymywałam z nikim listownych kontaktów, tak iż te szkolne znajomości umarły śmiercią naturalną.

Ale cóż to za niemądre rozważania! Mogę nie mieć dawnych przyjaciół, ale za to mam męża.

Roc sprawnie wykręcił na placyku przy stacji i wyjechał na drogę, a gdy opuściliśmy już miasteczko, zamknęła się nad nami cisza letniego wieczoru. Jechaliśmy wąską, krętą drogą, ujętą po bokach w wysokie brzegi poznaczone krzewami polnych różyczek; w powietrzu unosiła się słodka woń kapryfolium.

— Czy daleko jest stąd do Pendorric?

— Około ośmiu mil. Przed nami jest morze, z tyłu wrzosowiska. Będziemy tu chodzić na spacerory lub na konne przejażdżki. Jeździsz konno?

— Nie.

— Nauczę cię. Uczynisz to miejsce swym domem, Favel. Zobaczysz. Są ludzie, którzy nigdy nie potrafią tego dokonać, ale sądzę, że ty do nich nie należysz.

Zapadło milczenie i tylko zachłannie chłonełam widoki okolicy. Mijane domy były nieco większe niż zwykle wiejskie zabudowania — co zresztą nie świadczyło wcale o tym, że oznaczały się urodą, a nawet odwrotnie, wydawały mi się dość ponure — wszystkie zbudowane z szarego kornwalijskiego kamienia.

Gdy samochód powoli wspinał się po stromym zboczach, poczułam . zapach morza. Po chwili byliśmy już po drugiej stronie wzgórza; zjeżdżaliśmy w dół wśród lasu rosnącego po obu stronach drogi.

— Kiedy zobaczysz morze, będzie to znak, że do domu już blisko — zapowiedział Roc i niemal od razu droga zaczęła znów piąć się na kolejne wzniesienie.

Na szczycie Roc zatrzymał samochód i wskazał ręką przed siebie.

— Widzisz tę budowlę prawie na skraju urwistego brzegu? To Folly. Naszego domu stąd nie widać, bo zasłania go wzgórze, ale jest tam, trochę bardziej na prawo.

Folly wyglądał bez mała jak średniowieczne zamczysko.

— Zawsze się dziwię, że nie zafundował sobie zwodzonego mostu i fosy — mruknął Roc pod nosem. — Choć, Bóg mi świadkiem, że na tej wysokiej skale z fosą byłyby niejaki trudności, ale tym bardziej miałby się czym chwalić.

Uruchomił samochód i pół mili dalej ukazał się Pendorric. Siedziba rodu była tak bardzo podobna do tamtej, widzianej poprzednio budowli, że ogarnęło mnie zdumienie.

Z tego miejsca wydaje się jakby stały blisko siebie, — wyjaśniał Roc — ale w rzeczywistości dzieli je dobra mila, choć rzecz jasna, w prostej linii jest nieco bliżej. Chyba rozumiesz teraz oburzenie naszej rodziny, kiedy się okazało, że „tego” nie da się usunąć sprzed oczu.

Dojechaliśmy do głównej drogi. Potem dotarliśmy do zakrętu, za którym trakt opadał zboczem najbardziej stromego z dotychczasowych wzniesień. Przy drodze rosły polne kwiaty i trochę karłowatych, jodeł wydzielających żywiczną woń.

U stóp wzgórza skręciliśmy na szlak wiodący skrajem skalnego wybrzeża i wtedy zobaczyłam morski brzeg w całej jego krasie. Tego wieczoru morze było spokojne i słychać było tylko cichy plusk, z jakim omywało nadbrzeżne skały. Stromy, skalisty brzeg porastała trawa i paprocie, a tu i ówdzie zaznaczały się kępy różowych, czerwonych i białych ziół. Roztaczał się wspaniały widok na zatokę. Był odpływ i mogłam dostrzec owe zdradliwe rafy, szczerzące okrutnie swe ostre zęby na płytkiej wodzie.

A jakieś pół mili przed nami wznosił się sam Pendorric i dech mi zapało na widok tej wzbudzającej respekt wspaniałości. Górował nad wodą swoim kamiennym, szarym masywem, zakończonym wieżyczkami zdobnymi w blanki, roztaczając aurę twierdzy nie do zdobycia;

nobliwy i arogancki jakby urągał morzu, pogodzie i tym wszystkim, którzy poważą się porwać na jego mury.

— To twój dom, kochanie. — W głosie Roca brzmiała wyraźnie nuta dumy.

— Jest..., przepiękny.

— Więc tak ci się podoba? Wobec tego cieszę się, że widzisz go po raz pierwszy, inaczej bowiem miałbym wrażenie, że to mój dom poślubiasz zamiast mnie.

— Nigdy bym tak nie uczyniła.

— Nie? Rzeczywiście. Jesteś na to zbyt uczciwa — zbyt rozsądna... i w gruncie rzeczy dlatego taka cudowna. Właśnie dzięki temu zakochałem się i postanowiłem cię pojąć za żonę.

Z rykiem silnika zaczęliśmy znów wjeżdżać pod górę, teraz gdy byliśmy blisko, jeszcze wyraźniej było widać jak dominował nad okolicą. W niektórych oknach paliło się światło i dostrzegłam sklezione wejście portyku północnego.

— Dziedzińce są od południa — wyjaśnił mi Roc. — Iz tamtej strony jest główny dojazd, ale w rzeczywistości dostać się do domu można ze wszystkich czterech stron świata. Mamy tu bowiem cztery bramy wejściowe: północną, południową, wschodnią i zachodnią, oczywiście. Dziś wybrałem bramę północną, bo tam będą nas oczekiwać Morwenna i Charles. Popatrz — ciągnął i podążając za jego wzrokiem ujrzałam drobną postać dziewczęcą, w spodniach do konnej jazdy pasowej bluzce o czarnych rozwianych włosach, biegnącą pędem w naszym kierunku. Twarzyczkę miała opaloną, a oczy podłużne i ciemne, bardzo podobne do oczu Roca. Samochód zwolnił, a ona wskoczyła na stopień.

— Chciałam być pierwszą, aby zobaczyć młodą małżonkę, — krzyknęła.

— I zawsze potrafisz postawić na swoim — zaśmiał się Roc. — Favel to jest Lowella, ta, której się trzeba wystrzeżać.

— Nie słuchaj go — zaprotestowała dziewczynka. — Sądzę, że będę twoją przyjaciółką.

— Dziękuję ci. Mam nadzieję, że tak istotnie będzie.

Czarne oczy oglądały mnie z ciekawością.

— Mówiłam, że będzie blondynką. Byłam pewna.

— Dobrze, dobrze, ale przeszkadzasz nam. Wskakuj do środka, albo zejź z stopnia.

— Zostanę tutaj — oświadczyła dziewczynka. — Ruszajcie. Roc nie chciał się z nią spierać i ruszył powoli w kierunku domu.

— Nie mogliśmy się ciebie doczekać — zwróciła się do mnie Lowella. — Byliśmy tacy podekscytowani. Wszyscy próbowali zgadnąć, jak wyglądasz. We wsi też wszyscy chcą cię zobaczyć. Za każdym razem, gdy spotykali kogoś z rodziny, pytali: „A kiedy to Młoda Małżonka przybywa do Pendorric?”

— Mam nadzieję, że im się spodoba.

Lowella rzuciła figlarne spojrzenie na swego wujka i znów uderzyło mnie ich podobieństwo.

— Był już naprawdę najwyższy czas, żeby się wujek ożenił. Zaczęliśmy się już martwić.

— Widzisz, miałem rację ostrzegając cię — wtrącił Roc. — To naprawdę enfant terrible*.

— Wcale nie dziecko — oburzyła się Lowella. — Przecież wiesz, że mam już dwanaście lat.

— Im jesteś starsza, tym gorsza. Cierpnie mi skóra na myśl, jaka będziesz w wieku dwudziestu lat.

Przejechaliśmy przez bramę i dojrzałam majaczący przed nami wielki kamienny łuk wejściowy. Za nim był portyk pilnowany z obu stron przez dwa duże rzeźbione lwy, które aczkolwiek nadgryzione zębem czasu wciąż groźnym wyglądem usiłowały odstraszyć potencjalnych intruzów.

* okropne dziecko. W przenośni — osoba zdolna do niekonwencjonalnych posunięć, szokujących otoczenie.

Czekała tam kobieta tak podobna do Roca, że od razu rozpoznałam siostrę — bliźniaczkę. Za nią stał mężczyzna, w którym domyśliłam się jej męża, a ojca małych bliźniaczków.

Morwenna podeszła do auta.

— Roc! Nareszcie w domu, a to chyba Favel. Favel, witaj w Pendorric.

Uśmiechnęłam się do niej, ciesząc się właściwie z jej podobieństwa do brata, które sprawiało, iż od razu stała mi się kimś znanym i bliskim. Miała ciemne, gęste włosy, naturalnie pofalowane, które niezbyt wyraźnie widoczne w półmroku układały się jej wokół głowy na kształt szesnasto — wiecznego czepca. Ubrana była w szmaragdowozieloną sukienkę, bardzo odpowiednią dla jej włosów i oczu, a w uszach nosiła złote kolczyki.

— Tak się cieszę, że w końcu się spotykamy — odezwałam się.

— Mam nadzieję, że nasze małżeństwo nie było dla was szokiem.

— Nic co robi mój brat, nie jest w stanie prawdziwie nas zaskoczyć jako, że spodziewamy się po nim różnych niespodzianek.

— Widzisz, jak sobie ich wychowałem — rzekł Roc z przechwałką.

— O, jest i Charlie.

Charles Chaston objął mi dłoń tak mocnym uściskiem, że aż się skrzywiłam z bólu, myślę jednak, że tego nie zauważył.

— Od kiedy dowiedzieliśmy się, że Roc się ożenił, naprawdę nie mogliśmy się ciebie doczekać — przywitał mnie.

Lowella zataczając kręgi tańczyła wokół nas; włosy fruwały jej w takt ruchów, coś monotonicznie nuciała do siebie, jakby wypowiadała jakieś zaklęcia i skojarzyła mi się z czarownicą.

— Przestań Lowella — upomniała ją matka z krótkim śmiechem.

— Gdzie Hyson?

Lowella wymownie wzruszyła ramionami, gestem który oznaczał, że nie ma pojęcia.

— Idź jej poszukać. Będzie na pewno chciała przywitać się z ciocią Favel.

— Nie nazywam jej ciocią, jest na to za młoda. Będzie dla nas po prostu „Favel”. Chyba to wolisz, prawda, Favel?

— Tak, brzmi to bardziej swojsko.

— Widzicie? — Krzyknęła Lowella i wbiegła do domu. Morwenna i jej brat ujeli mnie pod ramiona a Roc zawołał:

— Gdzie jest Toms? Toms! — Krzyknął — Toms! Wnieś do domu nasze bagaże.

— Tak, proszę pana. Już idę. — Odpowiedział jakiś głos, ale zanim pojawił się jego właściciel, Morwenna i Roc wyprowadzili mnie przez portyk i wraz z Charlesem idącym za nami, weszliśmy do domu.

Znalazłam się w olbrzymim holu, u obu jego krańców pięknie rzeźbione schody prowadziły na galerię. Ściany przyozdobione były wiszącymi tarczami i wspaniałymi okazami białej broni, a u stóp schodów stały zbroje.

— To nasze skrzydło — objaśniała Morwenna. — Domy, budowane tak jak ten, są naprawdę najwygodniejsze. Będąc jedną czworoboczną budowlą, są w istocie jak cztery osobne domy. Nasz był zbudowany w celu pomieszczenia wszystkich Pendorriców pod jednym dachem, za czasów gdy były liczne rodziny. Sądzę, że wtedy było tu tłoczno. Obecnie jedynie kilkoro stałej służby mieszka na poddaszu, reszta zajmuje małe, osobne domki. Jest ich sześć, stoją rzędem obok siebie; są niezwykle malownicze i niezwykle higieniczne — dopiero ostatnio Roc i Charles wprowadzili tam pewne wygody. Mieszkańców domków nadal bierzemy doraźnie do pomocy, a tutaj z nami mieszkają jedynie: Toms z żoną i córką Hetty oraz pani Penhalligan ze swoją córką Marią. Ach, jakże inaczej bywało tu dawniej. Ale ty chyba jesteś głodna?

Odparłam jej, że jedliśmy obiad w pociągu.

— Dobrze, kolacja więc będzie nieco później. Chciałabyś pewnie obejrzeć dom; a może najpierw rozgościsz się w swoim skrzydle?

Wyraziłam zgodę, a kiedy to mówiłam, mój wzrok padł na portret wiszący na ścianie galerii. Była to podobizna jasnowłosej młodej kobiety w obcisłej niebieskiej sukni odsłaniającej kształtne ramiona; włosy miała upięte wysoko, a jeden skręcony lok spływał jej na szyję. Malowidło najwyraźniej pochodziło z późnych lat osiemnastego wieku i odniosłam wrażenie, że obraz umieszczony w tym właśnie miejscu, góruje nad galerią i hołem.

— Jaki czarujący! — Zachwyciłam się.

— Tak. To jedna z Młodych Małżonek Pendorriców — wyjaśniła Morwenna.

Znowu ten tytuł, który słyszałam tak często!

— Jaka piękna... i wygląda na szczęśliwą.

— To moja pra, pra, pra... właściwie straciłam już rachubę tych „pra”... babka — ciągnęła Morwenna. — W okresie gdy powstawał portret, była szczęśliwą żoną, ale umarła młodo.

Nie mogłam oderwać oczu od obrazu; w młodej, pięknej twarzy: kobiety było bowiem coś urzekającego, co przyciągało wzrok.

— Wszystkie skrzydła domu są połączone; jeśli ktoś nie chce, nie musi używać osobnych wejść. Teraz wystarczy wspiąć się na galerię i tamtędy zaprowadzę cię do waszego skrzydła — zaproponowała Morwenna.

— Tu musi być mnóstwo pokoi.

— Osiemdziesiąt. Po dwadzieścia w każdej z czterech części. Wiele z nich przez te lata było nieraz odnawiane, ale zgodnie z nakazem rodzinnej maksymy zawsze przestrzegano zasady, żeby w nich nie wprowadzać istotnych zmian i nie pozbawiać ich tego charakteru, jaki nadano im od początku.

Przechodząc obok zbroi, weszliśmy schodami na galerię.

— Jeszcze jedno ci chciałam powiedzieć, — kontynuowała moja szwagierka — gdy poznasz swoje skrzydło domu, to tak jakbyś poznała pozostałe, wszystkie są takie same, tylko okna wychodzą na różne strony świata.

Prowadziła przodem, a my z Rokiem, trzymając się za ręce, szliśmy za nią. Z galerii, bocznymi drzwiami skręciliśmy w inny korytarz zdobiony pięknymi marmurowymi rzeźbami ustawionymi we wnętrzach.

— To nie jest najlepszy czas na zwiedzanie domu — rzuciła Morwenna. — Jest niekorzystne oświetlenie — ni to jasno, ni to ciemno. Zmierzcha.

— Będziesz musiała na to poczekać do rana, Favel — dodał Roc.

Przez jedno z okien ujrzałam duży wewnętrzny dziedziniec na którym rosły najwspanialsze hortensje jakie dotychczas widziałam Wyraziłam swój podziw, więc zatrzymaliśmy się chwilę, aby na nie popatrzeć.

— Ich kolory najpiękniej prezentują się w słońcu — rzekła Morwenna. — Wspaniale tu rosną. Mają dużo wilgoci i prawie nigdy nie ma tu wielkich mrozów, a od ostrych wiatrów chronią je mury budynku.

Dziedziniec wyglądał pięknie. Był tam staw, z jakąś ciemną rzeźbą pośrodku, w której później rozpoznałam Hermesa; rosły też dwie dorodne palmy tak, że miejsce to sprawiało wrażenie oazy na pustyni. Kępy kwitnących krzewów obrzeżono brukowymi kamieniami, i zmyślnie poustawiano ozdobnie złożone białe ławeczki.

Później dopiero spostrzegłam te wszystkie okna wychodzące na dziedziniec i pomyślałam z żalem, że chyba każdy, kto tam usiądzie będzie miał uczucie iż jest obserwowany.

Na dziedziniec prowadziło czworo drzwi, jedno z każdego skrzydła.

Z tego korytarza dostaliśmy się do naszego mieszkania w południowej części budynku. Znajdowaliśmy się w dużym pokoju z ogromnymi oknami z widokiem na morze. Ciemnoczerwone aksamitne zasłony były jeszcze odsunięte, więc gdy zobaczyłam roztaczającą się przede mną wspaniałą morską panoramę, krzyknęłam zachwycona i podbiegłam do okna. Stałam tam, chłonąc pejzaż zatoki; w zapadającym zmierzchu urwisty brzeg wyglądał złowieszczo, widoczne były tylko poszarpane krawędzie skał. Zapach morza i jego cichutki szept zdały się wypełniać pomieszczenie.

Roc stanął za mną.

— Wszyscy reagują tak samo. Nie rozglądają się tylko biegną do okna.

— Od strony wschodniej i zachodniej widoki są równie piękne — wtrąciła Morwenna.

Przekreśliła przełącznik i światło z dużego żyrandola wiszącego na środku sufitu załało cały pokój. Odwróciłam się od okna i rozejrzałam wokół. Stało tu duże łóżko z czterema kolumnkami i z podnóżkiem, wysoka komoda, kilka szaf — sprzęty należące do poprzedniego pokolenia, znanego z wyśmienitego smaku i elegancji.

— Uroczy pokój! — Zawołałam.

— Pochlebiamy sobie, że mamy tu to, co najlepsze z dawnych i obecnych czasów — brzmiała odpowiedź Morwenny. — Starą gotowalnię przerobiliśmy na łazienkę. — Otworzyła boczne drzwi i moim oczom ukazało się nowoczesne wnętrze. Spojrzałam tam tęsknym wzrokiem, co pobudziło Roca do śmiechu.

— Będiesz miała swoją kąpiel, Favel — pocieszył mnie. — Idę teraz zobaczyć co Toms zrobił z naszymi bagażami. Dopiero później coś zjemy może zabiorę cię na przechadzkę przy blasku księżycy — jeśli jakiś znajdzie się pod ręką.

Odparłam, że to wspaniały pomysł i rodzeństwo wyszło.

Wróciłam do okna, by ponownie zachwycać się wspaniałym widokiem. Stałam tak kilka minut błędząc wzrokiem po horyzoncie; w pewnej chwili dostrzegłam nawet przerywane błyski latarni morskiej.

W łazience znalazłam przygotowane dla mnie sole kąpielowe i kosmetyki — świadectwo troskliwości mojej szwagierki. Najwyraźniej starała się uprzyjemnić mi przyjazd do domu i mile odczułam to serdeczne powitanie.

Gdybym tylko mogła jeszcze znaleźć oparcie w myśli, że ojciec pracuje gdzieś tam, w swoim studio, byłabym naprawdę szczęśliwa. Lecz muszę rozpocząć nowe życie, muszę przestać się smucić. Muszę być wesółą, jestem to winna Rocowi — a on jest takim typem mężczyzny, który lubi by żona była pogodna.

Napuściłam wody do wanny i spędziłam blisko pół godziny rozkoszując się kąpielą. Gdy wyszłam, Roca nie było, ale bagaże były już w pokoju. Rozpakowałam małą walizkę i przebrałam się w jedwabną sukienkę; właśnie cesałam się przy lustrze toaletki, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę — zawołałam, a odwróciwszy się, ujrzałam bliźniaczkę i jakąś młodą kobietę. Myślałam z początku, że nieznaną przyprowadziła Lowella i uśmiechnęłam się do dziewczynki. Ale dziecko nie odwzajemniło mi się, tylko patrzyło poważnym wzrokiem

— Jestem Rachel Bective, — przedstawiła się kobieta — nauczycielka dziewczynek. Mąż pani prosił mnie o pokazanie drogi do jadalni, gdy będzie pani gotowa do zejścia.

— Miło mi poznać panią — odparłam, wciąż zdziwiona zmianą w Lowelli.

Rachel Bective otaczała aura kompetencji, wyglądała na trzydzieści lat i przypomniałam sobie, że Roc wspominał o jakiejś osobie uczącej bliźniaczki w domu. Jej włosy były koloru piasku, a brwi i rzęsy tak jasne, że nadawały jej wygląd zdziwionej, zęby miała białe i ostre. Nie wzbudziła

we mnie cieplejszych uczuć. Czulałam, że mnie taksuje wzrokiem, a jej postawa jest wyrachowana i krytyczna.

— To Hyson. Słyszałam, że już spotkała pani jej siostrę.

— Ach, tak — znów uśmiechnęłam się do dziecka. — Myślałam, że jesteś Lowellą.

— Wiedziałam. — Była niemal ponura.

— Taka podobna jesteś do niej.

— Ale tylko z wyglądu.

— Czy jest pani gotowa? — Spytała Rachel Bective. — To ma być tylko lekka kolacja, bo, jak słyszałam, obiad jedliście państwo w pociągu.

— Tak. Jestem gotowa.

— Po raz pierwszy od chwili przyjazdu do domu poczułam się nieswojo i z ulgą przyjąłam propozycję wyjścia. Rachela Bective prowadziła nas korytarzem i schodami w dół. Zeszliśmy na galerię, ale nie zorientowałam się, że nie był to krużganek północy, dopóki nie spostrzegłam wiszącego obrazu; wtedy wiedziałam, że jeszcze tu nigdy nie byłam.

Ten portret przedstawiał kobietę w stroju amazonki. Ubrana była na czarno, miała bardzo jasne włosy nakryte sztywnym, czarnym kapelusikiem, opasanym niebieską aksamitną wstążką spływającą jej na plecy. Była bardzo piękna, ale w jej ogromnych błękitnych oczach, o takim samym odcieniu jak wstążka, gościł wyraz smętnej zadumy. Malarz nadał tym oczom taki wyraz, że nie można było uniknąć ich spojrzenia. Podążały wszędzie za oglądającym i w pierwszej chwili odniosłam nawet wrażenie, że oczy te próbowały przekazać mi jakąś wiadomość.

Cóż za wspaniały obraz! — Zawołałam.

— To Barbarina — rzekła Hyson i przez chwilę była tak ożywiona, że wyglądała dokładnie tak jak Lowella, kiedy nas witała.

— Jakie oryginalne imię! Kim była?

— To moja babcia — oznajmiła Hyson z dumą.

— Ona... zmarła tragicznie — dodała nauczycielka.

— To okropne! Taka piękna!

Przypomniałam sobie, wzmiankę o innej pięknej kobiecie widzianej przeze mnie na portrecie w galerii północnej, że też zmarła młodo.

— Ona była jedną z Młodych Małżonek Pendorriców. — W głosie Hyson pobrzmiwała nuta hysterii.

— Oczywiście, — odparłam — odkąd wyszła za męża za twojego dziadka.

Ta Hyson była istotnie dziwnym dzieckiem; przed chwilą wydawała się taka apatyczna, a teraz była ożywiona, nawet podekscytowana.

— Ona umarła dwadzieścia pięć lat temu, kiedy mama i wujek Roc mieli po pięć lat.

— Jakie to smutne!

— Pani też musi zamówić swój portret, pani Pendoric — przerwała nam Rachela Bective.

— Nie myślałam o tym.

— Jestem pewna, że pan Pendoric będzie sobie tego życzył.

— Nic mi o tym nie mówił.

— Ach, bo jeszcze za wcześnie. Cóż, sądzę, że powinniśmy już iść. Wszyscy na nas będą czekać.

Minęłyśmy galeryjkę i wyszłyśmy znów na korytarz biegnący dokoła dziedzińca. Zauważyłam, że Hyson wciąż rzuca mi ukradkowe spojrzenia. To raczej nerwowe dziecko, pomyślałam, a w nauczycielce jest coś, co wyraźnie mnie niepokoi.

Obudziłam się w nocy i przez kilka sekund nie wiedziałam, gdzie jestem. Potem zobaczyłam ogromne okna, usłyszałam szum morza; w moich uszach brzmiał on echem głosów, które wyłowiłam ze snu.

Świeży powiew znad oceanu niósł ze sobą zapach wodorostów. Uderzenia fal wydawały się pulsować zgodnym rytmem w takt oddechu Roca.

Uniosłam się na łokciu i spojrzałam na męża. Światło księżyca wydobywało z ciemności kontury jego twarzy tak, że w tej srebrnej poświacie przypominał rzeźbę z kamienia. Taki inny był w swoim uśpieniu, że znów przemknęło mi przez myśl jak mało go znam i choć wyszłam za niego, nadal czasem robił na mnie wrażenie obcego człowieka.

Otrząsnęłam się z tych rozważań, ale opadły mnie wspomnienia niedawnej tragedii. Znowu zaczęłam rozmyślać o ojcu; zastanawiałam się — tak jak wiele już razy — co czuł w tej okropnej chwili, gdy złapał go skurcz i kiedy zrozumiał, że nie jest w stanie o własnych siłach dopłynąć do brzegu, a w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby go uratować. Musiało to być przerażające przeżycie, gdy śmierć zaglądała mu w oczy, a dla mnie równie wstrząsająca była myśl, że w chwili gdy on umierał, my z Rokiem zaśmiewaliśmy się beztrąsko w kuchni naszego domu.

Gdyby wtedy Roc został z nim...

Pragnęłam móc przestać myśleć o ojcu, zapomnieć jak siedział samotnie nocą w swej pracowni z pustką w oczach, usunąć z pamięci obraz ojca z lękiem wypisanym na twarzy wtedy, gdy zastałam go na rozmowie z Rokiem.

Musiałam chyba śnić o przeszłości, bo jeszcze teraz, w chwilę po przebudzeniu dręczyło mnie wrażenie ulgi, jaką — tak mi się przynajmniej wydawało — najwyraźniej odczuł Roc w chwili, gdy otrzymaliśmy wiadomość o nieszczęściu. Wyglądał niemal tak, jakby był przekonany, że to najlepsze z możliwych rozwiązań.

Z pewnością to tylko wytwór mojej wyobraźni, powiedziałam sobie. Te niewesołe rozmyślenia musiały wywołać jakieś przykre wspomnienia w przerwany śnie.

Leżałam bez ruchu, by nie obudzić męża, ale po chwili i mnie zmorzył sen. Powtórnie opadły mnie koszmary. Słyszałam jakieś szepty, pomruki; ni to plusk fal, ni oddech Roca, jakąś dziwną muzykę, później coś na kształt piskliwego śmiechu Lowelli, a może Hyson, a wreszcie ktoś zawołał: „Dwie Małżonki — znów ten tytuł! — Pendorriców umarli młodo. Teraz ty... teraz ty jesteś następna”.

Rankiem pamiętałam ten sen, ale to co w nocy wydawało mi się pełne ponurego znaczenia, w świetle dnia łatwo wytłumaczyłam sobie jako skutek męczącego dnia przepelnionego wrażeniami.

* * *

Następnego dnia słońce świeciło radośnie i jasno. Stałam w oknie śledząc wzrokiem refleksy światła na wodzie — jakby jakiś olbrzym rzucił na ziemię garść pełną brylantów. Podszedł do mnie Roc, i stanąwszy z tyłu położył mi dłonie na ramionach.

— Widzę, iż „to” Pendorrlic rzuca na ciebie urok tak samo jak przedtem „ten” Pendorrlic.

Odwrociłam się z uśmiechem. Wyglądał tak, jakby z napięciem oczekiwał mojego potwierdzenia. Zarzuciłam mu ręce na szyję. Objął mnie i wykręciwszy ze mną kilka radosnych pas wokół pokoju powiedział:

— Ach, jak cudownie mieć cię tutaj w Pendorrlic. Przed południem przejedziemy się do wsi i pochwalę się tobą. Przekonasz się sama, jak nasi wieśniacy są ciebie ciekawi. Po południu będę miał trochę zaległych spraw majątkowych do załatwienia z Charlesem. Nie było mnie dość długo — znacznie dłużej niż planowałam — i muszę to teraz nadrobić. Możesz w tym czasie rozejrzeć się na własną rękę, albo zaprosz sobie Lowellę do towarzystwa.

— Jej siostra jest całkiem inna, prawda?

— Hyson? I dzięki Bogu. Dwie takie jak Lowella, a nie mielibyśmy chwili spokoju.

— Ale zewnątrz są tak podobne, że nie potrafię ich rozróżnić.

— Po pewnym czasie zaczniesz dostrzegać pewną odmiennność. Może to jakaś różnica w głosie, nie jestem pewien, ale my zawsze wiemy, która jest którą. To dziwne, ale przeważnie z identycznym wyglądem bliźniaków idą w parze zwykle znaczne rozbieżności charakterów. Tak jakby wszystkie możliwe cechy człowieka zostały rozdzielane na dwie oddzielne części: jedna cecha dla tej bliźniaczki, druga, inna dla tamtej i tak dalej, bez powtarzania. Ale Rachelę jakoś sobie z tym radzi.

— Och,... guwernantka.

— To brzmi jak w czasach królowej Wiktorii, ale w Racheli nie znajdziesz za grosz nic wiktoriańskiego. W rzeczywistości jest bardziej przyjaciółką rodziny niż guwernantką. To szkolna koleżanka Morwenny. Jesteś już gotowa?

Wyszliśmy i podążyłam za Rokiem uświadamiając sobie, że muszę jak najprędzej poznać rozkład domu.

Nasze pokoje były na trzecim piętrze; na każdym z nich były drzwi łączące wzajemnie wszystkie skrzydła. Muszę zapamiętać te przejścia. Z mijanych okien korytarza spoglądałam na dziedziniec. W świetle słońca wyglądał istotnie wspaniale. Wyobraziłam sobie siebie siedzącą pod jedną z palm, z książką na kolanach — oaza spokoju. Następnie powiodłam spojrzeniem po oknach. — Jaka szkoda — mruknęłam.

— O czym mówisz? — Spytał Roc.

— O tym, że siedząc tam w dole, nigdy nie można czuć się odosobnionym.

— Ach, chodzi ci o te okna?! Ale to tylko okna korytarzy, nikt w nich nigdy nie przesiaduje, żeby spoglądać na dół.

— Rzeczywiście, to pewna różnica.

Nawet się nie spostrzegłam, że doszliśmy do północnego skrzydła, gdy Roc zatrzymał się u jakiś drzwi, zapukał i weszliśmy do środka.

W pokoju były bliźniaczki siedzące przy stole, chyba nad podręcznikiem, a z nimi Rachelę Bective. Nauczycielka obdarzyła mnie nieco krzywym uśmiechem i w jej twarzy było coś, co kojarzyło mi się z kotem smacznie sobie śpiącym, który raptownie został wyrwany ze spokojnej drzemki.

— Cześć, Favel! — Zawołała Lowella zeskakując z krzesła. — Hej, wujku Roc!

Podbiegła do Roca i zarzuciwszy mu ręce na szyję odbijała się od podłogi i okręcała się z nim jak na karuzeli.

— Ratunku! — Krzyknął zaatakowany. — Na pomoc! Favel, Rachel ratujcie mnie!

— Każdy pretekst jest dla niej dobry, byle się wykręcić od lekcji — mruknęła Rachelę.

Lowella puściła Roca.

— Gdybym chciała się wymigać potrafiłabym wymyślić tysiąc innych powodów — obruszyła się dziewczynka. — To miało oznaczać, że cieszę się z widoku wujka i Młodej Małżonki.

— Lowello, chciałbym byś zajęła się Favel. Dziś po południu, dobrze? Ja muszę popracować.

— Jasne, wujku Roc! Tyle mam Favel do opowiedzenia. — Uśmiechnęła się do mnie.

— A więc cieszę się z góry na to, co mi opowiecie. — Celowo użyłam liczby mnogiej i objęłam uśmiechem również i Hyson, ale ona szybko uciekła spojrzeniem w bok.

— Jak już tu jesteśmy, — zaczął Roc — muszę pokazać ci nasz szkolny pokój. To prawdziwy relikwiarz przeszłości. Całe pokolenia Pendorriców siadywały za tym stołem. Mój dziadek wyrzył tu nawet swoje inicjały — o tu — i został za to stosownie ukarany przez gubernera.

— A jaka była kara? — Chciała wiedzieć Lowella.

— Przypuszczalnie dostał lanie kijem, a może zamknięto go tu o chlebie i wodzie i przykazano czytać „Raj utracony”. Nie wiem.

— Ja tam bym wolała lanie — orzekła Lowella.

— Wcale nie. Nie zniosłabyś tego — ku zdumieniu wszystkich oznajmiła Hyson.

— A właśnie, że tak, — upierała się jej siostra — bo wyrwałabym kij temu, który by mnie chciał zdzielić i przyłożyłabym mu zdrowo! — Aż jej oczy zalśniły na taką możliwość.

— Uważaj, Rachel — roześmiał się Roc. — To ostrzeżenie.

Podeszliśmy do szafy i Roc zaczął pokazywać mi książki i zeszyty, które musiały leżeć tu od lat; niektóre wypełniane były nieporadnymi kulfonami dziecięcego pisma, było też kilka jeszcze starszych tabliczek i jakieś pudełko na ołówki czy rysiki.

— Będiesz musiała, Favel, dokładniej to obejrzeć kiedy nie będzie tu lekcji, bo sędzę, że Rachel, ma już dość naszej wizyty.

Odwrócił się do nauczycielki z uśmiechem, w którym — jak mi się wydawało — wyczytałam jakąś poufałość i poczułam ukłucie zazdrości. Dotychczas nie przyszło mi do głowy, że łatwość z jaką Roc nawiązał znajomość ze mną i sposób, w jaki od początku pozyskał moją sympatię ma źródło w jego niefrasobliwym, przyjaznym usposobieniu. Teraz nie tylko zobaczyłam, że z Rachelą jest na poufalej stopie i kiedy się do niej uśmiechnął ona rozpromieniła się cała. Zaczęłam się zastanawiać, do jakiego stopnia było to tylko uczucie przyjaźni.

Z tego powodu zadowolona byłam, gdy wreszcie wyszliśmy ze szkolnego pokoju. Opuściłam z ulgą Lowellę tryskającą energią, milczącą Hyson i Rachełę, której uczucia do Roca były, jak dla mnie, zbyt przyjazne. Na usta cisnęło mi się wiele pytań, które chciałam zadać mężowi na temat nauczycielki, ale czułam, że zdradziłabym się ze swoją zazdrością, postanowiłam więc zostawić ten temat w spokoju. Na razie...

Siedząc z Rokiem w samochodzie, poczułam się znów swobodnie i szczęśliwie. Miał rację, kiedy mówił, że nowe życie pomoże mi odciąć się od przeszłości. Tak wiele nowych wrażeń nałożyło się na stare przeżycia, że tamte wydawały się należeć do jakiejś innej rzeczywistości.

Roc objął mnie ramieniem i byłam pewna, że tego ranka jest bardzo szczęśliwy.

— Widzę, że w Pendorric zaczynasz czuć się jak ryba w wodzie.

— Wszystko tu jest takie ekscytujące, takie piękne... a twoja rodzina też jest interesująca.

— — Schlebiasz nam. — Zrobił zabawną minę. — Zaraz będziemy mijali Folly, zobaczysz jaki to falsyfikat!

Zjechaliśmy w dół stromą drogą, potem znów w górę i znaleźliśmy się na poziomie Polhorgan. Na pierwszy rzut oka budowla wydała mi się równie stara jak Pendorric.

— Kamienie są celowo podrasowane, by wyglądały na wiekowe. Spójrz na te chimery na frontonie — te wszystkie ukruszenia i rysy są artystycznie podrobione.

— Nie widać znaku życia.

— Z tej strony domostwo zawsze wygląda na opuszczone. Apartamenty pana domu są od południa, wychodzą na morze. Należy do niego kawałek plaży poniżej, a na skale kazał urządzić wspaniały kwiatowy ogród. Jego ogród jest dużo większy od naszego. Te ziemie kupił od mojego' dziadka.

— Chyba ma stamtąd wspaniały widok.

— To dlatego, że większość czasu musi spędzać w swoim pokoju. Choroba serca nie pozwala mu się swobodnie poruszać.

Minęliśmy dom, a Roc mówił dalej:

— Wybrałam tę drogę, bo chcę ci pokazać naszą wioskę. Wiem, że ci się spodoba.

Droga skręcała i zjechaliśmy znów w dół do traktu, który przebiegał obok Pendorric. Mijany dom obrzuciłam spojrzeniem szczęśliwej właścicielki. Samochód ponownie dał piąć się w górę, nasz trakt połączył się z główną drogą, a z lewej strony wyłoniło się morze.

— Ta kręta linia brzegowa może pozbawić cię orientacji w terenie. Te obszary były kiedyś terenem aktywnych ruchów skorupy ziemskiej, podczas erupcji wulkanicznych ład przemieszczał się gwałtownie na wszystkie strony.

Okrążyliśmy jakiś cypel i zbliżaliśmy się do wsi Pendorric. Po raz kolejny droga spadała w dół i oto leżała przede mną najbardziej urocza, maleńka wioska, jaką widziałam w życiu. Stał tu kościółek z wiekową wieżą, oplecioną bluszczem. Świątynia zbudowana była w stylu romańskim i ze wszystkich stron otoczona była cmentarzem. Z jednego boku kamienie były szerniałe ze starości, a z drugiej, białe i wyglądały jak nowe. Opośal plebania — szary budynek — tuliła się do zbocza zacisznej kotlinki wśród wypielegnowanych trawników i ogrodów usytuowanych na zboczu.

Za kościołem stał rząd malutkich domków, chyba tych, o których wspominała Morwenna. Było to stare mieszkanie dla służby. Dachy miały kryte strzechą, maleńkie okienka, a wszystkie sześć domków połączone były w jedną całość. Sądząc z wyglądu pochodziły z tego samego okresu co kościół.

W pobliżu ujrzałam duży garaż z częścią mieszkalną w nadbudówce.

— To była niegdyś kuźnia — wyjaśnił Roc. — Rodzina Bondów, która tu nadal mieszka, to kowale z dziada pradziada. Kiedy w okolicy zabrakło koni w wystarczającej liczbie, by kuźnia przynosiła dochód, chcieliśmy ją zamknąć, ale staremu Jimowi Bondowi krajało się serce. Wymyśliliśmy więc kompromisowe wyjście. Urządziliśmy tu garaże, ale stara część z kuźnią funkcjonuje nadal, a Jim wciąż jeszcze ma zajęcie. Ja bywam tu także dość częstym gościem kiedy trzeba podkuć konia.

Zatrzymał samochód i zawołał:

— Jim! Hej, Jim!

Nad nami otworzyło się jakieś okno i wyjrzała przez nie przystojna kobieta. Czarne włosy spływały jej na ramiona, a szkarłatna bluzka wydawała się na nią zbyt ciasna. Miała urodę cyganki.

— Dzień dobry panu, panie Roc — zawołała kobieta.

— Witaj, Dinah.

— Jak to miło, że pan już wrócił.

Roc pomachał jej dłonią, a w tej chwili wyszedł z domu jakiś człowiek. Był to ogromny mężczyzna, około pięćdziesiątki, akurat taki, jaki według mego wyobrażenia powinien być kowal; spod podwiniętych rękawów widać było tęgie mięśnie.

— Witaj, Jim — pozdrowił go Roc. — Przywiozłem żonę, żeby jej pokazać starą kuźnię i by poznała mieszkańców wioski.

— Miło mi panią poznać. Czy byłaby pani tak łaskawa do nas wstąpić i spróbować kropelkę naszego tradycyjnego cidera?

Przyjęłam zaproszenie, więc wysiedliśmy z auta i weszliśmy do kuźni, gdzie właśnie był podkuwany jakiś deresz. W powietrzu unosił się swąd przypalanego kopyta, a młodzieniec, który zajmował się koniem, powitał nas uprzejmym: dzień dobry. Też go chyba nazywano Jimim.

Za chwilę Roc wyjaśnił mi, że to Jim, syn starego Jima i, że od niepamiętnych czasów w kuźni zawsze był jakiś Jim Bond.

— Liczymy na to, że będzie tak zawsze — dodał stary Jim. — Chociaż czasy bardzo się zmieniły. — Wyrzekł to z pewnym smutkiem.

— Cóż, człowiek nigdy nie wie, kiedy się szczęście odwróci — zawtórował mu Roc.

Stary Jim odszedł gdzieś w kąt i wrócił z ustawionymi na tacy szklaneczkami. Potem napełnił je płynem z wielkiej beki, stojącej w rogu kuźni.

— Rodzina Bondów zawsze słynęła ze swego cidera. Ten ich jabłeczny napój znany był w całej okolicy — opowiadał mi Roc.

— To prawda, szanowna pani. Moja babka trzymała w beczce ropuchę i mawiała, że tylko wtedy jej napój smakuje tak jak cider powinien smakować. Proszę nie patrzeć na mnie takim przerażonym wzrokiem, nie trzymamy się już tej recepty. Smak naszego trunku uzyskujemy z soku dobrego, starego gatunku kornwalijskich jabłek i specjalnego, znanego tylko naszej rodzinie sposobu wytłaczania.

— Mocny — ocenił Roc. — Taki jak zwykle.

— Doskonały — pochwaliłam.

— Może nawet trochę za mocny dla tych, którzy do niego nie przywykli — mówił stary Jim, zerkając na mnie jakby z nadzieją, że zacznę chwiać się i ślaniać.

Młodszy mężczyzna niewzruszenie kontynuował pracę i prawie wcale nie zwracał na nas uwagi.

Wtem otworzyły się drzwi i weszła przez nie kobieta wyglądająca uprzednio oknem. Jej czarne oczy rzucały błyski, a kiedy szła, kołysała zalotnie biodrami. Miała na sobie suto marszczoną, krótką spódnicę, a na gołych opalonych nogach podniszczone sandały.

Zauważyłam, że wszyscy trzej mężczyźni, w chwili gdy tylko weszła, jakby się spięli wewnątrz. Stary Jim patrzył na nią spode łba, najwyraźniej z niechęcią, młody Jim nie mógł od niej oderwać oczu, a z wyrazu twarzy Roca nie mogłam nic wyczytać. Rodzaj wpływu tej kobiety na dwóch pozostałych mężczyzn zrozumiałam od razu, ale Roc pozostał dla mnie zagadką. Co za ironia, tylko reakcji własnego męża nie potrafiłam pojąć!

Kobieta patrzyła na mnie uważnie, oglądając każdy szczegół mojego wyglądu. Czułam, że trochę pogardliwie zmierzyła moją czystą lnianą sukienkę, bo wyzywającym ruchem wygładziła własną spódnicę na biodrach i wyszczerzyła zęby w uśmiechu skierowanym do Roca. W jej spojrzeniu była jakaś bezceremonialność, a nawet — co mi przemknęło przez myśl — jakaś poufałość. Tak jak w przypadku Racheli. Zrobiło mi się wstyd. Czyżbym była przewrażliwiona i wszędzie doszukiwała się powodów do zazdrości tylko dlatego, że mam przystojnego męża? Muszę przestać dociekać w jakiej zażyłości był z każdą kobietą, którą znał, zanim spotkał mnie.

— To Dinah, żona młodego Bonda — powiedział Roc, wyjaśniając.

— Jak się pani miewa? — Spytałam zdawkowo.

— Bardzo dobrze, — odparła z uśmiechem — ogromnie się cieszę, że pan Roc przywiózł do Pendorric małżonkę.

— Dziękuję. — Roc opróżnił szklaneczkę. — Mamy jeszcze dziś rano dużo zajęć — dodał.

— Dolać panu benzyny, sir? — Zaproponował stary Bond.

— Jeszcze mamy na tyle, Jim — odrzekł Roc i czułam iż zależy mu na tym żeby już odjechać.

Kręciło mi się trochę w głowie — to ten cider, tłumaczyłam sobie — i byłam raczej zadowolona, gdy wyszliśmy na powietrze.

Stary Jim i Dinah patrzyli za nami, gdy odjeżdżaliśmy. Na twarzy kobiety gościł zagadkowy uśmiešek.

— Wejście Dinah zepsuło pogodną pogawędkę — zauważyłam.

— Sądzę, że stary Bond jej nienawidzi. W starej kuźni życie nie biegnie już tak gładko, odkąd pojawiła się Dinah.

— Jest bardzo atrakcyjną kobietą.

— Tak myśli większość, łącznie z samą Dinah. Myślę, że to się ułoży, ale na razie młody Jim nie ma lekkiego życia, manewrując pomiędzy żoną a ojcem. Stary Jim chciał, żeby syn ożenił się z

jedną z dziewcząt Pascoe'a, prowadziły spokojne życie i prawdopodobnie do tego czasu mieliby już maleńkiego Jima. Ale młody — zawsze potulny, dopóki się nie zakochał — ożenił się z Dinah i to był koniec spokoju w starej kuźni. Ona jest półkrwi Cyganką i mieszkała w obozie cygańskim biwakującym około mili stąd.

— Czy jest mu wierna?

— A stwarza takie wrażenie? — Roześmiał się Roc.

— Wręcz przeciwnie!

— Dinah nie udaje innej niż jest.

Zatrzymał samochód przed jakąś bramką wejściową i czyjś głos zawołał do nas:

— Ach, panie Roc, jak to dobrze, że pan wrócił!

Pulchna, rumiana niewiasta z koszykiem pełnym róż zawieszonym na jednym ramieniu i z sekatorem w drugiej ręce podeszła do bramki.

— To pani Dark, — rzekł Roc — żona naszego pastora.

— Jak miło z pana strony, że wpadł pan do nas, tak szybko po przyjeździe. Tak bardzo pragnęliśmy poznać panią Pendorrice.

Wysiedliśmy z auta, a pani Dark otworzyła bramkę i zaprowadziła nas do ogrodu, gdzie zielenił się trawnik, otoczony kwietnymi rabatami a ogrodzenie stanowił żywopłot z jakiś wiecznie, również zimą zielonych roślin.

— Ach, jak mąż się ucieszy! Jest w swoim pokoju i przygotowuje kazanie. Mam nadzieję, że wypiją państwo z nami kawę.

Podziękowaliśmy i zaczęliśmy się tłumaczyć, że piliśmy właśnie cider w starej kuźni. — Poza tym — dodał Roc — chciałbym pokazać żonie stary kościół. Proszę nie przeszkadzać mężowi.

— Będzie mu przykro, jeśli się z państwem nie spotka. — Odwróciła się do mnie. — Tak się cieszymy, że jest pani tu z nami, pani Pendorrice. Mamy nadzieję, że będzie się pani tu podobało i że będziemy się często widywać. To takie miłe, gdy gospodarze dworu interesują się sprawami wsi.

— Favel już teraz przejawia ogromne zainteresowanie wszystkim, co wiąże się z Pendorrice — odpowiedział za mnie Roc. — Teraz chciałaby zobaczyć kościół.

— Pójdę powiedzieć mężowi, że państwo jesteście tutaj.

Przeszliśmy z nią przez ogród i za żywopłotem znaleźliśmy się na trawniku zarastającym zbocze aż do plebanii. Naprzeciwko, po drugiej stronie domu stał kościół, do którego skierowaliśmy swoje kroki, a pani Dark pospieszyła obwieścić mężowi nowinę.

— Chyba nie zdołamy uciec od ludzi dziś rano, — Roc wziął mnie za rękę — tak jakby wszyscy uparli się, aby cię dokładnie obejrzeć. Chciałbym sam pokazać ci kościół, ale zobaczysz, wkrótce Peter Dark będzie deptał nam po piętach.

Cisza wokół nas była prawie namacalna, gdy przechodziliśmy obok wiekowych cisów, pogiętych ze starości, minęliśmy cmentarz i weszliśmy do kościoła.

Uległam wrażeniu, że cofnął się czas. Trzynastowieczna świątynia prawdopodobnie niewiele różniła się od tego, czym była w swych początkach. Światło sączyło się przez witraże, odsłaniając pięknie rzeźbiony ołtarz, okryty bogato haftowanym obrusem. Na ścianach kościoła wykuto w kamieniu nazwiska pastorów od 1280 roku.

— Wszyscy oni pochodzili stąd — wyjaśnił mi Roc. — Dopiero teraz państwo Darkowie są ze środkowej Anglii, ale za to o wiele więcej wiedzą o tych ziemiach niż niektórzy z nas. Peter Dark jest ekspertem od starych kornwalijskich obrzędów. Zbiera je z pasją i pisze o nich książkę.

Głos jego brzmiał głucho, a gdy patrzyłam fía niego, nie myślałam ani o Darkach, ani o kościele lecz o znaczących spojrzeniach, jakie rzuciła mu Rachel Bective, a później Dinah Bond.

Roc był niezwykle przystojny i atrakcyjny; zdawałam sobie z tego sprawę od pierwszego spotkania. Poczułam do niego silny pociąg fizyczny już wtedy, gdy jeszcze nic o nim nie

wiedziała. Teraz wiedziałam równie mało, a byłam w nim zakochana nawet bardziej. Ofiarował mi ogromne szczęście, które chwilami mąciły mi tylko pewne wątpliwości. Teraz zastanawiałam się, czy przypadkiem nie poślubiłam kobieciarza, który był takim wspaniałym kochankiem — zwyczajnie — w efekcie częstego praktykowania. Ten ranek nie ułożył się jednak tak szczęśliwie, jak się spodziewałam.

— Coś cię gnębi? — Spytał Roc.

— A powinno?

Otoczył mnie ramieniem i przytulił, ale tak, że nie mogłam widzieć jego oczu.

— Mam ciebie tutaj. Tutaj, w Pendorrice. Tu nic cię złego nie spotka.

Wystraszył mnie dźwięk jakiś kroków, a gdy odsunęłam się do Roca ujrzałam człowieka w duchownej szacie, który właśnie wszedł do kościoła.

— Witaj, ojciec wielbny — swobodnie odezwał się Roc.

— Susan powiedziała mi, że tu jesteś. — Zbliżał się do nas różnym krokiem; miał wygląd człowieka światowego, jego rozradowana mina sugerowała zarówno radość ze spotkania z nami jak i zadowolenie z życia. — Witam w Pendorrice, pani Pendorrice. Jak to miło, że pani jest wśród nas. Co pani myśli o kościele? Czyż nie jest fascynujący?!

— Rzeczywiście.

— Cudownie spędzam czas przeglądając stare kościelne księgi. Zawsze chciałem mieszkać w Kornwalii. Jest najbardziej fascynująca ze wszystkich hrabstw — nie sądzi pani?

— Mogę to sobie wyobrazić.

— A jaki ładunek indywidualności tkwi w tej ziemi. Zawsze powiadam do Susan, że już z chwilą przekroczenia Tamar odczuwa się różnicę; jakby wkraczało się w inny świat. To nie to co prozaiczna Anglia. Człowiek czuje, że tu w Kornwalii wszystko może się zdarzyć. To kraj pełen dziwów; a wszystko przez stare obrzędy i zabobony. Nadal żyją tu ludzie, którzy wieczorem wystawiają na próg mleko i chleb dla krasnoludków — i są gotowi przysiąc, że pożywienie zniknie do rana.

— Ostrzegałam cię, — wtrącił Roc — że nasz pastor jest entuzjastą obrzędów i zwyczajów tej ziemi.

— Obawiam się, że ma pan rację. A pani, pani Pendorrice — czy to panią interesuje?

— Na razie niewiele wiem na ten temat. Myślę jednakże, że to mnie może zająć.

— Świetnie. Musimy więc jeszcze kiedyś uciąć sobie pogawędkę.

— Zaczęliśmy obchodzić dokoła wnętrza kościoła, a kapłan ciągnął:

— To ławki Pendorriców. Trochę odsunięte od pozostałych, widzi pani... w kierunku ambony. W dawnych czasach, jak sądzę, wypełnione bywały członkami rodu Pendorriców i ich służby. Tak się obecnie wszystko zmieniło.

Wskazał ręką jeden z pięknych witraży.

— To okno ufundowano w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym drugim roku na pamiątkę śmierci Lowelli Lendorric. To najpiękniejsza paleta barw, jaką kiedykolwiek oglądały moje oczy.

— Pamiętasz, widziałaś jej portret w północnym holu — przypomniał mi Roc.

— Ach, tak... to ta co umarła młodo?

— Tak, — odparł pastor — przy urodzeniu pierwszego dziecka. Miała wtedy zaledwie osiemnaście lat. Nazywana jest Pierwszą Małżonką...

— Pierwszą? A więc musiały być i inne. Ale przecież ród Pendorriców jest znacznie starszy?!

Ksiądz zapatrzył się w okno niewidzącym wzrokiem.

— Kiedy przyjmują się takie określenia, ich prawdziwe pochodzenie często ginie w pomroce dziejów lub legendy. A tu mamy pomnik innego Pendorrica. Był wielkim bohaterem; przyjaciel i prawa ręka Jonathana Trelawny, który sam pochowany jest w Pelynt, niedaleko stąd. To ten

Trelawny, którego dotąd sławia kornwalijskie pieśni, gdyż zbuntował się przeciw królowi Jakubowi II.

* * *

Jeszcze dobrą chwilę pastor pokazywał nam inne osobliwości kościółka, potem powtórzywszy zaproszenie żony na kawę, zbierał się do wyjścia, lecz jeszcze przedtem podkreślił, że ma nadzieję wkrótce znów zobaczyć się ze mną i jeśli tylko będę chciała uzyskać jakieś informacje na temat dawnej Kornwalii, gotów mi, z przyjemnością służyć własnymi informacjami.

Przemknęło mi przez myśl, że jego uprzejma twarz wyraża jakiś niepokój, gdy kładąc mi rękę na ramieniu, mówił:

— Pani Pendorric, nie należy przykładać zbytnej wagi do tych różnych starych historii. Trzeba je po prostu traktować jako pewnego rodzaju ciekawostki, to wszystko.

Zostawił nas przed kościołem, a Roc westchnął z ulgą.

— Jest trochę męczący, kiedy dosiada swego ulubionego konika. Już zaczynałem się niepokoić, że zacznie jeden ze swoich dłuższych wywodów i nigdy się od niego nie uwolnimy. — Zerknął na zegarek. — Teraz musimy się już spieszyć. Ale rzućmy jeszcze okiem na stary cmentarz; niektóre epitafia są ciekawe, inne nawet zabawne.

Ruszyliśmy dróżką między nagrobkami; niektóre były tak stare, że słowa wyryte w kamieniu zatarły się i stały nieczytelne, inne sarkofagi pochylały się ze starości pod groteskowym kątem.

Zatrzymaliśmy się przed jednym z nich, który, widocznie skuteczniej osłonięty od wiatrów i niepogody, zachował wciąż czytelny napis, choć wyryta data głosiła, że pochodził z roku 1779. Roc na głos przeczytał epitafium:

*Gdy staniesz tu przyjacielu,
Powtórz te słowa swym bliskim,
Że choćby ich było wielu,
Przyjdzie umrzeć im wszystkim.
Mnie samemu w życia kwiecie
Bóg wyznaczył koniec losu.
Nikt nie może na tym świecie
Zgadnąć, kiedy dojdzie kresu.*

Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Teraz ty znajdź coś interesującego. Twoja kolej. Kiedy Morwen — na i ja byliśmy dziećmi, lubiliśmy tu przychodzić i odczytywać napisy kolejno sobie nawzajem.

Zatrzymałam się przed jakimś kamiennym pomnikiem, nieco młodszym od poprzedniego, bo datowanym z 1842 r.

*Choć pewnie w tej chwili myślisz,
że nic nie grozi tobie
Nie próbuj jednak zapomnieć,
że kiedyś znajdziesz się w grobie.*

Przeczytałam i oświadczyłam:

— Podobna tematyka.

— A czegoż można oczekiwać tu, między zmarłymi? Ale stosowne.

— Ciekawe, czy można tu znaleźć coś, co nie traktuje wciąż o śmierci?
— Nie jest to takie łatwe, ale chodź za mną. — Podeszedł przodem wśród wysokiej trawy, a kiedy w końcu zatrzymał się zaczął czytać:

*Niemy i głuchy ja kiedyś byłem
Lecz dużo radości i szczęścia przeżyłem.
Szkoda, że nie mogę moich opowieści
Przełożyć, jak zwykle, na palce i gesty.*

Uśmiechnęliśmy się jednocześnie.

— Rzeczywiście, bardziej pogodne — przytaknęłam.

Odwróciłam się, by spojrzeć na pobliski kamienny nagrobek, potknęłam się i upadłam jak długa na grób. Roc podniósł mnie natychmiast.

— Nic ci się nie stało, kochanie? Nic cię nie boli?

— Wszystko w porządku, dziękuję. Poleciało mi oczko. Wydaje się, że to jedyna szkoda. — Ponurym wzrokiem obrzuciłam pończochę.

— Na pewno?

Nieklamany niepokój w jego oczach sprawił, że poczułam się bardzo szczęśliwa i puściłam w niepamięć wcześniejsze, niesprecyzowane obawy. Zapewniłam go raz jeszcze, że nic mi nie jest.

— Niektórzy z naszych sąsiadów orzekliby, że to jakiś omen.

— Jakiego rodzaju?

— Nie wiem. Ale upadek na grób! Jestem pewien, że doszukaliby się w tym jakiegoś znaku. A w dodatku w czasie pierwszego pobytu na cmentarzu!

— Niektórzy lubią sobie komplikować życie — zamyśliłam się. Jeśli stale i we wszystkim dopatrują się jakiś wróżb i znaków, to niewiele zostaje im okazji na przeprowadzenie swojej wolnej woli.

— Ty wierzysz, że człowiek jest panem swego losu i że przeznaczenie nie jest zapisane w gwiazdach?

— Tak, sądzę że tak. A ty?

— Jak zwykle ty i ja jesteśmy zgodni. — Wziął nagle moją dłoń i ucałował z uczuciem. Potem rozejrzał się wokół i oznajmił:

— Patrz, tam jest krypta rodzinna.

— Muszę ją zobaczyć z bliska.

Ruszyłam w kierunku grobowca, patrząc tym razem uważnie pod nogi. Roc szedł za mną. Było to ozdobne mauzoleum, kute w metalu i złoczone; trzy stopnie wiodły w dół do ciężkich drzwi.

— Leży tam wielu zmarłych Pendoriców — powiedział Roc.

— Już mam dość na dzisiaj. Wystarczająco dużo rozmyślałam o śmierci jak na jeden słoneczny poranek. — Oznajmiłam mu.

Roc objął mnie i pocałował. Potem zszedł w dół i sprawdził zamknięcie drzwi. Spostrzegłam, że na jednej ze złoczonych ozdób poręczy ktoś powiesił laurowy wianuszek.

Podeszłam bliżej i obejrzałam go dokładnie. Do wianuszka przymocowana była kartka z napisem: „Dla Barbariny”.

Poczułam nagle silne pragnienie ucieczki jak najdalej od tego królestwa śmierci, wyjścia na słońce i spojrzenia na morze.

* * *

Lunch podany w jednym z małych pokoi przy końcu holu północnego skrzydła upłynął w miłym nastroju. Było mi dobrze w towarzystwie Morwenny i Charlesa, którzy starali się najwyraźniej, abym się czuła swobodnie jak w domu. Wraz z nami jadły bliźniaczki i Rachel Bective. Lowella paplała bez przerwy, a Hyson prawie nie otwierała ust. Rachel zachowywała się tak, jakby istotnie była przyjaciółką rodziny. Upominała Lowellę, gdy ta nie dopuszczała nikogo do głosu, a do mnie zwracała się możliwie najprzyjaźniej. Zastanawiałam się nawet, czy nie przedwcześnie orzekłam, że jej nie lubię.

— Roc i Charles wyszli razem po lunchu, a ja poszłam do swojego pokoju po książkę. Postanowiłam uczynić to, na co miałam ochotę, gdy po raz pierwszy ujrzałam dziedziniec — usiąść z książką pod jedną z palm.

Zabrałam książkę i wyszłam. Pod drzewem panował wspaniały chłód, a gdy siedziałam napawając się pięknnością otoczenia, przyszło mi na myśl, że miejsce to jest podobne do hiszpańskiego patio. Krzewy hortensji kwitły różowo, niebiesko i biało, wokół było mnóstwo różnokolorowego kwiecica, powietrze pachniało lawendą, nad wodą wznosił się brązowy posąg Hermesa, a u jego stóp tam i z powrotem pływały srebrne rybki.

Usiłowałam czytać, ale nie mogłam się skupić, bo otaczające dziedziniec okna nie pozwoliły mi cieszyć się swobodą samotności. Wpatrzyłam się w szyby. Któż mógłby mnie śledzić i po co, zapytywałam samą siebie. Wiedziałam, że to absurdałne.

Powróciłam do książki; w pewnej chwili usłyszałam gdzieś blisko jakiś szelest, a kiedy ktoś zasłonił mi oczy, nie byłam w stanie stłumić okrzyku przerażenia i zapytałam ostrzej niż zamierzałam:

— Kto to?

Kiedy wyczułam jakieś dziecięce dłonie, usłyszałam chichot i ktoś powiedział:

— Musisz zgadnąć.

— Lowella.

Dziewczynka okrążyła mnie w podskokach.

— Umieć stanąć na głowie. Założę się, że ty nie potrafisz.

Wprawiła słowa w czyn i za chwilę jej długie, chude nogi odziane w niebieskie spodnie chwiały się niebezpiecznie blisko stawu.

— W porządku, wierzę ci. Udowodniłaś to.

Fiknęła koziołka i zaróżowiona z wysiłku wylądowała pewnie na nogach, uśmiechając się do mnie.

— Jak zgadłaś, że jestem Lowella? — Spytała.

— Nie wyobrażam sobie, żeby to mógł być ktoś inny.

— Ale przecież mogła to być Hyson.

— Byłam pewna, że to sprawka Lowelli.

— Hyson nie robi takich kawałów, prawda?

— Sądzę, że Hyson jest trochę nieśmiała.

Dziewczynka zrobiła kolejną przewrotkę.

— Boisz się? — Spytała nagle.

— Bać się? Czego?

— Bycia jedną z nich. Jedną z Małzonek?

— Jakich małzonek?

— Młodych Małzonek z Pendorrice, oczywiście. Nic nie wiesz, prawda? — Stała nieruchomo i zmrużyła oczy, jakby badała moje reakcję.

— Więc mi powiedz.

Podeszła do mnie i położywszy mi ręce na kolanach spoglądała badawczo w twarz. Była blisko, że w jej podłużnych, ciemnych oczach, tak podobnych do oczu Roca ujrzałam dziwny błysk, który często widywałam u mojego męża. Nie byłam jednak pewna.

— No co, powiesz mi? — Spytałam. Nie doczekałam się odpowiedzi; ujrzałam tylko, iż podnosi głowę i spogląda w górę na okna. — Dlaczego zapytałaś czy się boję? — Spróbowałam raz jeszcze.

— Bo jesteś jedną z Małżonek. Tak jak moja babcia. Jej portret wisi w południowym holu. Widziałas go?

— Mówisz o Barbarinie?

— Tak o babci Barbarinie. Już nie żyje. Wiesz, ona też była jedną z Małżonek.

— Tak wszystko brzmi tajemniczo. Nie rozumiem jaki szczególny związek ma jej śmierć z tym, że była żoną Pendorrica.

— Ona była Małżonką! Przecież mówię! Była też inna Małżonka. Jej podobizna jest w północnym holu. Tamta miała na imię Lowella i straszyla w Pendorric aż do śmierci babci Barbariny. Dopiero wtedy mogła spocząć w pokoju.

— O, mamy więc opowieść o duchach!

— Tak, ale także w związku z żyjącymi.

— Chciałabym usłyszeć tę historię.

Znowu spojrzała na mnie w jakiś szczególny sposób. Pomyślałam, że może zakazano jej rozmawiać ze mną na ten temat.

— Zgoda — mruknęła i szeptem zaczęła opowieść: — Kiedy ta Lowella, której obraz wisi w holu południowym została tu panią, wydano wielkie przyjęcie, aby uczcić to małżeństwo. Jej ojciec był bardzo majątnym szlachcicem z Północnej Kornwalli; on, jej matka, wszystkie siostry, bracia, kuzyni i ciotki przyjechali do Pendorric, by uczestniczyć w uroczystościach weselnych. Na podium grała orkiestra, goście jedli, pili i tańczyli, gdy weszła obca kobieta. Niosła malutką dziewczynkę, swoją córkę i twierdziła, że to córka Petroca Pendorrica. Nie mówię oczywiście o wujku Rocu — bo to stało się bardzo, bardzo dawno. To był inny Pendorric, też miał na imię Petroc, ale nie nazywali go Rokiem. Tamten Petroc Pendorric został Małżonkiem Lowelli, a kobieta z dziewczynką twierdziła, że to z nią powinien się ożenić. Ta kobieta mieszkała gdzieś w lasach, z matką, która była czarownicą i dlatego kłątwa działa. Bo wiesz, ona przeklęła Pendorrica i Małżonkę, a wtedy prysnął cały radosny nastrój weselnego przyjęcia.

— A jak dawno to się zdarzyło? — Spytałam.

— Prawie dwieście lat temu.

— To stare dzieje.

— Ale wciąż aktualne. Ta historia nie ma końca. To nie tylko opowieść o Lowelli, o Barbarinie lecz także... o tobie.

— Jak to?

— Nie powiedziałaś ci jeszcze, jak brzmiała kłątwa. Młoda Małżonka z Pendorric miała umierać w kwiecie życia i nie mogła uzyskać spokoju w grobie, dopóki nie umrze następna Małżonka... też oczywiście młodo.

Uśmiechnęłam się. Sama się sobie dziwiłam, że poczułam taką ulgę. A więc ten patetyczny tytuł: Małżonka z Pendorric, który w mych uszach zawsze brzmiał jakoś złowieszczo, został nareszcie wyjaśniony! Była to więc tylko stara legenda. Po prostu zwykła legenda, która wciąż żywa tu, w Kornwalii, w królestwie zabobonów, kazała wierzyć w ducha nawiedzającego stare domostwo.

— Nie wyglądasz na bardzo przejętą. Ja na twoim miejscu nie byłabym taka beztraska.

— Nie skończyłaś jeszcze tej historii. Co przydarzyło się tamtej Lowelli?

— Umarła, wydając na świat syna dokładnie w rok po ślubie. Miała wtedy zaledwie osiemnaście lat i musisz przyznać, że to zbyt wczesna śmierć.

— To prawda, ale wtedy wiele kobiet przyplącało życiem narodziny dziecka. Przecież to były takie dawne czasy.

— Tak, lecz ludzie mówią, że błąkała się po domu aż do chwili, gdy kolejna Małżonka zajęła jej miejsce.

— Aby odrobić swoją pańszczyznę w straszaniu, to chcesz powiedzieć?

— Jesteś taka sama jak wujek Roc! On zawsze się z tego śmieje. Mnie to jednak nie śmieszy, ja wiem lepiej.

— Wierzysz więc w tego ducha?

Dziewczynka kiwnęła głową.

— Mam szósty zmysł. Dlatego ostrzegam cię: nie śmiejesz się z tego!

Skoczyła do tyłu i znów wywineła koziołka. Miałam wrażenie, że była raczej zadowolona z możliwości wytrącenia mnie z mojego sceptycyzmu.

Wstała, podeszła i stanąwszy przede mną z miną bardzo serio, zaczęła mówić:

— Wiesz, sądzę, iż powinnaś to wiedzieć. Lowella ukazywała się w domu, aż do śmierci babci Barbariny. Potem mogła spocząć w grobie, bo udało jej się zwabić następną Małżonkę na swoje miejsce. Babcia Barbarina straszy już od dwudziestu pięciu lat. Przypuszczam, że ma już tego dość. Chce już chyba odpocząć w grobie, nie sądzisz? To jasne jak słońce, że szuka następczyni.

— Czuję do czego zmierzasz — rzuciłam lekko. Chcesz powiedzieć, że ja jestem następną w kolejce.

— Znów się wyśmiewasz! — Odstąpiła o krok. — Ale zobaczysz!

— Pewna jestem, że nie widziałaś nigdy ducha babci. No powiedz, widziałaś?

Nic nie odrzekła, tylko spoglądała na mnie bez wyrazu przez kilka sekund. Nagle gwałtownie fiknęła koziołka, potem następnego i kolejnego, oddalając się równocześnie ode mnie, zniknęła za drzwiami północnego skrzydła. Zostałam sama. Wróciłam do czytania, ale złapałam się na tym, że stale zerkam do góry na okna. Miałam niestety rację sądząc, że tak wiele okien wychodzących na dziedzińiec będzie przejmować niepokojem — te okna wyglądały jak najprawdziwsze oczy domu.

Ach, te wszystkie bajdy o duchach! Pomyślałam z niechęcią. Cóż, ostrzegano mnie przez zabobonnymi Kornwalijszymi; podejrzewałam też, że psotna Lowella próbowała mnie przestraszyć.

— Halo, Favel! Wujek Roc kazał mi się tobą zająć, gdybyś się czuła samotnie.

— Cóż, już to zrobiłaś po swojemu — mruknęłam.

— Nie mogłam cię znaleźć. Poszłam do twojego pokoju, a ciebie tam nie było. Szukałam wszędzie, zanim pomyślałam o dziedzińcu. Ale teraz już jestem. Co chciałabyś robić?

— Ależ przecież byłaś tu przed chwilą! Patrzyła na mnie bez wyrazu.

— Opowiedziałaś mi legendę o małżonkach — przypomniałam jej.

Gestem przerażenia zakryła dłonią usta.

— Ona nie mogła tego zrobić!! Powiedziała ci?!

— Ty nie... nie jesteś Hyson?

— Jasne, że nie! Jestem Lowella.

— Ale ona mówiła... — Właściwie sama nie wiedziałam, czy tamta mówiła, kim jest.

— Hy udawała, że jest mną? — Roześmiała się dziewczynka.

— Ty jesteś Lowella, co? — Dopytywałam się. — Tak, to ty!

W odpowiedzi polizała palec i wysunęła go przed siebie.

— Widzisz mokry palec?

Wytarła go.

— Widzisz suchy palec?

Pociągnęła nim po szyi. Jakby podrzynała sobie gardło.

— Niech się poleje krew, jeśli powiedziałam nieprawdę!

Wyglądała na tak przejętą, że jej uwierzyłam.

— Dlaczego ona udawała ciebie?

— Myślę, że Hy nie lubi być brana za tę spokojniejszą — Lowella zmarszczyła brwi. — Jak mnie nie ma w pobliżu, próbuje zachowywać się tak jak ja. Ci co nie znają nas za dobrze, mogą się nabrać. Chciałabys pójść do stajni obejrzeć nasze kucyki?

Zgodziłam się chętnie; czułam taką samą chęć ucieczki z tego dziedzińca jak rankiem z cmentarza.

* * *

Tego wieczoru kolacja upłynęła spokojnie i przyjemnie. Bliźniaczki z nami nie jadły i do stołu zasiadło nas tylko pięcioro. Morwenna zaproponowała obchód domu i wtajemniczenie mnie w reguły prowadzenia gospodarstwa.

— Zdaniem Roca, zanim się nie zdomowisz, pewnie nie będziesz miała ochoty na dokonywanie domowych rewolucji — oznajmiła Morwena uśmiechając się ciepło do brata. — Ale ma być tak jak zechcesz. Bardzo na to nalegał.

— Nie musisz się martwić, zwrócił się do mnie Roc — że Wenna będzie przeciwna jakimkolwiek zmianom w domu. Nic a nic. Gdybyś natomiast zamierzała wykopać magnolię lub zamienić rosarium w skalniak — a, to byłaby już zupełnie inna sprawa.

Morwenna uśmiechnęła się do mnie.

— Ze mnie nigdy nie była zawołana gospodyni. Nie musiałam się zajmować domem. Od tego zawsze była pani Penhalligan. Ona w tej mierze jest prawdziwym skarbem. Kocham natomiast ogrodnictwo, lecz oczywiście, gdybyś chciała cokolwiek zmienić w ogrodzie, to...

— Uwaga! — Zawołał Roc — zaraz rozpocznie się batalia o drzewa!

— Nie zwracaj na niego uwagi, uwielbia się z nami droczyć. — Rzuciła lekko Morwenna. — Chyba już go zdążyłaś poznać pod tym względem.

Przytaknęłam i uspokoiłam ją, że nie będę się wtrącać do spraw ogrodowych, gdyż zupełnie się na tym nie znam. Całe swoje życie spędziłam właściwie w pracowni malarskiej, a wiedza wyniesiona stamtąd, była zupełnie różna od tego, co zastałam tutaj.

Czułam się lekko i szczęśliwie słuchając tego przekomarzania brata z siostrą, gdyż najwyraźniej kryła się za tym wzajemna bliskość. Było dla mnie sprawą oczywistą, że Roc stara się, aby siostra nie poczuła się odsunięta na margines, kiedy on sprowadził żonę, by przejęła obowiązki gospodyni, co z łatwością mogło wywołać duże zmiany. Kochałam go za tę delikatność, za ten wzgląd na uczucia siostry, a gdy rozmowa zeszła na Capri i wszyscy bardzo uważali żeby nawet nie napomknąć o moim ojcu, przekonałam się, że chroni także moje uczucia. Musiał ich ostrzec, że wspomnienie ojca pogrąża mnie w smutku.

Taki subtelny był wobec nas wszystkich. A jeszcze bardziej kochałam go za to, że nigdy nie demonstrował uczuć, skrywał je za fasadą żartobliwego przekomarzania się.

Morwenna i Charles bez wątpienia bardzo się starali tak postępować, abym poczuła, że jestem u siebie. Robili to raz dlatego, iż byli z natury uprzejmymi ludźmi, a po wtóre z sympatii dla Roca. Mniej pewna byłam szczerości Racheli. Wydawało się, że jest pochłonięta pielęgnowaniem wobec służby swojego obrazu szanowanego członka rodziny. Odniosłam wrażenie, że stale zajmuje pozycję obronną, a kiedy przestawała się kontrolować, na twarzy jej gościł wyraz dziwnej goryczy.

Siedzieliśmy w jednym z małych saloników, pijąc kawę podaną nam przez panią Penhalligan; Charles i Roc omawiali jakieś interesy, a Morwenna i Rachelą wdały się w dyskusję na temat spraw lokalnych. Przysłuchiwałam się temu z ciekawością, zainteresowaną szczególnie po dzisiejszej, porannej wycieczce na wieś. Potem Morwenna zaoferowała mi swoje towarzystwo, gdy będę chciała pojechać na zakupy do Plymouth. Uważała, że na swojej pierwszej wyprawie powinnam mieć u boku kogoś, kto dobrze zna tamtejsze sklepy.

Podziękowałam jej, a Rachelą dodała, że gdyby Morwenna nie mogła, ona służy swą osobą.

— To miłe z pani strony — odparłam.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Chcę robić wszystko co mogę dla małżonki Roca — mruknęła nauczycielka.

— Małżonki! Znów ta „małżonka”! — pomyślałam z niechęcią. Dlaczego nie mówią po prostu „żona”, to przecież brzmi o wiele bardziej normalnie. Myślę, że właśnie wtedy poczułam tę niesamowitość domu, która zdawała zamykać się nade mną. Uświadomiłam sobie, jak głęboka i mroczna ciemność otacza budynek.

Pożegnaliśmy się dość wcześnie i ruszyliśmy do naszych pokoi. Gdy szliśmy korytarzem zdążając do południowego skrzydła, zerknęłam za okno na ciemny dziedziniec i przypomniałam sobie popołudniową rozmowę z bliźniaczkami.

Zatrzymałam się i spoglądałam w dół. Roc stanął obok mnie.

— Podoba ci się ogród na dziedzińcu, prawda?

— Z wyjątkiem tych wszystkich okien patrzących cały czas jak otwarte oczy.

Roc roześmiał się.

— Już wcześniej to mówiłaś. Nie martw się jednak. To tylko okna. Ludzie są zbyt zajęci, by się nawzajem podglądać.

Gdy dotarliśmy do sypialni, Roc zapytał:

— Czy coś ci zaprzęta umysł? Czymś się chyba trąpisz.

— Och... nic szczególnego.

— A więc jest jednak coś.

Spróbowałam zbyć go lekkim uśmiechem, ale byłabym zbyt świadoma ciszy tego wielkiego domu i nie mogłam przestać myśleć, o wszystkich tragediach, komediach i rzeczach zwykłych, które musiały oglądać mury tego domostwa, niemi świadkowie od tyłu setek lat. Nie potrafiłam odciąć się od przeszłości, która tutaj wydawała mi się bliższa, niż kiedykolwiek mogłaby być w miejscu takim jak pracownia ojca.

Wyrzuciłam z siebie, co zdarzyło się tego popołudnia.

— Och, te okropne bliźniaczki! — Jęknął Roc.

— Ależ, ta historia o Małżonkach z Pendorrice...

— W Kornwalii takich historii jest zatrzęsienie. Mogłabyś pójść w wiele miejsc i usłyszeć to samo. Tutejsi ludzie to nie zimnokrwieści Anglosasi. Jesteśmy Celtami — to rasa całkiem inna od flegmatycznych Anglików. Wiem oczywiście, że i w Anglii są domy, w których straszy: w Huntingdon, Hereford, gdzieś w Oxfordszire — ale to tylko pojedyncze domy. A Kornwalia... zdaniem Kornwalijszyków cała Kornwalia jest nawiedzana. Jeśli nie duchy starych kopalń to skrzaty i krasnoludki w ich czerwonych kubraczkach i spiczastych czapeczkach. Mamy tu również i guślarzy urodzonych stopami naprzód, co ma rzekomo być znakiem czarodziejskiej mocy. Są też całe rodziny, dziedziczące magiczną siłę po swych przodkach — żeglarzach, którzy bywali w służbie u syren. Mieszkają u nas wiedźmy i czarownice białej i czarnej magii. No i oczywiście mamy masę pospolitych duchów.

— Sądzę, że Pendorrice też ma swoje widmo.

— Żaden większy dom w Kornwalii jest nie do przyjęcia bez co najmniej jednej zjawy. To symbol statusu społecznego. Dałbym głowę, że lord Polhorgan nie poskapiłby grosza, gdyby mógł kupić jednego lub ze dwa duchy. Ale nawet gdyby udało mu się jakiegoś pozyskać, Kornwalijczycy nie uznaliby tego. On do nas nie należy, jest obcym, neguje się więc jego przywileje bycia straszonym.

To mi dodało otuchy, choć świadomość, że tego potrzebowałam wzbudziło pogardę do samej siebie. Muszę jednak przyznać, że wywody dziewczynki naprawdę pozbawiły mnie pewności, również i z tego powodu, iż nie zorientowałam się, z którą bliźniaczką rozmawiałam. Przemknęło mi też przez myśl, że Hyson istotnie jest dość osobliwą osobką, u której wcale nie podobał mi się ten błysk uciechy i ta prawie drapieżna przyjemność, jaką czerpała z mego niepokoju.

— A wracając do tej historii, — zaczęłam znowu — dotyczy ona przecież również i mnie, teraz ja jestem jedną z „małżonek”.

— To był bardzo niefortunny zbieg okoliczności, że Lowella Pendorríc zmarła z dokładnością do dnia w rok po swoim ślubie. Właśnie to, przypuszczalnie, stało się genezą legendy. Wydała na świat syna — dziedzica i zmarła; dość powszechne zdarzenie w tamtych czasach, ale pamiętaj, że tu jest Kornwalia — tu ludzie zawsze potrafią wykorzystać lada pretekst, by się doszukać czegoś niesamowitego.

I to jest wymysł, że musiała straszyć po śmierci?

Roc skinął głową.

— Od tego czasu Pendorrícowie nie jeden raz wprowadzali pod ten dach swoje małżonki, dożywającej późnej starości i nikt nawet nie wspominał o duchach, choć teraz opowiadają, że Lowella straszyła co noc od swojej śmierci. To dopiero zgon mojej matki ponownie ożywił dawne przekazy. Matka umarła w wieku dwudziestu pięciu lat, gdy ja i Morwenna mieliśmy po pięć lat.

— Co było przyczyną zgonu?

— Spadła z północnej galerii, kiedy balustrada złamała się pod jej ciężarem. Drewniana poręcz była zjedzona przez korniki i bardzo krucha. Śmierć matki to rezultat pośluczenia i przerażenia. To był nieszczęśliwy wypadek, ale ponieważ wisi tam portret Lowelli, ludzie zaczęli szeptać, że to jej sprawka. Lowella, powiadali, zmęczyła się błakaniem po domu w charakterze zjawy, więc orzekła, że Barbarina ma zająć jej miejsce. Jestem pewien, że ta część legendy o upiornym dziedzictwie wywodzi się dopiero od dnia śmierci mojej matki. Teraz ludzie będą ci opowiadać, że duchem Pendorríc jest Barbarina. To raczej zbyt młode straszdyło jak na takie stare domostwo, nie sądzisz? Ale jak widzisz, u nas i duchy zmuszone są zmieniać wartę.

— Widzę — odparłam z ociąganiem.

Roc otoczył mnie ramieniem i roześmiał się z głębi serca; po chwili śmiałam się razem z nim.

Tego wieczoru wszystko wydawał mi się znowu normalne.

* * *

Kobieta w stroju amazonki i w kapeluszu przewiązanym błękitną szarfą zaczęła prześladować mnie w myślach i niebawem stwierdziłam, że ciągnie mnie do jej portretu. Usilnie pragnęłam, aby nikt nie domyślił się, jakie wrażenie wywierał na mnie ten obraz i nie posądził o poważne traktowanie tej, w gruncie rzeczy, śmiechu wartej opowieści.

Ale to malowidło istotnie urzekło. Portret był tak realistyczny, iż wydawało się, że namalowane oczy zaraz zamrugają, a z zamkniętych ust padnie jakieś słowo. Zastanawiałam się też, co mogła myśleć Barbarina, kiedy poczuła łamiącą się pod jej ciężarem poręcz. Ciekawa byłam także, czy matka Roca zdradzała takie niezdrowe zainteresowanie tamtą kobietą z portretu, tą legendarną Lowella... jakie ja zaczynam odczuwać teraz względem niej.

No nie, powiedziałam sobie. To przecież zupełnie coś innego. Interesuje mnie tylko obraz jako czysta sztuka. Z pewnością nie pozwolę, aby jakiś wymysł zakłócał mój spokój.

Tym niemniej nie oparłam się pokusie i chodziłam wpatrywać się w portret.

Tam właśnie rankiem zastał mnie Roc dwa dni później. Objął mnie i zaproponował samochodową wycieczkę.

— Nie jesteśmy do niej podobni — rzekł, spoglądając na obraz.

— Oboje z Morwenną mamy śniadą cerę. Wyglądamy bardziej na Hiszpanów. Słuchaj, nie wolno ci się jej bać. To tylko malowidło.

Pojechaliśmy na wrzosowisko. Zafascynowała mnie ta dzika okolica usiana skalistymi pagórkami pojedynczymi głazami o tak dziwacznych kształtach, że nieraz przypominały groteskowe parodie ludzkich postaci.

Pomyślałam, że Roc pragnie przybliżyć mi Kornwalię i pomaga zrozumieć jej fantastykę po to, bym potraktowała ją tak, jak na to zasługuje: Z przymrużeniem oka.

Jechaliśmy dość długo, minęliśmy Challinton i St. Cleer; małe miasteczka z szarymi, granitowymi domkami, a później znów zobaczyliśmy wrzosowiska. Roc pokazał mi Trevethy Quoit, neolityczny grobowiec z czarnego kamienia oraz tereny jakiegoś cmentarzyska z prehistorycznych czasów, najwyraźniej chcąc mnie przekonać, że kraj, który ma do oferowania tak dużo dowodów swej starożytnej przeszłości musi także obrastać w niesamowite opowieści.

Zatrzymał samochód na szczycie jakiegoś wzgórza i wskazał mi wznoszącą się w oddali jakąś fantastyczną formację skalną znaną jako Chesswring.

— Kiedyś zawiozę cię jeszcze dalej na zachód i pokażę „Płające Panny”. Jest to dziewiętnaście skał ułożonych w okrąg, które — jeśli wierzyć legendzie — były kiedyś dziewczętami, tańczącymi w zakazanym, świętym miejscu. Za karę zostały zaklęte w kamień. Istotnie, te głazy pochylone są w taki sposób, jakby jakieś postacie zamarły w pół tanecznego ruchu. — Miał pełne czułości oczy, gdy mi to wszystko opowiadał. — Za jakiś czas przyzwyczajysz się do nas — ciągnął. — Gdziekolwiek tu się obrócisz, zaraz znajdzie się jakaś historia związana z danym miejscem. Nie można ich wszystkich brać na serio.

Wiedziałałam, że się o mnie martwi i uspokajałam go, przypominając, iż zawsze byłam dumna ze swego zdrowego rozsądku.

— Wiem, — przytakiwał — ale śmierć ojca była dla ciebie większym szokiem niż sobie uświadamiasz. Zamierzam otoczyć cię specjalną opieką.

— W takim razie, — uśmiechnęłam się — będę się czuła jak szczególnie cenny klejnot, bo przecież już od tego okropnego dnia doznaję twej troskliwości.

— Cóż, może tego nie pamiętasz, ale tak się złożyło, że jestem twoim mężem — powiedział żartobliwie.

Odwrociłam się i zawołałam z przejęciem:

— O tym nie mogłabym zapomnieć ani przez chwilę... nawet gdybym bardzo chciała.

Roc nachylił się nade mną, a jego pocałunek był bardzo słodki i czuły.

— Ale nie chciałaś, prawda?

Rzuciłam się w jego ramiona i przytuliłam z całej siły. Jego uścisk stał się jeszcze mocniejszy. Trwaliśmy tak chwilę, jakby próbując bez słów okazać sobie wzajemnie ogromną głębię naszej miłości.

To była pocięcha, której tak bardzo potrzebowałam.

Roc zawsze potrafił otrząsnąć się z emocji łatwiej niż ja i po krótkiej chwili wrócił mu zwykły, żartobliwy nastrój. Znów zaczął opowiadać mi kornwalijskie legendy, niektóre tak fantastyczne, że z miejsca oskarżyłam go o łgarstwo.

Wkrótce oboje zaczęliśmy wymyślać niestworzone historie o mijanych miejscach, starając się wzajemnie prześcignąć w absurdalnych pomysłach. Wydawało nam się to wszystko niesłychanie zabawne, choć dla postronnego słuchacza brzmiałoby to jak bredzenie szaleńców.

— Powrotna droga upłynęła nam w szampańskich humorach i podziwiałam mojego męża za to, że zawsze potrafił mnie pocieszyć, rozbawić i sprawić mi radość.

* * *

W ciągu kilku następnych dni, wiele czasu spędzałam w towarzystwie Roca. Zabierał mnie ze sobą gdy wyjeżdżał na obchód majątku. Wszędzie byłam mile witana i częstowana zwykle domowym winem lub ciderem, a raz nawet uraczono mnie gorącym, kornwalijskim pasztecikiem, prosto z pieca.

Wszyscy okazywali mi życzliwość i przyjaźń, zwłaszcza gdy przeczekałam pewne początkowe objawy nieufności z jaką odnosili się do „obcych” z tamtej strony Tamar.

— Dla nas obcy pozostaje obcym na zawsze — wyjaśnił mi Roc. — Ale nie dotyczy to małżeństwa, a jeśli urodzisz mojego Kornwalijszczyka lub małą Kornwaliijkę, zaakceptują cię od razu. W przeciwnym razie może to potrwać jakieś głupie pięćdziesiąt lat — zaśmiał się.

* * *

Któregoś popołudnia pojechałam z Morwenną do Plymouth i zatrzymałyśmy się na herbatę w pobliżu Hoe.

— Oboje z Charlesem cieszymy się, że Roc się ożenił — oświadczyła mi moja szwagierka. — Chcieliśmy by szczęśliwie założył rodzinę.

— Bardzo lubisz brata, prawda?

— Cóż, jest nie tylko moim bratem, ale bratem — bliźniakiem. A poza tym ma on szczególną i wspaniałą osobowość. Chyba się zgodzisz ze mną.

Z całego serca podzielałam jej opinię i tym samym wzrosła moja sympatia do niej.

— Na Rocu możesz zawsze polegać — ciągnęła Morwenną mieszając herbatę z zamyśloną twarzą i takim wzrokiem jakby spoglądała gdzieś w przeszłość.

— Czy bardzo zdziwiłaś się, gdy zawiadomił cię o swoim małżeństwie?

— Może z początku, ale on zawsze sprawiał nam niespodzianki. Charles i ja już zaczęliśmy się obawiać, że nigdy się nie ustatkuje, więc kiedy przyszła wiadomość o ślubie, byliśmy uradowani.

— Mimo, że poślubił kogoś, kogo zupełnie nie znałaś?

— Ten stan rzeczy długo nie trwał. Teraz cię poznałam i jesteś już jedną z nas.

To była przyjemna wycieczka, jako że zawsze sprawiała mi radość rozmowa o Rocu i sympatia, jaką wzbudzał u tych, którzy go znali całe życie.

Złożyliśmy również bardzo interesującą dla mnie wizytę na plebanii. Z ciekawością wysłuchałam historii, jakie opowiadał pastor o wierzeniach i zabobonach w Kornwalii.

— Moim zdaniem — kończył wielebny Dark swoje wywody

— pewne wydarzenia zachodzą tutaj dlatego, bo kiedy tutejsi ludzie są tak bardzo pewni, że coś się stanie, sami podświadomie to prowokują.

Rozmawialiśmy także o mieszkańcach posiadłości Pendorrice i dowiedziałam się o pewnych zmianach i ulepszeniach, które wprowadził Roc, kiedy przejął majątek. Słuchałam tego promieniując dumą.

Właśnie tu, na plebanii spotkałam doktora Andrew Clementa. Mógł mieć, około trzydziestki, był wysoki, jasnowłosy i sympatyczny. Od samego początku znajomości poczuliśmy do siebie wzajemną sympatię.

Powiedział mi, że on także jest tutaj na prawach obcego, gdyż pochodzi z Kent, a w Kornwalii mieszka dopiero od półtora roku.

— Często przejeżdżam obok Pendorric, zwykle kilka razy w tygodniu — opowiadał. — Bywam na wizytach lekarskich u waszego sąsiada, lorda Polhorgan.

— Czy on jest poważnie chory?

— Na razie nic jeszcze nie zagraża jego życiu, ale rokowania nie są najlepsze. Cierpi na angina pectoris i postępujący coronary thrombosis. Potrzebuje stałej opieki. Mieszka z nim pielęgniarka. Czy pani już ją poznała?

— Nie.

— Ona czasami przychodzi do Pendorric — wtrąciła Morwenna.

— Spotkasz ją wcześniej czy później.

Było to naprawdę przyjemne popołudnie, a kiedy wracałyśmy z Morwenna do domu, rozmowa zбочzyła na temat bliźniaczek.

— Wydaje mi się, że Rachelą to dobra nauczycielka — zauważyłam.

— Istotnie, bardzo.

— Masz szczęście, że ją zdobyłaś. Chyba było to trudne zadanie. Myślę, że osobę ojej kwalifikacjach raczej trudno w dzisiejszych czasach namówić do takiej pracy.

— Ona jest tutaj... tymczasowo. Bliźniaczki, za jakiś rok, będą musiały iść do szkoły. Nie mogę ich stale trzymać w domu.

Nie wiem, czy była to tylko moja wyobraźnia, czy istotnie coś zmieniło się w zachowaniu Morwenny, kiedy wspomniałam o Racheli.

Zapanowało krótkie milczenie i strofowałam się w duchu, że staie się, jak przypuszczałam, przewrażliwiona. Zaczynam doszukiwać się rzeczy, które nie mają miejsca i zastanawiałam się, czy to skutek pobytu w Kornwalii.

Chciałam dalej ciągnąć rozmowę o Racheli, bo miałam ochotę dowiedzieć się o niej czegoś nowego. Byłam ciekawa, czy istniał jakiś związek między nią a Rokiem, a mówiąc prawdę, pragnęłam się upewnić, że nic takiego nie miało miejsca.

Ale Morwenna starannie unikała tego tematu. Zaczęła z ożywieniem rozmawiać o Darkach i o zmianach, jakie wprowadzili na plebanii.

Po południu wybrałam się do ogrodu na dziedzińcu. Szłam tam jakby wbrew sobie; wolny czas wolałabym spędzić w ogrodzie południowym, wychodzącym na plażę. Mogłabym tam usiąść w jednej z zacienionych altanek, wśród hortensji, omżynów i słodko pachnącej lawendy. Byłoby to z pewnością bardzo przyjemne. Ale ze względu na pewne dziwne emocje, których doświadczyłam na dziedzińcu — głównie z powodu niepokojących okien — odczuwałam niejako przymus, aby się tam udać. Nie należałam do osób, które poddają się uczuciu strachu i chowają głowę w piasek. Sądziłam, że jeśli nie będę unikać źródła tych przeżyć, to szybciej je pokonam.

Siadłam z książką pod palmą i próbowałam skupić się na czytaniu, ale i tym razem złapałam się na częstym zerkaniu na okna.

Niezbyt długo pozostawałam sama, bo wkrótce w północnych drzwiach pojawiły się bliźniaczki.

Gdy stały razem, nie miałam kłopotu z ich rozróżnieniem. Lowella tryskała energią, a Hyson była spokojna i opanowana. Zaczęłam się zastanawiać, czy to naprawdę Hyson była tą, która ostrzegła mnie przed Barbariną. A może był to kolejny dowcip Lowelli by mnie nastraszyć, a potem zrzucić winę na Hyson?

— Hej! — Zawołała Lowella.

Podeszły obie i usiadły na trawie.

— Czy ci nie przeszkadzamy? — Spytała grzecznie Lowella.

— Nie, nie jestem bardzo zaczytana.

— Podoba ci się tutaj? — Ciągnęła dziewczynka.

— Tu jest bardzo spokojnie.

— Ale jesteś jak w zamknięciu. Cały dom cię otacza. Hy także lubi to miejsce. Prawda Hy? Hyson kiwnęła głową w milczeniu.

— A więc, — kontynuowała Lowella — powiedz, co o nas sądzisz?

— Nie dałyście mi jeszcze do tego zbyt wiele okazji.

— Ależ nie chodzi mi o nas. Chodzi mi o nas wszystkich, o Pendorrice, wujka Roca, mamę, tatę i Becky Sharp.*

— Becky Sharp?

— Och, o starą Bective, oczywiście!

— Dlaczego ją tak nazywasz?

— Bo Hy powiada, że ona jest taka jak pewna Becky Sharp, o której czytała. Hy uwielbia czytać książki.

Spojrzałam na Hyson, a ona znów kiwnęła poważnie głową.

— Hyson opowiedziała mi o Becky Sharp i orzekła: „To jest Rachela”, więc nazywałam ją Becky Sharp. Lubię nazywać ludzi po swojemu. Siebie nazwałam Lo, a ona jest Hy. Czy to nie fajnie, że nadali nam takie imiona? Chociaż wołałabym sama być Hy... oczywiście tylko z imienia. Tak w ogóle to raczej chcę być sobą, a nie Hyson; ona tylko siedzi i duma — paplała szybko Lowella.

— Niezłe zajęcie — uśmiechnęłam się do Hyson, ale ona nadal patrzyła na mnie poważnie.

— Mam imiona dla wszystkich — moje własne, tajemne imiona — a Becky Sharp jest jednym z nich.

— A ja? Jak mnie ochrzciłaś?

— Ty? Ty jesteś Małżonka! Nie możesz być niczym innym!

— Czy pannie Bective podoba się imię, które jej nadałaś?

— Ona nic nie wie. To sekret. Wiesz, ona kiedyś chodziła z mamą do szkoły i zawsze tu przejeżdża, a Hy o niej powiedziała: „Zobaczysz, kiedyś przyjedzie i zostanie, bo ona nie chce opuścić naszego domu.”

— Czy to słowa panny Bective?

— Jasne, że nie! Nie powie tego głośno, to tajemnica. Ludzie nie mogą się dowiedzieć, co knuje Becky Sharp. Ale ona chce tu zostać. Podejrzywałyśmy, że zamierzała złapać na męża wujka Roca. Hyson podeszła do mnie i położyła mi ręce na kolanach. Zaglądając mi w oczy, oświadczyła:

— Tego właśnie chciała. I sądzę, że bardzo jej się nie podoba, że wujek ożenił się z tobą.

— Hy, nie wolni ci tak mówić — upomniała ją siostra.

— Będę mówić, co zechcę.

— Nie możesz, nie wolno ci!

Hyson nagle okazała zawziętość.

— A właśnie że mogę i będę!

— Nie możesz, nie możesz, nie możesz! — Zawodziła śpiewnie Lowella i popędziła dokoła stawu. Hyson ruszyła za nią w pogoń. Patrzyłam za nimi, aż Lowella zniknęła w drzwiach

* Bohaterka powieści pt. *Targowisko próżności* Williama Thackeraya. — przyp. tłum.

północnego wejścia. Hyson już miała wbiec za nią, ale jakby się zawahała, stanęła i po chwili wróciła z powrotem.

— Lowella jest jeszcze taka dziecinna — powiedziała poważnie. Uklękła u moich stóp i spoglądała z takim napięciem, że aż poczułam się zakłopotana.

— Nie mówisz wiele, gdy ona jest z tobą. Dlaczego?

Hyson wzruszyła ramionami.

— Nigdy się nie odzywam, kiedy nie mam nic ciekawego do powiedzenia.

Wydawało się, że i teraz nie ma nic do dodania, klęczała bowiem w milczeniu. Po chwili raptownie zerwała się i spojrzała na górne piętro domu. Uniosła rękę i pomachała do kogoś. Naprowadzona jej wzrokiem zobaczyłam, że za odsuniętą zasłoną jednego z okien ktoś stoi i patrzy na dziedziniec. Mogłam rozróżnić kontury kobiecej sylwetki w czarnym kapeluszu przewiązanym niebieską wstążką.

— Któż to? — Spytałam ostro.

— To była babcia — Hyson odparła niespiesznie.

Uśmiechnęła się do mnie i odeszła statecznym krokiem. Za chwilę byłam już sama. Raz jeszcze rzuciłam spojrzenie na tamto okno. Nie było w nim nikogo, a zasłona wróciła na swoje miejsce.

— Barbarina — mruknełam i poczułam się tak, jakby spoczywał na mnie czyjś wzrok, przewiercały mnie jakieś oczy. To nieznośne uczucie spowodowało, że na dziedzińcu nie chciałam zostać ani chwili dłużej.

To śmieszne, mówiłam sobie. To tylko głupi kawał. Z pewnością Lowella maczała w tym palce — obie się umówiły, by móc zabawić się moim kosztem.

Ale ten ktoś, kogo widziałam jednak nie mógł być dzieckiem. To była kobieta. Wysoka kobieta.

Pospieszyłam do domu i zatrzymałam się dopiero przed portretem Barbariny. Miałam wrażenie, że jej oczy przeszywały mnie i jakby kpiły.

— To absurd — powiedziałam głośno i zaczęłam się wspinać na schody. Jestem przecież normalną, rozsądną osobą, która nie wierzy w duchy.

Czyżbym się zmieniła, odkąd przybyłam do Pendorric? Czy nadal jestem tą samą niezależną Favel, od czasu gdy doświadczyłam uczuć, które, zanim spotkałam Roca Pendorrica, znałam tylko z nazwy? Uczucia miłości, zazdrości — a obecnie strachu?

Poszłam prosto do mego pokoju, a kiedy otworzyłam drzwi, zaparło mi dech z przerażenia, bo w fotelu, tyłem do światła siedziała jakaś postać. Po incydencie na dziedzińcu musiałam być istotnie wytrącona z równowagi, gdyż dopiero po kilku sekundach poznałam że to Morwenna.

— Chyba cię przestraszyłam — odezwała się. — Przepraszam. Przyszłam tu po ciebie... i po prostu usiadłam na chwilę.

— Może to niemądre, ale faktycznie strach mnie obleciał, bo nie spodziewałam się tu nikogo zobaczyć.

— Przyszłam ci powiedzieć, że przyjechała Deborah. Chciałam was przedstawić.

— Deborah Hyson. Siostra mojej matki. Spędza z nami wiele czasu. Nie było jej tu dotąd i właśnie wróciła dziś po południu. Sądzę, iż przyspieszyła powrót z twojego powodu. Nie może znieść, by coś się działo w rodzinie bez jej udziału.

— Czy to możliwe, że wyglądała przez jedno z okien korytarza?

— Bardzo prawdopodobne. Czy przez zachodnie?

— Tak. Tak mi się zdaje.

— To na pewno ona. W zachodnim skrzydle ma swoje pokoje.

— Patrzyła na dziedziniec; Hyson do niej pomachała, po czym pobiegła bez wyjaśnień.

— Tak, dziewczynka bardzo ją lubi, a ona przepada za Hyson. Ogromnie mnie to cieszy, bo zwykle Lowella jest tą, która potrafi zaskarbić sobie sympatię innych. Czy zaraz zejdiesz? Zadysponowałam herbatę na zimowej werandzie, a Deborah umiera z ciekawości, żeby cię zobaczyć.

— Więc chodźmy od razu.

Zeszliśmy do małego saloniku na pierwszym piętrze północnego skrzydła; na nasze powitanie podniosła się z krzesła jakaś wysoka kobieta. Byłam prawie pewna, że to ją widziałam w tamtym oknie.

Teraz nie miała kapelusza, a jej siwe, gęste włosy uczesano w stylu, który mógł być modny około trzydziestu lat temu. Spostrzegłam również, iż jej ubiór miał w sobie coś z dawnych fasonów. Miała bardzo błękitne oczy, a plisowana bluzka z crepe de Chine doskonale do nich pasowała. Kobieta była bardzo wysoka, a w czarnym kostiumie sztywnym na miarę wyglądała na szczupłą.

Ujęła mnie za rękę i wpatrywała się we mnie z przejęciem.

— Moja droga, tak się cieszę, że jesteś z nami.

Zdziwiło mnie to gorące powitanie; mogłam jedynie mniemać, że tak jak reszta rodziny i ona cieszy się z tego, że Roc się ożenił i akceptuje mnie jako swojego rodzaju fortunne zrzęczenie losu.

— Kiedy tylko dostałam wiadomość o waszym przyjeździe, zabrałam się do powrotu — dodała kobieta.

— To miłe z pani strony.

Uśmiechnęła się z zadumą w oczach wciąż utkwionych we mnie.

— Usiądź przy mnie — poprosiła. — Tyle mamy do opowiedzenia. Morwenno, moja droga, czy herbata będzie niebawem?

— Dosłownie za sekundę — odparła Morwenna.

— Musisz mi mówić po imieniu — zwróciła się do mnie Deborah. — Tak jak dzieci. Och, mówiąc „dzieci” mam na myśli Petroca i Morwennę. Dla bliźniaczek jestem „babcią”. Zawsze tak do mnie mówią, a ja nie mam nic przeciwko temu.

— Ale wcale nie prezentuje się pani jak babcia.

— Nie pani, a Deborah. — Uśmiechnęła się. — Sądzę, że dla dziewczynek jednak wyglądam na babcię. Dla nich każdy pod dwudziestce jest stary, a ktoś liczący więcej lat, to już zgrzybiały starzec. Ale muszę się przyznać, że cieszy mnie ta rola. Bliźniaczki nie mają rodzonej babci, więc ja zaspokajam tę ich potrzebę.

Pani Penhalligan wniosła herbatkę, a Morwenna napełniła nasze filiżanki.

— Charlesa i Roca nie będzie jeszcze około godziny — poinformowała.

— Zobaczą ich więc przy kolacji. A oto i bliźniaczki.

Przez otwarte gwałtownie drzwi wpadła do pokoju Lowella, a za nią spokojnie weszła Hyson.

— Cześć, babciu — zawołała Lowella i podbiegła do Deborah, by uścisnąć ją i pocałować. Potem do babci podeszła Hyson i powitanie stało się jeszcze czulsze. Nie było wątpliwości, że obydwie bardzo są sobie bliskie.

— Muszę przyznać, że przyjemnie jest do was wrócić, choć z pewnością, będę tęsknić za wrzosowiskiem. Mam dom w Dartmoor — wyjaśniła mi. — Tam się wychowałam i odziedziczyłam go po śmierci rodziców. Kiedyś musisz przyjechać do mnie.

— Wybiorę się z tobą — zaoferowała Lowella.

— To cała Lowella! — Roześmiała się Deborah. — Nie chce niczego przegapić. A ty, Hyson?

— Oczywiście, babciu.

— Doskonale. Mam nadzieję, moje dziewczynki, że opiekujecie się ciocią Favel i czuwacie, żeby się tu szybko zadomowiła.

— Nie nazywamy jej ciocią — wtrąciła Lowella. Dla nas to po prostu Favel, no i rzecz jasna, że się nią opiekujemy. Przecież wujek Roc nam kazał!

— Ty też, Hyson?

— Tak, babciu. Pokazałam jej i powiedziałam wszystko co należy, Deborah obdarzyła ją uśmiechem i lekko, pieszczotliwie pociągnęła ją za włosy związane w koński ogon.

— Muszę pokazać ci zdjęcia — pogodnie zwróciła się do mnie.

— Mam ich mnóstwo w swoim pokoju.

— Na ścianach na ścianach! — Wykrzyknęła Lowella — ale także w albumach i wszystkie są opisane pod spodem! Takie śmieszne są te podpisy: „Sześćioletni Petroc” albo „Morwenna w wieku ośmiu lat na dziedzińcu”. Jest też dużo fotografii babci Barbariny i babci Deborah z czasów, gdy były małymi dziewczynkami, ale babcia trzyma je w Devon.

— W każdej rodzinie jest ktoś taki jak ja — Deborah nachyliła się do mnie. Taki ktoś niezamężny, kto nie założył własnej rodziny, ale zawsze można go prosić o opiekę nad dziećmi. Taka osoba zbiera rodzinne zdjęcia i pamięta daty wszystkich rodzinnych uroczystości. — Babcia nigdy o niczym nie zapomina — wtrąciła Lowella.

— Deborah, czy to ciebie widziałam niedawno w oknie? Nie mogłam powstrzymać się od zadania tego pytania bo choć być może, zabrzmiało to niemądrze, musiałam uzyskać jednoznaczną odpowiedź.

— Tak. Szłam do siebie zaraz po przyjeździe. Nie zawiadomiłam Morwenny ani Roca, że dziś będę w domu. Byłam sama, wyjrzałam na dziedziniec i zobaczyłam ciebie z Hyson. Nie wiedziałam, że mnie dostrzegłeś, w przeciwnym razie odezwałabym się.

— Bardzo się dziwiłam, kiedy Hyson powiedziała, że to babcia.

— I nic nie dodała? Żadnych wyjaśnień? Oj Hyson, Hyson, moje drogie dziecko! — Znów pogłaskała ciemny koński ogon.

— A jak miałam powiedzieć? — Broniła się Hyson. — Powiedziałam, że to babcia, bo to była babcia!

— Nic prawie nie jecie. — Skarciła nas Morwenna. Spróbujcie tych ciasteczek, są naprawdę smaczne. A poza tym Maria będzie urażona, gdy zbyt dużo odeślemy z powrotem.

— Zawsze mówię, że kornwalijska śmietanka nie jest tak dobra jak nasza, w Devonshire — rzekła Deborah.

— Czyste uprzedzenie — zaśmiała się Morwenna. — Jest idealnie taka sama.

Deborah zaczęła mnie wypytywać o życie na Capri i o to w jakich okolicznościach poznałam Roca.

— Jakie to zachwycające! — Wykrzykiwała, gdy odpowiadała nas jej pytania. — I romantyczne! Wprost czarujące — nie sądzisz, Morwenno?

— Naturalnie. Wszyscy się z tego cieszymy... szczególnie teraz, gdy poznaliśmy Favel. — I wyglądaliśmy nowej Małżonki z Pendorrice. — Dodała Hyson poważnie.

Roześmiałyśmy się wszystkie a potem rozmowa zбочyła na ogólne tematy.

Po podwieczorku Hyson zaofiarowała babci swą pomoc w rozpakowaniu bagaży. Deborah wyglądała na uradowaną i wyraziła zgodę.

— Sądzę, że Favel nie widziała jeszcze moich pokoi — dodała. — Poprosimy, żeby poszła z nami, co ty na to Hyson?

— Hyson, acz niechętnie, zmuszona była zgodzić się na tę propozycję, a ja szybko przyłączyłam się do nich. Miałam bowiem wielką ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o nowej domownicy.

Wyszliśmy w trójkę.

Deborah otworzyła drzwi pokoju, podobnego w układzie do mojej sypialni, z takimi samymi dużymi oknami, z przepięknym widokiem na zachód i morze. Natychmiast mój wzrok przykuł czarny kapelusz z niebieską wstążką leżący na łóżku. Miał inny fason niż ten z obrazu, ale kolory były te same. Poczulałam się trochę niemądrze ale i spadł mi kamień z serca, że rozwiązanie tajemniczy zjawy nastąpiło tak szybko. Jednocześnie z zażenowaniem przypominałam sobie jak ten widok wytrącił mnie z równowagi.

Jedna ze ścian była gęsto obwieszona fotografiami różnych typów i wielkości, od dużych studyjnych portretów po małe odbitki robione amatorskim aparatem.

Deborah roześmiała się szczerze widząc moje zainteresowanie.

— Zawsze kolekcjonowałam rodzinne zdjęcia. Tak samo wygląda pokój w moim domu w Devonshire, prawda Hyson?

— Tak, ale tam są wszystkie zdjęcia sprzed... a tutaj po.

— Rzeczywiście. Zaznacza się przez to wyraźny podział czasu na: przed ślubem Barby... i później.

— Barbariny — szepnęłam mimowolnie.

— Tak, Barbariny. Dla mnie była Barby a ja dla niej Deb. Nikt inny tak nas nie nazywał. Barbarinie nadano imię po jakiejś naszej pra pra... To oryginalne imię, prawda? Do ślubu byłyśmy nierozłączne. — Błękitne oczy zasnuły się smutkiem i domyśliłam się, że obie siostry łączyła silna uczuciowa więź. — Lecz cóż — ciągnęła — to było tak dawno temu. Czasem mi trudno uwierzyć, że jej już nie ma... że nie żyje... że spoczywa w grobie...

— Ależ... — zaczęła Hyson.

Deborah położyła dziecku na głowie rękę i mówiła dalej:

— Gdy ona... zmarła, przyjechałam, by tu zamieszkać i zająć się wychowaniem Petroca i Morwenny. Próbowałam zająć jej miejsce, ale czy może ktoś dziecku zastąpić matkę?

— Oni cię bardzo kochają, jestem tego pewna.

— Tak, myślę że tak. Ale wróćmy do fotografii. Pokażę ci je. Sądzę, że niektóre są bardzo interesujące. Czy chciałabyś zobaczyć swego męża uwiecznionego w różnych etapach jego rozwoju? Nie sądzisz, że zawsze jest zabawne oglądać, jak ludzie wyglądali wiele, wiele lat temu?

Rozczuliłam się na widok chłopca o figlarnych oczach, w rozpiętej koszulce i krótkich spodenkach stojącego obok siostry. Morwenna uśmiechała się nieśmiało do obiektywu, a Roc gniewnie patrzył spode łba. Było też ich zdjęcie w wieku niemowlęcym; leżeli obok siebie a nad nimi pochylała się jakaś urocza kobieta.

— Barbarina i jej bliźniaczki — zamruczała Deborah.

— Ale piękna!

— Tak. — W jej głosie zabrzmiała nuta bezmiernego smutku. A więc wciąż jeszcze opłakuje śmierć siostry, pomyślałam i przez myśl przemknęło mi przypomnienie krypty rodzinnej i laurowego wianuszka zawieszzonego na pręcie. Odgadłam, kto go tam zaniósł.

Zwróciłam uwagę na zdjęcie jakiejś urodziwej pary dorosłych. Bez trudu rozpoznałam Barbarinę, a mężczyzna, który stał u jej boku, był tak podobny do Roca, że odgadłam w nim jej męża.

Miał prawie wyzywający uśmiech, twarz kogoś, kto potrafi korzystać z życia; zuchwałego i czarującego gracza. Spostrzegłam też, że uszy mężczyzny z fotografii były uszami Roca, a oczy, także miał lekko skośne. Była to przystojna twarz, a jeszcze atrakcyjniejszą czynił ją pewien wyraz figlarności... swawolności..., czegoś takiego co wyczuwałam również u Roca.

— Rodzice Roca — zgadłam.

— Zdjęcie zrobione na rok przed tragedią — wyjaśniła Deborah.

— To smutne. On wygląda na bardzo zakochanego. Ten wypadek musiał go załamać.

Deborah uśmiechnęła się jakoś ponuro, ale nie rzekła ani słowa.

— Babciu, nie pokażesz Favel albumów? — Spytała Hyson.

— Nie, serduszek. Muszę się rozpakować, a poza tym, obawiam się, iż historie z przeszłości mogą nieco znudzić kogoś, kto nie żył się z nimi od lat.

— Absolutnie nie jestem znudzona. Bardzo chciałabym dowiedzieć się jak najwięcej o rodzinie.

— Naturalnie... jesteś teraz jedną z nas. Z przyjemnością pokażę ci albumy innym razem.

Była to uprzejma odprawa, więc posłużywszy się wymówką, że mam jeszcze coś do załatwienia, chciałam odejść. Deborah zbliżyła się do mnie i biorąc mnie za rękę, uśmiechnęła się tkliwie.

— Nawet nie wiesz, jak cieszę się, że jesteś tutaj — powiedziała z przejęciem i bez wątpienia mówiła szczerze.

— Wszyscy mi tutaj okazują sympatię. Chyba żadna młoda małżonka nie była witana z większym entuzjazmem, a biorąc pod uwagę, jak nagle było nasze małżeństwo i że moje przybycie musiało być raczej wstrząsem dla rodziny, jestem wszystkim głęboko wdzięczna.

— Moja droga, oczywiście, że jesteś mile witana.

— Czekaliśmy na nią od lat... prawda, babciu? — Wtrąciła Hyson z przekonaniem.

— Deborah roześmiała się.

— Zbyttno wierzysz we wszystko, dziecinko. — Powiedziała, a potem zwróciła się do mnie. — Jesteśmy zachwyceni, że Roc się ożenił. Pendorrícowie zazwyczaj żenili się młodo.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła niewysoka kobieta. Była ubrana na czarno, choć ten kolor nie pasował do jej ziemistej cery. Włosy przyprószone siwizną musiały być kiedyś kruczoczarne, krzaczaste, ciemne brwi, zrosnięte u nasady nosa, osłaniały niewielkie oczy, w których czaiły się jakby troska i żal; miała długi, chudy nos i wąskie wargi.

Chciała coś powiedzieć, ale ujrawszy mnie, zawahała się.

— To moja kochana Carrie; była naszą nianią i teraz nigdy mnie nie opuszcza. Opiekuje się mną... stale i nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Carrie, to nowa pani Pendorríc.

Kobieta wpiła we mnie swoje malutkie oczka.

— Aha, nowa pani Pendorríc, aha — mruknęła.

— Zaznajomisz się z Carrie bardzo szybko. — Deborah uśmiechnęła się do mnie. — Jestem pewna, że z chęcią będzie ci służyć pomocą. Ma cudowny talent do igły. To ona szyła wszystko, co kiedykolwiek nosiłam.

— Szyłam dla obu — oznajmiła Carrie z dumą. — Zawsze mówiłam, że nie ma lepiej ubranych panien w całym Devonshire niż moje panienki: panienka Barbarina i panienka Deborah.

Zwróciłam wtedy uwagę na jej nieco gardłową wymowę oraz na czułość wyraźnie słyszalną w głosie, gdy mówiła o „panienkach”.

— Carrie, trzeba rozpakować rzeczy.

Carrie spochmurniała i wyglądała na niezadowoloną.

— Carrie nie znosi dłużej przebywać poza swoimi ukochanymi wrzosowiskami — rzekła Deborah ze śmiechem. — Sporo czasu zabiera jej przystosowanie się do pobytu po tej stronie Tamar.

— Bodajbyśmy nigdy nie przekraczały rzeki — bruknęła Carrie.

Deborah obdarzyła mnie uśmiechem wsunęła mi rękę pod ramię i wyszła ze mną na korytarz.

— Musimy znosić humorki Carrie — wyszeptwała. Ona jest na specjalnych prawach. Jest już dobrze posunięta w latach i czasem ją pamięć zawodzi. Pokażę ci kiedyś wszystkie zdjęcia, Favel. Zrobię to z prawdziwą przyjemnością. Muszę też raz jeszcze powtórzyć jak bardzo się cieszę, że tu jesteś.

Odeszłam czując się lekko i przyjemnie. Żywiłam wdzięczność dla Deborah z dwóch powodów, po pierwsze: była dla mnie miła i przyjazna, a po drugie: gdy uzyskałam pewność, iż z okna korytarza spoglądała na mnie żywa osoba. Kobieta z krwi i kości, znów stałam się sobą.

* * *

W Pendorríc był zwyczaj przynoszenia poczty do sypialni wraz z wczesną, poranną herbatą. Dwa dni po przybyciu Deborah, gdy Roc rano przeglądał korespondencję, znalazł list, który skwitował wybuchem śmiechu.

— Przyszedeł! — Zawołał do mnie, do łazienki. Wiedziałem, że przyjdzie!

— Co? — Spytałam, wchodząc do pokoju owinięta w kąpielowy ręcznik.

— List! Z zaproszeniem. Lord Polhorgan pragnie mieć przyjemność gościć u siebie państwo Pendorríców, w środę o piętnastej trzydzieści.

— W środę? To już jutro. Pójdziemy?

— Naturalnie. Mam wielką ochotę pokazać ci Folly.

Nie zaprzętałam sobie głowy zaproszeniem do lorda Polhorgana jako, że daleko bardziej interesowało mnie Pendorríc. Nie podzielałam również niemal złośliwej uciechy, jaką reszta rodziny wydawała się czerpać z drwin z Folly i jego pana. Już kiedyś powiedziałam Rocowi, że jeśli ten przybysz z Manchester, Leeds czy Birmingham zbudował sobie dom na skale, to przecież mu wolno. Jeśli chciał swojej siedzibie nadać wygląd średniowiecznego zamku, to także jego sprawa. Pendorrícowie sprzedali mu ziemię bez przymusu, nie mogą więc dyktować jaki ma zrobić z niej użytek.

Kiedy tego środowego popołudnia wyjeżdżaliśmy z domu, Roc był rozbawiony jakby jakimś sekretnym żartem.

— Nie mogę doczekać się twojej reakcji na widok tego paskudztwa — powiedział mi.

Dla moich niewprawnych oczu budowla wyglądała tak samo jak Pendorríc.

— Wiesz — powiedziałam, gdy zbliżaliśmy się do kamiennych jednorożców strzegących wejścia, podobnie jak nasze, poukruszane lwy — gdybyś mnie nie uprzedził, nie poznałabym, że to nowoczesne rzeźby.

— Poczekaj, aż będziesz miała okazję zobaczyć wszystko z bliska.

Pociągnęliśmy za rączkę dzwonka zabudowanego przy wielkim portyku i usłyszeliśmy jak dźwięczy w holu.

Drzwi otworzył pełen godności służący, który skłoniwszy głowę rzekł z namaszczeniem:

— Dzień dobry panu, dzień dobry pani. Jego lordowska mość oczekuje państwa. Proszę za mną.

Sporo czasu zajęło nam przejście do pomieszczenia, gdzie przebywał gospodarz. Po drodze zauważyłam, że choć dom umeblowano antykami, to jednak kosztowne dywany i zasłony, były współczesne.

Doszliśmy w końcu do dużego pokoju z oknami wychodzącymi na pięknie utrzymany ogród, opadający ku morzu; na szezlongu spoczywał stary człowiek.

— Milordzie, — zaanonsował służący — państwo Pendorrícowie.

— Aha! Wprowadź ich Dawson, wprowadź!

Odwrócił głowę, a baczne spojrzenie jego szarych oczu było dosyć peszące, zwłaszcza, że wzrok utkwiony miał we mnie.

— Miło mi, że zechcieliście państwo przyjść — odezwał się dość szorstko, tak jakby tonem chciał zaprzeczyć słowom. — Pani wybaczy, ale nie mogę wstać na powitanie.

— Proszę nie robić sobie subiekcji — odparłam pospiesznie, podeszłam do niego i ujęłam podaną rękę.

Na policzkach miał lekko sinawe wypieki, a na jego chudych dłoniach wyraźnie odznaczały się nabrzmiałe żyły.

— Proszę usiąść — rzekł gospodarz, wciąż tym samym burkliwym tonem. — Pendorríc, podaj żonie fotel. Przysuń go do mnie, ...tu, do światła.

Pod jego badawczym spojrzeniem poczułam się nieco nieswojo i musiałam nawet stłumić odruch niechęci.

— Jak pani znajduje Kornwalię?

Mówił ostrym, urywanym głosem, jakby wyrzaskiwał rozkazy na placu koszarowym.

— Jestem oczarowana — odparłam.

— Czy podoba się pani tutaj tak samo jak tam, na wyspie?

— O, tak.

— A ja mam tylko ten widok. — Skinął głową w kierunku okna.

— Chyba nigdzie nie znalazłby pan piękniejszego.

Lord spozjrzał na Roca. Byłam świadoma, że wyraz twarzy mojego męża stał się nieco sardoniczny. Nie lubił starca, to było dla mnie jasne, niepokoiłam się tylko, aby tego zbyt wyraźnie nie okazywał.

— Spóźniają się z herbatą. — Gospodarz spozjrzał w kierunku drzwi i zmarszczył brwi. Pomyślałam, że musiał służbie dobrze dawać się we znaki. Już się niecierpliwił, a przecież jeśli nawet nakazał podawać herbatę zaraz po naszym przyjściu, to opóźnienie właściwie było niewielkie, bo byliśmy tu zaledwie trzy, cztery minuty.

I właśnie w tej chwili wtoczono stolik na kółkach. Zastawiony był serwisem do herbaty, różnymi ciasteczkami, pokrojonymi bananami z bitą śmietaną i dżemem, był nawet chleb i masło.

— No, nareszcie! — Wymamrotał lord Polhorgan. — A gdzie siostra Grey?

— Tu jestem. — Jakaś kobieta weszła do środka. Była tak piękna, że aż wstrzymałam na chwilę oddech. Widoczny, błękitny skrawek jej sukni idealnie odpowiadał kolorowi oczu, wykrochmalony fartuch był śnieżnobiały, a czepeczek, upięty niemal kokieteryjnie na masie złotych włosów, zwracał uwagę na ich bogactwo. Nie widziałam nigdy, by komuś było tak bardzo do twarzy w pielęgniarskim kitlu, ale wnet zdałam sobie sprawę, że ta kobieta wyglądałaby olśniewająco w każdym stroju, po prostu dzięki swojej urodzie.

— Dzień dobry — powiedziała.

Roc wstał, gdy się pojawiła, więc nie mogłam dojrzeć jego twarzy, kiedy na nią patrzył.

— Dzień dobry, siostrze. — Odpowiedział na powitanie, a potem zwrócił się do mnie: — Favel, to siostra Grey, pielęgniarka lorda Polhorgana.

— Miło mi panią poznać. — Miała szerokie usta i idealnie kształtne zęby.

— Siostrze, proszę poczęstować panią Pendorrice herbatą — burknął gospodarz.

— Naturalnie. Mamy tu wszystko. Pani Pendorrice, widzę że chce pani siedzieć u boku lorda. Przynę do pani ten stolik. — Zaczęła ustawiać filiżanki, a Roc przeniósł talerz z owocami, śmietankę i dżem na ustawiony przez nią stoliczek.

— Właściwie nie korzystam z usług pielęgniarki cały czas — zagał lord Polhorgan. — Ale jest tutaj, bo może być potrzebna w każdej chwili. Ma wysokie kwalifikacje.

— Na pewno.

— To lekka praca. Dużo wolnego czasu, piękne otoczenie.

— Idealne warunki — odparłam zastanawiając się, jak reaguje siostra Grey na to że lord w jej obecności mówi o niej w trzeciej osobie. Gdy zerknęłam na nią uśmiechała się w najlepsze do Roca.

Podaliśmy naszemu gospodarzowi talerz z pokrojonymi w plasterki bananami. Spostrzegłam jak wolne są jego ruchy, a wyciągnięcie ręki niemal pozbawiło go tchu.

— Czy podać panu także śmietankę i dżem? — Spytałam.

— Mmm — mruknął, co miało oznaczać przyzwolenie. — Dziękuję — dodał później. I jeszcze: — Jaka pani miła. Ale proszę się teraz samej poczęstować.

— Pani nie jest szczęśliwa — zauważył lord Polhorgan w pewnej chwili i wtedy, jakby pod wpływem jakiegoś impulsu, opowiedziałam mu o śmierci mojego ojca. Wysłuchał mnie uważnie, a potem stwierdził:

— Bardzo go pani kochała. A pani matka? Czy także darzyła go takim uczuciem?

Zaczęłam snuć opowieść o naszym życiu na wyspie. O rodzicach, czym byli dla siebie nawzajem, o chorobie matki i o tym jak dali mi odczuć, że muszą korzystać w pełni z każdej radosnej godziny wspólnego życia. Mieli bowiem świadomość, że wkrótce nadejdzie kres ich szczęścia. Mówiłam to wszystko z jakimś wewnętrznym zdziwieniem, że potrafię być taka otwarta, a nawet poufała, z tym gburowatym starcem, którego znam zaledwie od kilku chwil.

Położył mi swoją wychudłą rękę na ramieniu.

— A pani? Czy pani małżeństwo jest udane? — Nagle spytał, rzucając spojrzenie w kierunku Roca, który właśnie zaśmiewał się z czegoś razem z siostrą Grey.

Wahałam się z odpowiedzią o sekundę za długo.

— Pospieszne małżeństwo... słyszałem gdzieś takie powiedzenie: „Co nagle, to po diable” — dodał.

— Spłonęłam rumieńcem.

— Jestem bardzo szczęśliwa w Pendorrice — broniłam się.

— Lubi pani pochopnie działać. To niedobry nawyk. Zawsze się tego wystrzegam. Podejmowanie decyzji, tak... czasem nawet bardzo szybkich, ale zawsze ze stosownym namysłem. Czy przyjdzie pani do mnie jeszcze kiedyś?

— Jeśli będzie pan sobie tego życzył.

— Więc proszę się już uważać za zaproszoną.

— Dziękuję.

— Obiecuję pani chyba tylko z grzeczności.

— Ależ, nie! Skądże znowu! Pokręcił głową.

— Na pewno znajdzie pani jakąś wymówkę; coś ważnego do załatwienia, jakieś spotkanie...

Przecież jakąż przyjemność znajdowałaby taka młoda kobieta jak pani, w odwiedzinach u chorego starucha?

— Ależ ja naprawdę chcę znów pana zobaczyć!

— Ma pani miękkie serduszko, ale taka życzliwość nie zawsze ma głębsze korzenie. Nie chce pani urazić chorego człowieka... no to pani czasem wpadnie — z obowiązku i ukrywając znudzenie. Tak to będzie, do kroćset!

— Wcale nie! Przecież tak dobrze nam się rozmawia. Tyle spraw pana interesuje. Poza tym nie obejrzałam jeszcze domu.

— Okropnie wulgarny, co? Dom starego człowieka, który w ten sposób chciał sobie kupić iluzję przeszłości. Nie jest w guście artystokratów, mówię to pani.

— A co w tym złego, że ludzie chcą sobie stworzyć to, czego bardzo pragną? Chociażby fikcję przeszłości?

— Posłuchaj, młoda niewiasto. Masz rację. To istotnie nic złego i nie ma powodu, by ktoś nie mógł osiągnąć tego, czego bardzo pożąda. Na tym padole każdy ma to, na co sobie zasłużył. Ja pragnęłam zdobyć pieniądze i mam je. Zechciałam mieć tradycyjny zamek... cóż, mam i zamek. W swoim życiu trzeba marzyć. Jeśli będziesz uparcie dążyć do celu, zawsze go osiągniesz. Da się kupić wszystko, co można dostać za pieniądze, a jeśli takie plany się nie powiedą, to — może mi pani wierzyć — wina spada na gdzieś po drodze popełniony błąd, nic więcej.

— Ma pan chyba rację.

— Chciałbym, by pani odwiedziła mnie znowu, nawet jeśli panią nudzę. Być może to się zmieni, stanę się dla pani bardziej interesujący, po pewnym czasie... kiedy się lepiej poznamy.

— Ależ, przecież nawet nie zaczęłam się jeszcze nudzić! Lord Polhorgan ścisnął i rozwierał pięści marszcząc brwi.

— Jestem już stary... powolny chorobą... do której — jak mówią — sam się doprowadziłem, wiodąc takie nerwowe życie. Tu jestem zbyt wyeksploatowany — klepnął się w pierś z lewej strony — i teraz za to płacę. Cóż trudno, całe życie jest spłacaniem rachunków i pobieraniem dywidend. Nie stanowią wyjątku. Jestem gotów na wszystko.

— Widzę, że ma pan swoją życiową filozofię.

— Czy gra pani w szachy?

— Tak, nauczyła mnie mama.

— Mama?

— Uczyła mnie również pisania, czytania i rachunków, Zanim wysłano mnie do szkoły, do Anglii.

— Sądzę, że była pani jej oczkiem w głowie.

— Byłam jedynaczką.

— Tak — rzekł poważnie. — Cóż więc, jeśli czasami zagramy w szachy, to może pani nie znudzą tak moje wysiłki w sztuce prowadzenia konwersacji. Kiedy pani przyjdzie?

Zastanowiłam się krótko.

— Pojutrze.

— Świetnie. Na herbatę?

— Tak, ale proszę nie wmuszać we mnie tyle słodyczy, bo przytyję za bardzo.

— Jest pani wiotka jak sylfida. — Spojrzał na mnie i w oczach miał jakąś dziwną czułość.

Podeszła do nas siostra Grey z talerzem ciastek i zauważyłam, że oczy pielęgniarki są bardziej błyszczące, a na policzkach jej wykwitł delikatny, bladoróżowy rumieniec.

Pomyślałam z niepokojem, że ma to coś wspólnego z Rokiem i od razu przyszła mi na myśl Rachela Bactive oraz żona młodego kowala, Dinah Bond.

Później rozmawialiśmy o wszystkim, a po godzinie pożegnaliśmy pana domu.

Gdy wracaliśmy niespiesznie do Pendorrice, Roc był najwyraźniej w doskonałym humorze.

— No, no, następna konkietka! * Zawojowałaś starego ze szczętem! Nigdy przedtem nie był dla nikogo taki łaskawy.

— Biedny staruszek, chyba ludzie nie próbują go zrozumieć.

— Nie muszą — odpowiedział Roc. On ma charakter tak prosty do odczytania jak pierwsze litery alfabetu. Jest typem człowieka, który wykreował samego siebie — wzór jak z podręcznika. Są tacy ludzie, jakby powieleni ze starej sztancy. Sami decydują, jakimi chcą być i tak długo wcielają się w rolę, aż staje się ona ich drugą naturą. Oto dlaczego mamy na tym świecie tak wiele typów podobnych charakterów. — Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. — Nie wierzysz mi? Więc spójrz na lorda P. Zaczął od sprzedawania gazet... a może nie były to gazety... w każdym razie coś w tym stylu. Chodzi o zasadę, a nie szczegóły. Nigdy nie trwonił pieniędzy, ciułał grosz do grosza aż uskładał kapitał, z którym mógł rozpocząć jakiś interes. Kiedy dobijał do trzydziestki, koniunktura i własny spryt pomogły mu zbić już pewną fortunę i był na najlepszej drodze do stania się milionerem. Wszystko by było bardzo dobrze, tylko że niestety nie mógł zostać sobą... musiał stać się jednym z wielu tych, którzy się sami ukształtowali. W swym ciężkim życiu nabawił się szorstkich manier, które przyłgnęły do niego jak druga skóra. Weź pod uwagę jego agresywne: „Powstałem z niczego i jestem z tego dumny!” Taki nie będzie się trudził zwykłymi konwenansami przyjętymi w towarzystwie. „Dlaczego ja mam się zmieniać? Dobrze mi być takim, jakim jestem!”. Och, wcale nie muszę próbować zrozumieć lorda P. Nie mogłby być bardziej przejrzysty dla mnie, nawet gdyby był ze szkła.

— Nie możesz mu wybaczyć wybudowania tego domu.

— Możliwe. — Roc wzruszył ramionami. — To fałszerstwo; nie znoszę oszustw. Przypuśćmy, że wszyscy tacy dorobkiewiczcy wybudują podobne przybytki wzdłuż całego naszego wybrzeża. Cóż to byłby za widok! Koszmar! Jestem stanowczo przeciwny fałsyfikatom, a zbudowanie czegoś takiego, niemal u progu naszego domu, jest przeciągnięciem struny. Budowla Polhorgana, to jego Folly, będzie na naszym wybrzeżu zawsze tworem obcym szczególnie na tle takich autentyków jak Pendorrice, Mout Mellyn, Mout Widden, Cotehele i tym podobnych... tak samo zresztą jak jego właściciele ze swymi manierami ze Środkowej Angli, mający czelność nazywania siebie lordem Polhorganem. Tak jakby przedrostki Tre, Pol i Pen w nazwiskach, nie należały od wieków do rdzennych Kornwalijszczyków!

— Ależ jesteś porywczy! — Orzekłam i usiłując przybrać niedbały ton dodałam: a jeśli już mowa o konkietach, to jak oceniasz swoją?

— Masz na myśli Theę? — Odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

— Tak ją nazywasz?

— Moja droga, ona tak ma na imię. Althea Grey — Dla przyjaciół: Thea.

— Do których ty się zaliczasz...

— Naturalnie. Ty też będziesz z nią na dobrej stopie, zobaczysz. A co do mojej konkiety, to sprawa już przedawniona. Thea jest tutaj od osiemnastu miesięcy.

Potem otoczył mnie ramieniem i zaczął przyśpiewywać:

* konkietka — sukces w zalotach, podbój w serca, w tym ujęciu zdobycie czyjejś sympatii.

*Gdy poznasz kogoś na Tre, Pol i Pen
— choćby i nieurodziwy,
Możesz mieć pewność, że osobnik ten
to Kornwalijszyk prawdziwy.*

Odetchnął i dalej śpiewał ze śmiechem:

*Niestety poprawki pominąć nie mogę,
tak bowiem teraz, jak również przed laty —
Niech to, co powiem służy za przestrożę:
może się zdarzyć też intruz bogaty.*

— Oj, coś mi się wydaje, że z tych „intruzów” to wolisz pielęgniarkę, a nie chorego staruszka. Moja uwaga wywołała w oczach Roca figlarne błyski.

— Dokładnie odwrotnie niż ty — powiedział. — I dlatego właśnie nasza wizyta była taka udana. Ja zająłem się pielęgniarką, a ty bez reszty mogłaś poświęcić się naszemu gospodarzowi.

* * *

Dwa dni później, zgodnie z obietnicą, wybrałam się na szachy do lorda Polhorgana. Kiedy wróciłam, oznajmiłam Rocowi nieco wyzywająco, że polubiłam staruszka nawet bardziej niż za pierwszym razem. Wyglądało na to, że moje oświadczenie bardzo go rozbawiło, lecz nie osłabiło mojej przyjemności wyniesionej z wizyty. Siostra Grey była wtedy nieobecna, więc ja nalewałam herbatę. Chory gospodarz ucieszył się bardzo, gdy wygrał partię, ale zerkał na mnie podejrzliwie i wreszcie zapytał:

— Nie dała mi pani umyślnie wygrać, co? Po to, żeby sprawić staremu przyjemność?

Moja odpowiedź, że robiłam wszystko, aby go pobić, wydała się go uradować. Zanim się pożegnałam, obiecałam wpaść wkrótce, aby rozegrać rewanż.

Zaczęłam się też zadomawiać w Pendorrice. Pomagałam Morwennie w ogrodzie i ogromnie lubiłam pogawędki przy tej okazji.

— To pożyteczne hobby, — mówiła moja szwagierka — zwłaszcza teraz, gdy nie mamy tyle służby co kiedyś. Za życia ojca mieliśmy czterech ogrodników, a obecnie tylko Bill Pascoe przychodzi trzy razy w tygodniu no i Tom czasem coś zrobi, jeśli ma wolny czas. Roc i ja zawsze lubiliśmy rośliny.

— Lecz teraz Roc nie zajmuje się wiele ogrodem — wtrąciłam.

— Cóż, większość czasu pochłania mu farma. Razem z Charlesem ciężko pracują. Przykucnęła i uśmiechała się lekko. — Cieszę się, że tak dobrze układa im się współpraca i oczywiście dlatego, iż to tacy wspaniali mężczyźni. Jestem szczęśliwa, bo mam ich obu przy sobie.

— Wiem, co masz na myśli — odparłam poważnie. — Obie mamy szczęście.

Charles odnosił się do mnie bardzo przyjaźnie, na swój prosty, bezpretensjonalny sposób i lubiłam jego dobroduszny urok. Gdy po raz pierwszy Roc zabrał mnie na obchód majątku, zauważyłam od razu, jak Charles liczy się ze zdaniem Roca i nabrałam do mojego szwagra jeszcze więcej sympatii.

Przekonałam się nawet do Racheli Bective i robiłam sobie wyrzuty za zbyt pochopny osąd tylko dlatego, że w jej wyblakłym wyglądzie dopatrywałam się jakiejś przebiegłości.

Kiedyś, gdy wyszliśmy razem na przechadzkę, opowiedziała mi nieco o sobie. O tym jak poznała Morwennę jeszcze w szkole i jak pierwszy raz przyjechała na lato do Pendorric. Odtąd bywała tu często. Ze względu na swą sytuację materialną musiała zarabiać na utrzymanie; wybrała zawód nauczycielki. Teraz została tu na rok i podjęła się edukacji bliźniaczek wiedząc, jak trudnym problemem było dla matki zorganizowanie nauki dziewczynkom.

Same bliźniaczki miały zwyczaj pojawiania się w najmniej spodziewanych momentach i wydawało się, że czerpią osobliwą przyjemność z tego by wyskakiwać nagle z ukrycia i straszyc mnie.

Lówellła wciąż nazywała mnie „Małżonką”, co było zabawne tylko na początku. Hyson miała zwyczaj w milczeniu wlepiac we mnie wzrok, a to także zaczęło mnie irytować.

Deborah, na równi z innymi najwyraźniej starała się sprawić, abym w Pendorric czuła się jak u siebie w domu. Mawiała, że pragnie być i dla mnie matką, bo Roca zawsze traktowała jak własnego syna. Pewnego popołudnia, kiedy siedziałam na dziedzińcu, poczułam się dziwnie obserwowana. Chciałam otrząsnąć się z tego wrażenia, które często prześladowało mnie w tym miejscu. Spojrzałam na zachodnie skrzydło domu, gdzie widziałam Deborah w dniu jej przybycia z wewnętrznym przekonaniem, że i teraz tam ją zobaczę.

Wpatrywałam się kilka sekund w przesłonięte firankami okna, a potem odwróciłam się i rzuciłam okiem na skrzydło wschodnie. Byłam pewna, że coś tam się ruszało.

Pomachałam ręką, lecz nie doczekałam się odpowiedzi.

Dziesięć minut później na dziedzińcu wyszła Deborah.

— Widać podoba ci się to miejsce — zagadnęła mnie, przysuwając sobie bliżej białe krzeselko.

— Moje uczucia do tego miejsca są raczej mieszane — odparłam szczerze. — Ono mnie fascynuje, ale równocześnie nigdy nie czuję się tu całkiem swobodnie.

— Dlaczego?

— Sądzę, że to przez te wszystkie okna. — Obejrzałam się przez ramię.

— Ja zaś zawsze żałowałam, iż tylko okna korytarza wychodzą na dziedzińiec. Tu jest tak pięknie i ten widok byłby doskonałym kontrastem dla morskiej panoramy, rozciągającej się od południa do zachodu.

— A mnie te okna niepokoją. Odbierają mi poczucie prywatności. Deborah roześmiała się.

— Więc pomimo tego, że mówisz o swoim rozsądku, jesteś dziewczyną o bujnej wyobraźni.

— Ależ nie, naprawdę nie jestem. Deborah, czy przed chwilą byłaś we wschodnim skrzydle?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Jestem pewna, że ktoś stamtąd wyglądał przez okno.

— Nie sądzę, moja droga. Nie z tego skrzydła. Tamte pokoje obecnie nie są używane. Meble zasłonięto ochronnymi pokrowcami wszędzie... z wyjątkiem jej pokoi.

— Jej? Kogo?

— Barbariny. Zawsze lubiła wschodnią część domu. Nie podzielała niechęci innych do budowli Polhorgana. Pozostali nie mogli ścierpieć tego widoku, a ona tu urządziła sobie muzyczny pokój. Stwierdziła, że to idealne miejsce, może bowiem tutaj ćwiczyć do woli nie przeszkadzając nikomu.

— A może widziałam tam jedną z bliźniaczek?

— To możliwe. Służba bywa tam rzadko. Jedynie Carrie sprząta w pokojach Barbariny i wpada w złość, kiedy ktoś inny chce ją w tym wyręczyć. Ale powinnaś zobaczyć te pomieszczenia, bo przecież musisz poznać cały dom. Jesteś tu teraz nową panią.

— Bardzo chciałabym je zobaczyć.

— Więc chodźmy zaraz.

Wstałam ochoczo. Wzięła mnie za rękę i przemierzając dziedzińiec poszliśmy do wschodniego skrzydła. Deborah wyglądała na podnieconą perspektywą oprowadzenia mnie po tej części domu.

* * *

Zamknęły się drzwi za nami, a kiedy minęłyśmy krótki przedsionek wiodący do holu, uderzyła mnie panująca tu cisza. Zareagowałam jakimś wewnętrznym napięciem. Mówiłam sobie, że to skutek nastroju, któremu uległam na dziedzińcu, bo przecież spokój królujący w nie zamieszkanym skrzydle nie jest niczym niezwykłym. Czemużby miał dziwić mnie czy przerażać?

— Służba opowiada, że teraz straszy w tej części domu — przerwała milczenie Deborah.

— To Barbarina ma być tym błakającym się duchem? — Spytałam.

— Znasz już więc tę opowieść? Lowella Pendorric nawiedzała rzekomo to miejsce do czasu, aż została zastąpiona przez Barbarinę. Wiedz, moja droga, że to typowo kornwalijski przypadek. Całe szczęście, że ja urodziłam się po tamtej stronie Tamar. Nie wyobrażam sobie, bym mogła się stale spoufalać ze strachami, duchami i wszystkimi tymi nadprzyrodzonymi zjawiskami, na które można się w tej krainie natknąć w nocy.

Rozejrzałam się wokół; ten hol był niemal dokładną repliką pozostałych. Ściany obwieszone były różnorakim orężem, na bocznym stole poustawiano dawne cynowe naczynia, a u stóp schodów pyszniły się zbroje. Jedynie obrazy na ścianach galerii były oczywiście inne, oglądałam nieznanne malowidła wchodząc do góry po schodach.

Doszłyśmy do korytarza na piętrze i wyjrzałam na dziedziniec z kilku okien, zastanawiając się, w którym dostrzegłam poruszenie.

— Pokoje Barby były na drugim piętrze — Deborah udzielała mi wyjaśnień. — Po jej ślubie zazwyczaj tu się zatrzymywałam. Widzisz, przez całe nasze dzieciństwo i młodość byliśmy niemal nierozłączni i Barby nie chciała, by jej małżeństwo nas rozdzieliło. To miejsce stało się więc dla mnie drugim domem. Spędzałam tu prawie tyle czasu co w Devonshire.

Na drugim piętrze Deborah, otwierając kolejno drzwi, prezentowała mi pokoje z meblami w pokrowcach. Wyglądały widmowo i wywierały ponure wrażenie, zwykłe dla takich opuszczonych pomieszczeń w dużych i wymarłych domach.

Deborah spojrzała na mnie z uśmiechem i zgadłam, że czyta w moich myślach. Może stara się udowodnić, iż nie jestem taka odporna na kornwalijskie przesady, jak chciałabym, by sądzono.

— A oto pokój muzyczny — wyjaśniła, otwierając drzwi.

Na meblach nie było pokrowców. Ogromne okna ukazywały panoramę wybrzeża, z Polhorgan wznoszącym się majestatycznie na skale. Ale tym razem nie widok z okna przykuł moje spojrzenie. Najbardziej uderzyło mnie to, że pokój wyglądał na zamieszkały. W rogu, na niewielkim podium, stał pulpit z otwartym arkuszem nut, na krześle obok leżały skrzypce, w takiej pozycji, jakby ktoś dopiero przed chwilą tam je położył, a opodal na stole spoczywał otwarty futerał.

— Czy tutaj jest wszystko tak samo, jak w dniu jej śmierci? — Spytałam.

Deborah potakująco kiwnęła głową.

— Niemądry zwyczaj, ale niektórzy czerpią z tego pociechę. Od początku nikt z nas nie kwapił się, aby coś zmieniać. Carrie tu sprząta i kładzie te rzeczy dokładnie tak jak leżały. W żaden sposób nie można jej było tego wyperswadować i dlatego pozostawiono wszystko na swoim miejscu. Nie muszę ci chyba mówić, jak Carrie oddana była Barbarinie.

— Tobie także, Deborah.

— Tak, mnie również, — Deborah uśmiechnęła się — lecz Barbarina była jej ulubienicą.

— Czy jako bliźniaczki byłyście bardzo podobne do siebie?

— Identyczne, jak Lowella i Hyson. W dzieciństwie byliśmy nie do odróżnienia, później zaczęły kształtować się różnice charakterów. Ona była wesoła i dowcipna, a ja raczej poważna i

mniej rozgarnięta. Wygląd ten sam, ale inne cechy. To samo zaczyna się już w przypadku Hyson i Lowelli. Tylko kiedy śpią, nie można ich rozpoznać. Tak więc, jak mówiłam, Barbarina miała takie usposobienie, że była pupilką wszystkich...

— Czy czułaś się dotknięta i miałaś jej to za złe?

— Mieć za złe?! Barbarinie?! Uwielbiałam ją wraz ze wszystkimi. Nigdy nie miała gorliwszej adoratorce. Kiedy ją wychwalano, czułam się szczęśliwa. Tak czasem jest z bliźniakami; potrafią dzielić sukcesy i klęski pełniej i mocniej niż zwykli ludzie.

— I ty tego doświadczyłaś?

— Oczywiście. Szkoda, że nie znałaś Barbariny. Była wspaniała i była tym wszystkim, czym ja chciałam być. Wyglądała jak ja i była moją bliźniaczą siostrą, więc napawało mnie to w dzieciństwie radością i zgadzałam się z tym.

— Jej zamążpójście musiało być dla ciebie ciosem.

— Nawet po jej ślubie nie rozłączyłyśmy się na dłużej, niż było to konieczne. Część czasu spędzałam w Devonshire ze względu na ojca, który wymagał opieki. Matka nam umarła, gdy miałyśmy po piętnaście lat, a ojciec właściwie nigdy nie doszedł do siebie po tym nieszczęściu. Ale kiedy tylko mogłam, przebywałam w Pendorric. Barbarina zawsze cieszyła się z mojej obecności. Właściwie nie wiem, co by zrobiła... — Zawahała się i odniosłam wrażenie, że jest o włos od tego, żeby mi się zwierzyć, ale wzruszyła tylko ramionami i najwyraźniej zmieniła zamiar.

Lecz w tym pokoju, bardziej niż gdziekolwiek, pragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej o Barbarinie. Byłam — choć jeszcze na tym etapie nawet sama przed sobą nie przyznawałam się do tego — coraz bardziej zaintrygowana historią kobiety, która bezpośrednio poprzedzała mnie w roli Małżonki z Pendorric.

— Czy jej małżeństwo było szczęśliwe? — Spytałam.

Deborah odwróciła się i podeszła do okna. Zmieszła się, zdając sobie raptem sprawę, że moje pytanie nie było zbyt taktowne. Zbliżyłam się do niej i położyłam jej rękę na ramieniu.

— Przepraszam, Deborah. Jestem zbyt wścibska.

Gdy znów znalazłyśmy się twarzą w twarz, spostrzegłam jakie błyszczące stały się naraz jej oczy. Pokręciła głową i zmusiła się do uśmiechu.

— Nie musisz przepraszać. To naturalne, że jesteś ciekawa. Przecież teraz jesteś jedną z nas, czyż nie? Nie widzę powodu, byśmy rodzinne problemy trzymali przed tobą w sekrecie. Chodź, opowiem ci o wszystkim.

Usiadłyśmy przy oknie z widokiem na brzeg morza w kierunku Ramę Head i Plymouth. Z szarej masy wody wystawał ciemną bryłą ląd i mogło się wydawać, że to jakiś olbrzym położył się tam na wznak. Odpływ odsłonił wierzchołki poszarpanych, ostrych raf. Wpatrzyłam się w bryłę Polhorgan, którego szare ściany miały dziś kolor morza.

— Między Hysonami a Pendorricami było jakieś dalekie pokrewieństwo — zaczęła Deborah. — Piąta woda po kieselu, powiadają, ale ja i siostra znałyśmy Petroca od dzieciństwa. Oczywiście nie chodzi mi o twojego Roca, lecz jego ojca, męża Barbariny. Jako chłopiec często do nas przyjeżdżał. Był od nas o rok starszy.

— Roc jest podobny do ojca, prawda?

— Tak bardzo, iż czasem, gdy nagle na niego spojrzę myślę zaskoczona przez moment, że to powrócił Petroc.

— Mówisz o wyglądzie, czy tak?

— Och... nie tylko. Ma ten sam głos... gesty... sposób bycia... wszystko. W tej rodzinie regułą jest dziedziczenie podobieństwa w linii męskiej. Wysłuchałam najróżniejszych historii i opowieści o ojcu Petroca — znów inny Petroc! — a wszystkie mogły z powodzeniem dotyczyć jego syna. Barbarina zakochała się w Petrocu, gdy miała siedem lat. W tym stanie pozostała aż do śmierci.

— Musiała być bardzo szczęśliwa, że go poślubiła.

— Do szaleństwa. Aż się o nią obawiałam. Moim zdaniem za bardzo traciła dla niego głowę.

— A on?

Deborah uśmiechnęła się zadumana.

— Petroc zbyt lubił kobiety, by ograniczyć się do jednego głębokiego afektu. Zawsze tak mi się wydawało i chyba tak było. Ostrzegałam przed tym siostrę, ale ona, oczywiście, nie chciała mnie słuchać.

Zapadło chwilowe milczenie.

— W Dartmoor odbywałyśmy regularne konne przejażdżki. Mieszkałyśmy wśród wrzosowisk, to wiesz. Musisz przyjechać i zobaczyć naszą okolicę. Jest tam cudownie — jeśli ktoś lubi tego rodzaju widoki. Z naszego ogrodu wychodziło się wprost na wrzosowisko. Pewnego razu wyjechałyśmy z Petrokiem i on z Barbariną tam zabłądzili. Podniosła się mgła, a kiedy wszystko tonie w oparach każdy, choćby był przeświadczony, że doskonale zna te miejsca, łatwo traci orientację i czuje się bezradny. Z reguły chodzi wciąż w kółko. Tak, mgła na wrzosowisku to raczej niemiłe zjawisko. Mnie wtedy udało się znaleźć drogę do domu, ale pni zjawili się dopiero następnego dnia. Okazało się, że schronili się w jakimś szałasie, na który natknęli się przypadkowo, a Petroc, jakby przewidywał jakieś kłopoty, był niezłe zaopatrzonej w czekoladę. Czasem zastanawiałam się, czy tego z góry nie zaplanował.

— Czemu miałyby to robić właśnie w taki sposób? Przecież, jeśli Barbarina była w nim zakochana, mógł z nią... mógłby... w bardziej komfortowych warunkach.

Deborah znów zamilkła na chwilę. Później westchnęła i ciągnęła:

— Kochał jakąś miejscową dziewczynę, której podobno nawet obiecywał małżeństwo. Była córką zwykłego farmera. Oczywiście jego rodzice życzyli sobie, by ożenił się z jedną z nas. Hysonowie to znany ród i nasz ojciec był zamożny, a w Pendorric rozpaczliwie potrzebowano pieniędzy. Barbarinę doszły słuchy o matrymonialnych zamiarach Petroca. Była głęboko nieszczęśliwa, ponieważ wiedziała, że rodzinna siedziba ma dla niego ogromne znaczenie. Domyślała się więc, że skoro decydował się na małżeństwo, które nie mogło mu przynieść żadnych finansowych korzyści, musiał bardzo tamtą kochać. Petroc zawsze ogromnie lubił Barbarinę; ożenek z nią nie byłby dla niego zbyt dużym ciężarem... gdyby nie ta ślepa miłość. To taki typ mężczyzny, który potrafi zawrócić w głowie każdej kobiecie... Cóż, wiesz coś chyba o tym.

Z zażenowaniem kiwnęłam głową.

— Czy rodzina Pendorriców była wtedy bardzo biedna?

— Niezupełnie, lecz znacznie poniżej ich wymagań. Interesy nie szły dobrze, dom wymagał kosztownych remontów, a w dodatku Petroc grał ryzykownie, mając nadzieję w ten sposób odzyskać fortunę.

— A więc był hazardzistą?

— Tak samo jak jego ojciec — powiedziała Deborah.

— A co się stało po tej nocy na wrzosowisku?

— Myślę, że Petroc zdecydował się jednak poślubić Barbarinę. Sprawa domu okazała się dlań najważniejsza i uległ naciskowi najbliższych. Nie mógł tego otwarcie wyznać Barbarinie, a jednocześnie nie chciał brnąć w kłamstwa. Tak więc zgubił się z nią na wrzosowisku, uwiódł ją... i wszystko się uprościło.

— To jej opinia?

— Moja droga, Barbarina nie musiała mi nic mówić. Byłyśmy sobie tak bliskie, jak tylko jest to możliwe między dwoma nierozłącznymi siostrami. Podczas długich miesięcy jej ciąży, czułam się, jakbym naprawdę była nią. Dokładnie wiedziałam, co wtedy się zdarzyło i dlaczego.

— Czy małżeństwo przyniosło jej szczęście?

— A jak myślisz? Petroc nie mógł być wiernym mężem. Nie leżało to w jego naturze — pod tym względem też wdał się w ojca. Znów zaczął widywać się z córką farmera. Wzbudził głośny skandal. Ale na tym nie poprzestał. Jego imię było łączone i z innymi kobietami. Tak jak i jego ojciec, Petroc nie potrafił pozostać obojętnym na wdzięki niewieście i nie przepuszczał okazji. A swoją drogą, kobiety także nie mogły mu się oprzeć. Myślałam, że po urodzeniu Roca i Morweny, Barbarina przestanie się gryźć wybrykami męża i rzeczywiście przez jakiś czas to skutkowało. Miałam nadzieję, że będzie miała więcej dzieci i im poświęci swoje uczucie.

— Zawiodłaś się na niej?

— Nie zrozum mnie źle. Barbarina była dobrą matką, ale należała do tych kobiet, które nie potrafią przymknąć oka na zdrady męża i kompletnie oddać się wychowaniu dzieci. Petroc znaczył dla niej zbyt dużo, żeby go mogła ignorować.

— Czy czuła się bardzo nieszczęśliwa?

— Chyba potrafisz sobie wyobrazić jej sytuację. Wrażliwa kobieta... w otoczeniu takim jak to... niewierny mąż, który nie robi sekretu ze swego wiarołomstwa. Petroc nawet nie usiłował niczego ukrywać! Nigdy nie udawał kogoś innego niż był — a był lekkomyślnym graczem i uwodzicielem. Przyjął taką postawę: mam charakter odziedziczony po przodkach i nic na to nie poradzę.

— Biedna Barbarina — wyszeptałam.

— Przyjeżdżałam tu do niej tak często jak mogłam, a po śmierci ojca prawie osiadłam w Pendorric na stałe. Właśnie dzięki moim staraniom, znów zajęła się muzyką. Wierzę głęboko, że w innych okolicznościach została by koncertową skrzypaczką. Naprawdę była w tym bardzo dobra. Ale nigdy nie ćwiczyła dostatecznie dużo. Jednakże czerpała z muzyki wiele radości, szczególnie pod koniec. Istotnie była utalentowana. Pamiętam czasy, gdy jeszcze chodziłyśmy do szkoły... mogłyśmy wtedy mieć jakieś czternaście lat... występowałyśmy w szkolnym przedstawieniu. To był „Hamlet” i ona grała Ofelię. Ta rola pozwoliła jej rozwinąć skrzydła. Ja byłam Duchem. To ostateczna granica moich możliwości i oczywiście wypadłam bardzo słabo. Lecz Barbarinę okrzyknięto gwiazdą.

— Mogę ją sobie wyobrazić — sądząc z portretu. Szczególnie z tego, który wisi w galerii.

— O tak, na nim Barbarina wygląda jak żywa. Czasem, gdy na nią patrzę, wydaje mi się, że zaraz opuści ramy obrazu i przemówi do mnie.

— Właśnie. Dla mnie ten wizerunek ma w sobie coś ogromnie realistycznego. Malarz musiał być znakomitym artystą.

— Ten obraz został namalowany jakiś rok przed jej śmiercią. Wtedy upodobała sobie konną jazdę. Prawdę mówiąc, w tych jej upodobaniach kryło się coś gorączkowego. Oddawała się bowiem całą duszą bądź muzyce, bądź przejażdżkom konnym lub wynajdywała jeszcze coś innego. Bardzo ładnie wyglądała w stroju do konnej jazdy i w nim kazała się namalować. Jakie to smutne, że — jak Ofelia — musiała młodo umrzeć. Szkoda, że nie słyszałaś, jak śpiewała na przedstawieniu. Miała ciekawy głos... intonowała nieco odmiennie, a to szczególnie pasowało do tekstu i postaci Ofelii. Pamiętam, jak w czasie spektaklu widownia zamarła w oczekiwaniu, gdy Barbarina, w zwiewnej białej sukni i z kwiatami we włosach i dłoniach pojawiła się na scenie.

Nie potrafię śpiewać, ale pamiętam tę pieśń, brzmiała jakoś tak:

*Stoi mi przed oczyma
Jedyny mój:
Sandaly, kij pielgrzyma,
Podróżny strój.
Umarł i już go nie ma,*

*Zapadł się w grób,
W głowach wilgotna ziemia,
Kamień u stóp**

Wymruczała te słowa niskim, monotonnym głosem, a potem błysnęła do mnie uśmiechem.

— Szkoda, że nie potrafię tego odtworzyć. Było w tym coś takiego, że człowiek odczuwał wewnętrzne drżenie. Po występie ta pieśń stała się jej ulubioną, a później doszła jeszcze jedna zwrotka, której zabrakło wtedy w szkole.

*Wdział prędko szatki i drzwi do chatki
Rozwarł przed swą jedyną;
Dziewczyna słodka weszła do środka,
Ale nie wyszła dziewczyną.*

— Gdy to śpiewała, zawsze na jej wargach błąkał się dziwny, lekki uśmieszek, a ja wiedziałam, że ma on coś wspólnego z tamtą nocą na wrzosowisku.

— Biedna Barbarina!

Deborah zacisnęła pięści jakby w nagłym gniewie.

— A tak chciała być szczęśliwa! Nie widziałam nigdy nikogo tak spragnionego szczęścia. Gdyby Petroc spełnił jej oczekiwania... gdyby... Ale co właściwie jest dobre dla człowieka? Czy kiedykolwiek to życie jest takie, jakie ktoś sobie wymarzył?! A wreszcie, to wszystko zdarzyło się już tak dawno!

— Słyszałam, że balustrada była nadwątlona i Barbarina spadła z galerii.

— Niefortunnie się stało, gdyż wydarzyło się to tam, gdzie wisi portret Lowelli Pendorríc. To był powód tego całego gadania.

— I to ożywiło legendę.

— Nie musiała być ożywiona. Tutejsi ludzie zawsze twierdzili, że w Pendorríc straszy Lowella.

— A teraz mówią, że Barbarina zajęła jej miejsce. Deborah roześmiała się obejrzała przez ramię.

— Choć zawsze ignoruję takie opowieści, jednak czasami przyznaję, że gdy mieszkam w tym domu, jestem bardziej skłonna dać temu wiarę.

— Och Deborah! To chyba sprawia atmosfera takich, starych domostw. Sprzęty stoją tu często dokładnie w tym samym miejscu co sto lat temu lub dawniej. Człowiek nie może obronić się przed myślą, że wewnątrz wygląda niemal dokładnie tak samo jak oglądane oczyma Lowelli, nazywanej Pierwszą Małżonką.

— Ach jakbym chciała, żeby Barbarina mogła naprawdę tu powrócić! Zawołała namiętnie Deborah. — Co ja bym dała, żeby zobaczyć ją znowu! — Wstała. — Chodźmy się przejść. Siedzenie w tym pokoju prowadzi do niezdrowych rozmów. Musimy wziąć płaszcze przeciwdeszczowe. Spójrz na te chmury. Zaczęło też wiać z południowego zachodu i deszcz wisi w powietrzu.

Zgodziłam się z radością. Deborah poszła do mego pokoju i czekała, aż się przebiorę; potem przeszliśmy do jej mieszkania. Mijając północną galerię zatrzymałyśmy się przed portretem Lowelli Pendorríc.

— Tutaj spadła Barbarina — pokazała mi Deborah. — Spójrz, widać gdzie balustrada została wstawiona. Tamta była chyba zjedzona przez korniki i powinna być wymieniona już dawno.

* „Hamlet” — W. Szekspir. Przekład: S. Barańczak — przyp. tłum.

Prawdę mówiąc wszystko tutaj podziurawione jest przez korniki. Remont jest nieunikniony i będzie musiał kosztować fortunę.

Spojrzałam na namalowaną twarz Lowelli i pomyślałam z tryumfem: A jednak Roc nie jest taki jak ojciec i dziadek — hazardziści i bałamuci. Gdyby to on był na ojca miejscu, ożeniłby się z córką farmera tak jak poślubił mnie — cóż mu bowiem przyniosłam w posagu? Nic. Po dziesięciu minutach spacerowałyśmy po ścieżce wiodącej wzdłuż stromego brzegu, a wiatr od morza niosący morskie zapachy owiewał lekko nasze twarze.

Nie chciałam wieść bezczynnego życia. Na wyspie zawsze miałam coś do roboty. Prowadziłam ojcu dom, a także doglądałam interesów, związanych ze sprzedażą jego prac. Oświadczyłam Rocowi, że chciałabym mieć jakieś zajęcie.

— Możesz zejść do kuchni i uciąć sobie pogawędkę z panią Penhalligan. Ona będzie wysoko sobie cenić twoje zainteresowanie jesteś przecież panią tego domu.

— Dobrze — zgodziłam się — mówiłeś, że Morwenna nie ma nic przeciwko temu, bym przeprowadziła jakieś zmiany?

— Objął mnie i przytulił.

— Czyż nie jesteś — powtarzam — panią tego domu?

— Och, Roc, taka jestem szczęśliwa! Nie sądziłam, że będzie to możliwe tak krótko po...

Pocałunek Roca stłumił ostatnie słowa.

— A nie mówiłem ci? A wracając do twoich zamiarów — jako pani Pendorrice powinnaś przejawiać zainteresowanie sprawami wieśniaków. Oni tego od ciebie oczekują, jak już chyba dowiedziałaś się w czasie wizyty u Darków. Mówię ci, Favel, po paru tygodniach nie będziesz narzekać na brak pracy, ale na jej nadmiar.

— Sądzę, że rozpocznę od tego, iż wejdę w komitwę z panią Penhalligan, a może wpadnę też do Darków. Ale, dziś po południu obiecałam wypić herbatę z lordem Polhorganem.

— Co? Znowu?! Ty naprawdę polubiłaś starego! »i

— Tak — odparłam niemal wyzywającym tonem.

— A więc baw się dobrze.

— Dziękuję. Na pewno wrócę zadowolona.

Roc przyglądał mi się uśmiechając się po swojemu.

— Zdaje się, że rzeczywiście świetnie sobie z nim radzisz.

— Dla mnie to stary, samotny człowiek i ma w sobie jakby coś z ojca.

Uśmiech Roca przygasł i z wolna pokiwał głową.

— A więc wciąż się jeszcze dręczysz.

— Och, Roc. To tak trudno zapomnieć. Jestem tu szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa. Kocham tu wszystko, rodzina jest dla mnie taka miła, a ty...

— Co ja? Też jestem dla ciebie miły? — Roześmiał się. — A czego oczekiwałaś? Że będę Cię regularnie bił?

Objął mnie mocno i trzymał blisko przy sobie.

— Posłuchaj, Favel — powiedział. — Chcę żebyś była szczęśliwa. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek. Rozumiem co czujesz do tego starca. On jest dla ciebie jak ojciec. Wiem, iż w pewnym sensie wypełnia lukę, która powstała w twoim życiu po śmierci bliskich. Jest też człowiekiem samotnym. Możesz być pewna, że i on wiele utracił. Tak więc jest między wami pewne podobieństwo. To zrozumiałe.

— Chciałabym, żebyś go bardziej polubił, Roc.

— Nie zwracaj uwagi na to, co wygaduję. Przeważnie żartuję. Kiedy mnie poznasz lepiej, zrozumiesz jaki ze mnie prześmiewca.

— Nie uważasz, że znam cię już dosyć dobrze?

— Ale nie tak dobrze jak będziesz mnie znała za dwadzieścia lat, kochanie. Wiele będziemy się nawzajem uczyć. To sprawia, że życie jest ekscytujące, jak podróż w nieznane.

Mówił to lekko, ale ciągle wracałam myślą do jego słów i wciąż je rozpamiętywałam, gdy wychodziłam tego popołudnia z wizytą. Rozmyślałam o tym aż do chwili, gdy usłyszałam za sobą jakieś kroki i odwróciwszy się ujrzałam Rachelę Bective i bliźniaczki, kroczące spokojnie po obu jej stronach.

— Wyszłaś na przechadzkę? — Zawołała Rachelę.

— Idę na herbatę do Polhorgan.

Nauczycielka z dziewczynkami zrównały się ze mną.

— Mam nadzieję, iż jesteś przygotowana na zmianę pogody — ostrzegła mnie Rachelę. — Znosi się na deszcz.

— Wzięłam pelerynę.

— Wieje z południowego zachodu a wtedy, gdy zacznie padać, człowiek zastanawia się, czy kiedykolwiek przestanie.

Hyson obeszła mnie i znalazłam się między nią a Rachelę, Lowella wyskoczyła do przodu.

— Czy zamierzasz iść ścieżką na klifie? — Spytała Rachelę. — Do Polhorgan można też dojść inną drogą. Oszczędzisz sobie co najmniej piętnaście minut.

— Dotąd zawsze szłam tędy.

— Jeśli chcesz pokażemy ci skrót.

— Ale może będziecie musiały zmienić własne plany?

— Ależ nie, wyszliśmy tylko na przechadzkę.

— W takim razie dziękuję, chętnie skorzystam.

— Lowella! — Zawołała Rachelę. — Schodzimy na ścieżkę przemytników, pokazać cioci Favel skrót do Polhorgan.

Lowella błyskawicznie okręciła się wokół własnej osi.

— Hurra! Na Ścieżce Przemysłowców będzie wspaniale!

Zboczyliśmy z drogi i ruszyliśmy stromą wąską dróżką, ograniczoną z obu stron żywopłotami, nigdy nie przycinanymi i rozrośniętymi tak bujnie, że miejscami musiałyśmy iść gęśiego.

Lowella znalazła jakąś ułamaną gałąź i idąc przodem waliła nią zagradzające nam drogę krzewy wykrzykując bez związku:

— Uwaga na lawiny! Strzeżcie się uschniętych gałęzi sosen! Wełna drzewna! Wełna drzewna!

— Cicho bądź, Lowella — upominała ją Rachelę.

— Oczywiście, jeśli nie chcecie, bym was doprowadziła bezpiecznie do celu. Proszę bardzo, mogą być cicho.

— Kiedy wieczorem kładą się do łóżek, Hyson czyta jej różne książki, a ona potem powtarza z tego rozmaite rzeczy i plecie co jej ślina na język przyniesie — Rachelę komentowała zachowanie wychowanicy.

— Lubisz czytać? — Spytałam Hyson.

Kiwnęła głową bez słowa, ale potem dodała:

— Lowella jest taka dziecinna!

Dróżka skończyła się raptownie i weszliśmy na coś, co wyglądało jak występ skalny. Poniżej — daleko w dole — szumiało morze, a z boku wznosiła się chropowata skalna ściana, na której, tu i ówdzie, uczepione kurczowo skrawków brunatnej ziemi, wyrastały krzaczki ciernistych janowców i paproci orlicy.

— To całkowicie bezpieczne przejście, — zapewniała mnie Rachelę — chyba, że masz lęk przestrzeni.

Oświadczyłam, że nie, po czym dodałam, że przecież jesteśmy nawet parę metrów niżej w stosunku do drogi na klifie.

— Tak, ale tam biegnie zwykła, dość szeroka droga, a tu jest tylko ścieżka, która nieco dalej jeszcze się zwęża. Postawiono nawet tablicę ostrzegawczą, mówiącą o tym, że kto tutaj wchodzi robi to na własne ryzyko, ale ostrzeżenia adresowane jest głównie do turystów, wszyscy miejscowi zawsze tędy chodzą.

Lowella ruszyła przodem udając, że wybiera drogę i bada gdzie postawić nogę.

— To byłoby dopiero super, gdybyśmy były wszystkie powiązane linami! — Krzyknęła. — A potem, gdyby Małżonka spadła ze skały wyciągnęłybyśmy ją z powrotem.

— To miło, że tak się o mnie troszczysz, ale wcale nie mam zamiaru spadać.

— Ona wciąż jeszcze wciela się w odkrywcę, który wśród śniegu i lodu zatyka swój sztandar — mruknęła Hyson.

— Welna drzewna! — Krzyknęła Lowella. — Co za wspaniałe określenie! Nie wiem co oznacza, ale jak cudownie brzmi! — Pobiegła naprzód bez przerwy wykrzykując te słowa.

Rachela spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

Po kilku sekundach dowiedziałam się co oznacza ostrzeżenie, że ścieżka będzie się zwężać. Po paru metrach była już niewiele szersza niż skalna półka, musiałyśmy iść ostrożnie jedna za drugą. Po krótkiej chwili okrążyłyśmy część skały, wystającą z wody i wyszłyśmy niemal wprost na Polhorgan.

— To rzeczywiście znaczny skrót — przyznałam. — Dziękuję, że mi go pokazałyście.

— Wracamy tą samą drogą? — Zwróciła się Rachela do bliźniaczek.

Lowella już była z powrotem na ścieżce. Jeszcze tylko dobiegł mnie okrzyk: „Welna drzewna!” i ruszyłam do Polhorgan.

Lord Polhorgan był zachwycony moim przyjściem. Wydawało mi się też, że i służący traktuje mnie ze szczególnym respektem. Pomyślałam, iż musi należeć do rzadkości, by gospodarz obchodził się z kimś tak przyjaźnie, po dość krótkim okresie znajomości.

Gdy weszłam, w pokoju siedziała siostra Gray czytając swemu chlebodawcy „The Financial times”.

— Proszę sobie nie przeszkadzać — rzekłam. — Widocznie przyszłam za wcześnie. Pójdę się przejść po ogrodzie. Zawsze pragnęłam go obejrzeć.

Gospodarz zerknął na zegarek.

— Jest pani punktualna — oznajmił i ruchem ręki dał znak do przerywania lektury. Pielęgniarka pospiesznie złożyła gazetę i podniosła się.

— Nie znoszę ludzi, którzy nie szanują czasu. Niepunktualność jest złym nawykiem. Miło mi panią widzieć, pani Pendorric. Chciałbym osobiście pokazać pani ogród, ale obawiam się, że nie będę mógł. Jest tam zbyt stromo, żebym mógł pójść pieszo i z tego samego powodu nie dojadę tam wózkiem.

— Więc dziś będę podziwiać widok ogrodu z okna — odparłam z przekonaniem.

— Siostra Grey pokaże go pani innym razem.

— Będzie mi bardzo przyjemnie — powiedziała Althea Grey.

— Siostrze, proszę kazać podać herbatę i może pani odejść. Jestem pewien, iż pani Pendorric zgodzi obsłużyć się sama.

Pielęgniarka kiwnęła głową i powiedziała:

— Naturalnie. Spieszę więc wydać dyspozycje. Wyszła, zostawiając mnie samą z gospodarzem.

— Najpierw herbata, a potem partyjka szachów — zaproponował starzec — Ale teraz proszę usiąść i porozmawiamy chwilę. Więc już się pani zadomowiła. Podoba się tu pani?

— Bardzo.

— A w Pendorrice wszystko w porządku? — Rzucił mi szybkie spojrzenie spod krzaczastych brwi.

— Tak — odparłam impulsywnie. — Spodziewał się pan czegoś innego?

Pominał moje pytanie milczeniem.

— Początki nigdy nie są łatwe, a zwłaszcza u progu nowego życia. Tam, na tej pani wyspie musiało być ruchliwie i bardzo wesoło. Czy tutaj nie jest dla pani za spokojnie?

— Lubię spokój tego miejsca.

— Lepiej się pani tu czuje niż na wyspie?

— Kiedy żyła mama byłam absolutnie szczęśliwa. Nie wiedziałam nawet, że na tym świecie istnieje coś innego prócz szczęścia. Zaznałam, co prawda, smutku gdy mnie wysłano do szkoły, ale szybko do niego przywykłam, a powrót do domu był wówczas jeszcze bardziej radosny.

— Jest pani rozsądną osobką. Cieszy mnie to. Lubię takich ludzi. Ogarnął mnie spojrzeniem pełnym aprobaty.

Siostra Grey też sprawia wrażenie rozsądnej.

Hmm... może nawet za bardzo.

Czy ktoś może być zbyt rozsądny?

— Czasem zastanawiam się, dlaczego jest tu ze mną. Nie sędzę, by robiła to w imię miłości do pacjenta. Musi pani wiedzieć, pani Pendorrice, że ze mnie straszny gbur.

— Nie wydaje się to być takie okropne, skoro pan się do tego przyznaje — roześmiałam się.

— Tak pani myśli? Zapomina pani, że gdy człowiek zrobi duże pieniądze, zwykle kręcą się wokół niego ludzie, którzy pragną go z tych pieniędzy oskubać lub choćby uszczknąć co nieco.

— I pan myśli że siostra Grey...?

— Młoda, przystojna kobieta... przywykła do wesołego życia. Tu nie ma zbyt wielu okazji do wesołości. — Spojrzał na mnie wzrokiem wyrażającym pewną przebiegłość.

— Lecz ona wygląda na zadowoloną.

— Hmm... i tak się zachowuje. — Pokręcił głową z niedowierzaniem. — Usiłuję zrozumieć skąd się to bierze. Może sądzi, że nie zostanie pominięta, kiedy... kiedy nadejdzie ten wielki dzień?

Musiał widocznie zobaczyć moje zakłopotanie, bo dodał szybko: — Ładny ze mnie gospodarz! Jeśli nie będę się pilnował, dam pani pretekst do wykręcenia się od wizyt. A tego nie chciałbym... bardzo nie chciałbym.

— Nie będę szukać wymówek. Pan jest szczery i mówi to co myśli, spróbuję czynić to samo.

— Więc się zrównamy — stwierdził i zachichotał.

Wniesiono herbatę i napełniłam filiżanki. To również weszło w zwyczaj i stanowiło kolejny dowód na to w jakim szybkim tempie rozwija się nasza zażyłość. Gospodarz sprawiał wrażenie, iż z upodobaniem mi się przygląda.

Podając lordowi herbatę, rzuciłam okiem na okno i ujrzałam Altheę Grey, schodzącą przez ogrody na plażę. Zdjęła pielęgniarzki fartuch i przebrała się w brązowe spodnie i bluzkę w kolorze ostróżek, która stanowiła wspaniałe tło dla jej jasnych włosów i — byłam o tym przekonana — odcieniem była dobrana do oczu. Spojrzała nagle w górę i zobaczywszy mnie pomachała mi dłonią. Odpowiedziałam tym samym.

— To pielęgniarzka — wyjaśniłam gospodarzowi. — Wychodzi, bo chyba ma wolne.

Lord Polhorgan kiwnął głową.

— Czy schodzi na plażę?

— Tak.

— Zatoczka Polhorgan prawie należy do mnie, lecz dano mi do zrozumienia, że tutejsi mieszkańcy nie uznaliby tego za najlepszy pomysł, gdybym ją ogrodził i zrobił tu prywatną plażę.

Tak więc ograniczyłem się tylko do żywoplotu i furtki, odcinających ogród, ale przez tę furtkę wychodzi się wprost na plażę.

— Podobne rozwiązanie zastosowano w Pendorrice.

— To taki sam układ terenu. Pendorrice są właścicielami swojej plaży a ja swojej, ale nie sądzę, by wiedziała o tym choć połowa ludzi, gramolących się na rafy, podczas odpływu.

— Gdyby te plaże zostały ogrodzone, oznaczałoby to dla wielu konieczność wspinania się na — klif, obchodzenia góry i powrotu tą samą drogą.

— Zawsze wyznaczałem zasadę, że co moje to moje i mogę z tym robić co chcę. Gdy tu przybyłem po raz pierwszy, to — proszę mi wierzyć — byłem bardzo niepopularny. Lecz się zmieniłem, jakbym dojrzał na tej ziemi. Gdy będzie pani trochę starsza, to zrozumie o czym mówię. Czasami, gdy człowiek upiera się przy swoich prawach, może stracić coś, co znaczy dla niego o wiele więcej.

Twarz przyobkleł mu wyraz smutku i zrobił na mnie wrażenie bardziej zmęczonego niż podczas mej poprzedniej wizyty.

— Tak, sądzę, że jest w tym dużo racji.

— Więc mówi pani, że na wyspie, z ojcem i matką była pani szczęśliwa ale... nie sądzę, by dom w którym mieszkaliście był waszą własnością, ani teren wokół domu, czy kawałek plaży.

— To prawda. Byliśmy bardzo biedni i bardzo szczęśliwi. Zmarszczył brwi, a mnie przeszło przez myśl, że może byłam nietaktowna. Jednakże mówił dalej burkliwie:

— Siostra Grey często chadza na plażę. A pani?

— Niezbyt często. Ale myślę, że to się zmieni. Zaczynam dopiero oswajać się z otoczeniem.

Zajmuję pani zbyt dużo czasu.

Ależ lubię pana odwiedzać i sprawia mi przyjemność gra w szachy.

Milczał przez chwilę, a potem wrócił do tematu życia na wyspie.

Zdumiewał mnie tym, że cały czas słuchał uważnie, na swój burkliwy sposób zadając tak wiele pytań, że nie dał rozmowie wygasnąć.

Kiedy wypiliśmy herbatę, przysunęłam stoliczek, na którym grywaliśmy w szachy. Było to prawdziwe cacko, filigranowy sprzącik, rodem z Francji, inkrustowany kością słoniową i szylkretem. Ustawiłam pionki i rozpoczęliśmy grę.

Po dobrych piętnastu minutach, ku swemu zdumieniu udało mi się lorda zaskoczyć. Byłam dumna z własnej strategii gdy, spojrzawszy na niego, ujrzałam, że gospodarzowi najwyraźniej coś dolega.

— Przepraszam — mruknął. — Proszę mi wybaczyć. — Niepewną ręką macał się po kieszeniach.

— Coś pan zgubił?

— Małe srebrne pudełeczko. Zawsze je trzymam przy sobie.

Wstałam i rozejrzawszy się wokół spostrzegłam, że zgubiony przedmiot leży na podłodze u stóp starca. Podniosłam zgubę. Z widoczną ulgą szybko otworzył pudełko, wyjął zeń małą białą pigułkę i włożył pod język. Przez kilka sekund siedział bez ruchu mocno ściskając poręcz fotela.

Przestraszyłam się, bo wiedziałam przecież, że jest poważnie chory; wstałam i chciałam zadzwonić na służbę, lecz lord Polhorgan widząc co zamierzam, pokręcił głową przecząco. Zatrzymałam się w pół drogi niepewna co zrobić.

— Zaraz mi przejdzie — wyszeptał.

— Pan jest chory. Czy nie należałoby...

On nadal kręcił głową, więc stałam bezradnie. Po jakiś pięciu minutach zaczął wyglądać nieco lepiej i wydawało się, że atak minął. Odetchnął głęboko i mruknął:

— Już dobrze. Przepraszam.

— Proszę nie przepraszać, tylko powiedzcie mi, co mam zrobić.

— Usiąść... spokojnie. Jeszcze kilka minut, a wszystko będzie w najlepszym porządku.

Posłuchałam i śledziłam jego twarz z napięciem. Złożony zegar na kominku tykał głośno i oprócz tego dźwięku w pokoju zaległa cisza. Gdzieś z dala dobiegał jeszcze cichutki szept fal, bijących monotonnie o skały.

Minęło dalszych kilka minut i lord znowu głęboko odetchnął. Potem uśmiechnął się do mnie.

— Tak mi przykro, że złapał mnie atak, kiedy pani tu była. Nie wziąłem tabletek. Nigdzie się bez nich nie ruszam. Dziś musiały wylecieć mi z kieszeni.

— Proszę nie przepraszać. To ja powinnam prosić o wybaczenie; obawiam się, że straciłam głowę i nie wiedziałam co robić.

— Tu nic się nie da zrobić. Gdybym miał moje pudełeczko, wziąłbym lekarstwo niepostrzeżenie. Ale w tej sytuacji... trochę za długo zwlekałem.

— Jak to dobrze, że tabletki się znalazły.

— Wygląda pani na zasmuconą. Nie trzeba się martwić. Jestem stary. A jedną z przykrości tego wieku jest to, że jest się zbyt starym, by się borykać z trudnościami. Ja już mam wszystko za sobą. Ale jeszcze trochę życia się we mnie kołocze. Nie lubię jednak sytuacji, gdy tabletki gdzieś mi się zapodzieją. Może to mieć niebezpieczne skutki.

— To musi być jakiś cudowny środek.

— Tak, ale nie zawsze skutkuje. Jednak dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto działają pewnie. To TNT; lekarstwo na rozszerzenie żył i arterii.

— A jeśli nie podziała?

— Zostaje dawka morfiny.

— Och, tak mi przykro!

— Stara maszyna skrzypi — powiedział lord i poklepał mnie po ręce. — Wymaga odwegłania. Szkoda, że nie można mnie odesłać do naprawy do starego Jima Bonda!

— Czy nie powinien pan teraz odpocząć?

— Proszę się nie martwić. Zadzwońię do mego lekarza i poproszę go, żeby przyjechał i mnie zbadał. Jeden lub ze dwa dni mogę nie być w formie.

— Zadzwońimy od razu?

— Nie, zrobi to siostra Grey, jak wróci. Nie mogę zrozumieć; w jaki sposób tabletki znalazły się na podłodze.

— A przez dziurę w kieszeni?

Gospodarz sprawdził obie kieszenie i potrząsnął głową.

— Wie pan, naprawdę sędzę, że należy się panu odpoczynek. Może Ja już pójdę? Albo jeszcze lepiej — zadzwonię po doktora!

— Dobrze, jak pani chce. Numer jest w tym małym notesie obok telefonu. Dr Clement.

Znalazłam numer i zadzwoniłam. Miałam szczęście, bo lekarz akurat był w domu. Powiedziałam skąd dzwonię i wezwałam go w imieniu lorda Polhorgana.

— Dobrze — odparł dr Clement. — Zaraz tam będę. Odłożyłam słuchawkę i wróciłam do stolika.

— Czy coś jeszcze mogłabym zrobić dla pana? — Spytałam.

— Tak. Proszę usiąść i skończymy partię. Obawiam się, że pozwoliłem pani uzyskać przewagę. Zaprzętało mi umysł moje srebrne pudełko. Teraz pokażę pani jak szybko potrafię się pozbiierać. Kontynuujmy, jeszcze z panią wygram.

Nie mogłam powstrzymać się od rzucania na niego niespokojnych spojrzeń podczas gry, czym pobudzałam go do śmiechu. Graliśmy dobrą chwilę, lecz nim zakończyliśmy partię, przybył dr Clement.

Wstałam by się oddalić, ale lord Polhorgan nie chciał nawet o tym słyszeć.

— Teraz już czuję się zupełnie dobrze. Tylko dlatego pozwoliłam pani Pendorric by pana wezwała, gdyż bardzo nalegała. Proszę jej powiedzieć; że nie jest tu potrzebna żadna pomoc lekarska. Panie doktorze, problem powstał dlatego, że zawieruszyły mi się gdzieś tabletki TNT i trochę czasu upłynęło, zanim pani Pendorric je znalazła.

— Wie pan przecież, że zawsze powinny być w zasięgu ręki — upomniął lorda lekarz.

— Wiem, wiem. Nie mogę pojąć co się stało. Chyba wyrzuciłem je z kieszeni przez nieuwagę. Czy napije się pan herbaty, doktorze? Czy pani byłaby tak uprzejma zadzwonić na Dawsona, pani Pendorric? Ta już wystygła.

Doktor wymówił się od poczęstunku, a ja zaczęłam się żegnać. Byłam pewna, że chce zostać sam z pacjentem.

— Nie skończyliśmy gry — protestował gospodarz.

— Skończymy następnym razem.

— Wypłoszyłem panią — rzekł dr Clement prawie ze smutkiem. Jednakże ja już postanowiłam zakończyć wizytę. Przechodząc przez portyk zerknęłam na zegarek i stwierdziwszy, że jest pół godziny wcześniej niż myślałam, zdecydowałam się zejść na plażę i przez skały przedostać się do Zatoczki Pendorric, a stamtąd alejką ogrodową dostać się do domu.

Był odpływ i taka trasa była możliwa do przebycia. Okrążywszy róg budynku poszłam w kierunku ogrodu. Z cieplarni wynurzył się jeden z pracowników lorda Polhorgana, spytałam go więc o drogę, a on uprzejmie oferował swą pomoc. Poprowadził mnie ścieżką, okalaną płasko przyciętym żywopłotem, zakończoną bramką, przez którą weszliśmy do ogrodu położonego na klifie. Stałam oczarowana, gdyż tutaj, w niemal tropikalnym mikroklimacie, roślinność krzewiła się bujnie. W miejscu, osłoniętym od wiatru, rosła tu palma, co przypominało mi dziedziniec w Pendorric, były także krzewy hortensji, roślejsze i bujniejsze od naszych, pyszniących się swoim kwieciami w kolorach niebieskim, różowym i białym. Dokoła kwitły w wielkiej obfitości fuksje, o płatkach większych niż kiedykolwiek widziałam i olbrzymie białe lilie, nasycając powietrze swym nieco cmentarnym zapachem.

Ścieżka, którą schodziłam, biegła zakosami w dół, eliminując w ten sposób konieczność bezpośredniego pokonywania stromizny. Mijałam klomby i rabaty roślin, których nie znałam nawet z nazwy, zostawiłam za sobą zakątek, gdzie pod łukami pnących, kwitnących róż ustawiono ławeczki i szłam obok rosarium grupującego większość szlachetnych gatunków.

Myślałam, że jeśli świeci słońce, a niebo jest błękitne, to wszystko powinno lśnić, a nawet oślepić, tak jak na wyspie, ale tu było nieco inaczej. Mimo pięknej słonecznej pogody dzisiejszy dzień miał jakąś smugę szarości, a w krzyku mew można się było doszukać melancholii.

Doszłam w końcu do małej furtki wychodzącej na plażę, a kiedy byłam już w Zatoczce Polhorgana, obejrzałam się przez ramię na cudowne ogrody, pnące się po skale aż do szarych, kamiennych murów Polhorgan's Folly. Folly — koszmarek, dziedzictwo, jak zwali go mieszkańcy Pendorric.

Nie taki z niego koszmarek, pomyślałam. To mimo wszystko piękny om we wspaniałym otoczeniu. Był odpływ. Wiedziałam, że w Pendorric podczas przyływu woda podchodzi niemal pod furtkę ogrodu; sądziłam, że tutaj jest podobnie. Tylko podczas odpływu otwierało się przejście plażą. Teraz, jak okiem sięgnąć, było tu pusto. Tylko ja i mewy. Sterczące rafy ciągnęły się niemal do linii wody, tworząc kształt niewielkiej zatoki zwanej Zatoczką Polhorgan. Oceeniłam, że przejście plażą do Pendorric zajmie mi więcej czasu niż szosą na klifie, a tym bardziej skrótom, więc bez zwłoki ruszyłam w drogę. Nie było łatwo pokonywać wyszczerbione rafy; niektóre mogłam ominąć, przez inne musiałam się wspinać, brnąć lub przeskakiwać przez liczne kałuże. Doszłam w końcu do wielkiej skały, dochodzącej do wody i odcinającej mi dalszą drogę, a kiedy z

wielkim wysiłkiem wgramoliłam się na nią, ujrzałam po drugiej stronie naszą plażę i ogród, dalece mniejszy od ogrodu lorda, lecz równie urzekający w swej dzikiej urodzie.

Zeskoczyłam na miękki piasek i wtedy usłyszałam śmiech.

Potem ich zobaczyłam. Ona leżała na piasku, z twarzą podpartą dłońmi, on wyciągnięty u jej boku wspierał się na łokciu. Roc, na tle jasnego podłoża, wyglądał tak śniado jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy w pracowni mojego ojca.

Byli pogrążeni w ożywionej rozmowie i pomyślałam z zakłopotaniem, iż na pewno będzie to dla nich zaskoczeniem, kiedy pojawię się tak nagle.

Chciałam im jakoś dać znać, że jestem w pobliżu. Być może, podświadomie obawiałam się, że jeśli podejść nie zauważona, mogę usłyszeć lub zobaczyć coś, czego nie powinnam. Zawołałam więc od razu:

— Halo!

Roc skoczył na nogi i przez kilka sekund wlepił we mnie zdumiony wzrok. Potem podbiegł i wziął mnie za rękę.

— Patrzcie państwo, kogo tu mamy! Sądziłem, że wciąż jesteś jeszcze w Folly.

— Mam nadzieję, że was nie przestraszyłam.

— Ależ tak, ale w najbardziej przyjemny sposób. — Objął mnie ramieniem i roześmiał się.

Podeszliśmy do Althei Grey, która nadal leżała na piasku. Jej błękitne, utkwione we mnie oczy, były podejrziwe i czujne.

— Czy w Polhorgan wszystko w porządku? — spytała.

Opowiedziałam jej co zaszło, więc wstała bez zwłoki.

— Lepiej będzie, jak wrócę tam od razu — oznajmiła.

— Chodź z nami do Pendorríc — zaproponował Roc. — Podwiozę cię samochodem.

Althea podniosła głowę i zmierzwiwszy wzrokiem stromy ogród wznoszący się aż po szare mury Pendorríc pokręciła głową.

— Nie sądzę, by to coś przyspieszyło. Pójdę plażę, przez skały. — Zwróciła się do mnie. — Robię to tak często, że jestem już prawie jak górską kozica. Do zobaczenia — rzuciła przez ramię i pospieszyła do domu przez piaski.

— Wyglądasz na poruszoną — rzekł Roc. — Słyszałem, że on często miewa ataki. Trwa to już od lat. Szkoda, że stało się to kiedy byłaś z nim sama.

Otworzył futrkę i zaczęliśmy stromą alejką przez ogród zbliżać się do domu.

— Dlaczego zdecydowałaś się na powrót plażę? — Spytał Roc.

— Nie wiem. Może dlatego, że nigdy jeszcze nie szłam tamtędy, a ponieważ wcześniej skończyłam wizytę, postanowiłam przejść się tą drogą. Czy Althea Grey jest przyjaciółką... rodziny?

— Nie rodziny.

— Tylko twoją?

— Wiesz przecież jaki ze mnie towarzyski osobnik!

Złapał mnie w objęcia i uścisnął. Na wargach drżały mi pytania, ale zawahałam się i nie pozwoliłam ulecieć słowom. Nie chciałam, żeby pomyślał, że staję się niemądrze zazdrosna za każdym razem, gdy on odezwie się do jakiejś kobiety. Muszę pamiętać, że poślubiłam Pendorríc, a mężczyźni z tego rodu znani są ze swej galanterii wobec dam.

— Często spotykasz ją na plaży?

— To niewielka miejscowość. Zawsze i wszędzie można tu wpaść na sąsiada.

— Zastanawia mnie, czemu ona woli naszą plażę od takiej samej w Polhorgan.

— Z plaży Pendorríc ma widok na prawdziwe dzieło architektury, a od siebie tylko na falsyfikat.

— To bardzo piękny falsyfikat.

— Widzę, że naprawdę znalazłaś się pod urokiem jego lordowskiej mości — popatrzył na mnie ironicznie. — Czy to przypadkiem nie ja powinienem być zazdrosny?

Roześmiałam się, lecz odczułam niepokój jak wtedy, gdy zastałam ich razem na plaży. Czy on przypadkiem nie próbuje odwrócić kota ogonem, jak każdy winowajca? Czy nie chce mi przez to powiedzieć: ty swoje popołudnia spędzasz, z lordem Polhorganem, czemuż więc ja nie mógłbym spotkać się z jego pielęgniarką?

Sugestia Roca była absurdalna, ale mówił dalej:

— Potrafię być szalenie zazdrosny, więc nie prowokuj mnie.

— Mam nadzieję, że pamiętasz zasadę: Nie czyni drugiemu co tobie niemiło.

— Ale ty przecież nie będziesz zazdrosna bez powodu. Jesteś na to zbyt rozsądna.

— Jednakże chcę powiedzieć, że bardziej rozsądnym jest być zazdrosną o piękną, młodą kobietę niż o chorego starca.

— W tych sprawach często odgrywają rolę inne czynniki, a nie tylko osobisty urok.

— Czynniki? Jakie?

— Nie znajduje się milionerów, czających się za każdą skałą czy łachą piasku.

— Co za obrzydliwa sugestia!

— Prawda? Ale ze mnie potwór, bo wspominam o tak prozaicznych rzeczach jak pieniądze. Kiedyś powiedziałaś, że jestem satyrem, a to pewna postać potwora, tak przynajmniej sędzę. Ale mówiąc serio, wyobrażam sobie, jak było ci nieprzyjemnie zobaczyć mnie z Theą i chciałem ci powiedzieć, że to bezsensowne, że... było ci nieprzyjemnie.

— Dajesz mi do zrozumienia, że raczej powinnam przestać widywać lorda Polhorgana?

— Wielkie nieba! Nie! Jestem zachwycony twoimi odwiedzinami. Biedny stary, właśnie zaczyna sobie uświadamiać, że za swoje miliony nie może kupić wszystkiego, czego pragnie. Z faktu, iż młoda, piękna kobieta nalewa mu herbatę i zamyśla się nad szachownicą, czerpie więcej przyjemności, niż jej doznał przez całe lata. A wszystko ma bez wydawania choćby jednego pensa! To dla niego nowość. To mi przypomina młodego lorda Fauntleroy, zmorę mojego dzieciństwa, którego przygody kazała mi — zresztą w dobrej wierze — czytać moja niania. Postać małego lorda szczególnie napawała mnie obrzydzeniem — może dlatego, iż był moim przeciwieństwem. Nigdy nie mogłem wyobrazić sobie siebie w aksamitnym ubranku, koloru śliwkowego, ze złotymi lokami, opadającymi na koronkowy kołnierz, idącego zmiękczyć twarde serce starego lorda Jakiegoś tam, Fauntleroy... zdaje mi się... tak, starego Fountleroy. Jediną rzeczą, której za nic w świecie nie mogłem zrobić, było godzenie zwaśnionych krewnych za pomocą mojego dziecięcego uroku.

— Przestań Roc! Powiedz otwarcie, naprawdę nie jesteś przeciwny moim wizytom w Polhorgan?

Zerwał jeden z goździków, rosnących w raczej zaniedbanych kępach i napelniających powietrze swą upojną wonią, potem poważnie włożył 20 do butonierki mojego lnianego żakietu.

— Plotę bzdury, bo jestem z natury gadułą. Kochanie, chcę byś robiła co zechcesz. A co do wizyty u lorda Polhorgana, na miłość boską, nie przestawaj tam chodzić! Cieszę się, że możesz okazać mu trochę życzliwości. Wiem, że zapaskudził nam widok na wschód tym swoim potworkiem, ale to stary człowiek i do tego chory. Odwiedzaj go tak często, jak cię zaprasza.

Pochylił się, by powąchać goździk, potem pocałował mnie z czułością, wziął za rękę i zgodnie ruszyliśmy do domu.

Jak zwykle sprawił, że przystałam na wszystko co chciał. Później gdy zostałam sama, zadałam sobie pytanie: czy nie dlatego wysyłał mnie do Polhorgana, by stworzyć sobie okazję do spotkania się z Altheą Grey?

* * *

Pewnego ranka zesłam do kuchni i zastałam tam panią Penhalligan jak miesiła ciasto, a w powietrzu unosił się smakowity zapach piekącego się chleba.

Kuchnie w Pendorrice były olbrzymie; mimo kuchenek elektrycznych, lodówek i innego nowoczesnego wyposażenia zainstalowanego ostatnio, wyglądały jak żywcem przeniesione z innego wieku. Mieścił się tu też szereg pomieszczeń dodatkowych: piekarnia, izba do wyrobu masła, zmywalnia naczyń i jeszcze jeden pokój nazywany mleczarnią — z podłogą wyłożoną błękitnymi płytkami, gdzie kiedyś przechowywano mleko, masło, jajka i inne produkty nabiałowe. Wszystkie sufity podzielone były grubymi dębowymi belkami z powbijanymi hakami, na których niegdyś zawieszono mięso, szynki, połcie słoniny i puddingi bożonarodzeniowe.

Sama kuchnia, chociaż ogromna, była pomieszczeniem przyjemnym, wyłożona brunatnymi kafelkami, z dużymi kredensami i stołem gdzie całe pokolenia służby spożywały swoje posiłki oraz blatem wyszorowanym do białości, przy którym pracowała teraz pani Penhalligan. Przez otwarte drzwi dojrzałam Marię przygotowującą warzywa w zmywalni.

Na mój widok twarz starej gospodyni rozpromieniała.

— Dzień dobry, pani Penhalligan — powitałam ją. — Pomyślałam sobie, że już pora złożyć pani wizytę w kuchni.

— Miło mi panią powitać.

— Czy przyszłam na pieczenie chleba? Cudowny zapach.

— Pani Penhalligan wyglądała na uradowaną.

— W Pendorrice zawsze pieczemy domowy chleb, bo nie ma to jak swojski wypiek. Równocześnie piekę chleb dla ojca. Nigdy mi tego nie zabroniono.

— A jak się miewa pani ojciec?

— Nie najgorzej, proszę pani, zupełnie nieźle. Naturalnie starość nie radość, ale dobrze się trzyma jak na swoje lata. Na Matki Boskiej Gromniczej stuknie mu dziewięćdziesiątka.

— Dziewięćdziesiąt lat! To piękny wiek!

— I na nic nie choruje... oczywiście, z wyjątkiem tej jednej dolegliwości.

— Och?

— Pewnie pani nie wie, bo sędzę, że nikt jeszcze nie zdołał pani powiedzieć, że ojciec oślepl... och, trwa tu już trzydzieści lat. Nie, nie chciałabym wprowadzić pani w błąd — to będzie faktycznie dwadzieścia osiem lat. Dwadzieścia osiem lat minie w żniwa.

— Tak mi go żal.

— Nie trzeba go żałować. Ojciec sam nie lubi litować się nad sobą. Jest właściwie szczęśliwy... ma swoją fajkę i jedzenie, jakiego tylko zapragnie. Lubi siadać na progu w słoneczne dni, wygrzewa się i nasłuchuje. Nie uwierzy pani jaki ma jeszcze wspaniały słuch. To mu jakby zastępuje wzrok.

— Mam nadzieję, że go kiedyś poznam.

— Ucieszyłby się ogromnie, gdyby pani mogła się zatrzymać i chwilę z nim porozmawiać. Zawsze mnie wypytuje o młodą żonę pana Roca.

— Zaglądnę do niego.

— Trafi pani na pewno. To drugi z domków we wsi, licząc od Pendorrice. Mieszka w nim sam od śmierci matki. Ale ja i Maria chodzimy do niego często. Jedzenie przynosimy mu regularnie, jak zegarku. Nie płaci czynszu i jeszcze w dodatku dostaje emeryturę. O tak, ojciec ma się dobrze. Byłby taki wspaniały... gdyby mógł widzieć.

Cieszyłam się gadulstwem pani Penhalligan, gdyż nie wiedziałam właściwie o czym mam z nią rozmawiać.

— Słyszałam, że pani rodzina związana jest z Pendorric od pokoleń.

— O tak... Pleydellowie zawsze służyli w Pendorric, ale moi rodzice nie mieli syna. Ja byłam ich jedyną córką. Potem wyszłam za Penhalligana, tutejszego ogrodnika, ale on już nie żyje. My też mieliśmy tylko jedno dziecko — Marię. Ona będzie tu pracować do śmierci..., na niej kończy się związek Pleydellów z Pendorric.

— Jaka szkoda!

— No cóż, każda rzecz ma swój koniec, proszę pani. Czy pani chce mi wydać jakieś dyspozycje?

— Nie. Chciałam po prostu zobaczyć, co dzieje się w kuchni.

— To pani prawo i obowiązek. Pani jest tu dziedziczką. Panienkę Morwenę nigdy te sprawy nie interesowały. Dopiero panna Bective... — twarz pani Penhalligan spochmurniała — ...przyszła tu wściubić swoje trzy grosze. Już od progu było słyhać: „Pani Penhalligan to, pani Penhalligan tamto”. Ale ja znam swoje miejsce — nawet gdy inni go nie znają — i odbieram polecenia tylko od pani tego domu, od nikogo innego.

— Może próbowała pomóc?

— Pomóc! Proszę łaski pani, ja w mojej kuchni nie potrzebuję pomocy — nikogo poza tymi, których już mam. Moja Maria została dobrze wyszkolona a i z Hetty Toms zrobiłam co mogłam.

— Jestem pewna, że wszystko jest dobrze zorganizowane.

— I tak być powinno — całe lata o to dbałam. Już wtedy pracowałam w kuchni, kiedy po raz pierwszy przyszła tu tamta pani Pendorric.

Poczułam podniecenie, jak zawsze na wzmiankę o Barbarinie.

— Czy ona interesowała się kuchnią?

— Ona była podobna do pani. Interesowała się — tak mogę powiedzieć, ale nie chciała niczego zmieniać. Pamiętam dzień kiedy przyszła tu do mnie, jej piękna twarz tryskała zdrowiem; wróciła właśnie z konnej przejażdżki i była jeszcze w stroju do jazdy... w spodniach i kurtce, jak mężczyzna. W butonierce miała mały niebieski kwiatusek, a na głowie jeden z swych kapeluszy obwiązany żółtą wstążką. Zawsze opasywała kapelusz tak jak na portrecie w południowej galerii, tylko tam wstążka ma kolor niebieski.

— Tak, znam ten obraz.

— Była wspaniałą damą i służyliśmy jej z przyjemnością. To straszne, kiedy... Ale znów gadam za dużo. Maria mnie zawsze upomina i ma rację.

— Przecież to miło uciąć sobie taką pogawędkę. Właśnie w tym celu tu przyszedłam.

Pani Penhalligan pojaśniała z radości, a jej żwawe ręce nie przestawały wyrabiać ciasta.

— Ona też była taka jak pani — zawsze chętna do rozmowy, szczególnie z początku. Bo później...

Czekałam milcząc, a gospodyni zmarszczyła brwi i wpatrzyła się w ciasto.

— Potem stała się mniej przyjazna? — Podpowiedziałam.

— Ach nie, raczej smutna, zmartwiona, a czasami gdy na człowieka patrzyła, wydawała się go nie widzieć. Miałam wrażenie, że myśli o czymś zupełnie innym. Biedna pani.

— O swoich kłopotach?

— Tak. A było o czym. Widzi pani, ona straciła dla niego głowę... — Nagle jakby zdała sobie sprawę do kogo mówi i przerwała. — Czy lubi pani pieczywo razowe? Piekę trochę białego chleba, ale więcej z mąki razowej. Mój ojciec... lubi bułki pszenne — upieczone według dawnego, tradycyjnego przepisu. Ojciec musi mieć, to co chce. Choć przynajmniej, że teraz jego umysł nie jest już tak bystry jak kiedyś. Czasem jakby mówił od rzeczy. To z powodu ślepoty, tak myślę.

Odpowiedziałam, że zawsze wolałam razowy chleb. Wyraziłam też uprzejmie przypuszczenie, że jej pieczywo okaże się najlepsze ze wszystkich, jakie dotychczas próbowałam.

Nic nie mogłoby ją bardziej ucieszyć i od tej chwili zyskałam zagorzałą sojuszniczkę. Odprężyła się w widoczny sposób, bo okazało się, że choć jestem panią i dziedziczką, lubię pogawędzić ze służbą i posłuchać lokalnych nowinek.

— Na pewno zagłędnę do pani ojca, kiedy wybiorę się w tamtą okolicę — obiecałam jej.

— Powiem mu. Niech się staruszek cieszy. Ale pani musi być przygotowana na to, że może coś opowiadać nie całkiem składnie. Ma już blisko dziewięćdziesiąt lat i czasem coś płacze. Ostatnio często o tym mówi, bo wie, że w Pendorric jest nowa małżonka.

— O czym często mówi?

— Ach, proszę pani, słyszała pani, oczywiście, jak umarła matka panicza Roca i panienki Morwenny?

— Tak, słyszałam.

— Więc ojciec był wtedy na miejscu zdarzenia. Wspomnienie tego prześladowało go przez dłuższy czas. Potem zdawało się, że zapomniał, ale teraz znowu... starzy ludzie lubią wracać do przeszłości, to naturalne, a kiedy usłyszał, że Pendorric ma nową dziedziczkę... wie pani jak to jest.

— Tak wiem. Więc powiada pani, że tam był?

— Stał w holu, kiedy ona, świec Panie nad jej duszą, spadła z galerii. Nie był wtedy jeszcze całkowicie ślepy, ale już tracił wzrok. Widział ją na górze, choć niezbyt wyraźnie i to on właśnie podniósł alarm. Z tego powodu pomieszało mu się w głowie i nie może zapomnieć. A upłynęło już dobre dwadzieścia pięć lat...

— Czy on wierzy... w tę opowieść o duchu?

Pani Penhalligan wyglądała na zdziwioną.

— Ojciec wie, że takie rzeczy się zdarzają. Nie mam pojęcia co rzeczywiście sądzi o upadku pani Pendorric. Niewiele mówi na ten temat. Po prostu siedzi i rozmyśla. Nie można go zmusić, żeby coś opowiedział, a może byłoby lepiej, gdyby się wygadał.

— Na pewno go odwiedzę.

— Zauważy go pani z daleka... siedzi sobie i pyka ze starej fajeczki. Bardzo się ucieszy. Maria zaraz będzie wyciągać pierwsze bochenki. Nadal używamy dawnego pieca chlebowego, nic go nie może zastąpić. Czy chce pani zobaczyć, jak udał się chleb?

Przytaknęłam, a kiedy przeszłyśmy z kuchni do piekarni odpowiedziałam co prawda na powitanie Marii i Hetty Toms, oglądałam świeże bochenki, ale nie poświęcałam im wiele uwagi, gdyż nie potrafiłam zetrzeć sprzed oczu wizji pięknej kobiety, spadającej z galerii, uśmiechającej się z obrazu Lowelli Pendorric i prawie ślepego służącego, patrzącego z napięciem na upadającą postać, usiłującego, ze wszystkich sił dojrzeć co się wydarzyło.

* * *

Po rozmowie z panią Penhalligan poczułam się prawdziwą panią domu. Wierna gospodyni, córka Pleydellów, służących rodzinie od pokoleń, zaakceptowała mnie jako swoją chlebodawczynię. Morwenna nie zdradzała wcale ochoty, by miesznać się do gospodarstwa, a ja byłam szczęśliwa, że mam się czym zająć.

Zapragnęłam poznać każdy cal i każdy kąt domostwa. Zaczęłam kochać to miejsce i pojmować, że dom, który stoi już setki lat musi z pewnością wywierać silniejszy wpływ niż nowo wybudowany.

Zwierzyłam się Rocowi z moich odczuć. Był uradowany.

— A nie mówiłem ci? — Wykrzykiwał. — Małżonki z Pendorric zawsze ulegają czarowi tego miejsca i kochają je zagorzałą miłością.

— To z pewnością ze szczęścia, iż stały się pełnoprawnymi członkiniami rodziny Pendorriców. Moja uwaga ucieszyła go. Objął mnie, uściskał, a ja nagle poczułam się pewnie i... bezpiecznie.

— Chcę ci zadać mnóstwo pytań. Czy to prawda, że działanie korników powoli niszczy tu wszystko?

— Te malutkie żarłoczne stworzonka są wrogami wszystkich starych domów w Anglii, kochanie. Są prawie tak samo zachłanne jak Urząd Skarbowy.

— I druga sprawa: czy nie żalujesz, iż nie jesteś tak bogaty jak lord Polhorgan? Naprawdę wisi nad nami groźba przejęcia Pendorric przez Bank Kredytowy?

Roc ujął w dłonie moją twarz i pocałował mnie lekko.

— Nie martw się moje złotko. Potrafimy utrzymać hieny z dala od domu naszych przodków.

— Więc nie żyjemy ponad stan?

To pytanie wywołało głośny wybuch śmiechu.

— No, no, zawsze wiedziałem, iż ożeniłem się z kobietą interesu, posłuchaj, kochanie, uzgodnię z Charlesem i pokażę ci, jak sobie tu radzimy — Wiesz, mam zamiar wykorzystać twój zapał do pracy. Poznasz funkcjonowanie naszego gospodarstwa. Będziesz miała o wszystkim własne zdanie.

— Och, Roc, kochany... jak to dobrze.

— Wiedziałem, że się ucieszysz, ale najpierw muszę odrobić zaległości. Muszę też przygotować Charliego. On ma trochę staroświeckie poglądy; uważa, że kobiety należy odsuwać od interesów. Jeszcze sobie nie uświadomił, jaką kobietę ja sobie znalazłem. Widzisz, Morwenna nie interesowała się nigdy niczym prócz ogrodnictwem.

— A więc go szybko przekonaj.

— Zaufaj mi. — Roc nagle stał się bardzo poważny. — Chciałbym... chciałbym z tobą dzielić wszystko. Rozumiesz?

Kiwnęłam głową.

— I żebyśmy nie mieli przed sobą żadnych tajemnic — dodałam. Przez chwilę przytulił mnie w mocnym uścisku.

— Pragnę, byśmy byli sobie bliscy... bardzo bliscy... na zawsze, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

— Och, Roc, nie mów o śmierci.

— Tylko jako o czymś w mglistej odległej przyszłości, moje kochanie. Ale teraz jesteś szczęśliwa?

— Szalenie!

— Oby tak było zawsze. Nie martw się domem. Czyż nie mam ciebie do pomocy? Jest jeszcze Charles. On by raczej umarł, niżby pozwolił oddać nasze stare gniazdo. Przejęcie domu przez Bank Kredytowy nie oznacza jego utraty, ale nie byłby już tym samym co teraz, gdyby we wszystkie kąty zaglądali turyści od drugiej do szóstej trzydzieści, codziennie oprócz środy.

Po tej rozmowie czułam się lekko i radośnie, nigdy tragedia śmierci mojego ojca nie wydawała mi się bardziej odległa. Moje życie było obecnie związane z Pendorric, nie wyrosłam, co prawda, z tego rodzinnego pnia, ale wszyscy zaakceptowali mnie jako członka rodziny, a Roc był mi ostoją, jaką tylko on być potrafił.

Zdecydowałam zrobić przegląd wszystkich pokoi i sprawdzić, czy nie znajdzie się coś co wymaga pilnej naprawy. Byłam pewna, że robię słusznie, gdyż Charles właściwie zajmował się tylko farmą, Morwenna ogrodem, a Roc i bez tego miał za dużo spraw na głowie.

Zacząłam od wschodniego skrzydła, bo tam wszystkie pomieszczenia były nie zamieszkałe. Pewnego dnia po lunchu zesłam na dziedziniec, a po kilkuminutowym odpoczynku nad stawem ruszyłam do wschodniego wejścia.

Jak tylko zamknęły się za mną drzwi, zaczęłam myśleć o Barbarinie, która kochała tę część domu. Zapraǳnęłam rozpocząć od jej pokoju muzycznego.

Poszłam prosto na tamto piętro, a kiedy wchodziłam po schodach coś nakazywało mi zawracać. Szybko odepchnęłam tę myśl, bo przecież nie mogłam sobie pozwolić na to, by z powodu jakiejś starej opowieści bać się za każdym razem, gdy znajdę się w tej części budynku.

Stałam przed drzwiami muzycznego pokoju, zdecydowanie nacisnęłam klamkę i weszłam do środka.

Nic się nie zmieniło od czasu mojego pierwszego pobytu: na fotelu leżały skrzypce, na pulpicie nuty.

Zamknęłam drzwi i przypominałam sobie, że przyszłam tu w celach praktycznych. Co mogło być najbardziej narażone na żarłoczność korników. Ramy okienne, dębowe belki sufitu, czy może podłoga albo drzwi? Jeśli jest tu jakieś zagrożenie to im szybciej się temu zaradzi, tym lepiej.

Mój wzrok powędrował do pulpitu na nuty i zaczęłam wyobrażać sobie Barbarinę, jak stoi z oczami błyszczącymi w natchnieniu, z lekkimi wypiekami na policzkach. Z portretów znałam dokładnie jej wygląd, zastanawiałam się, o czym mogła myśleć, kiedy ostatni raz przed śmiercią tu stała, trzymając w szczupłych dłoniach swoje skrzypce.

— Barbarina! — To imię zostało wymówione szeptem. Poczułam mrowienie na grzbiecie. W pokoju byłam sama.

— Barbarina! Jesteś tam, Barbarina?

Jakiś ruch za mną zmusił mnie do gwałtownego odwrócenia się. Spojrzeniem przyłgnęłam do drzwi i spostrzegłam powolny ruch klamki.

Obie ręce mimowolnie przycisnęłam do serca, które szaleńczo mi waliło; drzwi z wolna zaczęły się otwierać.

— Carrie! — Zawołałam z wyrzutem. — Ale mnie przestraszyłaś!

Małe oczka załśniły spod krzaczastych brwi.

— Aaa... to tylko żona panna Roca — rzekła służąca. — Myślałam przez chwilę...

— Wzięłaś mnie za kogoś innego?

Powoli skinęła głową i rozglądnęła się po pokoju, jakby czegoś szukała.

Chciałam dowiedzieć się, co miała na myśli, więc ciągnęłam:

— Zawołałaś: „Barbarina”

Znów przytaknęła w milczeniu.

— Ona nie żyje, Carrie.

— Ona nie ma spokoju — brzmiała cicha odpowiedź.

— Wierzysz, że ona nawiedza ten dom... błąka się po tych pokojach?

— Wiem, kiedy ona staje się gotowa, by chodzić. Wtedy kiedy powstaje jakaś krzątanina. —

Podeszła do mnie blisko i spojrzała mi w twarz. — Teraz to wyczuwam.

— Cóż, ja nic nie czuję. Zrobiło mi się przykro, bo odezwałam \$ję do niej raczej ostro. Przypominałam też sobie, że to przecież niańka Barbariny i Deborah i że kochała bardzo swoje panienki. Kiedy umiera ktoś bardzo kochany, to często ci, którzy go stracili, usiłują wierzyć w jego powrót. W błyszczących oczkach Carri dostrzegłam nieklamane uczucie i zrozumiałam, że kiedy usłyszała mnie w pokoju muzycznym naprawdę miała nadzieję, zobaczyć Barbarinę.

— Poczuj pani — powiedziała Carrie.

— Muszę iść — rzekłam z uśmiechem niedowierzania. — Jestem zajęta. — Przyszła mi ochota na przegląd pokoi wschodniego skrzydła. Wróciłam na dziedziniec i usiadłam na ławce. Po chwili uświadomiłam sobie, że odruchowo, od czasu do czasu, rzucam okiem na tamte okna.

* * *

W czasie następnej wizyty u lorda Polhorgana zastałam doktora Clementa. Wypił z nami herbatę i okazał się miłym rozmówcą dla mnie, a widziałam, że gospodarz podzielał moją opinię.

Ucieszyłam się widząc, że starzec doszedł do siebie po ataku i zdumiałam się jego szybkim powrotem do zdrowia.

Rozmawialiśmy o sprawach wsi i dowiedziałam się z rozmowy, że dr Clement, podobnie jak wielebny Petr Dark, ogromnie interesował się miejscowymi zwyczajami.

Doktor mieszkał już prawie za wsią, w doku przyjętym po swym poprzedniku, który zrezygnował z praktyki, gdy znalazł następcę.

— Mój dom nazywa się Tremethick — co w tym wypadku jest bardzo trafne, bo po kornwalijsku oznacza to dom lekarza. Musi pani nas kiedyś odwiedzić i poznać moją siostrę.

Podziękowałam i przyjąłam zaproszenie, a on zaczął opowiadać o swej siostrze Mabell, która interesuje się garncarstwem i wyrabia dość sporo małych garnuszków i popielniczek wystawiając je na sprzedaż w sklepach paru miasteczek na naszym wybrzeżu. Jest także artystką—malarką i swoje obrazy próbuje sprzedawać w tych samych miejscach, co i ceramikę.

— Nie nudzi się. Ma to swoje hobby, prowadzi dom. Przerobiła stare stajnie na warsztat i zbudowała tam piec garncarski.

— Nigdy się nie dorobi na garnkach — zauważył nasz gospodarz.

— Zawsze przebije ja masowa produkcja.

— Nie zbije majątku, ale ma z tego masę przyjemności — zareplikował doktor. — A to, że przy okazji zdobędzie parę groszy, jest dla niej dodatkową uciechą.

Tym razem nie graliśmy w szachy, a kiedy wstałam by się pożegnać, doktor zaproponował, że odwiezie mnie swoim samochodem.

Chwilę się wymawiałam bo nie widziałam takiej potrzeby, ale stwierdził, że i tak musi przejeżdżać koło Pendorric, więc w końcu przyjąłam zaproszenie.

W czasie jazdy doktor zapytał, czy zawsze z Pendorric do Polhorgan chodzę drogą na klifie. Odpowiedziałam, że różnie: albo drogą, czasem Ścieżką Przemysłowców i skrót, a także przez ogród i plażę.

— Kiedy się spieszę, wybieram skrót — dodałam.

— Faktycznie, — zgodził się — oszczędza czas. Ongiś tam była droga z domami po obu stronach. Wiem to ze starej mapy, którą kiedyś znalazłem. To da pani pojęcie, jak morze stale wgryza się w ląd. Droga, o której mówię, była tam nie dawniej jak sto pięćdziesiąt lat temu. A może pani teraz pojedzie ze mną i pozna Mabel? Będzie zachwycona, i a ja panią później odwiozę do domu.

Spojrzałam na zegarek i sądząc, że Roc może już być w domu wymówiłam się brakiem czasu.

Wysadził mnie u bram Pendorric.

Odwróciłam się w kierunku domu. W pobliżu nie zobaczyłam nikogo, więc zatrzymałam się na chwilę i spojrzałam na kornwalijski napis na bramie.

Dzień był pochmurny; słońce się schowało i zgodnie z tym, co mówił Roc, miało tak trwać, aż się zmieni kierunek wiatru. Teraz wiał z południowego zachodu — powiew miękki i balsamiczny, z rodzaju tych, po których człowiek nabiera zdrowych rumieńców.

Dzisiaj krzyki mew zdawały się brzmieć bardziej żałobnie niż zwykle, morze było ponure i szare pod ołowianym niebem.

Obeszłam dom i znalazłam się na stronie południowej; przystanąłam na chwilę spoglądając na ogród, lecz nawet kolory kwiatów były dziś przyćmione.

Weszłam do domu i od razu mój wzrok, bezwiednie powędrował do portretu Barbariny. To już chyba nawyk. Oczy namalowanej postaci towarzyszyły im, kiedy minęłam hol i zaczęłam wchodzić po schodach. Na galerii stanęłam przed obrazem, a kiedy patrzyłam na Barbarinę, jej oczy utkwione były wprost we mnie, miałam wrażenie, że wargi zaraz wygną się w uśmiechu — uśmiechu ciepłym i zachęcającym.

Zachowuję się naprawdę niemądrze, powiedziałam sobie.

W holu panował półmrok jak zawsze w pochmurny dzień. Gdy słońce wpadało przez duże, dzielone szyby, było tu zupełnie inaczej.

Ciekawe, czy Roc jest już w domu, pomyślałam. Tak dużo miał pracy w majątku i na farmie, a wciąż jeszcze odrabia zaległości.

Z galerii wyszłam na korytarz. Kilka okien było uchylonych i nie mogłam się oprzeć, by nie wyrzeć na dziedziniec. Gdy przystanąłam na chwilę, usłyszałam odległy dźwięk skrzypiec.

Odemknęłam szerzej okno i wychyliłam się. Tak, nie było co do tego wątpliwości, ktoś grał na skrzypcach. Jedno z okien w skrzydle wschodnim było szeroko otwarte. Czyżby muzyka dochodziła właśnie stamtąd?

To było prawdopodobne. Popatrzyłam na drugie piętro. Czy gdyby dźwięki płynęły z pokoju muzycznego, doszłyby przez dziedziniec do moich uszu?

Zrobiło mi się wstyd z własnego strachu. Naprawdę nie powinnam tak ulegać niemądrej wyobraźni. Przypomniałam sobie ten dzień, gdy byłam w pokoju muzycznym i weszła Carri. Pamiętam jak mnie przestraszyła, gdy rozglądała się wokół wzywając Barbarinę, ale przecież wzięłam się w garść i nie dałam się nabrać na jej słowa o „zamieszaniu”, które rzekomo wywołuje ducha Barbariny.

Ruszyłam śmiało do wschodniej części budynku. Gdy weszłam do środka znów dobiegły mnie dźwięki skrzypiec. Pośpieszyłam po schodach do pokoju muzycznego.

Teraz wszystko ucichło. Z rozmachem otworzyłam drzwi. Skrzypce leżały na fotelu, nuty na pulpicie.

W pokoju nie było nikogo, a panująca cisza była niemal przytłaczająca.

Za oknem usłyszałam krzyk mewy.

Miałam wrażenie, że ptak śmieje się ze mnie.

* * *

Ponieważ nie miałam wielkiej ochoty zostać w domu, postanowiłam przejść się w kierunku farmy w nadziei, że spotkam Rocę.

Idąc przekonywałam samą siebie: Ktoś grał na skrzypcach, a ja wmówiłam sobie, że melodia dobiegała ze wschodniego skrzydła, bo tam właśnie widziałam instrument. Jeśli naprawdę niepokoi mnie ta sprawa, nic prostszego, jak dowiedzieć się kto z domowników gra na skrzypcach i zdawkowo napomknąć, że słyszałam jego muzykę.

Tutaj, na zewnątrz wszystko zdawało się bardziej racjonalne i łatwiejsze do wytłumaczenia, aniżeli w domu. Spacer drogą wśród pól ciągnących się na północ, szybko poprawił mi humor. Nigdy tu wcześniej nie byłam i cieszyłam się, że mam okazję poznać nowe tereny. Sielska okolica była kojącą odmianą po krajobrazach poszarpanego skalistego wybrzeża i wnet znalazłam się pod urokiem zielonozłoty, świeżo skoszonych pól, o miedzach, usianych gdzieniegdzie kępami

szkarłatnych maków. Szczególną uwagę zwracały z rzadka rosnące drzewa, pochylone od południowozachodnich sztormowych wiatrów, lecz wyższe od karłowatych i powykrzywianych pobratymców, którym udało się przetrwać na samym morskim brzegu. Wdychałam aromat, porastających poboczy drogi tawulek, dzwonek i gwiazdników.

Kiedy w milczeniu napawałam się pięknem otoczenia do moich uszu dobiegł warkot silnika. Ku mej radości był to samochód Roca.

— Co za miła niespodzianka! — Zawołał, wystawiając głowę przez okno.

— Wybrałam nową trasę. Miałam nadzieję, że cię spotkam.

— Wsiadaj.

W samochodzie i w objęciach męża poczułam się znów bezpieczna i zadowolona.

— Wróciłam z Polhorgan, a ponieważ nikogo nie było w domu nie chciałam tam zostać sama.

— A jak dziś czuł się nasz staruszek? — Spytał Roc uruchamiając silnik.

— Chyba już całkiem doszedł do siebie.

— Zdaje się, że to typowe dla jego dolegliwości. Biedny stary, to musi być dla niego ciężka próba, a i tak dość pogodnie to znosi... jak na taką chorobę.

— Sądzę, że jest bardzo dzielny.

— Wciąż na najlepszej stopie? — Roc rzucił mi szybkie spojrzenie.

— Naturalnie.

— Nikt dotąd nie potrafił go ugłaskać. Cieszę się, że tobie się to udało.

— Dziwi mnie twoje zadowolenie, bo przecież wyraźnie go nie cierpisz.

— Dziedziczki w Pendorrice zwykły zawsze odwiedzać chorych. To stara tradycja, więc to dla ciebie dobry początek.

— Przypuszczam, że tradycja ta dotyczyła odwiedzin biedaków i obdarowywania ich zupą i kocami.

Roc roześmiał się z całego serca.

— Wyobrażam sobie ciebie, przybywającą do Polhorgan z miską zupy i czerwonym wełnianym kocem, i wręczającą te rzeczy Dawsonowi, by wręczył je godnemu pożałowania milionerowi.

— Nie wyśmiewaj się ze mnie. Chodzę tam z sympatii, a nie z czystego miłosierdzia.

— Nie bierz sobie do serca tego, co wygaduję, kochanie. Tak naprawdę to cieszę się, że mogłaś wnieść w jego życie trochę słońca. Tak dużym blaskiem obdarowałaś nasz związek, że jestem w stanie użyczyć mu drobnej cząstki. A o czym wy rozmawiacie? Czy opowiada ci o swojej podłej rodzinie, która go opuściła?

— O rodzinie? Nic nie wspominał o żadnej rodzinie.

— Wspomni, wspomni. Czeka widocznie na okazję.

— Wiesz, Roc, — przypomniałam sobie — słyszałam dziś po południu, jak ktoś grał na skrzypcach. Kto to mógł być?

— Na skrzypcach? — Roc podniósł oczy do góry jakby w wielkim zdumieniu. — Gdzie?

— Nie potrafię określić dokładnie, gdzie. Wydawało mi się, że we wschodnim skrzydle.

— Ależ tam prawie nikt nie bywa z wyjątkiem starej Carrie. Trudno mi zaś uwierzyć, by ona na starość stała się jakimś wirtuozem. W młodości ja i Morwenna brałyśmy lekcje gry na skrzypcach, ale — przynajmniej w moim przypadku — skończyło się na kilku próbach, bo szybko okazało się, że nie będzie z tego żadnych korzyści. Miałem drewniane ucho, ale Morwenna zupełnie nieźle sobie radziła. Jednak po ślubie zarzuciła całkowicie praktykę. Charles kompletnie nie ma słuchu — nie potrafiłby odróżnić Beethovena od hymnu państwowego, a Morwenna jest bardzo oddaną żoną; zdanie Charles jest jej zdaniem, powinnaś pójść w ślady swojej szwagierki kochanie.

— Więc tylko was dwoje potrafi grać na skrzypcach?

— Zaraz, zaraz. Poczekaj chwilkę! Chyba bliźniaczki uczyły się trochę. Tak, Rachelę dawała im lekcje. Lowella wdała się we mnie i okazała się utalentowana w tym kierunku mniej więcej tak, jako noga stołowa, ale Hyson... Ona chyba ma do tego smykałkę.

— A więc to mogło być grą Hyson lub Racheli?

— Wydajesz się tym bardzo zainteresowana. Może chcesz zacząć grywać sama? Czyżbyś miała ukryty talent? Wciąż mnie zaskakujesz, Favel. Wielu rzeczy jeszcze o tobie nie wiem, chociaż jesteś moją żoną.

— Ja także wciąż jeszcze cię poznaję.

— To wspaniale, mamy przed sobą całą resztę życia, by się odkrywać nawzajem.

Nieco dalej spotkaliśmy Rachelę i Roc zabrał ją do samochodu.

— Szukam dziewczynek — powiedziała nauczycielka. — Poszły łowić krewetki do Zatoczki Tregallic.

— Spodziewałem się, że wykorzystasz tę chwilę wytchnienia — rzekł Roc.

— Naturalnie. Poszłam na długi spacer do Zatoki Gormana. Wypiłam tam herbatę i planowałam w powrotnej drodze zabrać bliźniaczki, ale chyba już dawno są w domu.

— Favel zdaje się, że słyszała twoją grę dzisiejszego popołudnia.

Odwróciłam się i spojrzałam na Rachelę. Wyraz jej twarzy wydał mi się nieco pogardliwy, a wyblakłe oczy bardziej złośliwe niż zwykle.

— Chyba masz genialny słuch, skoro słyszałaś mnie aż z Zatoki Gormana.

— A więc musiała to być Hyson.

— Bardzo wątpliwe. — Rachelę wzruszyła ramionami. — Nie sądzę, by Hyson miała kwalifikacje na skrzypaczkę i byłabym wielce zdumiona, gdyby poświęciła łowienie krabów dla muzyki. Gdy dojechaliśmy do bramy, spotkaliśmy bliźniaczki z siatkami do połowu, a Lowella ponadto trzymała wiaderko pełne zdobyczy.

— Hyson, czy dziś po południu nie wróciłaś, by pograć w domu na skrzypcach? — Spytała Rachelę.

— Po co? — Hyson wyglądała na zdumioną.

— Ciocia Favel sądzi, że słyszała ciebie.

— Och, to nie mnie Favel słyszała — odparła Hyson z namysłem.

Odwróciłam się raptownie i byłam pewna, że chciała ukryć przede mną jak poruszyło ją pytanie Racheli.

* * *

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego — wyjaśniał mi Roc — po prostu jeszcze jedna kornwalijska właściwość. Teraz zrozumiesz, dlaczego tutaj jest najbujniejsza trawa, a nasza ziemia jest najbardziej zielona.

Wiała mokra, południowozachodnia bryza i powietrze było przesycone wilgocią.

Kolejny dzień przyniósł pewne polepszenie pogody, zdarzały się przerwy między falami opadów, ale zaciśnięte chmurami niebo nie wróżyło stałej poprawy. Przy brzegu morze było brudnobrazowe, a nieco dalej miało ponurą barwę szarozieloną.

Roc wyjeżdżał na farmę, a kiedy ja postanowiłam wybrać się do Polhorgan, dokończyć nie rozegraną partię szachów, podrzucił mnie po drodze.

Lord Polhorgan ucieszył się bardzo z mojej wizyty, wypiliśmy razem herbatę a potem zasiedliśmy do gry. Gospodarz był górą.

Zawsze po zakończeniu lubił analizować rozgrywkę i określał ruch, który decydował o mojej przegranej. To wprawiało go w dobry humor, co z kolei zawsze mnie cieszyło, bo przecież głównym celem moich wizyt było sprawienie mu przyjemności.

Kiedy zbierałam się do wyjścia, przyjechał dr Clement. Miałam wyjście strzeżone przez kamienne jednorożce, kiedy doktor właśnie wysiadał z samochodu.

— Już pani wychodzi? — Spytał z nutą rozczarowania.

— Tak. I tak byłam dłużej niż zamierzałam.

— Mabell nie może się doczekać, żeby panią poznać.

— Proszę jej przekazać, że cieszę się na myśl o naszym spotkaniu.

— Powiem jej, żeby do pani zadzwoniła.

— O, tak. Koniecznie. Panie doktorze, jak poważna jest choroba lorda Polhorgana?

— O pacjencie w tym stanie nie można powiedzieć nic pewnego. Zagrożenie może wystąpić w każdej chwili.

— W takim razie dobrze, że zawsze pod ręką jest siostra Grey.

— W jego przypadku jest to konieczne. Chociaż...

Przerwał, a ja odgadłam, że chciał powiedzieć coś niezbyt pochlebnego o Althei Grey, ale zmienił zdanie.

— Muszę już uciekać. Do widzenia panu.

— Do widzenia.

Wszedł do budynku, a ja ruszyłam do drogi. Lecz po kilku krokach zmieniłam zamiar i skręciłam, by pójść na skróty.

Nie uszłam jednak daleko, kiedy uświadomiłam sobie, że to była nie przemyślana decyzja. Teraz, po deszczach, dróżka zamieniła się w rozmiękłą masę czerwonego błota, a podejrzewałam, że ścieżka Przemysłowców będzie jeszcze gorsza. Przystanąłam zastanawiając się, czy nie zawrócić, ale powrót oznaczał mozolne brnięcie w błocie, więc jeśli pójdę dalej, niewiele na tym stracę. Buty i tak miałam ubłocone po kostki.

Doszłam już prawie do wąskiego skalnego występu, gdy usłyszałam głos Roca:

— Favel! Ani kroku dalej! Stój tam i nie ruszaj się, aż do ciebie dojdę!

Odwrociłam się gwałtownie.

— Co się stało?

Nie odpowiedział, ale podszedł całkiem blisko, objął mnie i tulił do siebie przez kilka sekund. Potem wyjaśnił:

— Po dużych opadach dalsza droga jest bardzo ryzykowna. Spójrz! Widzisz te pęknięcia w gruncie? Osunęła się część klifu. Niebezpiecznie jest nawet tutaj.

Wziął mnie za rękę i prowadził z powrotem śledząc ostrożnie każdy swój krok.

Gdy znaleźliśmy się na pewnym gruncie zatrzymał się i odetchnął głęboko.

— Okropnie się bałam o ciebie! W pewnej chwili przeszło mi nagle przez myśl, że możesz wybrać tę drogę. W wielkim pośpiechu pogałęm do Polhorgan, a tam dowiedziałem się, że już wyszłaś. Spójrz za siebie. Widzisz jak zbcze skały się osypuje? Popatrz na ten stos oderwanych łupków i paproci wyrwanych z korzeniami; tam, mniej więcej w połowie zbcza.

Rzuciłam okiem w tym kierunku i przeszył mnie dreszcz.

— Występ jest absolutnie niepewny — ciągnął Roc. — Zdumiewa mnie tylko, że nie zastosowałaś się do ostrzeżenia. Chociaż, prawdę mówiąc, sam nie dostrzegłem tablicy.

— Czy chodzi ci o napis: „ścieżka na własne ryzyko”? Sądziłam, że to ostrzeżenie głównie dla turystów, którzy nie są przyzwyczajeni do poruszania się na klifie.

— Po obfitym deszczu tamta tablica zastępowana jest inną: „Uwaga! Przejście niebezpieczne! Grozi śmiercią!” Nie mogę pojąć, czemu nie wystawiono jej teraz.

Zmarszczył brwi, rozejrzał się wydał nagły okrzyk.

— Dobry Boże! A któż to mógł zrobić?!

Ruszył do przodu i podniósł tablicę leżącą w błocie napisem do dołu. Oba ubłocone słupki, do których przymocowano płytę z ostrzeżeniem najwyraźniej zostały niedawno wyrwane z ziemi.

— Nie mogę zrozumieć, jak mogła upaść! Dzięki Bogu, że tu przyszedłem!

— Byłam ostrożna.

— Mogło ci się udać przejść, ale... o, Boże, jak pomyślę o ryzyku...!

Trzymał mnie mocno w objęciach, wzruszyłam się widząc, że chce mi okazać swoją wielką troskę. Po chwili zatknął tablicę na swoje miejsce i rzekł wciąż jeszcze ochryplym z niepokoju głosem:

— Tu niedaleko mam samochód. Chodźmy! Pojedziemy do domu.

* * *

Gdy zajechaliśmy przed portyk, spostrzegliśmy Morwennę zajęta wrywaniem chwastów z trawnika.

Roc wysiadł, z trzaskiem zamknął drzwi samochodu i zawołał do niej:

— Ktoś wyrwał i przerwał tablicę ostrzegawczą przed ścieżką na klifie. Ledwie zdążyłem, żeby powstrzymać Favel!

Morwenna wstała wyraźnie wstrząśnięta. ;

— Ale na miłość boską, kto by... — zaczęła.

— Chyba jakieś dzieciaki. Należy to zgłosić władzom. Nie chcę nawet myśleć, co mogłoby się stać, gdyby mi nagle nie wpadło do głowy, że Favel może wybrać tamtą drogę.

— Ja często tamtędy chodziłam pomimo ostrzeżenia — rzekła Morwenna.

— A dziś tam paskudnie osunęło się zbocze — uciął krótko Roc. — Tego przejścia nie należy używać, dopóki go nie zabezpieczą. Porozmawiam o tym z admirałem Westonem — przewodniczącym miejscowej rady.

Za domu wyszedł Charles; spostrzegłam, że ma zabłocone buty.

— Dzieje się coś?

Roc powiedział raz jeszcze jak szczęśliwym zrządzeniem losu uniknęłam śmierci.

— To sprawa turystów — mruknął Charles. Mogę się założyć, że tu maczał palce ktoś obcy.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — orzekła Morwenna zdejmując ogrodowe rękawice. Dość roboty na dziś. Zrobię coś do picia. Napijesz się Favel? Rocowi też przyda się jeden głębszy, a wiem, że Charles nigdy nie odmawia.

Weszliśmy do domu, do małego saloniku blisko wejścia. Morwenna wyciągnęła z kredensu trunki, a kiedy je nalewała zjawiała się Rachel z Hyson. Obie były w pantoflach, na co zwróciłam uwagę pod wpływem pełnego aprobaty spojrzenia Morwenny rzuconego na ich nogi. Domyśliłam się, że zmieniły buty przy bocznych drzwiach, gdzie właśnie na takie okazje trzymano pantofle i gumiaki.

Po raz kolejny wypłynął temat tablicy ostrzegawczej, a Rachel Bective nie patrząc na mnie rzuciła:

— To mogło źle się skończyć. Całe szczęście, że pomyślałeś o tym przejściu, Roc.

Hyson wpatrywała się w czubki pantofli i wydawało mi się, że lekki uśmiezek przemknął jej przez usta.

— A gdzie Lowella? — Spytała Morwenna. Ani Rachel, ani Hyson nie miały o tym pojęcia.

Pięć lub dziesięć minut później wpadła Lowella, a zaraz po niej weszła Deborah. Dziewczynka oświadczyła radośnie, że była popływać, a Deborah najwyraźniej dopiero wstała ze swojej zwykłej

popołudniowej drzemki, bo nadal miała zaspaną minę. Nikt już nie wspomniał o tablicy ostrzegawczej, lecz ta sprawa wciąż jeszcze zaprzętała nasze umysły. Roc wyglądał na zmartwionego, Rachel Bective na niemal smutną, a Hyson była jakaś tajemnicza, jakby wiedziała o czymś, czego zdecydowanie nie chciała nikomu wyjawić.

Podejrzywałam niemal, że to Hyson usunęła tablicę. Wiedziała, gdzie się wybieram i mogła przypuszczać, że wrócę do domu krótszą drogą. Mogła mnie nawet śledzić. Ale po co miałyby to robić? Chyba, że w jej charakterze leżała złośliwość. A może to Roc robił z igły widły tylko dlatego, że mnie kocha?

Poddałam się rozkosznemu zadowoleniu, które potrwało do następnego dnia, kiedy to zaczęły pojawiać się wątpliwości.

* * *

Rano pogoda zmieniła się radykalnie. Niebo stało się czystobłękitne, a woda błyszczała niemal oslepiająco. Powierzchnia morza była jak tafla lustra, zmacona gdzieniegdzie lekkimi zmarszczkami. Roc wziął mnie ze sobą do kuźni, gdzie tego ranka podkuwano jego konia. Zostałam tu znów uraczona szklaneczką cideru z wielkiej beki stojącej w kącie, a kiedy Jim młodszy zajął się koniem, zeszła do nas na dół jego urodziwa żona i obrzuciła mnie swoim błyszczącym, zuchwałym wzrokiem. Wyczytałam z jej spojrzenia, że młoda wieśniaczka ciekawa jest, jak układa się moje małżeństwo z Rokiem. Zaczęłam podejrzewać jakąś międy nimi zażyłość i to, że ona teraz próbuje sobie wyobrazić mnie w podobnej sytuacji.

— Być może, — zaczęła rozmowę Cyganka — pewnego dnia wywróżę pani Pendoric, co ją czeka.

— Wątpię, czy pani Pendoric interesuje się takimi bzdurami — burknął stary Jim.

Synowa zignorowała jego uwagę.

— Mogę wróżyć z kart, ale lepsza jestem w przepowiadaniu z ręki i z kryształowej kuli. Powiem wszystko o przyszłości, pani Pendoric.

Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu, aż zatańczyły i zadzwoniły jej złote kolczyki.

— Może... kiedyś... — odrzekłam wymijająco.

— Ale proszę nie czekać z tym długo. Zwłoka może być niebezpieczna.

Gdy opuściliśmy kuźnię i mijaliśmy szereg starych domków dla służby, ujrzałam na progu jednego z nich starego, siedzącego człowieka.

— Dzień dobry, Jesse — zawołał Roc.

— Dzień dobry, sir.

— Musimy przystanąć i pogawędzić z Jessem Pleydallem — szepnął mi Roc do ucha.

Starzec obejmował kościste kolana zdeformowanymi dłońmi. Ręce mu drżały; trochę mnie to zdziwiło, lecz kiedy spostrzegłam jak bardzo jest stary, zrozumiałam, że trząsł się ze starości.

— Czy pani jest z panem, sir? — Zapytał cicho staruszek.

— Tak, Jesse. Przyszła ze mną, żeby cię poznać.

— Dzień dobry Jesse — odezwałam się. — Córka opowiadała mi dużo o tobie.

— Dobra z niej dziewczyna, z tej mojej Bessie... a i Maria... ona jest też bardzo dobra. Nie wiem, co bym bez nich zrobił... teraz jak jestem taki stary i niedołężny. — To dla mnie duża ulga wiedzieć, że ona jest niedaleko... we dworze.

— Szkoda, że ty też nie jesteś tam z nami, Jesse — wpadł mu w słowo Roc, a życzliwość w jego głosie sprawiła, że wróciło uczucie szczęścia, zmacone zachowaniem Dinah Bond.

— Tak jest, sir. Tam moje miejsce, ale od kiedy Pan odjął mi wzrok, niewielki ze mnie pożytek i Jemu i ludziom.

— Nonsens, wszyscy jesteście z ciebie dumni, Jesse. Pożyj jeszcze ze dwadzieścia lat, a wsławisz ród Pendorriców.

— Pan to zawsze skory do żartów, paniczu Roc... tak jak pański ojciec. On był jedyny do figli, aż do... — Stare dłonie zaczęły szarpać nerwowo materiał spodni.

— Jaki ojciec taki syn — wtrącił sentencjonalnie Roc. — Cóż, musimy już ruszać dalej.

Pod wpływem nagłego impulsu podeszłam do starca i położyłam mu rękę na ramieniu. Siedział bardzo cicho, nieruchomo, a po chwili na usta wypłynął mu lekki uśmiech.

Kiwnął głową, ręce znów zaczęły mu drżeć, ale złożył je na kolanach.

— Jak za starych, dobrych czasów... — zamruczał. — Za starych, dobrych czasów, z nową dziedziczką Pendorric. Życzę pani wszystkiego najlepszego, moja droga.

Gdy byliśmy już poza zasięgiem słyszalności, rzekłam do Roca:

— Pani Penhalligan mówiła mi, że on był w holu w czasie wypadku twojej matki.

— Tak ci mówiła? — Zmarszczył brwi. — Jak to ludzie lubią powracać do zamierzchłej przeszłości. — Obrzucił mnie wzrokiem, ale chyba wyglądałam na zdumioną jego wyraźną irytacją bo dodał:

— Przypuszczam, że w ich życiu tak niewiele nowego się dzieje, że pamiętają każdy najmniejszy drobiazg, który odbiega od zwykłego porządku.

— Z całą pewnością czyjeś śmierci nie można nazwać drobnym odstępstwem od zwykłego porządku.

Roc roześmiał się i otoczył mnie ramieniem.

— Musisz o tym pamiętać, kiedy poczujesz ochotę by włączyć się po niebezpiecznych ścieżkach.

Potem podjechaliśmy do domu Darków, gdzie powitał nas wielbny Peter pałający chęcią pokazania nam zdjęć, które zrobił niedawno na jakimś ludowym święcie.

* * *

Po południu zeszłam na dziedziniec, ale nie usiadłam na ławie, gdyż mimo mocno po deszczu przygrzewającego słońca, nie była jeszcze całkiem suche. Przyszła ze mną Hyson i poważnie kroczyła u mego boku. Hortensje były świeższe niż zwykle, a ich kolory wydawały się bardziej soczyste.

— Czy bardzo się bałaś wtedy, na tej ścieżce, kiedy wujek Roc cię wyratował? — Spytała nagle Hyson.

— Nie, wcale. Nie zdawałam sobie po prostu sprawy z niebezpieczeństwa, dopóki nie dowiedziałam się o zagrożeniu.

— Przypuszczalnie przeszłabyś bezpiecznie, narobili krzyku tylko dlatego, że mógł być wypadek.

— Ale dobrze, że zostałam zatrzymana, prawda?

Hyson kiwnęła głową.

— To musiało mieć jakieś znaczenie — rzekła cichym, poważnym głosem.

Spojrzałam na nią ostro.

— Możliwe, — ciągnęła — że to było tylko ostrzeżenie. Ale może...

Zapatrzyła się w jedno z okien wschodniego skrzydła. Podążyłam za jej wzrokiem. W oknie nie było nikogo. Kiedy dziewczynka spostrzegła moje spojrzenie uśmiechnęła się lekko.

— Do widzenia — rzekła i weszła do domu przez północne drzwi. Byłam zirytowana. Cóż to dziecko mogło mieć na myśli?! Chyba chciała zrobić na mnie wrażenie. Czyżby usiłowała coś sugerować? Że pewne sprawy, które są niezrozumiałe dla zwykłych ludzi, jej nie sprawiają

problemu? To niezbyt mądra postawa. Ale to jeszcze dziecko i muszę o tym pamiętać. Może ona jest zazdrosna o siostrę? To byłoby raczej smutne.

Nagle usłyszałam jakiś głos i przez chwilę nie wiedziałam skąd pochodzi. Ktoś śpiewał dziwnym głosem w nieco fałszywej tonacji. Z oddali dobiegły mnie przytłumione słowa:

*Umarł i już go nie ma,
Zapadł się w grób,
W głowach wilgotna ziemia,
Kamień u stóp.*

Spojrzałam do góry na okna wschodniego skrzydła. Kilka z nich stało otworem.

Zdecydowanie otworzyłam drzwi i weszłam po schodach na wschodnią galerię.

— Hyson! — Zawołałam. — Jesteś tam, Hyson?

Nie doczekawszy się odpowiedzi uświadomiłam sobie, jak bardzo zimne wydają się te puste pomieszczenia, gdy się tu weszło ze słonecznego ogrodu. Wpadłam w gniew, że ktoś próbuje stroić sobie ze mnie żarty. Byłam bardziej zła niż sytuacja tego wymagała i chwilę później, w tej milczącej części domu zrozumiałam, że powoli zaczyna mnie ogarniać strach.

Powzięłam podejrzenie, że ktoś zabawia się moim kosztem.

Słyszałam grę skrzypiec, słyszałam śpiew. Dlaczego docierało to tylko do moich uszu? Byłam pewna, że ma to związek ze starą legendą i z pojawieniem się nowej Małżonki. Ktoś w tym domu usiłował grać mi na nerwach.

Zastanawiałam się po co? Czyżby mój zmysł praktyczny, moja stanowcza postawa i racjonalizm wobec historii o duchach irytował kogoś? A może mój sceptycyzm prowokował do takiego działania? To było wielce prawdopodobne. Ktoś, kto wierzy w ducha Pendorrice, był zdecydowany za wszelką cenę zmienić mój punkt widzenia.

Zaczęłam rozważać, z kim mogłabym porozmawiać na ten temat?

Gdybym o tym wspomniała Rocowi, roześmiałby się i powiedział, że tak jak wszystkie nowo poślubione Małżonki, uległam czarowi Pendorrice. Morwenna zachowywała się przyjaźnie, ale nie była skora do poufałości. Charles — z nim miałam jedynie luźny kontakt, a poza tym nie wyobrażałam sobie z nim beztroskiej pogawędki o duchach. Bliźniaczki? Niemożliwe! Lowella była zbyt postrzelona, a po rozmowie z Hyson nie bardzo wiedziałam, o czym ona myśli. Chociaż... jeśli ktoś celowo próbował mnie nastraszyć, to raczej mogłaby to być Hyson, bo przecież w tej metodzie istniał niewątpliwie jakiś infantylizm.

Rachel Bective nigdy nie zyskała mojej sympatii i zdawało mi się, że ona, wyczuwając to, odpłaca mi podobną monetą, próbując ponadto sprawić, żeby we własnym domu nie czuła się dobrze.

Jedyną osobą, której mogłam się zwierzyć pozostała Deborah. Była dostępniejsza niż Morwenna, a czułam też, że jako mieszkanka Devonshire była praktyczna i wobec przesądów miała podobne do mnie zapatrywania.

Sposobność do rozmowy nadeszła, kiedy poszłam do jej pokoju oglądać albumy. Siadłyśmy w fotelach, przy oknie w jej saloniku, trzymałam księgę na kolanach, a ona objaśniała mi poszczególne zdjęcia. Fotografie ułożono starannie, w chronologicznym porządku, z podpisami pod każdą, a większość początkowych stronic, poświęconych było Barbarinie i jej mężowi. Potem na kilku zdjęciach zobaczyłam Barbarinę z Deborah i żadną miarą nie potrafiłam rozróżnić, która jest którą.

— To dlatego, że pozowałyśmy — wyjaśniała Deborah. — Normalnie, w życiu ona była żywsza niż ja, miała też więcej wdzięku, ale na zdjęciu to nie wyszło.

Później oglądałam serię Morwenny i Roca. Było to interesujące doświadczenie, bo na dziecięcej twarzy doszukiwałam się znajomych rysów dorosłego człowieka.

Następne strony były puste.

— Ostatnie zdjęcie z tej serii zrobiłam na tydzień przed śmiercią Barbariny. Potem tego albumu już nie używałam. Zawsze myślałam o nim jako o „Albumie Barbariny”; nie mogłam go uzupełnić, kiedy jej już nie było.

Sięgnęła po kolejny. Były w nim zdjęcia Roca i Morwenny z późniejszych lat.

— Życie zaczęło się toczyć nowym torem — ciągnęła Deborah — i znów powróciłam do robienia zdjęć.

Przewróciłam jakąś stronicę i patrzyłam zaskoczona, bo na zdjęciu była Morwenna, Roc i Barbarina.

— Ta fotografia nie należy do tego albumu.

— Ależ tak. — Deborah uśmiechnęła się. — To nie jest Barbarina. To było robione sześć miesięcy po jej śmierci.

— A więc to ty! Wyglądasz dokładnie jak ona.

— Tak... kiedy zmarła i przestano nas porównywać, ludzie doszukiwali się nawet większego podobieństwa niż przedtem. Ale to, oczywiście, tylko dlatego, że jej nie było — powtórzyła Deborah i przewróciła stronicę, jakby nie mogła dłużej znieść widoku podobizny.

— Patrz, tu jest Morwenna i Charles. Tu jest bardzo młody. Przybył do Pendorrice, gdy miał osiemnaście lat. Zamysłem Petroca było tak go przyuczyć, żeby mógł prowadzić interesy. Spójrz, jak Morwenna wpatruje się w Charlesa. Był dla niej zawsze bardzo dobry. Śmiałyśmy się, obserwując jego wpływ na małą Morwennę. Jej każde zdanie zaczynało się od: „Charles powiedział...” lub „Charles zrobił...”. Straciła dla niego głowę już w chwili, kiedy pojawił się w Pendorrice i ten stan trwa do dziś.

— Ale są szczęśliwym małżeństwem, prawda?

— Myślę czasami, że aż za wiele tego przywiązania. Pamiętam jedno wydarzenie, kiedy Charlesowi w drodze na targ zdarzył się wypadek. Nie stało się nic groźnego, był kilka dni w szpitalu, ale Morwenna przeżyła to tak, jakby... świat się walił. Pamiętam, co wtedy myślałam: moja droga, ty nie żyjesz własnym życiem. Istniejesz w cieniu Charlesa. Wszystko jest dobrze, dopóki Charles żyje i cię kocha. Ale w przeciwnym razie... sędzę, że chyba — serce by jej pękło.

— Jest chyba dobrym mężem?

— Był jej zawsze wierny, ale w jego życiu liczy się także coś innego. Poświęca się również sprawom Kościoła. Peter Dark często powiada, że nie wie, co by bez niego począł. Ojciec Charlesa był duchownym i dał synowi bardzo surowe wychowanie. Charles jest głęboko wierzący. Właściwie zawsze mnie dziwiło, że nie przyjął święceń kapłańskich. Sędzę, że uprawę ziemi traktuje też jak coś w rodzaju religijnego przesłania. Potrafił ukształtować Morwennę na swoją modłę. Kiedyś była rozbrykana i tak skora do żartów jak Roc. Teraz jest poważna i nie wyobrażam sobie, by mogła sprzeciwić się mężowi w czymkolwiek.. no, z jednym wyjątkiem.

Czekałam w napięciu, ale Deborah zawahała się, czy mówić dalej.

— Mam na myśli... jej zażyłość z Rachelą Bective.

— Och! Charles nie lubi Racheli?

— Nie sędzę, żeby to była nienawiść, ale swojego czasu Morwenna miała w zwyczaju zapraszać ją do nas na każdą przerwę szkolną. Pytałam ją wtedy, czy nie ma innej przyjaciółki, która także chciałaby przyjechać i czy Rachela nie ma własnego domu. Morwenna była nieugięta. „Rachela musi przyjeżdżać” — upierała się wtedy. „Chce tego i nie lubi swojego domu”. Charles nigdy wyraźnie nie powiedział, że nie aprobuje wizyt Racheli, ale też nigdy nie zabierał ich obu na konne przejażdżki po farmie, mimo że często jeździł z Morwenną, kiedy była sama. Sądziłam, że to Morwennie wystarczy, i przestanie ją zapraszać, lecz nie poskutkowało.

— A teraz Rachela tu mieszka!

— Och tylko do czasu, aż dzieci pójną do szkoły. Ale podejrzewam, że i później znajdzie jakiś pretekst by tu zostać, lecz gdy, ty jesteś tu panią...

Urwała, ale wiedziałam co ma na myśli. Ubogą Rachelę, przybywającą do Pendorrice, urzekło to miejsce tak, że zapragnęła uczynić je swoim własnym. Czy naprawdę uwierzyła w możliwość zostania nową Małżonką z Pendorrice? Roc w widoczny sposób traktował ją przyjaźnie, a sama najlepiej wiedziała, jak łatwo można się w nim zakochać. Czyżby Racheli się to przydarzyło? A może kochała go kiedyś? Faktycznie, orzekłam, Rachel Bective może mieć wystarczające powody, by czuć do mnie niechęć.

— Pamiętasz, Deborah, jak mi opowiadałaś o Barbarinie grającej rolę Ofelii i śpiewającej pieśni ze sztuki?

Deborah milczała przez chwilę i spoglądała na mnie pytająco. Później przytaknęła.

— Wydaje mi się, że słyszałam, jak ktoś śpiewał tę pieśń we wschodnim skrzydle. Zastanawiam się, kto to mógł być.

Milczenie zdało się przedłużać w nieskończoność, ale w istocie trwało chyba tylko kilka sekund.

— Każdy mógł to śpiewać — rzekła wreszcie Deborah. Odwróciła się i sięgnąwszy po kolejny album, którego jeszcze nie oglądałam, usiadła przy mnie i zaczęła komentować zdjęcia. Najwyraźniej nie dostrzegła niczego dziwnego w tym, że słyszałam pieśni Ofelii.

* * *

W odpowiedzi na zaproszenie, kilka dni później, wybrałam się do domu doktora. To było urocze miejsce — budynek z początków dziewiętnastego wieku, okolony ogrodem, w którym stały szeregi uli. Mabell Clement była bardzo czynną osobką, wysoką i jasnowłosą jak brat, z grubym warkoczem spływającym jej do połowy pleców. Tę fryzurę zapamiętałam podczas pierwszej mojej wizyty, później widywałam ją uczesaną w luźny węzeł spięty nisko na karku. Nosiła obszerne koszule, czasem przewiązane paskiem, sandały plecione z rafii, bursztynowe korale i duże kolczyki w kształcie pierścieni.

Widać chciała, by wszyscy dostrzegali w niej artystkę, ale ta nieszkodliwa słabostka nie przesłaniała jej pogody ducha i wyrozumiałości. Umiała być dobrą gospodynią, kochała brata i była z niego dumna, a on odwzajemniał jej uczucia i tolerował artystyczne fanaberie. Mogłam sobie wyobrazić, że posiłki podawała o różnych, dziwnych porach, bo otwarcie przyznawała, że kiedy czuje nieprzepatą chęć do malowania, wyrabiania garnków lub pielęgnowania ogrodu, po prostu temu ulega.

* * *

Obejrzałam dom, ogród, pracownię garncarską, pomieszczenie, które rodzeństwo nazywało studiem i spędziłam interesujące popołudnie.

Doktor Clement miał mnie odwiedzić do Pendorríc, ale na pół godziny przed moim wyjściem wezwano go do pacjenta i natychmiast wyjechał.

Tak więc wracałam pieszo.

Gdy przechodziłam przez wioskę nie spotkałam nikogo. Był to jeden z tych spokojnych dni, bardzo gorący i parny. Mijając domki dla służby patrzyłam czy nie ma Jessa Pleydella, ale dzisiaj nie siedział na progu. Zastanawiałam się czy do niego nie zajrzeć, bo to mu obiecałam, ale postanowiłam odłożyć wizytę i najpierw spytać pani Penhalligan lub Marii jaki jest jego ulubiony gatunek tytoniu, by nie pójść z pustymi rękami.

Szłam wzdłuż cmentarza. Przy rozprażonej drodze zdawał się oazą chłodu i kusił swoim wyglądem. Wahałam się krótko, po czym skręciłam w cmentarną bramę. Zawsze interesowały mnie takie odludne miejsca. Wydawały się promieniować absolutnym spokojem i miałam wrażenie, że wszyscy ci ludzie, spoczywający teraz pod szarymi, nagrobnymi płytami, którzy kiedyś żyli i cierpieli, nareszcie znaleźli ukojenie.

Chodziłam powoli pomiędzy nagrobkami i czytałam epitafia, tak samo jak nie tak dawno czytałam to z Rokiem, aż w końcu zawędrowałam przed kryptę Pendorríców.

Nieodparcie przyciągana podeszłam bliżej. Chciałam zobaczyć, czy nadal wisi tam laurowy wianuszek.

Tamten zniknął, lecz jego miejsce zajął inny, z pąków róż, które rosły w ogrodzie Pendorriców. Przy kwiatach nie było notatki, ale i tak byłam pewna, że są dla Barbariny. Przyszło mi na myśl, że to Carrie mogła je tutaj przynieść.

Z tyłu, za sobą, usłyszałam szelest trawy, a odwróciwszy się raptownie ujrzałam Dinah Bond idącą w moją stronę. Tu, pomiędzy umarłymi, jej żywotność bardziej jeszcze rzucała się w oczy niż w starej kuźni; szła wyprostowana, kołysząc biodrami, w sposób, który był zarazem prowokacyjny i pełen wdzięku.

— Dzień dobry, pani Pendorric — zawołała wesoło.

— Dzień dobry — odparłam.

— Taka tu cisza... tak spokojnie.

— We wsi też chyba dzisiaj bardzo spokojnie?

— Tak, ale jest zbyt gorąco, żeby tam spacerować. Burza wisi w powietrzu. Czuje pani? Wszystko stoi nieruchomo, jakby czekało... aż przyjdzie wichra.

— Chyba ma pani rację.

W odpowiedzi na to Dinah uśmiechnęła się wpół zuchwale, a co gorsza, z odcieniem czegoś, co mogło wyrażać politowanie.

— Ogląda pani rodzinny grobowiec? Ja tu często przychodzę. Założę się, że nie była pani w środku, pani Pendorric.

— Nie.

— Wiem, pani myśli, że na to jest jeszcze dość czasu — zaśmiała się. Tam w środku jest chłód, zimno jak sama śmierć... i te wszystkie trumny leżące na półkach. Czasami przychodzę tutaj i patrzę na to... tak jak dziś... po prostu, by odczuć przyjemność, że jestem na zewnątrz, a nie zamknięta jak kiedyś Morwenna.

— Morwenna! Zamknięta?! Jak to było?!

— To stało się dawno; byłam jeszcze dzieckiem... chyba miałam ze sześć lat. Kiedy mam pani powrócić?

— Może... kiedyś.

— Co się odwlecze to... uciecze.

— Dlaczego pani nalega?

— Taka już jestem.

— Nie mam drobnych, żeby posrebrzyć dłoń.

— Phi! To nie ma nic wspólnego z wrózeniem. To tylko sposób zarabiania pieniędzy. A ja nie robię tego dla pieniędzy — a przynajmniej nie dla pani, pani Pendorric. W ogóle teraz, kiedy wysłam za Jima Bonda, nie traktuję tego zawodowo. Przestałam, kiedy porzuciłam cygańskie zwyczaje.

— Proszę mi opowiedzieć o tym, jak to się stało, że Morwenna została zamknięta i kto to zrobił.

Nie odpowiedziała od razu, lecz przysiadła na karwędzi pobliskiego grobowca i oparła policzek na dłoń, patrzyła w zadumie na kryptę.

— Klucz od grobowca był zawsze trzymany w szafie, w gabinecie pana Petroca. To był wielki klucz. Ona przyjechała na wakacje.

— Kto?

— Rachela Bective.

— W jakim była wieku?

— Chyba taka jak teraz bliźniaczki... może z rok młodsza. Ja zawsze deptałam im po piętach... to jest Morwennie i Racheli. To chyba z powodu koloru włosów Racheli. Moje były czarne, a jej ryże. Chciałam wciąż na nie patrzeć. To nie to, że mi się podobały, nie. Byłam małym dzieckiem, a

ten kolor mnie intrygował. Nie lubiłam Racheli, a Morwennę tak. „Panienska Morwenna” — tak kazano nam ją nazywać, ale ja nigdy tego nie robiłam, a ona o to nie miała pretensji.

— Morwenna była taka jak Roc — oboje nigdy nie zwracali uwagi na takie rzeczy. Ale ona, ta ryża zawsze mnie upominała. Mawiała: „Musisz nazywać mnie panienką Rachelą”. Panienska Rachel! Też coś! Za kogo ona się uważała!

— A jak to było z Morwenna?

— Codziennie biegałam na cmentarz. Lubiłam się bawić między grobami i pewnego dnia zobaczyłam je tam obie. Schowałam się i podsłuchiwałam co mówią. Tak mi się spodobała ta zabawa, że potem patrzyłam tylko kiedy idą i często byłam z nimi, chociaż one nie miały o tym pojęcia. Wiedziałam, że wybierają się do krypty. Słyszałam to wtedy, kiedy chodziły po cmentarzu i odczytywały napisy na grobach. Morwenna powiedziała Racheli, że tak się bawiła z bratem, więc Rachela zaraz zapragnęła robić to samo, bo ona zawsze chciała robić to co oni. Usiłowała być jedną z nich a nie mogła... nigdy już nie będzie... szczególnie teraz. Och, wiem, że jest wykształcona... ale ja byłabym taka sama, gdybym skończyła szkoły.

— Co ona pani zrobiła, że pani jej tak nienawidzi?

— To nie jest tak. Ona nie raczy nawet pomyśleć o ludziach takich jak ja. Chodzi o to, kim ona jest wobec innych.

— Mów dalej o dziewczynkach.

— Dobrze. — Dinah wyciągnęła ręce przed siebie, jakby z nich chciała wyczytać swoją własną przyszłość.

— Słyszałam co mówiły. Namawiała Morwennę do wzięcia klucza, by obejrzeć kryptę, a Morwenna nie chciała. Mówiłam już — klucz był w gabinecie Petroca, który po wypadku często wyjeżdżał. Rachela nalegała: „jak tego nie zrobisz to pożałujesz”. Byłam wtedy na drzewie i mnie nie widziały. Po minie Morwenny poznałam, że chyba złamie zakaz, bo boi się Racheli. Potem usłyszałam jak się umawiają na następne popołudnie, więc oczywiście przybiegłam.

— A Morwenna jednak wzięła klucz? Dinah skinęła głową.

— Byłam już na cmentarzu, kiedy one przyszły z kluczem. Rachela Bective otworzyła drzwi krypty i obie weszły, chociaż Morwenna trochę się opierała. Rachela jednak zaczęła znowu swoje: „Musisz. Jeśli nie wejdiesz, to pożałujesz.” Morwenna weszła, ale słyszałam jeszcze jak powiedziała: „Nie mogę. Nie”. Nagle rozległ się głośny śmiech i Rachela wybiegła z grobowca zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Potem jeszcze zamknęła je na klucz, a Morwenna została w środku.

— To musiało być straszne przeżycie dla dziewczynki. Mam nadzieję, że nie była tam długo.

— Nie. — Dinah pokręciła głową. — Tam jest zakratowane okienko przez które Rachela zaczęła krzyczeć: „Nie wypuszczę cię, aż mnie nie zaprosisz na Boże Narodzenie. Wróć do domu i powiem wszystkim, że nie wiem gdzie jesteś. Nikt nawet nie pomyśli, że siedzisz tutaj, bo wezmę klucz i odłożę na miejsce.. i upłyną tygodnie zanim cię tu znajdą, a do tego czasu zostanie z ciebie tylko szkielet, jak w tym opowiadaniu, które razem czytałyśmy.” Morwenna się szybko zgodziła, a wtedy Rachela otworzyła drzwi. Nigdy tego nie zapomnę i wciąż od nowa przypominam sobie kiedy tu przychodzę, jak biedna Morwenna musiała podporządkować się koleżance i jak zadowolona była z siebie Rachel.

— Była wtedy tylko dzieckiem i musiała bardzo pragnąć przyjazdu do Pendorric na święta.

— Pani myśli, że to ją tłumaczy... nawet dziecko nie powinno się tak zachowywać!

— To był tylko niemądry żart.

— O, nie! Ona by naprawdę odeszła, gdyby Morwenna jej nie ustąpiła.

— Z pewnością — nie.

Dinah spojrzała na mnie pogardliwie.

— Zaczynam widzieć pani przyszłość jak na dłoni, pani Pendorric, nawet bez wróżenia z ręki. Jest pani z tych, co zwykli mówić: O nie, to nie mogło być tak... po prostu dlatego, iż nie chcą dopuścić myśli, że tak było. Takich ludzi trzeba się wystrzegać.

— Pani się myli. Zapewniam panią, że stawiam czoło faktom, kiedy jestem przekonana, że sytuacja tego wymaga.

— Może, ale wtedy czasem jest już za późno. Nieraz trzeba coś wcześniej przewidzieć. Tacy ludzie się nie zmieniają, ja to pani mówię. Proszę sobie myśleć co pani chce... ale ostrożności nigdy nie jest za wiele. O, ja dużo wiem o Pendorric... przecież mieszkam tu od dziecka.

— Jestem pewna, że zawsze ludzie dużo plotkowali o dworze.

— Kiedyś mieli więcej powodów, to było jeszcze przed moim urodzeniem, ale gadanie jeszcze nie ucichło, kiedy byłam już dzieckiem. Moja matka była bardzo spostrzegawcza, nic nie uszło jej uwagi. Pamiętam, jak mówiła o Luizie Sellick do której chodził dziedzic, zanim poślubił Miss Barbarinę.

— Luiza Sellick? — Powtórzyłam, gdyż nigdy dotychczas nie słyszałam tego nazwiska.

— O, to stara historia, która zdarzyła się tak dawno. Nie ma sensu jej odgrzebywać... ale przecież jest pani teraz nową Małżonką.

Podeszłam do Dinah i patrząc jej w oczy rzekłam poważnie:

— Odnoszę wrażenie, że próbuje mnie pani przed czymś ostrzec. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się głośno:

— To dlatego, że chcę przepowiedzieć pani przyszłość. Przecież ludzie powiadają: Cyganka prawdę ci powie, no nie? Ale to tylko żart.

— A co pani wie o Luizie Sellick?

— Tylko to, co matka mi opowiedziała. Czasami szłam na tę drogę... tam gdzie ona mieszka teraz i widywałam ją. Ale to było już po jego śmierci... wszystko się zmieniło. Ludzie gadali, że on wciąż do niej chodził i że Barbarina się zabiła, bo nie mogła tego znieść... nie mogła znieść, że Luiza, była mu bliższa niż żona. Powiadali, że Barbarina, kiedy za niego wychodziła, myślała, iż z Luizą już wszystko skończone, że wyjechała.

— A ona nadal tu mieszka?

— Ano tak, — Dinah kiwnęła głową — a przynajmniej do czasu, kiedy ostatnio byłam na tamtej drodze. Tam stoi taki duży dom. On go kupił dla niej. Gniazdko miłosne — tak się chyba to określa. A kiedy wyjeżdżał na obchód majątku, tam w końcu lądował. Pretekst się zawsze znalazł. Czasem z powodu mgły na wrzosowiskach, albo był zbyt zajęty, by tracić czas na powrót do Pendorric... wie pani, co mam na myśli? Ale to się kiedyś wydało... a potem zdarzył się wypadek.

— Często bywasz w tamtych stronach?

— Teraz już nie. Mam własny dom. Wydałam się przecież za Jima Bonda. Sypiam pod puchową pierzyną i mam swój dach nad głową. Ale przedtem... kiedy chodziłam polnymi drogami po Rozlewiskach Doz — maryl widziałam dom i Luizę. Teraz to ona nie jest ani młoda ani tak urodziwa. Dla nikogo czas nie stoi w miejscu, prawda?

Uświadomiłam sobie nagle, że słuchając paplaniny Dinah, stoję tu dłużej niż zamierzałam. Spojrzałam na zegarek.

— Nie miałam pojęcia, że już tak późno — rzekłam.

— Lepiej niech pani wraca — odparła Dinah z leniwym uśmiechem. — Dla mnie czas nic nie znaczy, ale wiem, że z „państwem” jest odwrotnie. Niektórzy ludzie stale pędzą przez życie, jakby się bali, że już nigdzie nie zdążą. Może mają rację; kto to wie? — Znów uśmiechnęła się trochę tajemniczo, a trochę kpiąco.

— Do widzenia — rzuciłam i ruszyłam wśród chwastów i grobów do cmentarnej bramy.

* * *

Moje zainteresowanie Barbariną rosło z każdym mijanym dniem. Chodziłam często podumać o niej do pokoju wschodniego skrzydła. Zastanawiałam się, czy miała naturę namiętną i czy była zazdrosna. Przypuszczałam że musiała być okropnie nieszczęśliwa, jeśli zgodnie z tym, co mówiła Dinah, mąż ją zdradzał.

Nie słyszałam już teraz skrzypiec, ani pieśni, śpiewanej dziwnym, lekko fałszywym głosem. Kimkolwiek był grajek czy śpiewak, teraz widocznie zaprzestał występów i tylko nieco mi popsuł szyki, bo nie mogłam wykryć, kto wcielił się w rolę widmowego muzykanta. Ale chciałam dowiedzieć się jeszcze więcej o Barbarinie.

Deborah zawsze była chętna do rozmowy na ten temat, a prawdę mówiąc, robiła to z prawdziwą przyjemnością. Stopniowo, w mej wyobraźni, stworzyła obraz swojej siostry. Czasami nawet opisywała suknie, które obie miały na jakiś przyjęciach, a mówiła tak sugestywnie, że wyczarowywała przed moimi oczyma Barbarinę jak żywa.

Od czasu rozmowy z Dinah wizerunek Luizy Sellick stawał się coraz wyraźniejszy i wiedziałam, że kiedyś ciekawość moja tak wzrośnie, że popchnie mnie na wrzosowiska, osobiście zobaczyć mieszkanke Rozlewiska Dozmary.

Nigdy jeszcze sama nie zapuszczałam się samochodem tak daleko, a nie mogłam, tak po prostu, poprosić o taki wyjazd Roca ani Morwennę. Miałam niejasne uczucie, że powinnam zostawić cienie przeszłości w spokoju. Równocześnie żywiłam przeświadczenie, że jest coś, o czym powinnam wiedzieć i nie potrafiłam przestać o tym myśleć. A w dodatku niejasne ostrzeżenia Dinah wyraźnie mnie intrygowały.

W naszych garażach, oprócz daimlera, którym jeździł Roc i landrowera Charlesa, były jeszcze trzy małe samochody; jednego z nich używała Morwenna, a dwa pozostawiono do ogólnego użytku.

Dość często napomykałam, że chciałabym się wybrać do Plymouth na zakupy i choć teraz nie powiedziałam tego wyraźnie, pozwoliłam sądzić Morwennie, że tam się udaję.

Roc rano wyjechał w jakiś sprawach majątkowych i nie znał moich planów, bo decyzję podjęłam pod wpływem chwilowego impulsu.

Wychodząc, zatrzymałam się przed portretem Barbariny i spojrzałam w jej smutno zadumane oczy. Zastanawiałam się, czy kiedyś domyślała się, że mąż odwiedza ten dom na wrzosowiskach, powiedziała mu o swoim odkryciu. — Ja bym tak zrobiła — mruknęłam do siebie i przed oczami stanęła mi przebiegła twarz Racheli, bezczelna Dinah Bond, i piękna siostra Grey.

Stałam się naprawdę bardzo zazdrosna, od kiedy przyjechałam do Pendorrice. Tak się zmieniałam, czy też może ujawniła się cecha, o której wcześniej nie miałam pojęcia?

W każdym razie, zapewniłam samą siebie, iż nie należę do osób, które cierpią w milczeniu. Gdybym powzięła choć cień podejrzeń, że Roc mnie zdradził, doprowadziłabym do konfrontacji, żeby poznać prawdę.

A jak zachowała się Barbarina?

— Czy to możliwe, że identyfikuję się z nią i porównuję przypadki z jej życia do mojego w taki sposób, że nasze losy zaczynają wydawać się podobne?

— Tak czy owak, moje zainteresowanie nią staje się nieco chorobliwe.

— Choć taka myśl przemknęła mi przez głowę, nie powstrzymała mojej ciekawości poznania domu, gdzie Petroc umieścił rywalkę swojej żony, ale próbowałam sobie wmówić, że w ten piękny poranek interesują mnie głównie wrzosowiska.

Wyjechałam około wpół do jedenastej i zboczywszy z drogi do Plymouth znalazłam się na miejscu.

Był przepiękny dzień. Świeża bryza kołysała trawy i poczułam dreszczyk emocji, gdy patrzyłam daleko przed siebie na pofałdowane połacie wrzosowiska. Ujechałam dobre kilka mil i nie spotkałam żywego ducha ani nie ujrzałam żadnego zabudowania.

Na przydrożnym drogowskazie przeczytałam, że do Rozlewiska Dozmary, zostało mi tylko kilka mil.

Ruszyłam w dalszą drogę. Było to bardzo odludne miejsce; w oddali ujrzałam kilka kopców, które, jak mówił Roc, są grobami starożytnych Brytów.

To podobno tutaj legendarny Król Artur stoczył ostateczną bitwę. Pomyślałam, że miejsce to od tamtych czasów pozostało z pewnością nie zmienione.

I raptem zobaczyłam rozlewisko. Nie było duże, w najszerszym miejscu nie mogło mieć więcej niż ćwierć mili. Zatrzymałam samochód, wysiadłam i podeszłam do brzegu. Wokół panowała cisza i tylko wiatr szemrał we wrzosach.

Wróciłam do auta i przejechawszy powoli jeszcze pół mili, natknęłam się na boczną drogę, w którą zdecydowałam się skręcić. Po kilkudziesięciu metrach zobaczyłam chłopca, który, wynurzywszy się z wąskiej bocznej dróżki, ruszył w tym samym kierunku co ja. Wyglądał na jakieś czternaście lat. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i już na pierwszy rzut oka w jego uśmiechu odkryłam coś znajomego.

— Zgubiła pani drogę? — Spytał.

— Niezupełnie. Po prostu zwiedzam te okolice. Jadę od strony rozlewiska.

— To podrzędna droga. Nigdzie nie prowadzi. Dojechać nią można tylko do jednego domu na końcu, potem trzeba wrócić do głównej trasy. W dodatku droga jest bardzo wyboista. Najlepiej jak pani zawróci już tutaj.

— Dziękuję, ale chciałabym rzucić okiem na ten dom. Jaki on jest?

— Z szarego kamienia, z zielonymi okiennicami. Mieszkam tam.

Stał tyłem do światła i spostrzegłam, że koniuszki jego, raczej sterczących uszu są blad różowe i spiczaste.

— Do widzenia. — Cofnął się o krok.

— Do widzenia.

Gdy uruchomiłam silnik w polu widzenia pojawiła się wysoka i szczupła kobieta z masą siwych, kręconych włosów.

— Ennis! — Zawołała. — A, jesteś tu.

Patrzyła w ślad za mną, kiedy ją mijałam. Zaraz za zakrętem zobaczyłam dom. Chłopiec go dobrze określił; szary budynek z zielonymi okiennicami. Był większy niż zwykły wiejski domek — musiał mieścić z siedem, osiem, pokoi. Przez zieloną furtkę wchodziło się na trawnik okolony kwietnymi rabatkami. Weranda domu była oszklona, a wewnątrz rosły jakieś rośliny wyglądające mi na pomidory; drzwi wejściowe stały otworem.

Podjechałam jeszcze parę metrów, po czym wysiadłam z samochodu i osłoniwszy oczy dłonią, rozglądałam się dookoła.

Zdawałam sobie sprawę, że z tyłu nadchodzi kobieta z chłopcem; szli ramię w ramię i razem weszli do domu.

Domyśliłam się, że to Luiza Sellick, ale nie miałam pojęcia kim jest chłopak. Ennis. Był chyba jakiś kornwalijski święty o tym imieniu i wiedziałam już kogo mi chłopiec przypominał. Niektórych wcześniejszych, męskich przedstawicieli rodu wiszących w galeriach Pendorrice — no i oczywiście Roca.

* * *

Przebrałam się do obiadu, a na widok Roca znów pomyślałam o chłopcu z rozlewiska. Moja wyobraźnia wyolbrzymiała podobieństwo chłopca i mego męża. Roc musiał wyglądać dokładnie tak samo, kiedy miał trzynaście, czternaście lat. Oczami duszy ujrzałam go bawiącego się z Morwenną na cmentarzu, jadącego do kuźni, żeby Jim Bond podkuł mu konia, pływającego w morzu, żeglującego...

Gdy Roc wszedł do naszego pokoju, siedziałam przy oknie śledząc wzrokiem przelewające się w dale fale.

— Halo! — Powitał mnie. — Dobry miałaś dziś dzień?

— Tak, Roc. A ty?

— Bardzo udany.

Wstałam i złapałam się na tym, że wlepiałam wzrok w koniuszki jego uszu. Z całą pewnością jedynie Pendorricowie mieli taką cechę.

— Wzięłam samochód i byłam na wrzosowiskach.

— Szkoda, że nie mogłem jechać z tobą.

— Mhm.

Złapał mnie w objęcia i podniósł do góry.

— Jak to dobrze, że mam ciebie i jesteś tu w domu — oznajmił z zapałem. — Rozmawiałam z Charlesem o twojej pomocy w sprawach majątkowych. Będziemy partnerami. Co ty na to?

— Ach, jak się cieszę, Roc!

— Że masz głowę do interesów, pokazałaś tam na wyspie. W Pendorric potrzeba nam mądrej głowy.

Stała mi przed oczyma postać ojca, jego śmierć, i posmutniałam.

— Przyda nam się twój rozum; — zagał szybko Roc — jest szczególnie cenny w dzisiejszych czasach, kiedy minęła już epoka *grands seigneurs**. Obecnie robotnicy rolni są górami, mają swoje związki, dbające o ich interesy, a o ile wiem, nie ma takiej organizacji, która chroniłaby nas, wszystkich biednych ziemskich właścicieli. Nie wolno podnosić podatków, a trzeba wykonywać remonty. Widzisz jak taka kobieta interesu jak ty, może się nam przydać!

— Och, Roc! To będzie cudownie móc ci pomagać!

— A więc załatwione! Już jesteś w firmie. — Pocałował mnie. ..

— Roc, czy ty się nigdy niczym nie martwisz?

— Ja nie jestem człowiekiem, co się lubi zamartwiać... bo inaczej...

— Bo inaczej...?

— Och, skarbie! Powiedz mi, jaki pożytek jest ze zmartwień? Jeśli nie potrafimy sobie poradzić w znany, utarty sposób, musimy się przystosować do zmian i liczyć na Boskie zmiłowanie. Czyż coś innego nam pozostaje?

Objęłam go za szyję i dłonią mimo woli musnęłam mu uszy. Uśmiechał się i wtedy wyraziście przypomniałam sobie tamtego chłopca.

— Roc, — zaczęłam — widziałam dziś parę uszu dokładnie takich samych jak twoje.

Wybuchnął śmiechem, ale zaraz spoważniał.

— Sądziłem, że moje to unikat. Zawsze mi to mówiłaś.

— To uszy Pendorriców. — Dotknęłam je znów palcami. — Pasują ci do oczu. Właśnie one nadają mi ten wygląd satyra.

— Za który powinienem składać Bogu dzięki, jako że ponoć dlatego zakochałaś się we mnie!

— On miał ten sam typ oczu... widzę to teraz, kiedy go sobie przypominam.

— Gdzie spotkałaś to odbicie, z którym mnie porównujesz?

* *grands seigneurs* — wielkich panów.

— Na wrzosowiskach, w pobliżu Rozlewiska Dozmary. Spytałam go o drogę i powiedział mi, że tam mieszka, w samotnym domu i ma na imię Ennis.

Nastąpiła krótka przerwa, a wówczas na twarzy Roca zauważyłam wyraz pewnej ostrożności.

— Ależ wszechstronnych ci informacji udzielił! I wszystko to na proste zapytanie o drogę!?

— To było powiedziane bardzo naturalnie. Ale jego podobieństwo jest doprawdy zadziwiające! Czy to nie jest jakiś twój krewny?

— W całym księstwie znajdziesz co krok domieszkę krwi Pendorriców — odparł Roc. — Nasz ród to była hulaszczą banda rozpustników. Zresztą nie oni jedni, w dawnych czasach te sprawy wyglądały inaczej. Wtedy naczelne hasło ludu brzmiało: „Boże błogosław dziedzica i jego rodzinę i spraw, żebyśmy mieli wzgląd na nasz stan”. Ludzie cieszyli się, kiedy dostawali miejsce w kuchni, stajni lub w ogrodzie. To było *droit de seigneur**. Teraz powiadają: „Jesteśmy tak samo dobrzy jak wy” i nie płacą świadczeń. Och, te stare, dobre czasy! Odeszły już na zawsze. A jeśli chodzi o prawa dziedzica... cóż, wiesz o czym mówię i to jest odpowiedź. Możesz obejść nasze ziemie i u połowy ludności znajdziesz ślady „działalności” Pendorriców. Taki był porządek rzeczy.

— Słyszę w twym głosie nuty żalu. Czyżbyś wzdychał do tamtych czasów?

Roc położył mi rękę na ramieniu i uśmiechnął się. Czy mi się wydawało, czy naprawdę na twarzy zagościł mu wyraz ulgi, że choć trafił na niebezpieczeństwo, to wyszedł z niego cało?

— Odkąd spotkałem i poślubiłem Favel Farington, — odparował — niczego więcej już nie chcę od życia.

I choć powiedział to z uśmiechem, nie wątpiłam, że mówi szczerze, i — jak zwykle — potrafił rozproszyć moje obawy tudzież wątpliwości swoim spojrzeniem, słowem i uśmiechem.

* * *

Roc dotrzymał słowa i nazajutrz pojechaliśmy do jego biura, a tam w miarę szczegółowo, wprowadził mnie w sprawy majątkowe. Niewiele mi trzeba było, żeby z tych danych wywnioskować, że choć nie byliśmy jeszcze na krawędzi bankructwa, to staczaliśmy się pochyłą drogą, wiodącą ku przegranej bitwie z nowym porządkiem rzeczy.

Roc uśmiechnął się do mnie smutno.

— To jest jak odpływ, powolny ale stały. Koniec starego porządku nie jest jeszcze krytycznie bliski ale nieuchronnie powoli się zbliża. Nie jesteśmy w gorszej sytuacji niż większość rodów nam podobnych, jednak byłoby mi przykro, gdyby już za mojego życia musiał nas przejąć Bank Kredytowy.

— Sądzisz, że to pewne?

— Kochanie, w życiu nie ma nic pewnego. Założmy, że wygram milion dolarów... sądzę, że to postawiłoby nas na nogi na kilka pokoleń.

— Ale chyba nie myślisz na serio o grze? — Spytałam przerażona.

— Nie martw się. — Objął mnie. — Nigdy nie ryzykuję więcej, niż jestem w stanie przegrać.

— Już mi to mówiłeś.

— To tylko jedna z wielu rzeczy, które ci mówiłem poprzednio. Na przykład, że bardzo cię kocham.

— Rozmowa zbacza z tematu — zauważyłam ze śmiechem.

— Racja — zgodził się Roc. — Widzę, że z ciebie prawdziwa kobieta interesu. Utrzymasz mnie na dobrym kursie, co? Zapewniam cię, że teraz najgorsze już za nami, majątek był w oplakanym stanie, ale wyszliśmy na prostą. Za rządów ojca...

* *droit de seigneur* — dosłownie: pańskie prawo, w tym znaczeniu prawo, obyczaj feudalny.

— Co stało się wtedy?

— Byliśmy w poważnych kłopotach. Uratowaliśmy się, dzięki posagowi mojej matki.

Wpatrywałam się w otwartą księgę, ale zamiast kolumn liczb, widziałam słodką twarz pod kapeluszem z błękitną wstążką. Od Barbariny nie było ucieczki.

Roc, stojący za moim krzesłem przerwał nagle i pocałował mnie w czubek głowy.

— Nie martw się. Wszystko się ułoży. Ja mam szczęście. Czy ci stale nie powtarzam, że jestem w czepku urodzony?

To dziwne, ale ten dzień był dla mnie szczęśliwy, a fakt, że finansowo majątek Pendorriców nie stał tak dobrze, jak powinien, dawał mi poczucie głębokiego komfortu.

Już zaczynałam myśleć, że Roc jest bardzo podobny do ojca i że moja historia zacznie być tak sama jak Barbariny. Jednak była w tym jedna ogromna różnica: Barbarina została poślubiona dla majątku, a jej mąż kochał Luizę Sellick. Roc potrzebował pieniędzy tak samo jak ojciec, ale spotkał mnie, dziewczynę bez grosza i nie zawahał się mnie poślubić.

O nie, moja historia nie ma nic wspólnego z historią Barbariny.

Kiedy zesłam do kuchni pani Penhalligan przyrządzała paszteciki na sposób kornwalijski.

Była zaróżowiona i miała błyszczące oczy; rękawy podwinęła wysoko za łokcie, a jej krótkie, pulchne palce poruszały się niestrudzenie.

Jedna z bliźniaczek siedziała pod stołem jedząc świeży pasztecik.

— Dobry wieczór pani — powitała mnie gospodyni.

— Dobry wieczór, pani Penhalligan.

— Nie wolno pozwolić, aby ciasto leżało zbyt długo — mruknęła przepraszać nie przerywając roboty. — Cały sekret polega na tym, żeby je wstawić jak najszybciej do pieca. Te będą dla ojca. Przepada za nimi, co wieczór domaga się jednego. A więc piekę dla niego od razu większą ilość. Trzymam je w puszcze tak, że są miękkie i smaczne, ale naturalnie najlepiej smakują prosto z pieca.

— Przyszłam zapytać, jaki tytoń pali pani ojciec. Mam zamiar go odwiedzić przy najbliższej sposobności i chcę mu zanieść coś do palenia.

Spod stołu wynurzyła się jakaś głowa i przemówiła proroczym tonem: „Strzeżcie się Idów Marcowych”...*

— Och, panienko Lowello, proszę przestać — upominała ją gospodyni. — Płacze mi się pod nogami cały dzień. Wygląda przez okno, wtyka mi tu wszędzie nos i wykrzykuje te swoje „Strzeżcie się” tego lub owego.

Lowella tylko się uśmiechnęła i zniknęła w piekarni.

— Doprawdy nie wiem, — burknęła pani Penhalligan — gdzie się podziewa ta cała panna Bective. Ma przecież obowiązek zajmować się obydwoma frygami.

— Miała pani powiedzieć mi o tytoniu.

— Aha, aha, ma pani rację. To „Tytoń Cesarski”, jedyna rozrzutność i przyjemność ojca, ale pali tylko dwie uncje na tydzień, więc Maria i ja pozwalamy mu na ten mały luksus.

— Zapamiętam.

Wróciła Lowella z pasztecikiem w ręku.

— Nie będziesz mogła jeść kolacji — rzekła na jej widok pani Penhalligan i ciągnęła: — Ojciec się bardzo ucieszy. Dziś po południu na pewno będzie siedział przed domem. Pani wizyta będzie dla niego wielkim świętem.

— Wybiorę się na pewno.

Ruszyłam do drzwi, a Lowella, wyprysnąwszy spod stołu, dopadła ich pierwsza.

* nawiązanie do losu Juliusza Cezara, którego w ten sposób ostrzeżono przed zamachem

— Wiesz co — powiedziała zachęcająco — pójdę z tobą jeśli chcesz. Mam na myśli wizytę u starego Jessa — wyjaśniła.

— Nie kłopotz się o mnie, — odrzekłam odrzucając ofertę — znam drogę. Wzruszyła ramionami i wróciła do kuchni.

W pobliżu domków dla służby stał budynek przekształcony obecnie na sklep artykułów różnych. Był mały, przeładowany, prowadzony przez panią Robinson, która około dwudziestu lat temu przybyła do Pendorric na urlop, a kiedy okazało się, że w promieniu dwóch mil nie można było zrobić zakupów, nabyła ten budynek i przerobiła go na sklep. Sprzedawała niemal wszystko, a między innymi rozmaite gatunki tytoniów. Bez kłopotów zaopatrzyłam się w to, co chciałam.

Kiedy wyszłam ze sklepu zobaczyłam czekające na mnie bliźniaczki.

Nie byłam z tego specjalnie zadowolona, bo właściwie nastawiałam się na rozmowę ze starszym bez świadków, ale cóż miałam zrobić? Musiałam zrobić dobrą minę do złej gry i udawać, że cieszy mnie ich towarzystwo.

Dziewczynki ruszyły ze mną bez słowa, tak jakby to spotkanie było umówione.

— Gdzie panna Bective? — Spytałam.

Bliźniaczki wymieniły między sobą spojrzenia i obie milczały, aż odpowie druga.

— Wzięła samochód i wyjechała, — zaczęła w końcu Lowella. — Powiedziała nam, że musimy zebrać sześć różnych polnych kwiatów na botanikę.

— A ile już macie?

— Jeszcze nie zaczęłyśmy szukać. A poza tym, ile czasu może nam zająć znalezienie sześciu kwiatków?! A zresztą Becky nie będzie zrzędzić, nawet gdybyśmy nie przyniosły żadnego. Nigdy się nie poskarży na nasz brak dyscypliny, bo rodzice zaczęliby mówić o wysłaniu nas do szkoły. A wtedy Becky nie miałaby żadnego pretekstu do zostania w Pendorric.

— Moje drogie, przecież powinniście jej słuchać. Mimo wszystko jest przecież waszą guwernantką.

— To nie o nas powinnaś się martwić — powiedziała Hyson.

Lowella wyskoczyła naprzód, wspięła się po nasypie na pobocze drogi i zerwała polną różyczkę. Wpięła ją sobie we włosy i odprawiając przed nami jakieś dziwne płasy śpiewała: „Strzeżcie się... strzeżcie się... strzeżcie się Idów Marcowych”

Hyson dodała swoje:

— Lowella jest czasami taka dziecinna. Lubi powtarzać różne bzdury.

— Zdaje się, że szczególnie lubi ostrzegać ludzi — zauważyłam.

— Pamiętam jej niedawne: „Uwaga na lawiny, Strzeżcie się lawin”.

— Wolę Idy — zawołała Lowella. — W Kornwalii nie ma lawin, a Idy mogą być wszędzie. Szkoda, że są w marcu a nie w lipcu.

— Nie wie co mówi — skwitowała Hyson pogardliwie i zacytowała:

*W marcu czy w lipcu, październiku, maju,
Idy zawsze piętnastego przypadają.*

Lowella zatrzymała się:

— A co to są Idy?

— Tylko data, ty głupia. Zamiast powiedzieć: „piętnastego”

— Rzymianie mawiali: Idy.

— Data... — jęknęła rozczarowana Lowella — a tak cudownie brzmi. Myślałam, że to jakieś wiedźmy albo widma. Coś podobnego! Żeby przestrzec przed datą!

— Jeśli coś ma się zdarzyć w określonym dniu, i zostało zapowiedziane ponurą wróżbą, to może przerażać bardziej niż wiemy czy duchy.

— No taaak — odparła Lowella powoli. — Chyba tak. Doszliśmy do rzędu domków i ujrzałyśmy na progu starego Jessego.

— Dzień dobry. — Podeszłam bliżej. — To ja, Favel Pendorríc. Spozstrzegłam, że ręce oparte na kolanach zaczęły mu drżeć.

— Jak dobrze, że pani przyszła, madam.

— Przyniosłam trochę tytoniu. Pani Penhalligan mi powiedziała, jaki lubisz palić, Jesse.

W dygoczące ręce wziął puszkę i uśmiechnął się.

— Jaka pani dobra. Taka sama jak... Ona też zawsze taka była. Hyson wyniosła z domu krzesło i ustawiła je obok siedzącego staruszka. Usiadłam, a ona przykucnęła z drugiej strony. Lowella gdzieś się zawieruszyła.

— Córka piekła dziś paszteciki.

— Dobra z niej kucharka, z tej mojej Bessie. Nie wiem, co bym bez niej zrobił. Bogu dziękować, że mam taką córkę. Pan Roc — on też był dla mnie dobry. Czy mała panienka też jest tutaj?

— Tak — odezwała się Hyson.

Pokiwał głową i zwrócił się do mnie:

— Mam nadzieję, że tu się pani spodobało, madam.

— Ogromnie.

— Tak długo Pendorríc nie miało młodej Małżonki.

— Żyje przecież moja mama — zauważyła Hyson, a przed nią babcia Barbarina.

— To była dobra pani. Pamiętam dzień, kiedy nastąpiła.

— Opowiedz nam o tym, Jesse — nalegała Hyson. — Nowa Małżonka chciałaby posłuchać.

— Znaliśmy ją wszyscy od małego. Jak tu zamieszkała, nie była dla nas obca. Pamiętam ją jeszcze, gdy przyjeżdżała jako dziecko — ona i jej siostra. Hyson — to było ich nazwisko, i miały takie piękne imiona... panienka Barbarina i panienka Deborah. Często przyjeżdżały... a nasza starsza pani i starszy pan też bywali u Hysonów.

— Mnie dano imię po nich — wtrąciła Hyson.

— A więc się ucieszyłeś, kiedy jedna z panien Hyson została panią Pendorríc?

— Tak, tak, pani Pendorríc. Nie wiedzieliśmy przecież, co się zdarzy. Trochę słyszeliśmy o tym, jak kiepsko stoją interesy Pendorríców i wśród służby nawet rozniosła się pogłoska o oddaniu majątku. Pozornie wszystko było tak jak dawniej, ale nikt z nas nie wiedział co się z nami stanie. Ludzie gadali o tym, że pan Petroc myśli ożenić się z tą dziewczyną od Sellicka a potem...

— Ale się nie ożenił — wpadła mu w słowo Hyson. — Wziął sobie za żonę babcie Barbarinę.

— Pamiętam ten dzień. Było lato. Ślub wzięli w naszym kościele, jeszcze za czasów pastora Trevina. Urządzono wspaniałe wesele. Panienka Barbarina była piękna jak z obrazka, a panienka Deborah została jej honorową družką, a pan... jaki przystojny był nasz pan Petroc... wszystko odbyło się tak jak trzeba...

— A co z tamtą dziewczyną? — Spytałam.

— Och, gadali, że to skończona historia. Ona wyjechała... i wszyscy byli zadowoleni i radosni...

— Radosni jak weselne dzwony — mruknęła Hyson.

— To była dobra pani; uprzejma i miła... a jaka delikatna. Lubiła jeździć na koniu i grać na skrzypcach. Bardzo często, kiedy pracowałem na dziedzińcu, słyszałem ją, jak grała.

Poczułam na sobie wzrok Hyson; spoglądała na mnie z natężeniem. Oj, Hyson, pomyślałam, czy to ty próbowałaś mnie nastraszyć? A jeśli tak to po co?

— Miała taki zwyczaj śpiewania do siebie. Pamiętam, jak raz wracałem do domu, usłyszałem ją śpiewającą na cmentarzu. To brzmiało dziwnie, ale pięknie i tak jakoś trochę niesamowicie. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem ją — kładła kwiatki na grobie małej Ellen Pascoe z naszych domków. Ellen umarła na zapalenie opon mózgowych, a dziedziczka pamiętała o niej.

— Dobrze ją wspominasz, Jesse — powiedziałam miękko.

— Tak mi się zdaje, jakby to było wczoraj, kiedy rozmawiała ze mną tak jak teraz pani. Jeszcze wtedy pracowałem na dworze. Do czasu kiedy zmarła, wciąż jeszcze starałem się być przydatny. Wiedziała jednak, że nie będę mógł już tego długo ciągnąć, bo coś mi się robi z oczami. Zawsze mnie uspokajała i mówiła: „Nie martw się, Jesse. Dopilnuję, żebyś się miał dobrze”. A za każdym razem, kiedy mnie spotykała, wypytywała mnie o zdrowie. A potem ośleplem, pani Pendorrice. Pani już nie mogę zobaczyć. Ale pani mi jakoś ją przypomina. Taka sama pani uprzejma. Będzie pani szczęśliwa, mówię to pani. Tak samo jak ona... z początku. Ale dla niej się to potem zmieniło... biedna pani. Nie była później szczęśliwa. Ale zdaje się, że za dużo gadam. Moja Bessie powiada, że dlatego bo tak dużo siedzę sam, a wtedy jak ktoś przyjdzie, to go nie dopuszczam do głosu.

— Mnie jest przyjemnie słuchać tego, co mówisz. To interesujące.

— Ona jest przecież nową Małżonką; to naturalne, że chce się czegoś dowiedzieć o poprzedniej — wtrąciła się Hyson.

— A tak, tak — ciągnął starzec. — Jest pani szczęśliwa... tak jak ona, kiedy tu przybyła po raz pierwszy. Dopiero potem, biedaczka... Życzę pani wszystkiego co najlepsze, pani Pendorrice. Życzę, żeby pani na zawsze pozostała taka szczęśliwa jak teraz.

Podziękowałam mu i spytałam, jak mu się mieszka. Staruszek zaproponował mi obejrzenie mieszkania, o którego czystość i porządek dbały jego córka i wnuczka. Wstał ze stołka i podpierając się laską, wprowadził mnie do środka. Z dworu wchodziło się prosto do pokoju. Był tu wygodny fotel, obok stolik, na którym leżały fajki, tytoń i małe radio tranzystorowe. Na ścianie wisiała oprawiona w ramkę fotografia, przedstawiająca Jessa w towarzystwie siedzącej kobiety, przypuszczalnie żony. Trwali w sztywnych pozach i patrzyli wprost do aparatu fotograficznego, jakby spełniali przykry choć konieczny obowiązek uwiecznienia się dla potomności. Obok były ślubne fotografie pani Penhalligan.

Z tego pokoju przechodziło się do kuchni, skąd inne drzwi prowadziły do ogrodu, który — podobnie jak cały domek — był schludny i dobrze utrzymany; róże stulistne i wonny lak okalały niewielki trawniczek, a przy ścianie stała beczułka na deszczówkę.

Na górze, mieściły się jeszcze dwa pokoje i starzec — jak objaśniał z dumą — dobrze radził sobie ze schodami. Nie licząc choroby oczu, był jeszcze całkowicie sprawny, no może jeszcze tylko jego pamięć nie była już taka jak dawniej.

Teraz usadowił się w swoim fotelu, zaprosił mnie gestem do zajęcia innego miejsca i zaczął snuć opowieść o tym jak to spotkał i poślubił Lizzie, która przyjęła się do Pendorrice jako pomocnica pokojówki w czasach, kiedy on pracował w ogrodzie majątku.

Rozwodził się nad tym przez dłuższy czas, a Hyson — przypuszczalnie znudzona — wymknęła się z mieszkania.

— Mała paniuszka poszła? — Zapytał nagle Jesse.

— Tak. Chyba pobiegła poszukać siostry, mają zebrać trochę kwiatów na lekcję botaniki.

— Ta dziewczynka lubi zadawać pytania. Pyta i pyta.

— Dziwne z niej dziecko.

— Wszystko chce o tym wiedzieć — powiedział kiwnąwszy głową. — Stale o tym myśli. Według mnie to niedobrze. Jest przecież młoda, a tamta sprawa nie miała z nią nic wspólnego.

— Sądzę, że ta stara legenda pobudza jej wyobraźnię. W dodatku jest to historia o duchach.

— Pani Pendorrice — wyszeptał prawie i nachyliłam się bliżej niego.

— Tak, Jesse?

— Jest coś, czego nikomu nie mówiłem. Tylko panu Petrocowi, ale on mi powiedział: „Nie mów o tym, Jesse. Tak będzie lepiej”. No i nie mówiłem. Ale chcę powiedzieć pani, pani Pendorric.

— Dlaczego mnie, Jesse?

— Nie wiem... ale pani jest następną... i coś mi mówi, że trzeba żebym pani powiedział.

— Słucham więc.

— Oczywiście już nie tak dobre i wciąż było coraz gorzej. Bywały dni, że nie mogłem rozróżnić kształtów, a czasem myślałem, że widzę kogoś, a kiedy podszedłem bliżej, okazywało się, że to tylko jakiś mebel. Tak, powoli traciłem oczy, ale im mniej widziałem to wydawało mi się, że tym lepiej słyszę, a czasem nawet mogłem się orientować bez wzroku i słuchu. Tak jakby w zamian za ślepotę, pani Pendorric.

— Tak, Jesse. To forma rekompensaty.

— Tego dnia wszedłem do holu. Ona była na galerii; wiedziałem, że to ona, bo rozpoznałem głos. Mówiła cicho do kogoś... i widziałem coś... jakby dwa cienie na górze... tak dokładnie nie pamiętam co jeszcze widziałem... to było bardzo dawno, ale jestem pewien, że tam, na górze był jeszcze ktoś drugi, na minutę lub dwie zanim pani Pendorric spadła.

— Nie mówiłeś o tym wcześniej?

— Pan Pendorric mi nie kazał. Pani wie, tam jest obraz, obraz drugiej małżonki, a ludzie gadali, że ona straszy od przeszło stu lat i próbuje zwabić następną małżonkę na swoje miejsce. Ale to nie obraz, pani Pendorric. Przysięgam, że tam na górze były dwie osoby. Ale pan Pendorric mówił, żeby nic nie opowiadać. Zawsze robiłem to, co pan chciał; tak jak mój ojciec i ojciec mojego ojca... no i nic nie powiedziałem nikomu... ale chcę, żeby pani wiedziała.

— To było tak dawno, Jesse. Lepiej o tym zapomnieć.

— Tak samo myślałem, pani Pendorric. I przecież milczałem dwadzieścia pięć lat. Ale pani przyszła... przypomniała mi ją... jest dla mnie pani uprzejma, więc pomyślałem, że powinienem wyjawić prawdę. To może być jakieś ostrzeżenie. A tu, — klepnął się w pierś — mam takie uczucie, że wobec pani nie chcę niczego ukrywać.

Nie wiedziałam, dlaczego tak do tego podchodził, ale podziękowałam mu za troskę.

Zmieniłam temat rozmowy, co nie było zresztą trudne, tym bardziej, że Jesse teraz, gdy zrzucił kamień z serca, wydawał się bardziej odprężony. Jakby sądził, że spełnił swój obowiązek. Znow zaczął rozprawiać o domku i dawnych czasach, gdy żyła jeszcze Lizzie. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, a potem wyszłam.

* * *

Następnego dnia zatelefonowała do mnie panna Grey.

— Pani Pendorric, — zaczęła — dzwonię do pani na prośbę lorda Polhorgana. Pyta, czy mogłaby pani odwiedzić go dziś po południu. Zależy mu bardzo, żeby się z panią zobaczyć. Czy może pani przyjść?

Po krótkim zastanowieniu odparłam, że chyba będzie możliwe i spytałam o jego zdrowie.

— Niezbyt dobrze się czuje, w nocy miał atak. Dziś musi odpoczywać, ale nalegał, żebym zadzwoniła i ma nadzieję, że będzie mógł panią zobaczyć. Jeśli nie dzisiaj, to przynajmniej jutro.

Wybrałam się tam późnym popołudniem. Gospodarz domu siedział jak zwykle w swym ulubionym fotelu, ale tym razem nie był normalnie ubrany; miał na sobie szlafrok, a na nogach pantofle. Mój widok najwyraźniej bardzo go uradował.

— Jak to dobrze, że przyszła pani tak szybko — powitał mnie. — Bałem się, że nie będzie pani mogła wyrwać się z domu.

— Przykro mi, że nie czuje się pan najlepiej.

— Tak to już jest w życiu, moja droga; raz na wozie, raz pod wozem. Ale dojdę do siebie po tym ataku jak po wszystkich poprzednich. O, już podali herbatę. Czy byłaby pani uprzejma nalewać?

Piliśmy herbatę i spostrzegłam, że bardzo mało jadł. Wydawał się bardziej milczący niż zazwyczaj i sprawiał wrażenie jakby na coś czekał.

Skoro tylko opróżniliśmy filiżanki powiedział mi to, co pragnął wyjawić od samego początku.

— Favel... — zaczął i był to pierwszy raz, kiedy zwrócił się do mnie po imieniu — podejdź tu i siądź przy mnie. Obawiam się, że to co ci powiem, będzie dla ciebie wielkim wstrząsem. Ostrzegałem cię przy pierwszym naszym spotkaniu, że jestem strasznym gburem, pamiętasz?

Kiwnęłam głową.

— Naprawdę jestem okropny. W moich młodych latach nie myślałem o niczym oprócz zarabiania pieniędzy. Jedynie ta sprawa miała wtedy dla mnie znaczenie. Nawet kiedy się żeniłem, to głównie po to, żeby mieć synów... synów, którym mógłbym zostawić majątek. — synów, którzy mogliby przejąć moje interesy i pomnożyć fortunę. W interesach mi się doskonale wiodło, ale mniej szczęścia miałem w życiu prywatnym. Żona odeszła z innym — z moim własnym podwładnym, jakimś lichym urzędniczyną. Nie potrafiłem zrozumieć, że dla niego rzuciła dom pełen wygód, ale to zrobiła. Rozwiodłem się i otrzymałem prawo opieki nad naszą córką, czemu zresztą żona się nie sprzeciwiała. Dziecko miało wtedy sześć latek. Dwanaście lat później odeszła i ona.

— Czy nie wyczerpuje pana to wspomnianie przeszłości?

— Tak, to temat przykry i męczący, ale chcę, żebyś wszystko dobrze zrozumiała. Córka opuściła mnie, bo próbowałem ją kierować, zaaranżować jej małżeństwo. Pragnąłem, by wyszła za mąż za Petroca Pendorrica, który wówczas był już wdowcem. Stracił żonę w wyniku nieszczęśliwego wypadku i umyśliłem sobie, że to dobra okazja do połączenia rodzin. Ja na tym terenie wciąż byłem obcym i sądziłem, że uda się to zmienić, jeżeli moja rodzina złączy się przez małżeństwo z jednym z najstarszych kornwalijskich rodów. Pendorricowi trzeba było pieniędzy, ja je miałem; pomysł wydawał się idealny, ale wyrosła nieprzewidziana przeszkoda. Ona się nie zgodziła.

Zapadło milczenie i starzec spoglądał na mnie bezradnie. Po raz pierwszy odkąd go poznałam, zabrakło mu słów.

— W rodzinach dość często powstają nieporozumienia na tym tle — rzekłam.

— Żona odeszła... córka odeszła. Pewnie sobie pomyślisz, że dostałem należną nauczkę, co? Może, może. Choć człowiek interesu, taki jakim byłem ja, nie lubi przyznawać się do porażki. Wcale się nie kwapi, żeby sobie to jasno powiedzieć... Favel, nie wiem jak ci to wytłumaczyć. Otwórz tamtą szufladę. Jest tam coś, co ci wyjaśni, o czym ci próbuję powiedzieć.

Z szuflady wyciągnęłam fotografię w srebrnej ramce. Gdy wpatrywałam się w nią ze zdumieniem, dobiegł mnie jego napięty i ochryply z emocji głos, jakiego dotychczas nigdy nie słyszałam.

— Chodź tutaj do mnie, moje dziecko.

Spojrzałam na niego, wydawał mi się teraz innym człowiekiem. Siedzący w wykwintnym pokoju, otoczony luksusem starzec stał się nagle ogromnie mi bliską, a jednocześnie kruchą i godną litości ludzką istotą.

Pod wpływem emocji podeszłam do niego i objęłam to wątłe starcze ciało, przytuliłam do siebie jak dziecko, któremu ofiarowuje się pomoc i obronę.

— Favel... — wyszeptał.

Cofnęłam się nieco i popatrzyłam na niego. Miał wilgotne oczy, więc wyciągnęłam mu z kieszeni szlafroka chusteczkę i wytarłam łzy.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej... dziadku?

Roześmiał się nagle, a jego surowe rysy wygładziły się tak, że zupełnie zmienił swój wygląd.

— Bałem się — odparł. — Straciłem żonę i córkę, ale za żadne skarby nie chciałem stracić wnuczki.

Byłam wstrząśnięta i wciąż jeszcze nie mogłam uwierzyć, że to Owszystko prawda. Mąciło mi się w głowie. W tym momencie nawet nie zastanawiałam się nad niezwykłym zbiegiem okoliczności, który pozwolił mi poślubić przypadkowo poznanego człowieka, będącego równocześnie sąsiadem mojego dziadka. Wątpliwości napłynęły później.

— Więc jak, — zapytał starzec — co myślisz o swoim starym dziadku?

— Nie wiem nawet co myśleć, jestem taka oszołomiona.

— No to ja ci powiem, co sędzę o mojej wnuczce. Nawet gdybym mógł wybierać, to nie chciałbym, żeby różniła się od ciebie ani na jotę. Wiesz, Favel, kiedy siedzisz i grasz ze mną w szachy, przypominasz mi matkę, i często mimo woli myślami przenoszę się w przeszłość. Zdaje mi się wtedy, że to ona jest tutaj. Masz takie same jasne włosy, choć ona nie miała tego pasma, jej oczy były tego samego koloru co twoje... niebieskie a czasem zielone. I z charakteru też jesteś do niej podobna. Masz wrażliwą duszę i taką samą impulsywność, podejmujesz pochopne decyzje bez zastanowienia. Często myślałem, jak ułoży się jej małżeństwo. Wmawiałem sobie, że nie potrwa długo i nie miałem racji. Ale dla ciebie wybrała kornwalijskie imię, widać nie chciała całkiem odcinać się od korzeni.

— Ale czemu mi nic nie powiedzieli? Ani mama, ani ojciec nigdy nie wspomnieli o dawnym życiu, o tobie...

— Nigdy? Może choć czasem zrobili jakąś niewielką wzmiankę? A ty ich nie wypytywałaś, Favel? Dlaczego?

Wróciłam myślą do tamtych słonecznych dni mego dzieciństwa.

— Prawdopodobnie rodzice uważali, iż wszystko to, co się zdarzyło przed ich ślubem, nie miało większego znaczenia. Tak było; teraz widzę to bardzo wyraźnie. Życie obojga jakby splotło się tylko ze sobą. Istnieli wyłącznie dla siebie i dla mnie. Pewnie dlatego, że wiedzieli o bliskiej śmierci matki. Sądzę, iż taka świadomość odciska na życiu człowieka swoiste piętno i odmienia zwykłe sprawy. Mnie nigdy nawet nie przeszło przez myśl, że mogło być inaczej niż było. Chyba właśnie dlatego, po odejściu mamy wszystko tak ogromnie się zmieniło.

— A ojca też bardzo kochałaś? — Spytał smutno dziadek. Przytaknęłam.

— Przyjechał pewnego lata malować tutaj plenery. Gdzieś milę stąd wynajął malutki dom, niewiele większy niż wiejska chałupa. Kiedy mi powiedziała, że ma zamiar wyjść za niego, brałem to z początku za żart. Wkrótce okazało się, że mówi poważnie. Potrafiła też być uparta... mówiłem jej, że to szaleństwo. Nigdy zresztą nie przestałem tak myśleć.

Powtarzałem, że on bierze ją tylko dla moich pieniędzy... ale pewnego dnia oboje zniknęli i od tej chwili nigdy nie miałem od nich żadnego znaku życia.

Umilkł. Myślał o wszystkich straconych latach. Otoczony bogactwem, a najbardziej samotny z ludzi, których dotychczas spotkałam.

Teraz już wiedział, że to on był niemądry — a nie moja matka i ojciec. Odczuwałam dla niego litość, gdy zwracał się do mnie, aby choć na krótki czas, który mu jeszcze pozostał, odzyskać uczucie, tak pochopnie odrzucone ponad dwadzieścia lat temu.

Impulsywnie odwróciłam się do niego i rzekłam:

Dziadku, cieszę się, że przyszedł do ciebie.

— Moje kochane dziecko, — wyszeptał — najdroższe dziecko. — A po krótkiej chwili: — Opowiedz mi o matce. Czy’ bardzo cierpiała?

Potrząsnęłam głową.

— O chorobie dowiedziała się na kilka miesięcy przed śmiercią, my też dopiero wtedy... To były okropne miesiące, szczególnie dla ojca, ale to nie trwało długo — choć dla nas ciągnęło się całe wieki.

— Ja mógłbym jej zapewnić najlepszą opiekę lekarską — rzekł gniewnie.

— Dziadku, to już skończone. Nic dobrego nie przyniesie robienie wyrzutów sobie — ani drugim. Trzeba przeszłość zostawić w spokoju. Teraz ja tu jestem. Twoja wnuczka. Będę cię widywać częściej niż dotąd. Nie muszę już zważać na konwenanse. Jesteś moim własnym dziadkiem i cudownie, że nasze domy są tak blisko i... — przerwałam, oczami duszy widząc siebie wchodzącą do pracowni, gdzie był Roc z moim ojcem. — Jakie to dziwne, że Roc przyszedł właśnie do naszego studia... i że akurat za niego wysłałam za męża — rzekłam z namysłem. — Wydaje się to zbyt szczęśliwym trafem, aby było prawdą.

Dziadek uśmiechnął się.

— Moja droga, to nie przypadek. Twoja matka nigdy do mnie nie napisała, nie miałem pojęcia, gdzie się podziewa, ani co się z nią dzieje. Powiedziałem jej kiedyś, że jeśli poślubi tego malarzynę, nie chcę mieć z nią nic wspólnego, a ona wzięła mnie za słowo. Ale... napisał twój ojciec. List przyszedł na miesiąc lub dwa przed wyjazdem Roca za granicę. Wtedy dowiedziałem się o śmierci twojej matki i że mam wnuczkę: Favel. W liście twój ojciec zapytywał, czy chciałbym cię zobaczyć i podał mi adres waszego studia, tam na tej wyspie. — Och, więc to tak było! Ciekawe dlaczego ojciec napisał?

— To też wzbudziło moje podejrzenia. Posądzałem go o wyrachowanie. Powiadają ludzie, że bogactwo zapewnia wygodę. Posiadanie pieniędzy nie zawsze jest wygodne, ja ci to mówię. Stale się martwisz, aby ich nie stracić, ciągle szukasz sposobów, by je pomnożyć i zawsze podejrzewasz, że ludzie szukają z tobą znajomości, bo chcą coś na tym zyskać. O, nie. Nie mogę powiedzieć, żeby pieniądze dawały mi całkowity komfort. Na wszelki wypadek postanowiłem być ostrożnym z twoim ojcem. Mówiłem sobie: On chce z pewnością pożyczyć pieniędzy. Kiedy żyła Lilith, nie pozwoliła mu pisać — była zbyt dumna, ale teraz, gdy jej już nie ma, on chce coś ode mnie wyłudzić. Nie odpowiedziałem na list, ale myśl o wnuczce nie dawała mi spokoju. Zastanawiałem się jak wygląda... ile ma lat. Ojciec tego nie napisał. I coraz bardziej pragnąłem dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Urwał, spojrzął na mnie z zadumą.

— Więc... poprosiłeś Roca, żeby... zbadał grunt?

Dziadek kiwnął głową.

— Wiedziałem, że się wybiera do Włoch, prosiłem go więc o tę grzeczność, bo sam nie mogłem jechać. Chciałem, żeby zobaczył jak wygląda to miejsce i jaka jest moja wnuczka. Miałem taki plan: kiedy on wróci, a mnie nie spodoba się jego relacja, zaproszę wnuczkę do Polhorogan, może także jej ojca, gdyby nie chciała przyjechać sama.

— Ach, więc dlatego Roc przyszedł do pracowni...

— Ale ty jesteś taka jak matka. Zakochałaś się w nim. Więc zamiast przywieźć mi sprawozdanie, przywiózł mi swoją żonę.

— Więc Roc wiedział... wiedział cały czas.

— Tak.

— Nawet o tym nie napomknął... nigdy.

— No cóż, prosiłem go o to. Nie chciałem, abyś przychodziła tu odwiedzać dziadka. Pragnąłem, żebyśmy poznali się jak dwoje nieznajomych. Zamierzałem wpięrow poznać co o mnie myślisz i

ciekaw byłem, jakie zrobisz na mnie wrażenie. Ale w chwili, gdy cię zobaczyłem — byłaś tak podobna do matki — wydawało mi się, że to ona wróciła. Moje drogie dziecko, nie potrafię ci powiedzieć, co to dla mnie znaczyło.

Dotknęłam jego dłoni, ale myślałam o Rocu... O Rocu, jak przyszedł wtedy do pracowni, o Rocu leżącym na plaży i opowiadającym o Pendorrice, o Folly i o człowieku, który tam mieszkał, a był nim — o czym Roc cały czas wiedział — mój dziadek.

— Więc Roc spełniał tylko twoje życzenia.

— Zrobił nawet więcej, niż prosiłem. Przywiózł cię do domu.

— Potrafię zrozumieć, że nie powiedział mi tego z początku, a potem...

— Prosiłem go o dyskrecję, bo pragnąłem sam ci to oznajmić. Chwilę milczałam.

— Chciałeś więc, żeby moja matka poślubiła ojca Roca.

— Och, to było w tych czasach, kiedy sądziłem, że mogę kierować życiem innych lepiej niż sami to potrafią, teraz myślę inaczej.

— Ale... ucieszyłam cię... tym związkiem z kimś z Pendorrice.

— Moja wnuczusiu kochana, teraz, gdybyś chciała wyjść choćby za prostego rybaka, nie miałbym nic przeciwko temu. Tę lekcję już przerabiałem i wyciągnąłem z niej nauczkę... chociaż trochę to potrwało. Nie byłoby tych wszystkich moich samotnych lat, gdybym się nie wtrącał. Miałbym ich stale przy sobie. Może nawet twoja matka jeszcze by żyła i nie musiałbym czekać, aż moja wnuczka wyjdzie za mąż, żebyśmy mogli ją poznać.

— Dziadku, kiedyś życzyłeś sobie, żeby mama poślubiła Pendorrice. Czy jesteś zadowolony, że ja wyszłam za Roca?

Dziadek milczał przez chwilę, a w końcu odparł:

— Tak, ale dlatego, że go kochasz. Gdyby nie to, wcale nie byłbym ucieszony.

— Jak to? Mówiłeś przecież o połączeniu rodzin, a matka nawet musiała uciec z domu, bo chciałeś ją zmusić do poślubienia ojca Roca?!

— Ale to dawne czasy. Podejrzewam, że Pendorrice nie tyle chciał mojej córki, co pragnął moich pieniędzy. Twój ojciec, Favel, kochał ją dla niej samej... znał mnie bowiem zbyt dobrze, by wiedzieć, że kiedy zagroziłem jej wydziedziczeniem, gdy postąpi wbrew mojej woli, dotrzymam słowa.

Umilkłam, a on przechylił się na oparcie fotela i przymknął oczy nie wypuszczając jednak mej dłoni. Wyraźnie dostrzegłam nabrzmiałe żyły na skroniach i ciemniejsze niż zwykle wypieki na policzkach. Stan takiego podniecenia na pewno nie był dla niego wskazany.

Dziadek! Mój własny dziadek!, myślałem ze wzruszeniem, wpatrując się w jego twarz. A więc, mimo wszystko, mam kogoś bliskiego z rodziny. Omiotłam spojrzeniem ściany pokoju; wisiało tu wiele obrazów, a wszystko malowidła starej szkoły. Dziadek nie kupował malarstwa współczesnego, którego nie cierpiał, niemniej jednak miał oko do interesu. Wiedziałam, że same obrazy tylko w tym pokoju są warte majątek.

Później pomyślałam o naszej pracowni na wyspie i o mojej matce, jak zawzięcie targowała najkorzystniejsze ceny prac mojego ojca i uświadomiłam sobie, ile gorzkiej ironii może być w jednym życiu.

Cieszyłam się, że mam dziadka. Polubiłam go już w chwili, kiedy go spotkałam, nie wiedząc jeszcze kim jest dla mnie, ale wolałabym — O, Bóg mi świadkiem, że wolałabym — żeby nie był taki bogaty. Miałam jeszcze świeżo w pamięci jego słowa o niewygodzie bogactwa.

Choć nie minęła jeszcze godzina odkąd stałam się wnuczką milionera, pojęłam aż nadto dobrze, co dziadek miał na myśli.

Siedziałam z nim później jeszcze dosyć długo, rozmawialiśmy o przeszłości i przyszłości. Opowiadałam mu różne historyjki z dzieciństwa, nawet takie drobne, że wcześniej nie przyszłoby

mi do głowy o nich wspomnieć, ale teraz wiedziałam, że żywo interesuje go każdy, nawet najmniej znaczący szczegół mojego życia. Oświadczył mi, że Polhorgan jest teraz także i moim domem i mam go traktować jak własny.

Drogę do Pendorric przebywałam w stanie oszołomienia i podniecenia, a kiedy przeszłam mniej więcej połowę dystansu przystanąłam i zmierzyłam wzrokiem obydwie budowle; tę, którą miałam przed sobą i tę z tyłu.

— Moje domy — mruknęłam z dumą, którą jednak zaraz przyćmiły nieprzyjemne podejrzenia, jakie zaczęły gromadzić się w mojej głowie.

Obecność Roca w sypialni przyjęłam z ulgą.

— Roc! — Zawołałam z przejęciem, a wtedy on odwrócił się i stwierdził:

— Widzę, że ci powiedział.

— Skąd wiesz?

— Kochanie, wyglądasz dokładnie jak kobieta, której oznajmiono, że jest wnuczką milionera.

— Roc, ty cały czas wiedziałeś... — Uśmiechając się kiwnęła głową.

— Wydaje mi się to niezwykle, że mogłeś utrzymać taki sekret. Wciąż się uśmiechając otoczył mnie ramieniem.

— Wiesz przecież, że to kobiety nie potrafią dochować tajemnicy.

Objął mnie ciaśniej i przytulił, ale wywinęłam się, gdyż chciałam spoglądać mu prosto w twarz.

— Muszę to sobie przemyśleć... zrozumieć, jak to się wszystko mogło zdarzyć. Do pracowni przyszedłeś szukając mnie, prawda? Chciałeś zdobyć informacje o mnie dla dziadka.

— Zgadza się. Miałem także zamiar zrobić ci parę zdjęć, by je mu pokazać. Byłem zdecydowany wykonać zlecenie sumiennie.

— I tak też je wykonałeś.

— Cieszę się, że aprobujesz moje metody.

— A ojciec...? — Spytałam. — Też wiedział?

— Naturalnie. Przecież mieszkał w pobliżu Pendorric. Tam po raz pierwszy spotkał twoją matkę. Poznał mnie.

— Wiedział... i milczał?

— Znał moje przyrzeczenie.

— I tak nie mogę tego pojąć. To niepodobne do niego, by miał przede mną tajemnice.

— To była bardzo ważna sprawa. Przypuszczam, że spełniał życzenia twojego dziadka, to zrozumiałe.

Spojrzałam na niego ostro; uśmiechnął się błogo.

— Tak bym chciała... — zaczęłam.

— Co byś chciała?

— Żebyś ty o niczym nie wiedział.

— Dlaczego? Co za różnica?

Umilkłam. Czuję, że posuwam się za daleko. Byłam niemal o krok od pytania Roca, czy ożenił się ze mną ze względu na majątek dziadka, kiedy ja nie wiedziałam jeszcze nawet, że mogę być bogatą dziedziczką. Teraz wszystko było inaczej. Kiedy myślałam o Barbarinie, stale sobie mówiłam, że nasze położenia różnią się zasadniczo, boją poślubiono dla pieniędzy, a w moim przypadku to nie wchodziło w rachubę. Jednakże teraz zaczęłam powątpiewać, czy istotnie jest taka rozbieżność między nami i zastanawiać się, czy mnie także nie przypadł podobny los?

— O czym myślisz? — Dopytywał się Roc.

— O tym, że to jest szok — odparłam wymijająco. — Myślisz, że nie masz już nikogo z rodziny, a tu nagle spotykasz dziadka... to może trochę wytrącić z równowagi. Potrzebuję nieco czasu, żeby przyjść do siebie.

— Jesteś jakaś powściągliwa, patrzysz na mnie taksująco, nie bardzo mi się to podoba. — Spoglądał na mnie z napięciem, bardzo poważnie.

— Dlaczego?

— Boję się, że mnie położysz na szali i waga ci się nie zgodzi.

— Czemu myślisz, że powinieneś się tego obawiać?

— Bó nie znam twoich kryteriów. Coś przede mną ukrywasz — albo próbujesz przemilczeć.

— To ty jesteś przecież specjalistą od tajemnic.

— Miałem tylko jedną i tylko wtedy, kiedy dałem słowo jej zachowania. — Roześmiał się nagle i porwał mnie w objęcia, a podniósłszy trzymał tak wysoko, że musiałam spoglądać na niego z góry. — Posłuchaj, — rzekł — postawmy sprawę jasno. Ożeniłem się z tobą dlatego, że cię pokochałem i nie byłoby inaczej, nawet gdybyś była wnuczką żebraka. Czy dość wyraźnie to powiedziałem?

Wyciągnęłam ręce i dotknęłam jego uszu; on zaczął powoli mnie opuszczać, a kiedy nasze twarze znalazły się na jednym poziomie, pocałował mnie i — jak zawsze, kiedy byłam z nim — wyzbyłam się wszystkich mych obaw.

* * *

Kiedy rozniosła się nowina, cała wieś Pendorric została postawiona w stan wielkiego podniecenia. Wydawało się, że moja osoba jest najważniejszym, a właściwie jedynym tematem rozmów. Ludzie spoglądali na mnie, jakby nagle odkryli we mnie coś nowego. Skupiałam na sobie zainteresowanie całego sąsiedztwa. Najpierw spadłam im jak z nieba jako nowa Małżonka z Pendorric, a teraz raptem okazałam się wnuczką lorda Polhorgana. Wielu tutejszych mieszkańców pamiętało, że moja matka uciekła z malarzem, więc mój powrót w charakterze młodej dziedziczki stanowił prawdziwie romantyczne zakończenie ówczesnej sensacji towarzyskiej.

Pani Robinson kiedyś w swoim sklepie szepnęła mi do ucha, że według niej, moja historia nadaje się do telewizji. Spotkana we wsi Dinah powiedziała mi, że widziała to wypisane na mojej dłoni i przepowiedziała mi wszystko, gdybym jej dała okazję. Morwenna i Charles sprawiali wrażenie bardzo ucieszonych, Lowella wrzaskliwie manifestowała swoje zadowolenie, wyśpiewując mi w pięć ni w dziesięć: „Kiedy dziaduś prosił babcię do drugiego menueta”, a Hyson obserwowała mnie z milczącym zainteresowaniem i z taką miną, jakby dla niej ten rozwój wydarzeń wcale nie był zaskakujący.

— Przez kilka dni nikt nie mówił o niczym innym, ale miałam nadzieję, że wkrótce wszystko się uspokoi.

— Dwie rozmowy szczególnie utkwily mi w pamięci — jedna, jaką przeprowadziłam z Rachelą i druga, podsłuchana.

— Pewnego popołudnia zesłam na naszą plażę, by popływać, i po wyjściu z wody ujrzałam na brzegu Rachelę. Szukałam wzrokiem bliźniaczek, ale nauczycielka była sama.

— Jaka dziś woda? — spytała.

— Dość ciepła — odparłam i położyłam się na rozgrzanym gładzie.

Rachela usiadła obok mnie i zaczęła leniwie przesiewać przez palce kamyczki.

— Co to za niespodzianka musiała być dla ciebie! — Rzekła. — Naprawdę nic nie wiedziałaś?

— Nic a nic.

— Cóż, nie każdemu trafia się dziadek w prezencie i do tego milioner.

Mówiła to z miną, która wydała mi się odpychająca, więc zaczęłam zbierać się do odwrotu.

— Oczywiście Roc wiedział o wszystkim — ciągnęła nauczycielka i roześmiała się. — Musiał się setnie ubawić.

— Co jest zabawnego w sytuacji, kiedy rodzina się rozpada?

— Nie o tym mówię. Myślę, że zabawny był wyjazd Roca po to, by cię odszukać i przywieźć jako swoją żonę. Nic dziwnego, że wyglądał na tak zadowolonego z siebie.

— Co masz na myśli?

Zielonkawe oczy Racheli lśniły chorobliwym blaskiem pod wyblakłymi brwiami. Usta miała zaciśnięte w wąską linię. Pomyślałam, że jest albo dotknięta, albo bardzo zła. I raptem przeszła mi irytacja, którą jeszcze przed chwilą do niej czułam.

— Roc zawsze lubił wiedzieć więcej niż inni. — Była już opanowana. — Zawsze go bawiło trzymanie czegoś w sekrecie i pozostawianie nas w nieświadomości. A oprócz tego... — Czekałam, żeby mówiła dalej, ale tylko wzruszyła ramionami. Potem roześmiała się ochryple, a w jej śmiechu dzwięczała jakaś nuta goryczy. — Niektórzy to mają szczęście — wycedziła. — Pani na Pendorrice, a teraz wnuczka lorda Polhorgana, który już świata nie widzi poza nią.

— Chyba wrócę do domu — oświadczyłam. — Wcale nie jest tak ciepło jak sądziłam.

Rachela kiwnęła głową. Ruszyłam do góry po kamieniach, a ona siedziała zapatrzona w morze. Mogłam wyobrazić sobie wyraz jej twarzy, bo zdradziła się, że mi zazdrości. Czy czuła zawiść o to, że byłam wnuczką bogatego człowieka, czy była zazdrosna o Roca?

Wiedziałam, że w grę mogły wchodzić obydwie możliwości.

— Druga rozmowa miała miejsce następnego dnia i jej końcowy fragment usłyszałam mimo woli.

Byłam w ogrodzie na dziedzińcu, a jedno z okien północnego parteru skrzydła otwarto na całą szerokość i głosy z pokoju dotarły do mych uszu, zanim zdołałam odejść poza zasięg słuchu.

Rozmawiała Morwenna z Charlesem, a z początku nie zdawałam sobie sprawy, że mówią o mnie.

— Rzeczywiście wyglądał na zadowolonego z siebie. — To był głos Charlesa.

— Nigdy nie widziałam go tak rozradowanym.

— Ona jest taką przyjemną osobką.

— Teraz ma wszystko.

— No, przyszło w samą porę, mówię ci. Przeżyłem parę niespokojnych chwil, czekając, co z tego wyniknie. Oczywiście, przyjęliśmy to raczej za rzecz z góry przesądzoną.

— Takie typy nie pozwalają nigdy, aby wiele pieniędzy znalazło się poza rodziną, a przecież jest jego wnuczką, a on chyba już długo nie pociągnie.

Wstałam i z płonącymi policzkami poszłam do południowych drzwi.

Kiedy weszłam do domu mój wzrok od razu spoczął na wizerunku Barbariny. Przystanąłam i patrzyłam na obraz. Niemal namacalnie czułam, że zmienił się wyraz oczu namalowanej postaci. W tych otoczonych błękitem źrenicach dojrzałam teraz wyraz litości, jakby mi chciały powiedzieć: „Ja cię rozumiem. Któż mógłby cię lepiej zrozumieć niż ta, która przeżyła to samo wcześniej?”

* * *

Dziadek życzył sobie, aby całe sąsiedztwo dowiedziało się z jaką radością wita swoją wnuczkę w domu.

Oświadczył mi, że ponieważ już od lat nie było żadnego wystawnego przyjęcia w Polhorgan, postanowił urządzić bal, na który ma zamiar zaprosić całe okoliczne ziemianstwo.

— Dziadku, przecież nie jesteś w zbyt dobrej formie — oponowałam, ale nawet nie chciał słuchać moich protestów i zapewniał mnie, że odrobina rozrywki wcale mu nie zaszkodzi.

— Nie próbuj mnie od tego odwozić — mówił. — To naprawdę sprawi mi największą przyjemność. Wydam bal na twoją cześć i twojego męża. Chcę, żebyś zaplanowała wszystko tak, aby był wspaniałą oprawą, na tle której mogłabyś błyszczeć. Zgódź się, proszę.

Wyglądał na tak ucieszonego tą perspektywą, że musiałam się zgodzić. Kiedy oznajmiłam o tym Rocowi i Morwennie byli co prawda rozbawieni, ale i — widziałam to wyraźnie zachwyceni. Złość na Charlesa i Morwennę już mi przeszła, gdyż wytłumaczyłam sobie, że jest rzeczą naturalną — skoro kochali swój stary dom — cieszyć się z tego, iż jeden z członków rodziny prawdopodobnie wniesie do rodzinnej kasy sporą sumę pieniędzy.

— Patrzcie państwo! — Ironizowała Morwenna. — Polhorgan nareszcie pozbędzie się swoich pokrowców ochronnych!

Bliźniaczki były w siódmym niebie, a kiedy ktoś powiedział Lowelli, że bale nie są dla dwunastolatek, bez zastanowienia pobiegła do mojego dziadka, prosząc o zaproszenie dla siebie i siostry. Pochwalił jej zachowanie, gdyż świadczyło o inicjatywie dzieciaka i bezzwłocznie napisał liścik do Morwenny, prosząc o to, by pozwoliła dzieciom na udział w przyjęciu.

Lowella kiedy się o tym dowiedziała, zaczęła wprost szaleć z radości, a i oczy Hyson błyszczały skrywaną ekscytacją. Jeszcze długo po tym Lowella nie potrafiła usiedzieć na miejscu, tylko biegała po domu, recytując złowieszczo: „Odgłosy hulanki niosły się po nocy”.

Morwenna pomogła mi sporządzić listę gości, gdyż będąc tu stałą mieszkanką, doskonale знаła całe sąsiedztwo.

— Wszyscy przylecą jak na skrzydłach obejrzyć wnuczkę lorda Polhorgana — powiedziała do mnie. Obecny przy tym Roc zareagował gwałtownie:

— Nonsens! Przygna ich ciekawość obejrzenia pani na Pendorric, która jest dla nich dalece ważniejszą osobą od jakiegokolwiek tam wnuczki jego lordowskiej wysokości.

— Dla ludzi chyba jest to wszystko zadziwiające — zauważyłam.

— Kochanie, wiesz jak to bywa, pogadają i przestaną — skwitował Roc. — W naszych okolicach prawie każda rodzina ma swoje osobliwości.

— Tak, to prawda — poparła go Morwenna.

Deborah, na równi z bliźniaczkami, podekscytowana była propozycją balu. Zaprosiła mnie do swojego pokoju, żebym obejrzała materiały, z których Carrie miała uszyć jej suknię. Miała do wyboru dwa kolory i chciała żebym pomogła jej się zdecydować.

Na stole leżały rozłożone dwa kupony crepe de Chine — jeden w delikatnym odcieniu fioletowym, a drugi blad różowym.

— Ho, ho! Teraz już takiej się nie spotyka — rzekłam dotykając tkaninę.

— Tak, materiał ma już swoje lata. Prawda Carrie? — Deborah zwróciła się do służącej.

Nie zauważyłam, że do pokoju po cichu weszła Carrie. Na szyi miała zawieszony metr krawiecki, w ręku trzymała nożyczki, a do paska przymocowała dwie poduszki na szpilki.

— Wyszukałam go w Plymouth — odpowiedziała na pytanie.

— Bałam się tylko, że mi nie starczy dla was obydwu.

Deborah zerknęła na mnie, uśmiechnęła się blado i położyła rękę na ramieniu Carrie.

— Carrie ma złote ręce do igły, z pewnością wyczaruje mi coś wspaniałego na bal.

— Pamiętasz sukienki, jakie uszyłam na przyjęcie zaręczynowe?

— Wszepnęła służąca z zachwytem w oczach. — Obie w stylu *empire*. Ty miałaś różową, a ona fioletową.

— Pamiętam, wtedy po raz pierwszy zdecydowałyśmy się na różne kolory.

— Przedtem zawsze wszystko szyłam podwójnie, w tym samym kolorze. Dla jednej to samo co dla drugiej.

— Przeprowadziłam tu panią Pendorrice, żeby pomogła wybrać mi odcień materiału — wyjaśniła jej Deborah.

— Fiołkowy to był jej ulubiony kolor. Nosiła dużo takich rzeczy... po...

— Chyba jednak zdecyduję się na różowy — mruknęła Deborah.

Zabrała mnie do saloniku, a kiedy usiadłyśmy spoglądając przez okno na morze, rzekła z troską:

— Teraz nawet obawiam się dawać Carrie coś do szycia. Zaraz jej się to kojarzy z naszym rodzinnym domem. Trzeba ci wiedzieć, że w Devon ona szyla wszystko dla nas. Nie może tego zapomnieć.

Gdy opuściłam Deborah, natknęłam się w holu na Rachelę Bective. Obdarzyła mnie krzywym uśmiechem, ale wyglądała niemal smutno.

— Wszyscy wciąż tylko mówią o balu, który wydaje twój dziadek — zaczepiła mnie. — Czuję się całkiem jak Kopciuszek. Przypuszczam też, że guwernantka nie może spodziewać się zaproszenia.

— Co za nonsens! Naturalnie, że będziesz zaproszona!

— Uśmiech, który teraz rozjaśnił jej twarz, uczynił ją niemal ładną.

— Och, — mruknęła jakby w zmieszaniu — dziękuję. Czuję się... zaszczycona.

Odwrociła się i odeszła a ja pomyślałam: jej kłopot polega na tym, że ma kompleks płatnej pracownicy. Gdyby potrafiła nie myśleć o tym, byłaby i szczęśliwsza i ja prędzej mogłabym się do niej przekonać.

* * *

Przez kilka następnych dni wiele czasu spędzałam w Polhorgan. Dziadek nalegał, bym zrobiła przegląd całego domu, więc uległam jego życzeniu i ruszyłam na oględziny w towarzystwie Dawsona i jego żony, którzy odnosili się do mnie z dużym respektem, należnym — ich zdaniem — wnuczce swojego pana.

Polhorgan nie został zbudowany jednak dokładnie tak samo jak Pendorrice. Był to jeden ogromny budynek, a nie tak jak u nas złączone jakby cztery mniejsze. Na parterze znajdował się olbrzymi hol, który miał spełnić funkcję sali balowej. Kiedy Dawsonowie zdjęli pokrowce z mebli, wewnątrz ukazało swoją pełną krasę. Miało wspaniałe proporcje, wysoki, sklepiony sufit i ściany pokryte boazerią, było tam nawet w kącie małe podium idealne wprost na naszą orkiestrę. Dawson podsunął pomysł, żeby wnieść nieco tropikalnych roślin z cieplarni. Wystarczy, abym porozmawiała z Trehayem, głównym ogrodnikiem, który da mi wszystko, co będę chciała.

Z tej części holu wchodziło się do kilku pokoi, w których można będzie podać kolację.

Pani Dawson była najbardziej zaradną gospodynią pod słońcem i aż się paliła do tego, by móc zaprezentować swe wszystkie talenty. I Pokazała mi kuchnie, które były wzorem czystości i nowoczesności.

— Wszystko tu takie wspaniałe, proszę pani, — westchnęła pani Dawson — a nikt z tego nie korzysta. To co lordowi potrzeba do lfczenia, mogłabym ugotować na jednopalnikowej kuchence. Ale pielęgniarka... O, mówię pani, ona tu wszystko chciałaby mieć do dyspozycji!

Na wspomnienie siostry Grey, pani Dawson zacisnęła usta, a ja zaczęłam zastanawiać się, co jest powodem niepopularności Althei w tym domu.

Wciąż obchodziłyśmy dom, kiedy w polu naszego widzenia pojawiła się sama Althea Grey. Wyglądała równie atrakcyjnie jak zawsze i mile uśmiechała się do mnie. I teraz, jak zresztą za każdym razem na nowo, uderzyła mnie doskonałość jej rysów. Z uczuciem pewnego zaniepokojenia wróciłam pamięcią do spotkania na plaży.

— Ach, jest więc pani przewodniczką dla pani Pendorrice — zwróciła się pielęgniarka do pani Dawson.

— Na to wygląda — odparła gospodyni opryskliwie.

— Jeśli pani chce, zluzuję panią. Spodziewam się, że jest pani bardzo zajęta.

— Jestem tu gospodynią i do moich obowiązków należy pokazać dom pani Pendorrice, siostrze.

Siostra Grey uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i pozostała z nami, jakby na przekór pani Dawson, kwestionującej wyraźnie towarzystwo pielęgniarki.

Gospodyni była poirytowana i traktowała pielęgniarkę jak powietrze. Zastanawiałam się co też zrobiła Althea Grey, że ją tak do siebie zraziła.

Pięknymi schodami weszliśmy na górę i na pierwszym piętrze obejrzałam pokoje z olbrzymimi oknami, otwierającymi widoki takie same, jakie oglądałam z Pendorrice.

Pani Dawson zdjęła pokrowce z kilku mebli i moim oczom ukazały się piękne sprzęty, w większości antyki, przypuszczalnie o dużej wartości.

Wyraźna wrogość, z jaką odnosiły się do siebie obie kobiety, sprawiała, że czułam się trochę nieprzyjemnie.

— Słyszałam, że zaproszono około sześćdziesięciu osób — rzekła Althea Grey. — Jakie szczęście, że nasza sala balowa jest taka duża, bo inaczej wszyscy deptalibyśmy sobie po nogach.

— Cóż, siostrze — przerwała jej pani Dawson z prychnięciem przez nos — pani chyba te obawy nie dotyczą?!

— Ależ wprost przeciwnie, nie znoszę mieć poobijanych palców — pielęgniarka roześmiała się głośno. — Pani pewnie myśli, że skoro jestem tylko pielęgniarką, to na balu nie ma dla mnie miejsca. Ale pani jest w błędzie, pani Dawson. Będę tam. Z całą pewnością. Nie mogę przecież zostawić lorda bez opieki, prawda?

Obdarzyła mnie uśmiechem, jakby zapraszając do podzielenia zwycięstwa nad gospodynią, która wyglądała teraz na bardzo rozdrażnioną. Domyśliłam się, że była to zwykła wojna nerwów dwóch pracowniczek tego samego chlebodawcy, z których każda szacowała siebie na wyższej pozycji niż druga. To musiał być główny powód ich wzajemnej animozji.

— Naturalnie, że dziadek musi mieć opiekę — przytaknęłam pospiesznie a twarz pani Dawson zachmurzyła się.

— Sądzę, madame — rzekła sucho — że siostra Grey może pokazać pani pokoje na wyższych piętrach.

Podziękowałam jej i zapewniłam, że będę zadowolona, jeśli z nami zostanie, ale wymamrotała jakieś usprawiedliwienie i odeszła. Gdy zostałyśmy same, Althea wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Potrafiłaby mi zatruć życie, gdybym jej na to pozwoliła. Zawistna stara czarownica.

— Sądzi pani, że jest zazdrosna?

— Takie jak ona reagują tak zawsze. Już tego doświadczyłam, pracując w prywatnych domach. Muszą być do mojej dyspozycji, a nie znoszą tego. Cały czas chcą pokazać, że są ode mnie lepsze.

— To jest chyba przykre dla pani.

— Po prostu się tym nie przejmuję. Proszę mi wierzyć, potrafię sobie radzić z takimi paniami Dawson.

Byłam pewna, że wie co mówi i umie sobie w życiu radzić, pomimo urody, która nadawała jej wygląd osoby kruchej i delikatnej.

Dotarliśmy do pokoju dziadka. Powitał mnie tak ciepłym i radosnym uśmiechem, że odczułam wzruszenie, widząc jak wiele dla niego znaczy moje przybycie.

Siostra Grey kazała przynieść herbatę i rozmowa toczyła się głównie na temat balu. Staruszek angażował się w dyskusję tak bardzo, że Pielęgniarka musiała mu przypomnieć, że w jego stanie taka ekscytacja stanowczo nie jest wskazana.

— Czy ma pan pod ręką swoje pigułki? — Upewniała się.

Zamiast odpowiedzi dziadek wyciągnął z kieszeni srebrne pudełeczko i potrząsnął, aż zawartość zagrzechotała.

— Doskonale.

Siostra Grey uśmiechnęła się, wstała i zostawiła nas samych.

* * *

Po pracowicie spędzonym poranku, zwabiona piękną słoneczną pogodą wybrałam się na dziedziniec, by odpocząć chwilę w moim ulubionym zakątku pod palmą.

Nie upłynęło jeszcze nawet pięć minut, gdy otworzyły się drzwi północnego skrzydła i wyszła przez nie któraś z bliźniaczek.

Wciąż jeszcze krępował mnie fakt, że nadal nie potrafię ich odróżnić, kiedy nie są razem; teraz także próbowałam to odkryć nie zdradzając się ze swą niewiedzą.

Dziewczynka podeszła do mnie i przystanęła.

— Halo! Ależ ty lubisz to miejsce! Dawno tu jednak nie byłaś, prawda?

— Miałam wiele zajęć.

— Wiem. — Wpatrywała się we mnie z powagą. — Nagłe odkrycie, że się jest wnuczką lorda Polhorgana chyba przysparza wielu kłopotów. — Stała na jednej nodze i parę razy podskoczyła. — Coś takiego! Pomyśl, gdyby twoja mama i tata nie uciekli, mogłabyś tu mieszkać... stale. I my wtedy znałybyśmy cię od dawna.

— Możliwe — przyznałam.

— Ale wolę tak jak jest. To bardziej ekscytujące. No i przecież nie byłoby balu... Nie byłoby sensu wydawać uczyty i podawać tucznego cielca, gdybyś tu była stale, no nie?

— To co mówisz, brzmi tak, jakby ten bal był wydawany na cześć powrotu syna marnotrawnego.

Przytaknęła energicznym kiwnięciem głowy.

— Teraz jesteś bogata, prawda? Ale byłaś biedna, choć chyba nie musiałaś jeść łupin fasoli, które daje się świniom?

W tym momencie byłam przeświadczona, że to Lowella. Dziewczynka w podskokach okrążyła moje krzeselko, a naraz stanęła z tyłu, podeszła bliżej i wysapała mi niemal prosto do ucha:

— Ale nie wszyscy się ucieszyli, kiedy on wrócił do domu, co? W domu był brat, który się nigdzie nie ruszał i pracował u ojca. On to kosym okiem patrzył na przygotowania do uczyty, bo nie mógł pojąć dlaczego jego wysiłki są nie dostrzegane, a tuczny cielec zabijany jest dla brata, który sobie uciekł z domu, bo tak mu się podobało.

— Nie martw się o mnie. Ja nie mam brata, który mógłby mi zazdrościć ciepłego powitania.

— Wcale nie chodzi o brata, to tylko przenośnia. Wiesz chyba, że nie zawsze trzeba ją brać dosłownie, a przynajmniej tak twierdzi Becky. Czeka na mnie Carrie z przymiarką.

— Ona ci szyje sukienkę na bal?

— Tak, w żółtym kolorze. Dwie identyczne. To będzie dopiero zabawa! Nikt nie będzie wiedział, która jest Hy, a która Lo.

— Idź już lepiej, jeśli Carrie czeka.

— Chodź ze mną, obejrzysz sobie moją sukienkę. Zobaczysz jaka piękna.

Ruszyła w podskokach na jednej nodze w kierunku zachodnich drzwi, a ja szłam za nią, znowu pełna wątpliwości czy to Lowella czy Hyson.

Gdy wchodziłyśmy po schodach, dziewczynka zaczęła coś nucić. Znałam tę melodyjkę; słyszałam ją śpiewaną tym dziwnym, lekko fałszywym głosem w tajemniczych okolicznościach.

— Co ty śpiewasz?

Ona stanęła i odwróciwszy się, spoglądała na mnie z góry, zdołała bowiem wyprzedzić mnie już o kilka stopni. Teraz z kolei byłam przekonana, że to Hyson.

— To pieśń Ofelii z „Hamleta”.

— Uczyliście się tego w szkole?

Pokręciła głową.

— Panna Bective śpiewała to z wami? — Dopytywałam się natarczywie. Z jej miny domyśliłam się, że ona wie, jak zależy mi na tej odpowiedzi i bawi się skrycie.

Pokręciła znów głową i z kpiącym wyrazem twarzy wyczekiwała na następne pytanie.

— Jakaś niesamowita melodia — rzekłam więc tylko i ruszyłam dalej po schodach.

Biegła przede mną aż do drzwi szwalni, królestwa Carrie.

— Stara niania siedziała przy jakiejś wiekowej maszynie i pochłonięta była szyciem.

W pokoju stały dwa manekiny, jeden wielkości człowieka dorosłego, a drugi na wzrost średniego dziecka. Na mniejszym wisiała sukienka żółta, a na drugim wieczorowa suknia w kolorze fiołkowym.

— No nareszcie przyszedłaś, panienko Hyson — zawołała Carrie.

— Czekam na ciebie. Chodź tu do mnie. Nie podoba mi się ten dekolt.

— Przyprowadziłam panią Pendorric — oznajmiła Hyson.

— Chciała zobaczyć sukienki, to wzięłam ją ze sobą na górę. Podeszłam do manekina z żółtą sukienką.

— Śliczna. To dla Lowelli?

— Mierzę ją na Hyson — wymamrotała Carrie. — Panienska Lowella nie potrafi ustać spokojnie ani minuty.

— To prawda — wtrąciła Hyson z przemądrzałą miną. — Ona jest taka roztrzępana. Nie potrafi się skupić na niczym. Becky powiada, że to godne pożałowania.

— Chodź tu, no chodź — przyzywała ją Carrie.

Hyson stała potulnie, kiedy Carrie ubierała ją w żółtą sukienkę.

— Urocza — pochwaliłam.

— Dekolt źle leży. — Carrie ciężko dysząc dreptała wokół dziewczynki mruczając i cmokając nad wadliwym dekoltem. Ja tymczasem podeszłam do manekina z fiołkową sukienką. Była doskonale uszyta, ale — tak jak wszystkie ubrania Deborah — miała nieco staroświecki fason. Rzędy falbanek u dołu spódnicy były modne wiele lat temu, tak samo zresztą jak koronkowa apaszka przy szyi. Całość tchnęła nieuchwytnym urokiem minionej przeszłości.

— Sądziłam, że miałaś szyć suknię różową — zdziwiłam się.

— Mmm — wymamrotała Carrie ustami pełnymi szpilek.

— Czyżby Deborah zmieniła zdanie, bo przecież na własne uszy słyszałam jak mówiła, że wybiera różowy kolor?

Hyson gwałtownie kiwała do mnie i ruchem głowy pokazywała na coś wiszącego za drzwiami. Zerknęłam tam i ujrzałam dokładną replikę sukni na manekinie, tym razem w kolorze różowym.

Patrzyłam zdumiona.

— Carrie uszyła dwie, prawda Carrie? — Zawołała Hyson. — Dwie żółte... dla mnie i dla Lowelli, a także dwie tamte — różową i fiołkową, bo odkąd one wyjechały z Devon, nigdy nie nosiły tego samego koloru. Po opuszczeniu Devon już nie było tak samo.

Hyson spoglądała na mnie z tryumfem, co mnie trochę zirytowało.

— O czym ty u licha, mówisz?!

Hyson wlepiła wzrok w czubki swoich butów i milczała.

— Carrie, — zwróciłam się nagle do leciwej służącej — Deborah kazała ci uszyć dwie suknie?

— Różowa jest dla panienki Deborah — sapnęła Carrie. — Jej do twarzy jest w różowym.

— A fiołkowa..?

Hyson wyrwała się Carrie i podbiegła do mnie.

— Różowa jest dla babci Deborah — wyszeptała mi do ucha — a fiołkowa dla babci Barbariny. Carrie, uśmiechając się do fiołkowej sukni tak, jakby oprócz niej widziała coś jeszcze, rzekła spokojnie:

— Fiołkowy to był jej kolor i zawsze mówię, że nie było piękniejszych pań w całym Devonshire, niż moje panienki Deborah i Barbarina.

Nie mogłam już dłużej wytrzymać w dusznej szwalni.

— Mam jeszcze parę spraw do załatwienia — oświadczyłam i odeszłam.

* * *

Jak tylko zamknęłam za sobą drzwi, zaczęłam się zastanawiać, co może być powodem takiego dziwnego zachowania Hyson. Mogłam zrozumieć, że Carrie trochę mówiła od rzeczy, była już stara i najwyraźniej bardzo oddana Barbarinie. Deborah kiedyś wspominała, że niania nigdy nie przyszła do siebie po szoku spowodowanym śmiercią ulubienicy. Ale co ma z tym wspólnego Hyson? To jedynie psotne dziecko, więc z jakiego powodu była zła, że zjawiłam się w Pendorric? Te wzmianki o tucznym cielcu... — co się za tym kryło?

Obejrzałam się przez ramię i zmusiłam się, by nie wrócić do szwalni. Zamiast tego poszłam do Deborah. Stałam przed drzwiami saloniku i po krótkim wahaniu zapukałam.

— Proszę.

Deborah siedziała przy stoliku czytając jakąś książkę.

— Jaka miła niespodzianka! A może coś się stało?

— Och nie... nic. Przyszłam porozmawiać, bo jestem trochę zaintrygowana.

— Siadaj koło mnie i mów, cóż cię tak zaintrygowało?!

— Hyson. To dziwne dziecko i obawiam się, że nie potrafię jej zrozumieć.

Deborah wzruszyła ramionami.

— Nieraz niełatwo pojąć co dzieje się w umyśle dziecka.

— Ale Hyson jest tak bardzo inna. Całkiem niepodobna do Lowelli.

— Bo to przypadek ekstrawertyczki i introwertyczki. To bliźniaczki o całkiem różnych charakterach. Ale powiedz mi, co zrobiła Hyson, że tak cię wytrąciła z równowagi?

Zacząłam najpierw o sukienkach. Deborah westchnęła:

— Carrie zrobiła to, zanim ją mogłam powstrzymać. Zdecydowałam się na kolor różowy, wybrałam fason, a potem odkryłam, że ona uszyła dwie suknie.

— Czy ona naprawdę wierzy, że Barbarina wciąż żyje?

— Nie cały czas. Są chwile, kiedy jest wszystkiego świadoma tak samo jak ja czy ty, a innym razem żyje przeszłością. Ale to nie ma znaczenia. Sukienki są dokładnie takie same, więc właściwie mogą nosić obie. Nigdy jej nie karzę.

— A co z Hyson? Czy to Carrie wbija jej w głowę te niestworzone rzeczy?

— Hyson doskonale zdaje sobie sprawę ze wszystkiego. Ja jej to wytłumaczyłam, ale poprosiłam, żeby nie raniła uczuć Carrie. Hyson to dobre dziecko. Stara się jak może. Ty jednak wyglądasz, jakbyś tego nie aprobowała, moja droga.

— Bo to wydaje mi się jakieś takie... niezdrowe — odparłam.

— Och, to jest nieszkodliwe, a uszczęśliwia Carrie. Kiedy może wierzyć w to, że Barbarina jest z nami, wydaje się zadowolona. Tylko wtedy, gdy żyje rzeczywistością, robi się smutna i przygnębiona. W Devonshire jest łatwiej, wtedy nieobecność Barbariny usprawiedliwia pobytem w Kornwalii i oczekuje, że wkrótce ją zobaczy. W Pendorric jest gorzej, bo ona wie, że tu powinna być Barbarina.

Milczałam, a Deborah położyła rękę na mojej dłoni.

— Moja droga, — ciągnęła miękko — ty jesteś młoda i burzy się w tobie poczucie zdrowego rozsądku. Trudno ci pojąć dziwactwa ludzi, których umysły nie są tak zrównoważone jak twój własny. Nie przejmuj się zachowaniem Carrie. Z nią tak jest już od dawna. Zawsze nam była taka oddana, że doprawdy nie mam serca jej unieszczęśliwić... więc znoszę cierpliwie jej humory. Pozwól jej mówić to swoje: panienka Deborah pójdzie na bal w różowej sukience, a panienka Barbarina we fiołkowej. Przecież i tak nic z tego nie wynika. Ale, ale... jak już jesteśmy przy temacie powiedz mi, co ty włożysz?

Opisałam jej moją zieloną wieczorową suknię, kupioną w Paryżu podczas miodowego miesiąca. Nie miałam dotąd okazji jej włożyć, więc ten bal jest doskonałą sposobnością, by się w niej pokazać.

— Och, moja droga, jestem pewna, że będziesz wyglądać cudownie, naprawdę cudownie i że twój dziadek i mąż będą z ciebie dumni. Favel, jakie to szczęście dla ciebie, że znalazłaś męża i dziadka w ciągu zaledwie paru miesięcy.

— Taaak — przytaknęłam przeciągając słowo. — To zaiste bardzo dziwne.

— Deborah roześmiała się wesoło.

— Widzisz, jakie dziwne rzeczy zaczynają ci się przydarzać, od kiedy tylko przybyłaś do Pendorric!

. Zostało ustalone, że oboje z Rokiem przyjedziemy do Polhorgan na pół godziny przed spodziewanym przybyciem gości, tak byśmy mogli wspólnie z gospodarzem przyjęcia wszystkich powitać.

Kiedy się umyłam i włożyłam suknię, stwierdziłam, że wyglądam całkiem ładnie.

Suknia uszyta była z zielonego, jedwabnego szyfonu, w formie wąskiego futerału rozszerzającego się od kolan i układającego się dołem w sute fałdy. W talii ujęłam ją złotym paseczkiem, a połyskliwy, satynowy spód przeświecał przez materiał.

Upięłam włosy wysoko i sama byłam zachwycona uzyskanym efektem; całość nabrała paryskiego szyku.

Roc wszedł do pokoju, kiedy jeszcze stałam przed lustrem. Wziął mnie za obie ręce i odsunawszy na odległość ramion, oglądał uważnie.

— Nie mam ani cienia wątpliwości, kto zostanie królową balu — orzekł. Jakież mógłby być trafniejszy wybór? — Przyciągnął mnie do siebie i pocałował lekko, leciutko, jakbym była kruchą figurką z porcelany.

— Lepiej zacznij się już przebierać — upomniałam go. — Pamiętaj, że mamy tam być wcześniej.

— Wpierw muszę dać ci to — oświadczył i wyjął z kieszeni jakieś etui.

Otworzyłam pudełeczko i moim zachwyconym oczom ukazał się rzucający ognie naszyjnik ze szmaragdów i brylantów.

— Nazywany jest — raczej dość pretensjonalnie — „Szmaragdami z Pendorric” — rzekł Roc. — Noszony był jako ślubne klejnoty przez tę, która później zyskała miano Pierwszej Małżonki.

— Roc, one są prześliczne!

— O tych szmaragdach myślałem, kiedy doradzałem ci kupno tej właśnie sukienki. Nie znam się wiele na damskich fataląszkach, ale byłem przekonany, że do zieleni naszyjnik będzie idealnie pasował.

— Mam go ubrać na dzisiejszy bal?

— Naturalnie. — Wyjął kolię i zapiął mi ją na szyi. Już przedtem jak mi się wydawało wyglądałam wytwornie, lecz teraz klejnoty nadały mi wygląd królewski.

— Dlaczego mi o nich wcześniej nie mówiłeś?

— We wszystkich najlepszych scenach filmowych dżentelmeni swoim damom zapinają prezenty z drogich kamieni w najodpowiedniejszych, przynajmniej w sensie psychologicznym, chwilach.

— No, no; nie posądzałam cię o takie zamiłowanie do naśladowania sztuki filmowej w życiu — roześmiałam się. — Och, Roc! One są naprawdę cudowne! Aż się będę bała je nosić, żeby ich nie zgubić!

— Czemu miałabyś je zgubić?! Mają bezpieczny zameczek. Żony Pendorriców stroiły się w nie od blisko dwustu lat i nic im się nie stało. Nie masz się czego obawiać.

— Dziękuję Ci, Roc.

— Nie mnie należą się dzięki. — Wzruszył ramionami. — Podziękuj temu Petrocowi, który ożenił się z pierwszą Lowellą. To on je, kupił dla niej. Są twoim dziedzictwem. Miło też będzie pokazać, twojemu majętnemu dziadkowi, że masz męża, który może ci dać coś, co jest warte noszenia.

— Och, dałeś mi tyle rzeczy, które mają dla mnie ogromną wartość. Nie chcę dyskredytować naszyjnika, ale...

— Wiem kochanie, wiem. Prawdziwe uczucia są więcej warte, niż szmaragdy. Całkowicie podzielałam tę opinię. Ale robi się późno i o tym podyskutujemy kiedy indziej.

— Słusznie. Pospiesz się.

Roc wyszedł do łazienki, a ja zerknęłam na zegarek. Za piętnaście minut powinniśmy wyjechać. Znając jego zwyczaj podejmowania różnych dyskusji podczas ubierania i wiedząc, że to zawsze opóźnia nasze wyjście, wolałam usunąć mu się sprzed oczu. Wyszłam z pokoju na korytarz i stanęłam przy oknie, wychodzącym na dziedziniec. Rozmyślałam o dziadku i o tym, co przydarzyło mi się w ciągu ostatnich paru tygodni, sprawiając, że moje życie, które dotychczas było spokojnym torem, nagle nabrało akcentów dramatycznych. Sądziłam, że po takich wrażeniach nic więcej nie byłoby w stanie mnie bardziej zadziwić.

Życie nie poskapiło mi niespodzianek ale nic nie zdołało mi jeszcze prawdziwie zamącić mojego szczęścia. Z każdym dniem bardziej kochałam Roca, coraz większym uczuciem darzyłam dziadka i znajdowałam szczęście w tym, że wnoszę radość w jego życie. Dostrzegałam jak bardzo się zmienił, odkąd mnie poznał, a od chwili, kiedy wyjawiał mi prawdę o naszym pokrewieństwie stał się całkiem innym człowiekiem. Często przypominał mi małego chłopczyka swoim dziecięcym zapałem do zwykłych, prostych spraw, ale rozumiałam, iż zachowuje się tak dlatego, bo do tej pory nigdy nie miał czasu, by być prawdziwie młodym.

Jakiś impuls nakazał mi oderwać oczy od stawu i palm. Uczucie, którego doznawałam często będąc na dziedzińcu, ogarnęło mnie w tej chwili wyraźną, intensywną falą. Nie analizowałam go, ale było to wrażenie dziwnego niepokoju, przeświadczenia, że ktoś na mnie patrzy z napięciem i z niechęcią.

Mój wzrok natychmiast skierował się ku oknom wschodnim... na to piętro, gdzie Barbarina miała swój pokój muzyczny.

Zobaczyłam tam jakiś ruch. W oknie ktoś stał. Niezbyt blisko, nieco cofnięty w głąb korytarza. Teraz ta tajemnicza postać podeszła bliżej. Nie byłam w stanie dojrzeć twarzy, ale widziałam, że to kobieta, bo była w sukni... w sukni koloru fiołkowego.

Była to ta sama suknia, którą widziałam na manekinie w pokoju do szycia; uszyta przez Carrie dla Barbariny.

— Barbarina... — szepnęłam.

Przez kilka sekund widziałam strój bardzo dokładnie, bo biała ręka odchyliła firankę, ale twarzy nadal nie dostrzegłam. Potem firanka opadła.

Stałam ze wzrokiem utkwionym w to okno.

To oczywiście, powiedziałam do siebie, to musiała być Deborah. Zmieniła decyzję i postanowiła pójść na bal we fiołkowej sukni. Oto prosta odpowiedź. Dlaczego jednak nie pokiwała mi dłonią ani się nie chciała pokazać?

I na to znalazłam odpowiedź: wszystko trwało zaledwie kilka sekund, z pewnością mnie nawet nie spostrzegła.

Z pokoju wynurzył się Roc wykrzykując głośno, że jest już gotowy.

Zamierzałam opowiedzieć mu o tym, co widziałam, ale z chwilą jak się pojawił, całe zdarzenie straciło na ważności. Na pewno zobaczę na balu Deborah w fiołkowej sukni i to mi wystarczy.

* * *

Salę balową w Polhorgan przygotowano wspaniale. Ogrodnik Trehay, chcąc pochwalić się przed gośćmi swoimi egzotycznymi okazami, ozdobił ją przepięknie, ale moim zdaniem najwięcej uroku dodawały jej pęki hortensji, które wyglądały wprost olśniewająco.

Dziadek już czekał w swoim fotelu na kółkach z Altheą Grey przy boku. Pielęgniarka, prześliczna jak zawsze, ubrana była w sukienkę w tonacji przydymionego błękitu, z odsłoniętymi ramionami i dekoltem przyozdobionym białą kamelią. Ręką podtrzymywała fotel swego pacjenta w jakiś trochę zaboczny sposób.

— Bardziej niż zwykle przypominasz matkę, Favel. — Dziadek powiedział to zmienionym głosem i ujrzałam jak bardzo był poruszony.

— Zapowiada się cudowny bal — odparłam, nie chcąc się dać porwać wzruszeniu. — Nie mogę się doczekać, żeby spotkać wszystkich twoich przyjaciół.

— Przyjaciół? — Roześmiał się starzec. — Na palcach mogę policzyć tych, którzy tu w ogóle byli przedtem. A reszta przyszła właściwie po to, by zobaczyć panią na Pendorric. Co sądzicie o sali balowej?

— Imponująca.

— Roc, czy macie coś takiego w Pendorric?

— Obawiam się, proszę pana, że naszej daleko do tego splendoru. W porównaniu z pańskim, nasz hol jest po prostu niewielki.

— A jak się wam podoba boazeria? Sprowadziłem ją tu specjalnie ze Środkowej Anglii. Rozbierali tam jakiś zamek. Wtedy jeszcze nie miałem mojego domu ale mawiałem do siebie: „Któregoś dnia i ja zdobędę wspaniałą siedzibę”. Cóż, w pewnym sensie to się spełniło.

— Wynika z tego pewna nauka — podsumował Roc. — Należy brać to, co się chce i płacić za to.

— Słusznie. Ja za wszystko musiałem zapłacić.

— Lordzie Polhorgan, nie wolno panu nadmiernie się ekscytować — upomniała go pielęgniarka. W przeciwnym razie będę musiała Odwieźć pana do pańskiego pokoju.

— Widzicie jak jestem traktowany? — Poskarżył się dziadek. — Tak jakbym był niesformym uczniakiem. Właściwie, to nawet jestem pewien, że czasami siostra Grey tak się do mnie odnosi z przekonaniem.

— Jestem tu przecież po to, aby nad panem czuwać — przypomniała mu pielęgniarka. — Czy ma pan swoje pigułki?

Dziadek sięgnął do kieszeni i wyciągnął srebrne pudełeczko.

— Świetnie. Proszę je mieć pod ręką.

— Ja także będę miała dziadka na oku — obiecałam.

— Ależ pan ma szczęście, sir — mruknął Roc. — Zagarnął pan dla siebie dwie najpiękniejsze kobiety!

Staruszek przykrył swą ręką moją dłoń i uśmiechnął się.

— Tak, tak — przytaknął. — Szczęściarz ze mnie.

— Och, wydaje mi się, że ktoś przyjechał — zauważyła Althea. Nie myliła się. Dawson, prezentujący się okazale w czarnej liberii ze złotymi guzikami, zaanonsował pierwszych gości.

Odczuwałam dumę stojąc między dziadkiem a mężem i witając przybywających na bal. Starzec był chłodny i oficjalny, a Roc swobodny i wylewny, ale to ja, naturalną kolejną rzeczą wzbudzałam powszechne zainteresowanie. Odnosiłam wrażenie, że większość zaproszonych chciała po prostu zobaczyć z jakiego rodzaju kobietą ożenił się Roc. Fakt, że byłam przy tym wnuczką lorda Polhorgana oznaczał dla nich romantyczną oprawę naszego małżeństwa. Wszyscy znali najpewniej historię ucieczki mojej matki i wiedzieli, że do domu nie wróciła nigdy. To była romantyczna opowieść, świetnie nadająca się do plotek.

Niektórzy z gości mówili Rocowi, niby w formie komplementu, jakim to jest szczęściarzem, ale wyraźnie dało się wyczuć podtekst takich uwag. Polhorgan był wielką budowlą, lecz wielu przybyłych miało równie ogromne domy. Różnicę stanowiło to, że oni mieszkali w nich już od pokoleń, a dziadek zbudował go sobie za zarobione pieniądze. Ponadto, było wielce prawdopodobne, że żaden z obecnych gości nie mógł dorównać bogactwem swego domu temu, co widział tutaj. Wiedziano, że mój dziadek jest albo już milionerem, lub niewiele mu do tego brakuje.

Tak więc, w moim odczuciu, gratulowanie Rocowi jego szczęścia stanowiło zawsze aluzję do majątku mego dziadka.

Ale, mimo wszystko, zaczynałam się dobrze bawić. Muzyka już grała, ale goście wciąż napływali. Byli wśród nich ludzie młodzi i całkiem leciwi, bo zaproszenia obejmowały całe rodziny. Towarzystwo było bardzo zróżnicowane.

Przyjechała rodzina z Pendorric. Przodem szły bliźniaczki, ramię przy ramieniu, w swoich żółtych sukienkach podobne do siebie jak dwie krople wody, za nimi Charles z Morwenną, a na końcu Deborah. Deborah, w różowej sukni, uszytej przez Carrie, jakby wyszła z żurnala sprzed dwudziestu pięciu lat.

Ale była w sukni różowej! A więc kogo widziałam we fiołkowej?

Zmusiłam się do uśmiechu; nie mogłam przestać myśleć o postaci widzianej w oknie. Kto to mógł być?

Deborah wzięła mnie za rękę.

— Moja droga, wyglądasz ślicznie. Ale czy wszystko w porządku?

— Taak... tak sądzę.

— Wydawało mi się, że się trochę przestraszyłaś na mój widok.

— Och nie... to znaczy niezupełnie.

— A więc jednak! Musisz mi później powiedzieć o co chodzi. Teraz muszę przejść dalej.

Zbliżali się inni goście, których kolejno Roc mi przedstawiał. Uśmiechałam się, wymieniałam uściski dłoni, ale nadal myślałam o czym innym.

* * *

Tańczyłam z Rokiem, tańczyłam z wieloma innymi. Stale czułam na sobie spojrzenie dziadka, które zdawało się nigdy mnie nie opuszczać.

Sądzę też, iż dobrze wywiązywałam się z obowiązków gospodyni.

Dzięki Deborah udało mi się rozproszyć moje wątpliwości. Byłam jej wdzięczna, bo kiedy tylko zobaczyła, że coś mnie gnębi, najwyraźniej dążyła do tego, bym znowu poczuła się swobodnie.

Wykorzystała najbliższą okazję, żeby ze mną pomówić.

Roc tańczył z Altheą Grey, ja stałam u boku dziadka i Deborah wybrała tę chwilę, by do mnie podejść.

— Masz, widzę, chwilę czasu, Favel. Porozmawiajmy. Powiedz mi, czemu przestraszyłaś się, kiedy mnie zobaczyłaś?

Zawahałam się chwilę.

— Wiesz, wydawało mi się, że widziałam cię wcześniej w oknie wschodniego skrzydła — zanim wyjechaliśmy z Pendorrice... byłaś we fioletowej sukni.

Zamilkłam, lecz później ciągnęłam:

— Byłam już ubrana, czekałam na Roca i wyglądając przez okno ujrzałam kogoś ubranego w taką suknię jak twoja.

— Nie poznałaś kto to był?

— Nie mogłam dojrzeć twarzy, widziałam natomiast dokładnie suknię.

— I co pomyślałaś?

— Sądziłam, że zdecydowałaś się na kolor fioletowy.

— Aha, a kiedy przyszedłam na bal w sukni różowej, zaczęłaś rozmyślać, czy nie widziałas... Barbariny?

— No, nie. Nie aż tak dalece. Ale zastanawiałam się kto...

— Naturalnie, że nie pomyślałaś o Barbarinie. Jesteś na to zbyt rozsądna. — Poklepała mnie po ręce. — Wyjaśnienie jest proste. Miałam do wyboru dwie suknie. Czemuż nie miałabym ubrać na próbę fioletowej, a ostatecznie zdecydować się na różową?

— Więc to jednak ty byłaś?

Nie odpowiedziała, lecz w zamyśleniu spoglądała na tańczących. Uświadomiłam sobie wtedy, że nie chcę dopuścić myśli, że Deborah daje mi coś do zrozumienia. Nie powiedziała przecież wprost, że sama mierzyła sukienkę, a ujęła to inaczej. Sformułowała to tak: „Czemuż nie miałabym ubrać na próbę fioletowej...? Zabrzmiało to jakby nie chciała skłamać, a jednocześnie próbowała mnie uspokoić.

Takie myśli błyskawicą przemknęły mi przez głowę, ale prawie natychmiast odepchnęłam od siebie te wątpliwości. Powiedziałam sobie: nie, to jasne, że Deborah najpierw ubrała na próbę sukienkę fioletową. To całkiem naturalne, co więcej, jedyne wyjaśnienie. A dlatego robiła to we wschodnim skrzydle? Bo po prostu tam właśnie zaniósła suknię stara niania. Tak, taka musiała być na to odpowiedź.

Wyrzuciłam tę sprawę ze swoich myśli. Deborah to spostrzegła i wyglądała na zadowoloną.

Dziadek gderał, że nie powinnam tkwić przy nim tylko tańczyć, bo on lubi patrzeć jak się poruszam na parkiecie. Ja znów upierałam się, że chcę być blisko, niepokoję się bowiem, gdyż ma większe wypieki niż zwykle.

— Po prostu dobrze się bawię — tłumaczył mi starzec — szkoda, że nie organizowałem takich przyjęć wcześniej. Może teraz uda się to nadrobić. Gdzie się podziewa twój mąż?

Roc tańczył z pielęgniarką i moim zdaniem, byli parą najbardziej zwracającą na siebie uwagę; ona śliczna blondynka, on przystojny, smagły i ciemnowłosy.

— Powinien tańczyć z tobą — obruszył się dziadek.

— Prosił mnie do tego tańca, ale się wymówiłam, bo chciałam być z tobą, dziadku.

— Nie musisz być ze mną stale. O, jest doktor. Miło pana spotkać całkiem prywatnie, doktorze Clement.

— Dziękuję za zaproszenie. — Lekarz uśmiechnął się do mnie.

— Doktorze, może pan zaprosi moją wnuczkę do tańca? Nie chcę, żeby tu stała cały wieczór jak przyklejona do mojego fotela.

— Andrew Clement skłonił się i poszliśmy na parkiet.

— Jak pan sądzi, czy to wszystko nie jest zbyt podniecające dla dziadka?

— Nie mogę powiedzieć, że jest zbyt podekscytowany. Nie, myślę nawet, że to mu dobrze robi. Powiem pani coś, pani Pendorrice, co chyba panią ucieszy: polepszyło mu się znacznie, od kiedy panią poznał.

— Naprawdę?

— O, tak. Pani obecność wróciła go do życia. Dawniej, obawiałem się chwilami, że umrze z melancholii... dzień po dniu siedział w tym samym pokoju i tylko wpatrywał się w morze. Teraz nie czuje się już samotny. Widzę, jak bardzo się zmienił. Zyskał coś, dla czego warto żyć, a jest człowiekiem o niespożytej energii. Zawsze robił wszystko, żeby osiągnąć to, co chciał i zwykle potrafił zrealizować swoje dążenia. No, a teraz chce żyć.

— To wspaniała wiadomość.

— Tak. Mówił mi też jaki jest zachwycony, że ma panią. Kiedyś prosił mnie na świadka przy podpisaniu jakiś ważnych dokumentów i wtedy powiedziałem do siostry Grey, że od dawna nie był w tak dobrej formie. Ona odparła, że to wszystko dzięki wnuczce, za którą świata nie widzi.

— Nie potrafię nawet wyrazić jak jestem szczęśliwa, kiedy mu mogę być pomocną. Czy przyprowadził pan dzisiaj siostrę?

— Naturalnie, choć muszę wyznać, że tańce towarzyskie nie są całkiem w jej guście. Co innego gdyby chodziło o zabawę ludową...

Roześmiał się serdecznie, ale w tej samej chwili klepnął go w ramię jakiś ciemnowłosy przystojny młody człowiek. Andrew Clement udał, że rzuca mu mordercze spojrzenie.

— Odbijany?

— Właśnie — przytaknął młodzieniec. — Odbieram panu panią Pendorrice.

Kiedy zaczęłam z nim tańczyć, przedstawił się jako John Poldree i powiedział, że mieszka parę mil stąd w głębi łądu.

— Studiuję prawo w Londynie, ale teraz byłem akurat w domu.

— Cieszę się, że w takim razie mógł pan przyjechać na bal.

— Dobra zabawa, której atrakcji dodaje fakt, że nagle okazała się pani wnuczką lorda Polhorgana.

— Większość ludzi zdaje się sądzić, że to ekscytujące.

— No, no, pani dziadek ma urodziwą pielęgniarkę.

— Tak, to istotnie bardzo piękna kobieta.

— Kim ona jest? Już ją gdzieś widziałem.

— Nazywa się Althea Grey.

— Nic mi nie mówi to nazwisko. — Pokręcił głową. — Chociaż jej twarz jest mi jakby znajoma. Kojarzy mi się z jakąś rozprawą sądową lub czymś podobnym... Myślałem, że mam dobrą pamięć do takich spraw, ale chyba przeceniłem swoje umiejętności.

— Zdaje mi się, że gdyby pan ją gdzieś spotkał, na pewno by pan to Pamiętał.

— Właśnie. Dlatego byłem tak pewny swego, ale i tak sędzę, że sobie przypomnę.

— A może pan zapyta ją wprost?

— Już to zrobiłem, ale tylko zmroziła mnie wzrokiem i odparła, że jest absolutnie pewna, iż nigdy się dotąd nie spotkaliśmy.

— Rozmowa nasza została przerwana przez klepięcie, które mój partner otrzymał w ramię. Przeszłam tym razem w objęcia Roca.

Taniec z mężem był dla mnie szczęśliwym przeżyciem. Roc miał w oczach iskierki wesołości i widziałam wyraźnie, że dobrze się bawi.

— To zabawne — zaczął Roc — ale jakoś nie udaje mi się tańczyć z gospodynią ani w połowie tyłu tańców, ile bym chciał. Mam nadzieję, że to tylko dlatego, iż musi ona wypełniać swoje obowiązki.

— To samo stosuje się do ciebie.

— Cóż, nie widzisz jak się staram? Obtańcowuję każdą damę, która podpira ściany.

— Widuję cię przeważnie z Altheą Grey. Czyżby cierpiała na brak powodzenia?

— W takim środowisku jak to, ludzie pokroju Althei i Racheli wypadają niezbyt korzystnie. Pielęgniarka i guwernantka! Wiesz, wciąż jeszcze na świecie żyje spora liczba snobów!

— A więc dlatego opiekujesz się Altheą?! A co z biedną Rachelą?

— Cóż, będę musiał zwrócić uwagę i na nią.

— Hej, — rzuciłam lekko — skoro masz zamiar tak bardzo się zaangażować, to chyba będę musiała lepiej wykorzystywać większość czasu, który należy do mnie.

Ścisnął moją rękę.

— Czyżbyś zapomniała — szepnął, a jego wargi musnęły mi ucho — że przez resztę życia będziemy należeć do siebie?

* * *

Kolacja upłynęła w radosnym nastroju. Stoły zastawiono w trzech większych pokojach, przylegających do holu od strony południowej. Wielkie, francuskie okna wychodziły na taras górujący nad ogrodami, z pięknym widokiem na morze. Księżyc, świecący jasno tego wieczora, srebrzystą poświatą odślaniał bajkową scenerię.

Oryginalna i gustowna dekoracja z kwiatów podkreślała z powodzeniem atmosferę luksusu. Stoły uginały się od potraw. Podano ryby, pieczone wędliny i inne smakołyki wszelkich rodzajów i gatunków. Dawson doglądał serwowania trunków, a jego żona miała pieczę nad sprawnym podawaniem urozmaiconych dań.

Moim najbliższym sąsiadem przy stole był dziadek, obok siedziała Deborah, a kolejne dwa krzesła zajęły bliźniaczki.

Tym razem jakby ogromnie onieśmielona Lowella była równie milcząca jak Hyson, a kiedy szeptem skomentowałam ich nietypowe echowanie, Hyson odparła, że złożyły sobie przysięgę. Nie będą zwracały na siebie uwagi, by ktoś sobie nie przypomniał o ich wieku i nie odesłał do domu.

Powiedziały mi, że wymknęły się rodzicom i Racheli, i proszą mnie o wstawiennictwo do babci Deborah, żeby mogły tu siedzieć.

Obiecałam.

Kolacja dobiegła końca, ale przy stołach toczyły się jeszcze rozmowy. Część gości wychodziła już jednak na taras. Między nimi spostrzegłam Altheę Grey z Rokiem. Stanęli przy oknie pogrążeni w rozmowie, a widok tych dwojga, tak zajętych sobą rzucił cień na moją radość z udanego wieczoru.

Okolo północy goście zaczęli się rozjeżdżać i w końcu na miejscu pozostała jedynie rodzina z Pendorric.

Niebawem jednak i my pożegnaliśmy gospodarza i udaliśmy się do samochodów. Do domu dojechaliśmy o wpół do drugiej. W progu powitała nas gospodyni.

— Och, pani Penhalligan! — Zawołałam. — Nie musiała pani czuć!

— Wiem, proszę pani, ale sądziłam, że przyda się państwu coś na wzmocnienie przed snem. Przygotowałam zupę.

— Zupa?! W taką gorącą noc! — Zaprotestował Roc.

— Zupa! Zupa! Wspaniała zupa! — Wykrzykiwała Lowella.

— To jeszcze jeden ze starych zwyczajów — szepnęła mi Morwenna do ucha. — Nie zdołamy, się od tego wywinąć choćbyśmy bardzo chcieli.

Weszliśmy do holu, a gospodyni zaprowadziła nas do małego zimowego saloniku, gdzie już czekał zastawiony stół. Na ten widok Lowella ruszyła w tany wokół pokoju wydając okrzyki zachwyty.

— Mój Boże, Lowello — westchnęła Morwenna — ty naprawdę nie masz jeszcze dosyć? Już po pierwszej.

— Ja wcale nie jestem zmęczona — odparła dziewczynka z oburzeniem. — Nie ma nic wspanialszego od balu!

— Bal się już skończył — przypomniał jej Roc.

— O, nie! Dopóki jeszcze nie jesteśmy w łózkach. A jeszcze musimy zjeść zupę!

Weszła pani Penhalligan z wagą i zaczęła napępniać talerze.

— Tak zawsze było dawniej, pamiętasz Morwenna? Jako dzieci chowaliśmy się na galerii i śledziliśmy dorosłych jak wracali z przyjęć.

Morwenna kiwnęła głową.

— Jaka to zupa? — Przerwała niecierpliwie Lowella.

— Spróbuj, to sama zobaczysz — powiedział Roc.

Wkrótce wszyscy zgodziliśmy się, że ten stary zwyczaj nie jest wcale taki zły. Przedtem wydawało się, że zupa nie jest dobrym pomysłem w taką gorącą letnią noc, a jednak podziałała jakoś odświeżająco i dała okazję, żeby jeszcze posiedzieć chwilę i porozmawiać o minionym wieczorze.

Po tym nietypowym posiłku nikomu nie spieszyło się do łóżek. Gawędziliśmy jeszcze o balu, o spotkanych tam ludziach, a bliźniaczki, bohaterko walczące z sennością, sprawiały wrażenie kwiatów pozbawionych wody.

— Czas do łóżek — zwrócił się do nich Charles.

— Och, tatusiu! — Jęknęła Lowella. — Nie bądź taki staroświecki.

— Jeśli nawet sama nie jesteś zmęczona, inni padają z nóg.

— Upomniał ją Roc. — Babcia Deborah prawie zasypia na siedząco, a waszej mamie też już opadają powieki.

— To prawda, — rzekła sennie Morwenna — ale tak wygodnie się tutaj siedzi po tym przyjemnym wieczorze, że chciałoby się, żeby tak trwało bez końca. Porozmawiajmy jeszcze.

— Tak, tak. Mówcie coś. Szybko! — Wykrzyknęła Lowella, co rozśmieszyło wszystkich i rozproszyło senną atmosferę. — Zaczynaj wujku Roc! — Ponagliła dziewczynka.

— To mi przypomina Boże Narodzenie, — zaczął posłusznie Roc — gdy gromadziliśmy się przy kominku zmęczeni i senni, a równocześnie zbyt leniwi, by się udać do łóżek.

— I snuliśmy opowieści o duchach — dodał Charles.

— Opowiedzcie jakąś teraz. Tato, wujku Roc — proszę.

Hyson, z czujnością w oczach, wyprostowała się nagle.

— Niewłaściwa pora roku — zażartował Roc. — Musisz jeszcze przez kilka miesięcy, uzbroić się w cierpliwość.

— Nie mogę czekać. Nie mogę. Chcę historii o duchach — teraz!

— Naprawdę już najwyższy czas, żebyśmy byli w łóżkach — gderła Morwenna.

Lowella spojrzała na mnie poważnym wzrokiem.

— To będzie pierwsze Boże Narodzenie, które Favel z nami spędzi — oświadczyła uroczyście. Na pewno spodoba ją jej się święta w Pendorrice. Pamiętasz, jak w ostatnie Boże Narodzenie śpiewaliśmy kolędy. Cudowne kolędy i inne pieśni. Powiem ci, którą lubiłam śpiewać najbardziej.

— „Gałązkę Jemioły” — odparła za nią Hyson.

— Wpadnie ci w ucho. Ty jesteś Małżonką, a ta pieśń jest o takiej jak ty.

— Daj spokój Lowello, ciocia Favel z pewnością to zna. — Rzekła Morwenna. — Wszyscy to znamy.

— Niestety nie — odparłam. — Nigdy jej nie słyszałam. Widzisz, na wyspie święta Bożego Narodzenia były zupełnie inaczej obchodzone niż tutaj.

— Coś takiego! Ona nie zna „Gałązki jemioły”! — Wykrzyknęła Lowella. — Posłuchaj, Małżonko! Pewna młoda małżonka, taka jak ty — nie, to chyba panna młoda — bawiła się w chowanego...

— W miejscowości Minster Lovel — podpowiedziała jej Hyson.

— Cicho, głupia. Miejsce tu nie ma nic do rzeczy.

— Lowella, jak ty się wyrażasz — znów upomniała ją matka, ale dziewczynka już dalej snuła swą opowieść.

— Więc ta małżonka, co się zabawiała w chowanego, schowała się do starej dębowej szafy. I zamek się zaciął i została tam na zawsze.

— Szafy nie otwierano przez dwadzieścia lat — wtrąciła Hyson.

— Potem ją znaleźli, ale został z niej tylko szkielet.

— No nie, suknia ślubna i pomarańczowy kwiat zachowały się dobrze — dodała radośnie Lowella.

— Na pewno — wtrącił ironicznie Roc — było to dla wszystkich ogromną pociechą.

— Nie powinieneś się śmiać, wujku. To przecież smutna opowieść.

— A jaki wypływa stąd morał? — Roc zrobił do mnie zabawny grymas i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu: — Jeśli jesteś panną młodą, nie chowaj się w dębowej szafie.

— Brr — wzdrygnęła się Morwenna. — Nie cierpię tej opowieści, jest chorobliwie sensacyjna.

— Dlatego podoba się twoim dzieciom, Wenna — roześmiał się Roc.

— Słuchajcie, nie wiem jak wy, ale ja idę spać — rzekł Charles.

— Bliźniaczki też zabieram; powinny być w łóżku już dawno. Deborah ziewnęła i poparła go:

— Słusznie, ledwo patrzę na oczy.

— Mam pomysł — zawołała Lowella. — Zaśpiewajmy wszyscy kawałek tej pieśni albo...

— Mój pomysł jest lepszy — przerwał jej ojciec — łóżko.

— Chodźmy. — Rachelę wstała i ogarnęła ramionami dziewczynki.

— Już musi być prawie druga.

Lowella patrzyła na nas z oburzeniem, kiedy wszyscy zbieraliśmy się do wyjścia, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Życzyliśmy sobie dobrej nocy i rozeszliśmy się do swoich sypialni.

* * *

Nazajutrz wybrałam się do Polhorgan sprawdzić, jak dziadek czuje się po balowych ekscytacjach.

Spotkawszy w holu panią Dawson, podziękowałam jej i mężowi za doskonałą organizację balu, który okazał się dużym sukcesem towarzyskim.

— Doprawdy, madame, — odparła gospodyni sznurując usta — miło zostać docenionym. Nie oznacza to oczywiście, że oboje z Dawsonem oczekujemy podziękowań. To był nasz obowiązek i wypełniliśmy go.

— W sposób godny podziwu — zapewniłam ją.

W tej chwili w holu zjawił się też i Dawson, a kiedy żona powtórzyła mu moje pochwały i podziękowania, aż pokraśniał z zadowolenia. Zapytałam ich, jak dziadek czuł się dziś rano.

— Był bardzo zadowolony, madame, ale śpiący. No i chyba trochę zmęczony po tym całym zamieszaniu.

— W takim razie nie będę przeszkadzać mu jeszcze w tej chwili. Przejdę się po ogrodzie. — Za pół godziny mam podać kawę, madame.

— Świetnie, zaczekam więc do tego czasu.

Poszłam do ogrodu, a za mną ruszył Dawson. Coś w jego zachowaniu wydało mi się podejrzane, jakby się nosił z jakimś tajemnym zamiarem.

Dogonił mnie przy cieplarniach.

— Madame, wszyscy w tym domu cieszą się, że pani wróciła — powiedział. — Ale jest jeden wyjątek.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem, jednak uciekł wzrokiem w bok. Odniosłam wrażenie, że chce się okazać dobrym i wiernym sługą swego pana i pragnie poinformować mnie o czymś, o czym — jego zdaniem — powinnam wiedzieć.

— Dziękuję, Dawson. A kto jest tym wyjątkiem?

— Pielęgniarka.

— Tak?!

— Miała inne zamiary. — Wydał dolną wargę i pokręcił głową.

— Nie lubisz siostry Grey, prawda Dawson?

— Nikt w tym domu jej nie lubi, madame... chyba, że młodzi parobcy. To tego rodzaju kobieta. Ma w sobie coś złego, co ukrywa za swą ładną buzią.

Pomyślałam sobie, że to chyba zwykły konflikt między służbą, a pielęgniarką, która chce wykazać swą wyższość. Przypuszczalnie siostra Grey wydaje rozkazy w kuchni, co może służących bardzo denerwować. Nie byłoby to zresztą nic nowego. A teraz, Dawsonowie widzą we mnie panią domu i zwracają się do mnie ze swymi problemami.

— Ja i moja żona zawsze zajmowaliśmy tutaj uprzywilejowaną pozycję. Służymy jego lordowskiej mości już od bardzo dawna.

— Ależ naturalnie, słusznie tak myślicie — zapewniłam ich.

— Jesteśmy tu stale, jeszcze od wtedy, gdy panienka Lilith była w domu.

— Znaliście moją matkę?

— Cóż to była za miła panienka! Proszę mi wybaczyć poufałość, ale bardzo ją kochaliśmy. — Dziękuję wam.

— To właśnie dlatego... pani Dawson i ja... postanowiliśmy, że musimy z panią pomówić.

— Słucham, Dawson. Mów wszystko co cię gnębi.

— Jesteśmy zaniepokojeni, madame. Myśleliśmy nawet, że ona próbuje go złapać na męża. Nie było cienia wątpliwości, że bardzo się stara. Pani Dawson i ja postanowiliśmy, że jeśli tak się stanie, w tej samej chwili zaczniemy szukać sobie innej posady.

— Panna Grey... próbuje wyjść za mojego dziadka.

— Takie rzeczy już się zdarzały, madame. Bywało, że bogaci, starsi panowie żenili się ze swymi młodymi pielęgniarzkami. Ulegali sugestii, że nie potrafią się bez nich obejść, a tymczasem te „opiekunki” polowały jedynie na pieniądze.

— Jestem pewna, że dziadek nie dałby się złapać w taką matrymonialną pułapkę. Jest na to zbyt sprytny.

— To samo sobie powiedzieliśmy: „ona tego nigdy nie dopnie” — i nie dopięła. Ale my sądzimy, że nie przestała próbować. — Zbliżył się jeszcze bardziej i szepnął: — Prawda jest taka, proszę pani, że mamy powody sądzić, iż to... awanturnica.

— Och...

— Coś pani jeszcze powiem. Nie tak dawno temu odwiedziła nas nasza zamężna córka... To było tuż przed przybyciem pani w nasze strony. Kiedy przypadkowo zobaczyła tu siostrę Grey, przypomniała sobie, że widziała jej zdjęcie w jakiejś gazecie. Była tego pewna, tylko nazwisko było inne.

— A skąd by się wzięło zdjęcie pielęgniarki w gazecie?

— Pisali o jakiejś aferze. Maureen nie mogła sobie przypomnieć czego dokładnie dotyczyło, ale była pewna, że to jakaś niemiła sprawa.

— Ludzie fotografowani są do gazet z różnych powodów. Ona mogła być, na przykład, zwyciężczynią konkursu piękności lub czegoś podobnego.

— O, nie, madame. Gdyby tak było, Maureen zapamiętałaby. To miało coś wspólnego z sądem. I z pewnością nasza panna Grey była wymieniana jako siostra „Jakaśtam”; Maureen twierdzi, że podano inne nazwisko. Ale ta twarz! Siostra Grey ma taką twarz, której się łatwo nie zapomina.

— Czy pan pytał pielęgniarkę o to zdjęcie?

— O nie, proszę pani. To nie jest taka sprawa, o którą moglibyśmy zapytać wprost. Z pewnością by się obraziła, a ponieważ nie mamy dowodów, mogłaby się łatwo wykręcić. Nie, musieliśmy to tak zostawić. Ale odkąd pani wróciła do domu, sprawy przedstawiają się zupełnie inaczej. Jego lordowska mość z pewnością nie da się teraz usidlić — tak to widzimy, pani Dawson i ja. Nadal trzymamy oczy szeroko otwarte.

— O, ...jest pani Pendorric.

Odwróciłam się raptownie, stojąc twarzą w twarz z Altheą Grey. Uśmiechała się do mnie, a ja czułam, że zalewa mnie rumieniec zażenowania, bo zastała mnie na rozmowie o niej ze służącym. Podejrzywałam, że mogła usłyszeć część tej dyskusji, na otwartej przestrzeni głosy dobrze się niosły.

— Wygląda pani na wypoczętą. Odespała już pani bal? Ach, co to była za uroczystość! Lord Polhorgan był absolutnie zachwycony tym, że tak się udała!

Dawson odszedł chyłkiem i zostawił mnie samą z pielęgniarzką. Swoje bogate sploty upięła wysoko pod śnieżnobiałym czepeczkiem; wyglądała prześlicznie. Przez moment zastanawiałam się, co szczególnego w tej twarzy sprawia, że jej uroda zawsze wydaje się tak olśniewająca i niepowtarzalna. Czy jest to zasługa gęstych brwi, znacznie ciemniejszych od włosów, czy oczu, których błękit, prawie fioletowy, nie wymaga tła dla wydobycia ich barwy? A może zwraca uwagę jej prosty nosek, niemal egipski w rysunku, który w tej anglosaskiej jasnej karnacji wydaje się prawie nie na miejscu? Ładne, szerokie usta miały teraz nieco kpiący wyraz i byłam pewna, że jeśli nawet siostra Grey nie dosłyszała słów, podejrzewała, iż Dawson mówił o niej i to w sposób, z pewnością, niepochlebny.

Twarz pielęgniarki naraz sprawiła na mnie wrażenie maski, skrywającej jakieś tajemnice. Było to oblicze światowej kobiety, kobiety, której życie mogło być przedtem lekkomyślne, może szalone, a która teraz nie chce, by przeszłość kładła się cieniem na teraźniejszość i przyszłość.

Przypominałam sobie także, że młody człowiek, z którym tańczyłam na balu, wspominał mi również o jakiś niejasnych skojarzeniach wiążących się z pielęgniarką. Tak więc podejrzenia Dawsonów nie były chyba całkiem bezpodstawne. Pomyślałam więc, że w kontaktach z tą kobietą muszę zachować ostrożność.

— Lord Polhorgan spodziewał się, że pani odwiedzi go dziś rano — rzekła Althea, kiedy niespiesznie wracałyśmy z ogrodu do domu.

— Niepokoiłam się o niego, czy dobrze zniósł trudy ubiegłej nocy.

— Nie było się o co martwić, a wręcz odwrotnie — bardzo dobrze zrobiła mu ta odmiana i cieszyła możliwość pokazaniu światu swojej pięknej wnuczki.

Uległam wrażeniu, że śmieje się ze mnie w duchu i nastrój poprawił mi się dopiero wtedy, kiedy sobie poszła zostawiając mnie z dziadkiem.

* * *

W jakiś tydzień po balu zadzwonił w nocy telefon. Aparat stał w naszej sypialni, tuż obok łóżka i zdążyłam podnieść słuchawkę jeszcze zanim Roc zdołał otworzyć oczy.

— Mówi siostra Grey. Czy mogłaby pani natychmiast przyjechać? Lord Polhorgan bardzo źle się czuje i chce się widzieć z panią.

Wyskoczyłam z łóżka.

— Co się stało, do licha? — Spytał sennie Roc.

Kiedy mu powiedziałam o rozmowie z pielęgniarką, zaczął się spieszenie ubierać.

— Jedziemy — rzucił szybko.

— Która godzina? — Spytałam, gdy z dużą szybkością pokonywaliśmy niewielki odcinek drogi z Pendorrice do Polhorgan.

— Kilka minut po pierwszej.

— Musi być z nim naprawdę niedobrze, jeśli panna Grey zdecydowała się dzwonić o tej porze. Roc otoczył mnie ramieniem, jakby tym gestem chciał mnie zapewnić, że cokolwiek się stanie jest przy mnie na dobre i złe.

Gdy tylko dojechaliśmy Dawson otworzył bramę i wprowadził nas do środka.

— Obawiam się, madame, że z jego wysokością jest bardzo źle.

— Zaprowadź mnie prosto do niego.

Niemal biegiem pokonaliśmy schody. Weszłam do sypialni dziadka, a Roc czekał na mnie przed drzwiami.

Althea Grey podeszła do mnie ze słowami:

— Dzięki Bogu, że pani przyszła. Dziadek dopytuje się o panią.

Podeszłam do łóżka. Dziadek leżał bez sił podparty poduszkami, z widocznym trudem walczył o każdy oddech.

— Dziadku — wyszeptałam.

Wargi starca ułożyły się tak, jakby chciał wymówić moje imię, ale żaden dźwięk nie wydostał się z ust.

Uklękłam przy łóżku i ujęłam bezsilną dłoń staruszka, ucałowałam ja czując dotkliwy ból. Tak niedawno go przecież zdobyłam. Czyżbym już go musiała stracić?

— Jestem tu, dziadku. Przyszłam od razu, kiedy dowiedziałam się, że chcesz mnie widzieć.

Lekkim poruszeniem głowy dał znak, że mnie słyszy.

— Nic go nie boli — szepnęła mi do ucha Althea Grey. — Dałam mu zastrzyk morfiny. Jeszcze działa, a lada chwila będzie tu doktor Clement.

Rzuciłam na nią wzrokiem i z wyrazu jej twarzy wywnioskowałam, że stan dziadka jest bardzo poważny. Potem spostrzegłam wchodzącego do pokoju Roca, który stanął nieco dalej od łóżka. Althea cofnęła się, a ja poświęciłam swoją uwagę choremu.

— Favel... — zdołał wyszeptać. Jego wychudłe palce poruszyły się leciutko w mej dłoni i domyśliłam się, że chciałby mi coś powiedzieć. Przysunęłam się blisko do niego.

— Jesteś tu... Favel?

— Tak, dziadziu.

— Favel... to już pożegnanie... koniec...

— Nie!

— Tak krótko... — szeptał z wysiłkiem. — Ale to były szczęśliwe chwile... najszcześniejsze w życiu... Favel, musisz być...

Na czole pojawiła mu się głęboka bruzda.

— Favel... musisz być ostrożna... teraz to będzie twoje. Upewnij się...

Zgadłam, co mi próbował powiedzieć. Nawet teraz, kiedy z trudem walczył o każdy oddech, wciąż troszczył się o swoje pieniądze.

— Będzie zupełnie inaczej... — ciągnął z trudem — ...kiedy będziesz miała, to wszystko... Nie można być pewnym... nie bądź zbyt pewna... Favel... bądź ostrożna...

— Dziadziu, nie martw się o mnie. Nie przejmuj się niczym, tylko wyzdrowiej. Musisz dojść do siebie. Musisz...

Starzec pokręcił głową.

— Nie zdołałem dowiedzieć się... — zaczął ponownie, ale walka o oddech wyczerpała go bardzo; zamknął oczy. — Jestem zmęczony... — zamruczał — ...jestem taki zmęczony. Favel... zostań... bądź ostrożna... Teraz kiedy będziesz... miała pieniądze... będzie inaczej. Może się myliłem... ale chciałem... bądź ostrożna... tak bym chciał jeszcze trochę pożycić... żeby się tobą opiekować, Favel.

Wargi chorego poruszały się, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Leżał nieruchomo na poduszkach z twarzą ściągniętą i poszarzałą.

Do czasu przybycia dr Clementa stan dziadka bardzo pogorszył się.

* * *

Siedzieliśmy z Rokiem, dr Clementem i siostrą Grey w pokoju, w którym tak wiele razy grałam z dziadkiem w szachy, ale jego teraz z nami nie było.

— Taki atak niestety stale mu zagrażał. Mógł nastąpić w każdej chwili. Czy lord dzwonił? — Spytał doktor pielęgniarkę.

— Nie, bo w przeciwnym razie usłyszałabym na pewno. Mój pokój przylega do jego sypialni. Miał dzwonek przy łóżku i zawsze go używał, kiedy potrzebował czegoś w nocy. To Dawson wszedł do niego. Opowiadał, że obchodził dom przed snem i zobaczył, że w pokoju lorda jeszcze się świeci. Poszedł na górę sprawdzić i znalazł swego pana w ataku bólu. Wtedy mnie zawołał i uznałam, że konieczny jest zastrzyk morfiny.

Doktor Clement wstał i podszedł do drzwi.

— Dawson, — zawołał — jesteś tam, Dawson?

Służący wszedł do pokoju.

— Słyszałem, że to ty, Dawson, znalazłeś lorda Polhorgana w opłakanym stanie.

— Tak jest, panie doktorze. U pana świeciło się światło, było już późno, poszedłem więc sprawdzić czy wszystko w porządku. Pan coś usiłował powiedzieć, ale przez chwilę nie wiedziałem, o co mu chodzi. Później domyśliłem się, że nie ma swoich pigułek. Nie mogłem ich znaleźć, więc poszedłem po siostrę i z nią wróciłem do pana. To było wtedy, kiedy mu dała zastrzyk morfiny.

— Ach tak, więc dlatego ten atak rozwinął się tak groźnie, bo pacjent nie mógł zażyć lekarstwa.

— Upominałam zawsze lorda, żeby miał pigułki pod ręką — rzekła Althea Grey.

Dawson spojrzał na nią pogardliwie.

— Ja je znalazłem później, panie doktorze. Zaraz po tym jak jego lordowska mość dostała zastrzyk morfiny. Pudełeczko leżało na podłodze, było otwarte, a tabletki rozsypały się. Dzwonek też był na podłodze.

— Lord musiał go zrzucić, kiedy sięgał po lekarstwo. — Rzuciła przypuszczenie Althea.

Zerknęłam na Roca, patrzył wprost przed siebie.

— Smutna sprawa — mruknął doktor Clement. — Pani Pendorric, chyba powinienem dać pani środek uspokajający. Wygląda pani na roztrzęsioną.

— Zabieram ją do domu — oznajmił Roc. — Nie widzę powodu do pozostawiania tutaj. I tak nie jesteśmy w stanie mu pomóc.

— Nic nie może już odwrócić biegu wydarzeń — rzekł doktor smutnie.

— Gdyby wziął swoje pigułki, może byłoby inaczej — zauważyłam.

— Może.

— Co za nieszczęsny przypadek... — zaczęłam i mój wzrok padł na Dawsona, w którego oczach wyczytałam jakieś powątpiewanie.

— Nie można było temu zapobiec... Można się tylko domyślać, jak się to stało... — zaczął snuć swe przypuszczenie Roc — ...Sięgał po lekarstwo... w pośpiechu... potracił pudełeczko i zrzucił je wraz z dzwonkiem na podłogę.

Zadrżałam, a Roc otoczył mnie ramieniem.

Pragnęłam opuścić ten pokój, we wzroku Dawsona było coś, co mnie przerażało, a piękne, spokojne rysy Althei Grey raptem wydały mi się zbyt kamienne.

Poczułam się dziwnie; tak, jakbym stała gdzieś z boku i raz jeszcze patrzyła innymi oczyma na wszystko, co się tutaj stało po naszym przybyciu. Widziałam samą siebie pochyloną nad umierającym dziadkiem, słyszałam jego głos ostrzegający mnie przed jakimś niebezpieczeństwem. Roc i Althea stali ramię w ramię tu, w tym pokoju, gdzie już panoszyła się śmierć. Jakie słowa wymienili między sobą, kiedy mi dziadek nakazywał ostrożność? Jaki wyraz miały ich oczy, kiedy na siebie spoglądali?

Te ostatnie myśli sprowokował Dawson swoją nienawiścią do pielęgniarki i swoimi podejrzeniami. Czy bezpodstawnymi?

Na twarzy poczułam powiew nocnego, chłodnego powietrza i usłyszałam blisko czuły głos męża:

— Chodźmy do domu, kochanie. Naprawdę jesteś wyczerpana. Clement miał rację; to musiał być dla ciebie straszny wstrząs.

Tygodnie, które potem nastąpiły były dla mnie pasmem smutku. Dopiero po stracie dziadka, zdałam sobie sprawę, jak bardzo przywiązałam się do niego w takim krótkim czasie. Zrozumiałam, że ścisły z nim związek opierał się nie tylko na błogim zadowoleniu, które odczuwałam wnosząc w jego życie widoczną radość, lecz także i na tym, iż on dawał mi poczucie bezpieczeństwa, jakiego mi teraz zabrakło. Gdy żył, nie myślałam o tym. Podświadomie czułam, że był tam — silny i możliwy człowiek tego świata, a jednocześnie mi bliski; ktoś do kogo mogłam zwrócić się z każdą swoją troską. Mój własny dziadek, moja krew. Mogłam być pewną, że zrobi wszystko, co w jego

mocy, by mi okazać pomoc... jeśli bym jej tylko potrzebowała. Dość zaskakujące było przypuszczenie, że musiałabym udawać się do kogokolwiek po pomoc. Miałam przecież męża, który powinien mi zapewnić wsparcie jakiego mogłam potrzebować, ale śmierć dziadka, uświadomiła mi właśnie prawdziwy związek z Rokiem. Gdybym go straciła, pozostałabym w naprawdę nieutulonym żalu — kochałam go, dawał mi radość i rozkosz, ale niestety wciąż jeszcze nie byłam pewna, co myśli i czuje, nadal nie mogłam powiedzieć, że go już poznałam do końca. Jednakże, mimo tej niepewności, darzyłam go głęboką miłością, całe moje szczęście zależało tylko od niego. Czułam się podle, że nie mogłam zdusić podejrzeń co do jego zażyłości z Altheą Grey, Rachelą Bective czy nawet Dinah Bond. W takim świetle przedstawiło mi się wszystko wyraźnie dopiero wtedy, gdy odkryłam, że nie mąż, ale dziadek był kimś, kto obdarzał mnie głębokim lecz równocześnie nieskomplikowanym, łatwym do odczytania uczuciem. Dziadek. Teraz mi los go odebrał.

Zostałam jego spadkobierczynią i musiałam odbyć wiele spotkań z prawnikami. Gdy po raz pierwszy usłyszałam o wielkości schedy, doznałam zawrotu głowy na myśl o moich przyszłych bogactwach. Dziadek zostawił też liczne legaty dodatkowe: Dawsonowie otrzymali dożywotnią pensję, tysiąc funtów ofiarował pielęgniarce za opiekę, pamiętał o całej służbie. Każdemu przydzielił pewną sumę w zależności od długości okresu zatrudnienia, wreszcie, spory zapis przeznaczył dla sierot. Wzruszyłam się bardzo tym jego hojnym gestem. Był sierotą i nie zapomniał o datku na cele dobroczynne. Adwokaci poinformowali mnie, że podatki od spadku pochłoną znaczną część odziedziczonego majątku, ale i tak to, co pozostanie, uczyni mnie bardzo zamożną.

Zamek Polhorgan pozostawał przy mnie i przedstawiał wielką wartość.

Śmierć dziadka zmieniła całe moje życie. Stało się znacznie uboższe w uczucia, choć bogatsze w dobra doczesne. Nie byłam już zwykłą panią Pendorrice, lecz bogatą panią Pendorrice. W samym Pendorrice nasze stosunki także stały się całkiem inne do tego stopnia, że zaczęło to być dla mnie denerwujące. Stale miałam wrażenie, że Morwenna i Charles inaczej mnie traktują. Byli w skrytości ducha zachwyceni zaistniałą sytuacją, jednak usiłowali tego nie okazywać. Bliźniaczki obserwowały mnie ukradkiem, jakby dostrzegły we mnie teraz coś, czego przedtem nie było.

Deborah była bardziej od innych szczerą w wyrażaniu swoich uczuć, powiedziała kiedyś:

— Barbarina była bogatą dziedziczką, ale ani jej się równać z twoją zamożnością.

Nie znosiłam takich rozmów. Z całego serca życzyłam sobie mieć trochę uboższego dziadka. Wolałabym, by ulokował swoje pieniądze gdzie indziej, bo teraz spadła na mnie bolesna świadomość, że nie mogę już wmawiać sobie: „Roc mógł się ze mną ożenić jedynie z wielkiej miłości, innych powodów nie miał”. Moje poczucie szczęścia wynikające z faktu, że zostałam bezinteresownie wybrana na żonę i panią na Pendorrice, poślubioną jedynie w efekcie uczucia, pękło jak mydlana bańka. Niesposób było nie pamiętać o bogactwach dziadka.

Kilka tygodni po jego śmierci miałam rozmowę z adwokatem, który pouczył mnie o potrzebie sporządzenia mojego testamentu. Poszłam za jego radą i z wyjątkiem jednego lub dwóch osobnych legatów całą resztę zapisałam Rocowi.

* * *

Nadszedł wrzesień. Nastaly krótkie wieczory i mgliste poranki, ale w ciągu dnia nadal było tak ciepło jak w lipcu.

Od śmierci dziadka minęły już dwa miesiące, a wciąż jeszcze czułam dotkliwy żal. W Polhorganie wszystko pozostawało po starym. Dawsonowie i reszta służby pracowała tam nadal, odeszła jedynie Althea Grey, która przed wyszukaniem nowej posady postanowiła trochę

odpocząć i zamieszkała w małym, przeznaczonym dla letników domku, położonym o milę od Pendorric.

Zastanawiałam się co począć z Polhorgan, aż kiedyś wpadłam na pewien pomysł. Zdecydowałam, że przeznaczę posiadłość na sierociniec. Chciałam stworzyć dom dla opuszczonych i nie chcianych dzieci, bo takim właśnie dzieckiem był mój dziadek.

Gdy wspomniałam o tym Rocowi, był zaskoczony.

— Ależ to poważne przedsięwzięcie!

— Jestem przekonana, że dziadkowi spodobałby się ten zamiar. Sam był sierotą.

Roc odsunął się ode mnie — byliśmy w sypialni — i stanąwszy w oknie, zapatrzył się w morze.

— Nie podoba ci się ten pomysł?

— Kochanie, to nie jest decyzja, którą można podejmować pochopnie.

— Naturalnie. Oczywiście, że nie. Właśnie się nad tym zastanawiam.

— To wszystko nie jest takie proste. Trzeba poznać wszystkie biurokratyczne przepisy dotyczące takich zamierzeń... a brałaś pod uwagę koszty prowadzenia takiego domu?

— Nie rozważałam jeszcze szczegółów. To na razie mglista idea. Jeszcze nad tym podumam. — Oboje musimy to dokładnie przemyśleć — zakończył dyskusję Roc.

Spostrzegłam, że mój pomysł nie zrobił na nim dobrego wrażenia, postanowiłam więc chwilowo dać temu spokój, ale nie zamierzałam zbyt łatwo się poddać.

Zachodziłam często odwiedzać Jessea Pleydella, który niezmiennie wydawał się zachwycony moją wizytą i tytoniem, który mu zawsze zanosilałam. Pani Penhalligan żartowała, że jestem dla niego źródłem stałych dostaw, choć i bez tego moje wizyty znaczą dla niego bardzo dużo.

Do śmierci nie zapomnę owego wrześnieowego dnia, kiedy do mego życia zaczęła się wkradać prawdziwa groza. Zrozumiałam, że spokojne, choć może i urozmaicone życie może, kawałek po kawałku, zmieniać się złowroźnie, aż do momentu, gdy atmosfera najokropniejszych podejrzeń i strachu zaczyna całkowicie bez reszty nad nim ciążyć.

Dzień zaczął się dość zwyczajnie. Rankiem wybrałam się do pani Robinson kupić tytoń. Kiedy wychodziłam z domu, spotkałam Rachelę z bliźniaczkami wyruszające na wycieczkę krajoznawczą i cała trójka towarzyszyła mi aż do sklepiku. Wracając, spotkałam Roca i Charlesa wyjeżdżających na farmę.

Nie ruszyłam się z domu aż do popołudnia, później poszłam na spacer w kierunku wsi i zobaczyłam Jesse'a, siedzącego przed drzwiami i korzystającego z ostatnich promieni słońca.

Usiadłam przy nim na krótką pogawędkę, a kiedy zaczęło robić się chłodno zaprosił mnie na filiżankę czegoś ciepłego. Szalenie lubił sam przyrządzać herbatę, a ja wiedziałam, że nie należy mu w tym pomagać. Kiedy popijaliśmy aromatyczny napój, Jesse rozprawiał o dawnych czasach i o tym jak wtedy wyglądały ogrody w Pendorric.

— Ach, proszę łaski pani, szkoda, że nie było pani tutaj czterdzieści lat temu. Cały czas miałem czterech ludzi pod sobą, a kwiaty w ogrodzie na klifie były jak malowane... istne cuda.

Te wspomnienia mógł snuć w nieskończoność, a ponieważ sprawiało mi to przyjemność, zachęcałam go i podtrzymywałam rozmowę. Z tych pogawędek dowiadywałam się wiele o życiu w Pendorric w czasach kiedy Jesse był w sile wieku. Bieg spraw był wówczas spokojniejszy, ale nawet i wtedy zaczynało się wszystko zmieniać.

— O, kiedy byłem chłopcem wyglądało to zupełnie inaczej.

To mogło mieć miejsce około osiemdziesiąt lat temu. Faktycznie, kawał czasu, by dokonały się różne zmiany, pomyślałam.

— Wtedy nikomu się nawet nie śniło, że majątek może podupaść — wspominał Jesse. — Nawet przez myśl by nam nie przeszło, że cokolwiek może być inaczej, aniżeli było tutaj od wieków.

Dom lorda Polhorgana jeszcze wtedy tu nie stał, a nazwa Polhorgan oznaczała dla nas jedynie niewielką zatoczkę.

Dobrze mi się słuchało opowieści Jessea i trochę się zasiedziałam. Była już szósta, kiedy stamtąd wyszłam.

W domku staruszka, ze względu na nieduże okienka z małymi szybami zawsze było dość ciemno, nie spostrzegłam więc, że na zewnątrz zaczęło się już zmierzchać. Przejrzysta mgielka wisiała nad morzem cały dzień, a teraz zgęstniała i napłynęła w głąb łądu. Była ciepła, niosła ze sobą woń morza i przyjemnie snuła się pasmami, w niektórych miejscach wisząc gęstą zasłoną. Szczególnie kłębiła się w pobliżu kościółka. Zatrzymałam się u bramy cmentarnej. Rzuciłam okiem na groby, spowite w opary, wyglądające malowniczo i tajemniczo. I wtedy usłyszałam tę pieśń. Wydało mi się, że melodia dochodzi z wnętrza jakiegoś grobu. Śpiewana dziwnym, wysokim głosem, nieco niezgodnie z tonacją.

*Stoi mi przed oczyma
jedyne mój:
Sandały, kij pielgrzyma,
Podróżny strój.*

Serce w piersiach zaczęło mi walić jak szalone, a ręce oparte o bramę zdrząły. Obejrzałam się za siebie, rozglądnęłam wokoło — we mgle nie dostrzegłam żywej duszy.

Ale ktoś tu był, ktoś śpiewał. Muszę tym razem dowiedzieć się, czyja to sprawka! Otworzyłam bramę i weszłam na cmentarz. Byłam zdecydowana odszukać tego wieczornego śpiewaka. Przeświadczona, że to ktoś z Pendorric, skierowałam się odruchowo ku krypcie rodzinnej. Byłam niemal pewna, że to śpiewa Carrie. Przypuszczalnie przyniosła wianuszek swojej ukochanej Barbarinie. Dawniej słyszała chyba nieraz jak ulubienica śpiewała tę właśnie pieśń, cóż więc dziwnego, że przysłuchując się jej tak często nauczyła się na pamięć?

Tak, to musi być Carrie.

Doszłam do grobowca i stanęłam zdumiona. Drzwi stały otworem. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby były otwarte; byłam przekonana, że zamknięte są zawsze, z wyjątkiem tych okazji, kiedy do wnętrza wkłada się trumny zmarłych. Gdy podeszłam jeszcze bliżej, znów usłyszałam ten dziwny głos.

*Umarł i już go nie ma,
Zapadł się w grób,
W głowach wilgotna ziemia,
Kamień u stóp.*

Śpiew wydawał się dobywać ze środka.

Zeszłam po kilku kamiennych stopniach.

— Jest tam kto? — Zawołałam. — Carrie? Jesteś tam?

Mój głos brzmiał niesamowicie pod sklepieniem ciemnej krypty.

— Carrie! — Powtórzyłam wezwanie. — Carrie!

Wsunęłam głowę do wnętrza i ujrzałam cztery czy pięć stopni wiodących jeszcze w dół. Schodząc wołała:

— Carrie! Carrie! Jesteś tam?

Panowało milczenie. Nikłe światło, padające przez otwarte drzwi, ukazywało trumny ułożone rzędem na jakiś występkach, czy półkach. Wokół unosiła się wilgotna, piwniczna woń ziemi. Potem

nagle ogarnęła mnie ciemność. Przez pierwsze kilka sekund byłam tak wstrząśnięta i oszołomiona, że nie mogłam zrobić żadnego ruchu; nie zdołałam nawet dobyć z siebie okrzyku protestu. Chwilę trwał taki stan, zanim dotarło do mej świadomości to, co się stało: zamknięto za mną drzwi i zostałam uwięziona w grobowcu.

Głośno złapałam ustami powietrze z przerażenia.

— Kto tam jest?! Kto zamknął drzwi?! — Krzyknęłam.

Usiłowałam wyczuć stopami stopnie, ale mój wzrok jeszcze nie przywykł do ciemności, więc idąc po omacku, potknęłam się i przewróciłam jak długa na kamienne schodki. Po chwili mogłam już rozróżnić ich zamazane kształty. Poderwałam się gwałtownie i ruszyłam do góry. Pchnęłam drzwi z furją. Były mocno zatrzaśnięte i nawet nie drgnęły.

Wpadłam w histerię, i z całej siły zaczęłam walić pięściami w drzwi.

— Wypuście mnie! — Krzyczałam rozzwierając. — Wypuście mnie! Mój głos brzmiał głucho i uświadomiłam sobie, że może nie być słyszany na zewnątrz.

Oparłam się o wrota, próbując myśleć spokojnie, bez paniki. Ktoś mnie zwabił do tego przerażającego miejsca, ktoś, kto przypuszczalnie chciał się mnie pozbyć. Jak długo mogę tu przetrwać? Chyba powinni w domu zauważyć, że mnie nie ma. Roc na pewno zacznie mnie szukać.

— Roc! — Krzyknęłam w desperacji. — Roc... przyjdź po mnie... Szybko!

Ukryłam twarz w dłoniach. Nie chciałam patrzeć na to, co mnie otacza. Nagle zaczęłam się bać tego, co mogę przeżyć i zobaczyć zamknięta tu ze wszystkimi zmarłymi z rodu Pendorriców. Ile czasu upłynie, zanim stanę się też jedną z nich?

Wtem usłyszałam jakiś ruch w pobliżu. Wyteżyłam słuch. Odgłos jakiegoś sapania? Ogarnęła mnie groza. Przecież nie wierzę w duchy, usiłowałam sobie powtarzać. Ale takie rzeczy łatwo mówić, kiedy człowiek jest na pewnym gruncie, najlepiej w jakimś słonecznym miejscu lub w jasno oświetlonym pokoju. Zupełnie inaczej sprawa się przedstawia, kiedy ktoś znajdzie się pomiędzy zmarłymi... żywcem pogrzebany!

Do tego czasu nie znałam uczucia prawdziwego strachu. Teraz oblałam się zimnym potem, a włosy stanęły mi dęba na głowie. Mój umysł przestał funkcjonować — niepodzielnie królował w nim paniczny lęk i świadomość, że jestem uwięziona z nieboszczykami.

Ale nie byłam sama. Czułam to. Jakaś żywa, oddychająca istota czaiła się w pobliżu.

Nie odrywałam rąk od twarzy, nie chciałam nic widzieć. Nie miałam odwagi czegokolwiek zobaczyć.

Nagle jakaś zimna ręka dotknęła mej dłoni. Wrzasnęłam i jakby z boku usłyszałam własny głos wykrzykujący to imię:

— Barbarina!

W tym momencie głęboko wierzyłam w prawdziwość legendy rodu Pendorriców. Wierzyłam, że to Bajbarina zwabiła mnie do tego miejsca, które miało stać się mym grobem po to, żebym ja teraz zaczęła straszyć w Pendorrice, a ona mogła spocząć w pokoju.

— Favel! — Ten ostry szept wydał ktoś, kto był tak samo przerażony jak ja.

— Hyson!

— Tak, Favel. To ja, Hyson.

Boże, co za ulga! Nie byłam sama! Istota z krwi i kości przebywała w tym przerażającym miejscu wraz ze mną! Było mi wstyd, bo ucieszyłam się, że ktoś podziela mój strach, ale nic na to nie mogłam poradzić. Jeszcze nigdy w całym moim życiu, ludzki głos nie sprawił mi takiej radości.

— Hyson... co ty tu robisz?

Dziewczynka podeszła bliżej i przytuliła się do mnie.

— Tu jest... tak strasznie... z tymi zamkniętymi drzwiami.

— Ty to zrobiłaś, Hyson?
— Co?... Co zrobiłam?
— Zamknęłaś mnie?
— Przecież jestem zamknięta razem z tobą!
— Ale jak to się stało, że tu się znalazłaś?!— Przeczynałam, że coś się wydarzy.
— Co? Jak..?
— Przeczynałam. Przyszłam, żeby się z tobą spotkać... zobaczyć, czy nic ci się nie stało?
— Co masz na myśli? Jak mogłaś coś takiego przewidzieć?
— Potrafię przeczuwać różne rzeczy. Potem usłyszałam śpiew... i drzwi były otwarte... więc weszłam.
— Przynęłaś mną?
— Tylko minutkę wcześniej. Zdażyłam się schować u stóp schodków, kiedy ty weszłaś.
— Nie pojmuję, co to wszystko może znaczyć!
— To Barbarina cię zwabiła. Nie wiedziała, że ja też tu jestem.
— Barbarina nie żyje!
— Nie może spocząć w pokoju, dopóki ty jej nie zastąpisz.
Odzyskałam spokój. Zdziwiająca, co może zdziałać świadomość obecności drugiej żywej osoby, choćby niewielkiej.
— Ależ Hyson, to nonsens. Barbarina nie żyje, a historia o jej duchu to tylko stara legenda.
— Ona czeka na śmierć kolejnej małżonki.
— Absolutnie nie mam zamiaru umierać.
— Obydwe umrzemy — powiedziała Hyson niemal obojętnie, a ja pomyślałam: to dziecko nic nie wie o śmierci. Nie widziała jeszcze prawdziwego jej oblicza. Dla niej to tylko pojęcie i coś, co oglądała w telewizji; ludzie upadają na ziemię — i już — są martwi. W jej pojęciu śmierć jest szybka, schludna i bezbolesna. Ten ktoś, kto nas tu uwięził, zapomniał, że to tylko dziecko udające jasnowidza.
— Nie pleć bzdur! — Obruszyłam się. — Wcale nie umrzemy. Tu na pewno jest jakiś dopływ powietrza, a domownicy spostrzegą, że nas nie ma i zorganizują poszukiwania.
— Ale przecież nie pomyślą, żeby szukać w grobowcu.
— Będą szukać wszędzie.
— Tutaj nigdy nie zajrzą.
Milczałam. Zastanawiałam się, kto mógłby nam to zrobić, kto czekał na mnie, aż wyjdę z domku Jesse'a Pleydalla, by zwabić mnie do krypty śpiewem, jak jakaś okrutna morska syrena.
— Był to z pewnością ktoś, kto chciał mnie usunąć z drogi. Czekał, aż wejdem do grobowca i zatrzasnął za mną drzwi.
Otrząsnęłam się z przerażenia i uświadomiłam sobie, że zagrożenia ze strony istoty ludzkiej już się nie boję, poczułam się w mocy stawić temu czoła. Gdy tylko uwolniłam się od przeświadczenia, że mają z tym coś wspólnego siły nadprzyrodzone, wróciła moja naturalna zdolność trzeźwego myślenia. Byłam gotowa przeciwstawić własną inteligencję inteligencji przeciwnika i dość silna, by walczyć o życie.
— Ktoś zamknął drzwi — stwierdziłam. — Kto to mógł być?
— Barbarina — wyszeptwała Hyson.
— To wykluczone. Barbarina nie żyje.
— Ona tu jest, Favel... jest w trumnie. Na półce, obok trumny dziadka. Nie ma spokoju i chce... Dlatego cię tu zamknęła.
— A kto otworzył drzwi?

— Barbarina.

— Kto zamknął?

— Barbarina.

— Hyson, popadasz w histerię.

— Naprawdę?

— Nie wolno ci się temu poddawać. Musimy wymyślić sposób, żeby się stąd wydostać.

— Nigdy już nie wyjdziemy. Dlaczego ona zamknęła mnie tutaj także? Babcia zawsze mnie ostrzegała. Nie powinnam tutaj przychodzić.

— Masz na myśli to, że ja powinnam być jedyną ofiarą? — Spytałam z przekąsem i zaraz się zawstydziałam swojego tonu. Przecież to tylko mała dziewczynka, dla której było to wszystko okropnym przeżyciem.

— Zostaniemy tutaj na zawsze — biadolili Hyson. — Na zawsze. Będzie tak, jak w pieśni „Gałązka jemioli”, kiedy otworzą kryptę znajdą tu tylko nasze kości, zostaną po nas szkielety.

— Niepodobnego!

— Pamiętasz tę noc po balu? Opowiadaliśmy o tym.

Umilkła i zalała mnie nowa fala grozy, przemknęło mi bowiem przez myśl, że kiedy odpoczywaliśmy po balu, ktoś z nas wpadł na pomysł, by dębową szafę zastąpić rodzinnym grobowcem.

Zadrżałam. Czy może być inne wytłumaczenie niż to, że ktoś chce się mnie pozbyć?

Złapałam Hyson za ramię.

— Posłuchaj. Musimy znaleźć wyjście. Może te drzwi nie są wcale zamknięte na klucz? Któż by chciał je zamykać i po co?

— Barba...

— Przestań! — Ostrożnie wstałam. — Hyson! Musimy zobaczyć co się da zrobić.

— Ona nam nie pozwoli.

— Daj rękę, sprawdzimy to wewnątrz.

— Przecież wiemy. Sami umarli w trumnach.

— Szkoda, że nie mamy latarki. Chodź Hyson, spróbujemy otworzyć drzwi, może nie są zamknięte na klucz tylko się zablokowały.

Staliśmy na ostatnim, górnym stopniu i pchnęliśmy z całej siły. Wrota nawet nie drgnęły.

— Ciekawe ile już tu jesteśmy? — Zastanowiłam się.

— Godzinę.

— Nie sądzę, żebyśmy byli dłużej niż dziesięć minut. To tylko czas się tak dłuży w takich przypadkach. W domu zorientują się przy kolacji, że coś nam się stało. Zaczną nas szukać najpierw wewnątrz, a potem poza domem. Chcę się rozejrzeć. Coś mi się wydaje, że gdzieś tu powinien być zakratowany otwór w murze. Mogłybyśmy przezeń krzyknąć.

— Na cmentarzu nie ma nikogo. Nikt nas nie usłyszy.

— To nie jest takie pewne. Ktoś może być. A jeśli ruszą na poszukiwania...

Pociągnęłam ją za rękę, a ona drżąc ze strachu podeszła do mnie. Trzymając się blisko siebie, schodziłyśmy ostrożnie na dół. Hyson wstrząsnął dreszcz.

— Ale tu zimno — poskarżyła się.

Otoczyłam ją ramieniem i powoli wkroczyłyśmy w ciemność. Wokół siebie dostrzegłam zarysy jakiś dużych przedmiotów i wiedziałam, że to trumny zmarłych Pendoriców.

Ujrzałam słabe światło i zbliżając się ku niemu stwierdziłam, że to zakratowany otwór w bocznej ścianie krypty. Udało mi się wyrzeć na zewnątrz i zobaczyłam jakiś wąski rów. Poczulałam, że przez to okienko wpada świeże, rześkie powietrze i lżej mi się zrobiło na sercu. Przynęłam twarz do kratki i zawołałam:

— Na pomoc! Jesteśmy w krypcie! Ratunku!

Głos mój brzmiał głucho, był przytłumiony i miałam takie wrażenie jakby odbity skądś wracał do mnie z powrotem. Uświadomiłam sobie wtedy, że choćbym nie wiem jak głośno wołała, usłyszeć mnie może tylko ktoś stojący w bliskiej odległości.

Mimo to krzyczałam i wołałam aż do całkowitego zachrypnięcia, a Hyson obok mnie trzęsła się ze strachu.

— Chodź, jeszcze raz spróbujemy wyjść stąd — zaproponowałam. Powoli przeszliśmy do schodków. Znów ze wszystkich sił usiłowałyśmy sforsować drzwi, ale bez skutku — pozostały zamknięte. Hyson chlipała z żalu i z zimna, zdjęłam więc żakiet i usiłowałam nim okryć nas obie. Usiadłyśmy na górnym stopniu i przytuliłyśmy się do siebie. Staralam się uspokoić dziewczynkę przekonując ją, że zostaniemy wkrótce uratowane, a krypta to nie dębowa szafa. Przecież widziałas kratkę, tłumaczyłam jej, a to oznacza, że dopływa tu świeże powietrze. Pozostaje nam siedzieć spokojnie, i czekać aż nas tu znajdą. Być może wkrótce usłyszymy głosy szukających, będziemy mogły ich zawołać.

W końcu Hyson przestała się trząść i chyba zasnęła.

Do mnie sen nie przychodził, choć byłam bardzo znużona, zmarznięta na kość, zeszywniała i odrętwiała. Siedziałam nieruchomo, przytrzymując przytulone do mnie dziecko, wpatrywałam się w ciemność i zadawałam sobie wciąż to samo pytanie: Kto to zrobił?

Nie mogłam sprawdzić, która godzina, bo wskazówki zegarka były niewidoczne w ciemności. Hyson poruszyła się niespokojnie przez sen i coś niewyraźnie wymamrotała płaczącym głosem. Objęłam ją ciaśniej i wyszeptalam jakieś uspakajające słowa, cały czas starając się wymyślić sposób ucieczki.

Oczyma duszy ujrzałam rodzinę schodzącą się na kolację. Jak bardzo będą się niepokoić, pytać: gdzie Favel, gdzie Hyson? Roc z początku chyba się rozżłości, ale potem będzie szalał ze zmartwienia. Na pewno szukają już nas od paru godzin.

Raptem przebudziła się Hyson.

— Favel... gdzie jesteśmy?

— Wszystko w porządku, dziecinko. Jestem tu, z tobą.

— Wciąż jeszcze jesteśmy w tym okropnym miejscu! Czy my jeszcze żyjemy, Favel?

— To jedyna rzecz, której jestem zupełnie pewna.

— Więc nie jesteśmy... duchami?

— Duchy nie istnieją i nie potrafią robić tego... — ścisnęłam ją za rękę.

— Favel, jak możesz tak mówić... tutaj... pomiędzy nimi.

— Gdyby istniały, mogłyby przecież dać jakiś znak, choćby po prostu dlatego, żeby mi udowodnić, że nie mam racji, prawda?

Poczułam jak dziewczynka wstrzymując oddech wpatruje się w ciemne wnętrze.

— Czy siedzimy tu już całą noc?

Odezwała się po chwili.

— Nie wiem, Hyson.

— Cały czas będzie tutaj tak ciemno?

— Trochę więcej światła może wpadać przez okienko kiedy nadejdzie dzień. Może podejdziemy tam i wyglądniemy?

Byłyśmy tak sztywne i skostniałe, że przez kilka sekund nie mogłyśmy zrobić żadnego ruchu.

— Cicho! — Szepnęła Hyson przerażonym głosem. — Coś słyszałam!

Wyęczałam słuch, ale panowała cisza.

Ruszyłam ostrożnie po schodach w dół trzymając mocno Hyson za rękę.

— Posłuchaj! — Znów z przejściem zaszemrał głos Hyson. — To ten sam dźwięk!

Przywarła do mnie całym ciałem, a ja objęłam ją ramionami.

— Gdybym miała zapalniczkę czy zapałkę — mruknęłam kiedy kierowałyśmy się w stronę okienka, ale cała ściana była ciemna, więc, na zewnątrz panowała jeszcze głęboka noc. Niespodziewanie ujrzałam błysk światła i usłyszałam wołanie:

— Favel! Hyson!

Przelotny błysk ukazał mi miejsce, gdzie znajdowało się zakratowane okienko. Potykając się, podbiegłam w tym kierunku, krzycząc:

— Jesteśmy tutaj... w krypcie! To my — Favel i Hyson! Jesteśmy w krypcie!

Promień światła zakołysał się i zatrzymał.

— Favel! To ty, Favel? — Rozpoznałam głos Deborah.

— Tutaj! — Zawołałam. — Tutaj!

— Och, Favel!... Dzięki Bogu! A Hyson...?

— Hyson jest ze mną. Jesteśmy zamknięte w grobowcu.

— Zamknięte...?!

— Wypuście nas; proszę... szybko!

— Zaraz wrócę... najszybciej jak potrafię.

Światło zniknęło i zostałyśmy z Hyson w ciemności obejmując się z radości ramionami.

* * *

Zdawało nam się, że upłynęły wieki, zanim otworzyły się drzwi i Roc zbiegł do nas po schodach. Rzuciłyśmy mu się w objęcia, a on zagarnął nas ramionami i obie tulił do siebie.

— Co do... — zaczął. — Niezłego napędziłyście nam strachu.

Tuż za nim zeszli Morwenna i Charles, który złapał Hyson na rękę i trzymał ją jakby była niemowlęciem.

Światła ich latarek wydobyły z ciemności poznaczone strużkami wilgoci ściany krypty i półki z trumnami, ale obydwie z Hyson odwracałyśmy się z drżeniem od tego widoku spoglądając tęsknie ku drzwiom.

— Rękę masz jak sople lodu — rzekł Roc rozcierając mi dłonie. — Przed bramą cmentarną czekają samochody. Za parę minut będziemy w domu.

W samochodzie siedziałam oparta o niego zbyt skostniała i znużona by cokolwiek mówić.

Udało mi się jedynie spytać o godzinę.

— Druga nad ranem — odparł Roc. — Poszukiwania rozpoczęliśmy zaraz po ósmej.

Poszłam prosto do łóżka, a pani Penhalligan przyniosła mi talerz gorącej zupy. Sądziłam, że nie usnę, a prawdę mówiąc bałam się, że we śnie powrócą do mnie przeżycia tych koszmarnych godzin, ale sen zmorzył mnie niemal natychmiast. Zasnęłam twardo i nie dręczyły mnie żadne majaki.

Była już dziesiąta rano, kiedy zbudziły mnie promienie słońca wpadające przez okno. Na fotelu, przy łóżku, siedział Roc, spoglądając na mnie troskliwie. Poczulałam, iż ogarnia mnie fala szczęścia wynikającego z faktu, że żyję.

* * *

— Co się stało? — Zapytał Roc.

— Usłyszałam, jak ktoś śpiewa, a drzwi grobowca były otwarte.

— Czyżbyś przypuszczała, że któryś Pendorric opuścił swoją trumnę i umiła sobie czas śpiewem?

— Nie żartuj sobie ze mnie! Chciałam się dowiedzieć, kto tam jest, zesłam schodkami w dół, a wtedy... ktoś zamknął za mną drzwi.

— Co wtedy zrobiłaś?

— Waliłam w drzwi, krzyczałam. Obie z Hyson z całej siły usiłowałyśmy je otworzyć. Och, Roc... to było okropne!

— Muszę się z tobą zgodzić. To nie jest najlepsze miejsce na nocleg.

— Roc, kto to mógł zrobić?! Kto nas tam zamknął?!

— Nikt.

— Ależ ktoś musiał to zrobić. Gdyby Deborah nie znalazła się w pobliżu grobowca, wciąż byśmy siedziały w środku. Bóg tylko raczy wiedzieć, jak długo musiałybyśmy tam jeszcze przebywać!

— Byliśmy zdecydowani przeczesać każdy skrawek ziemi w okolicy. Deborah i Morwenna szukały we wsi, tam dołączyli do nich Darkowie.

— Ach co to była za ulga, kiedy usłyszałyśmy głos Deborah! Ale wydawało się nam, że lata minęły, zanim wróciła z powrotem.

— Chciała wziąć klucz do grobowca, a — o ile mi wiadomo — jest tylko jeden. Trzymany jest w szafie, w moim gabinecie; szafa jest zamknięta, więc Deborah najpierw musiała znaleźć mnie.

— A, więc dlatego to tak długo trwało!

— Mogę cię zapewnić, że nie traciliśmy czasu. Zachodziłem w głowę kto i po co mógłby zabierać klucz i otwierać kryptę. Później przypomniałem sobie, że kilka tygodni temu zakrystian go pożyczył. Widocznie potem sądził, że zamknął drzwi, a zapomniał tego uczynić.

— Ale przecież ktoś nas potem zamknął!

— Nie, kochanie. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Stwierdziłem to, kiedy przyszedłem i próbowałem je otworzyć.

— Nie były zamknięte! Ale...

— Któż chciałby cię uwięzić w środku?!

— Nad tym właśnie się zastanawiam.

— Nikt, oprócz mnie, nie miał dostępu do klucza, który od lat jest tylko jeden i to w dodatku w mojej szafie. Wisiał sobie na gwoździu, kiedy po niego przyszedłem.

— Ależ Roc, nie rozumiem jak w takim razie...

— Przypuszczam, że to bardzo proste. Drzwi grobowca były tylko przymknięte, bo stary Pengally tak je zostawił parę tygodni temu, a powiew wiatru otworzył je na oścież.

— To był spokojny wieczór. Nie było wiatru.

— Ale poprzedniej nocy buł sztorm. Były prawdopodobnie otwarte cały dzień, tylko nikt tego nie spostrzegł. Do tej starej części cmentarza zagłada niewielu ludzi. Jakby nie było, ty zobaczyłaś, że stały otworem, weszłaś, a one zatrzasnęły się za tobą.

— Ale przecież, gdyby nie były zamknięte na klucz, to czemu nie otworzyły się, kiedy pchałyśmy je z całej siły?

— Przypuszczam, że się zablokowały. Poza tym, po stwierdzeniu, że jesteście uwięzione, wpadłyście chyba w panikę. Może, gdyby nie wasze przeświadczenie, że drzwi są zamknięte na klucz, odkryłybyście, iż są jedynie zatrzaśnięte.

— Nie jestem przekonana.

— Co masz, u licha, na myśli? — Patrzył na mnie w zdumieniu.

— Nie bardzo wiem... ale ktoś to zrobił świadomie.

— Kto?

— Nie wiem. Ktoś.

Delikatnym ruchem odgarnął mi włosy z czoła.

— Jest tylko jeden człowiek, który mógłby to zrobić — rzekł. — Ja.

— Och, Roc... nie!!

Położył się obok mnie na łóżku i wziął mnie w ramiona

— Pozwól mi coś powiedzieć, kochanie — szepnął. — Daleko bardziej wolę cię mieć tutaj aniżeli w krypcie z Hyson.

Znów żartował, śmiał się; nie dostrzegając, że wokół mnie zaciskają się lodowate palce strachu.

Nie mogłam łudzić się dłużej. Potwierdziły się wszystkie moje obawy, przed którymi broniłam się w ostatnich tygodniach.

Przypuścimy, że Deborah nie nadeszłaby na czas i nie usłyszała naszego krzyku, to jak długo mogłybyśmy utrzymać się przy życiu w tej okropnej krypcie? Istotnie, niewielki dopływ powietrza był zapewniony, ale obie w końcu zginęłybyśmy z głodu. Gdyby nawet odwiedził ktoś okoliczne groby, to i tak nie wiedziałybyśmy o jego obecności.

Byłybyśmy bez szans... w zamknięciu... przez ile?... Tydzień... dwa. A potem nadeszłaby śmierć.

Istniał ktoś, kto usiłował pozbawić mnie życia. Chciał mnie zabić pozorując nieszczęśliwy wypadek.

Kto to mógł być?!

Osoba, która na mojej śmierci najwięcej skorzysta? Roc?

Nie mogłam w to uwierzyć.

Być może byłam nielogiczna, jak każda kobieta zakochana po uszy w swoim mężu, ale ani przez moment nie miałam zamiaru uwierzyć w mordercze zapędy Roca. On przecież nie mógł pragnąć niczyjej śmierci, a najmniej mojej. Był graczem — zgoda, wiarołomnym mężem — też możliwe, ale zabójcą? On, nigdy, przenigdy nie popełniłby morderstwa!

A jednak... Gdybym umarła, Roc zostałby bardzo bogatym człowiekiem. Ożenił się ze mną świadom, że jestem wnuczką milionera. Przywiózł mnie do domu dziadka i miał powody przypuszczać, że starzec uczyni mnie swą spadkobierczynią. W Pendorric potrzebne były pieniądze, ale jako partnerka Roca w interesach stwarzałam gwarancję, że mój majątek podreperuje stan finansowy posiadłości, która pozostanie dalej własnością rodziny. To było oczywiste — żywa czy martwa — stanowiłam rękojmię bezpieczeństwa Pendorric.

Nie chciałam wdawać się w bardziej szczegółowe rozważania, nic jednak nie mogło zachwiać mego przekonania, że ktoś naprawdę zamknął mnie w grobowcu w nadziei, że odkryte zostaną dopiero moje zwłoki.

To przywiodło mnie na powrót do kwestii: Kto?

Zacząłam od nowa rozmyślać nad przeszłością. Wróciłam pamięcią do dnia, kiedy Roc po raz pierwszy zjawił się w pracowni. Ojciec musiał go rozpoznać od razu, jak tylko usłyszał jego nazwisko, jednak nie zdradził się ani słowem. Co się za tym kryło? Odpowiedź była oczywista: to dziadek nie chciał, żebym o wszystkim wiedziała. Pragnął mieć najpierw sprawozdanie Roca, obejrzyć zdjęcia. Typowa charakterystyczna dla dziadka nieufność na granicy podejrzliwości! A ojciec? On przypuszczalnie podporządkował się temu, bo wierzył, że to dla mego dobra.

Albo ten dzień kiedy ojciec zatonął! — Roc był jakiś dziwny, a może tylko mi się zdawało? Wrócił do domu i pozwolił, żeby ojciec kąpał się sam, a kiedy przyszła wiadomość o jego śmierci miałam wrażenie, że jakby odczuł ulgę... a może to była tylko gra mojej wyobraźni?

Muszę stanowczo przestać myśleć o Rocu, a jeśli chcę wykryć sprawcę mojej krzywdy muszę swoją uwagę skierować w inną stronę.

Odżył mi w pamięci ów niebezpieczny spacer na klifie, gdy ktoś usunął tablicę ostrzegawczą. Właśnie wtedy Roc pospieszył mi z pomocą. To wspomnienie podziałało na mnie uspokajająco, wiedziałam, że mąż mnie kocha i chce mnie chronić. Niemożliwe, by podniósł na mnie rękę.

Naturalnie. To jasne, że nie mógłby tego uczynić.

Któż zatem?

Moje myśli poszybowały ku kobietom, którymi — jak mi się wydawało — Roc był kiedyś zainteresowany... a może ten stan jeszcze trwa? Nikt nie mógł odgadnąć, co kryje się w jego sercu. Rachela? Althea? Może Dinah Bond?

Z pamięci napłynęły słowa Dinah, o tym, że Morwenna została kiedyś zamknięta w krypcie. A ta rozmowa, którą podsłuchałam, prowadzona między Morwenną a Chartesem? Ależ, to było normalne, mówili o moim spadku i cieszyli się iż Roc poślubił bogatą dziedziczkę, a nie dziewczynę biedną jak mysz kościelna. Czemuż więc miałyby Morwenna chcieć się mnie pozbyć? W czym jej mogłam przeszkadzać?

Cóż, gdybym została usunięta z drogi, mój majątek przeszedłby na Roca, a on wolny mógłby poślubić... Rachelę... Altheę?

Rachela była z nami, kiedy gawędziliśmy o szkielecie w dębowej szafie i — jeśli wierzyć Dinah Bond — to ona, dawno temu, zamknęła Morwennę w grobowcu. Ona wiedziała skąd zabrać klucz, ale przecież klucz jest tylko jeden, wisi w szafie u Roca, a szafa jest zabezpieczona.

Kiedy chcieli otworzyć grobowiec, musieli wpierw znaleźć Roca, bo tylko on mógł otworzyć szafę.

To nic, Racheli przecież udało się przed laty wydostać jakoś ten sam klucz z szafy ojca Roca!

To Rachela, pomyślałam. Nigdy jej nie lubiłam, nie spodobała mi się od pierwszego wejrzenia. Postanowiłam na nią uważać.

* * *

Zdaniem Morwenny to okropne przeżycie, musiało mną wstrząsnąć i powinnam przez następne kilka dni odpoczywać i dochodzić do siebie. Ona zaś musiała zadbać o to, by Hyson także miała zapewniony spokój.

— Wolałabym, żeby tam z tobą była Lowella — rzekła mi kiedyś, gdy zastałam ją na pieleniu rabatek kwiatowych na jednym z frontowych trawników. — Hyson jest zbyt wrażliwa.

— To było straszne.

Morwenna wstała i spojrzała mi w oczy.

— Moje wy biedactwa! Obydwie. Ja bym chyba umarła ze strachu. Jakiś cień przemknął jej po twarzy i odgadłam, że przypomina sobie własne doświadczenie sprzed lat.

Z domu wyszła Deborah.

— Cudowny dzień — zachwyciła się. — Zaczynam się martwić, jak, wygląda mój własny ogród.

— Tęsknisz za domem? — Spytała Morwenna i uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo. — To cała Deborah. Gdy przebywa w Dartmoor wzdycha do Pendorric, a kiedy jest tutaj, serce wrywa się jej za wrzosowiskiem.

— To prawda. Bardzo kocham oba te miejsca i obydwie są dla mnie prawdziwym domem. Ach, Favel, to okropna sprawa... taki szok. Nie wyglądasz dobrze. Nie uważasz, Morwanno?

— Takie przeżycie może każdego wytrącić z równowagi, ale mam nadzieję, że Favel wróci do normy za dzień lub dwa.

— Zamierzam wyjechać do domu na jakiś tydzień. Może byś ze mną Pojechała, Favel? Bardzo chciałabym pokazać ci moje królestwo.

— Och... jak to miło z twojej strony!

Zastanowiłam się. Opuścić Roca? Zostawić go Althei albo Racheli? Poza tym, jak mogłabym odpoczywać, kiedy jeszcze nie rozwiązałam tamtej sprawy? Muszę najpierw dowiedzieć się, kto patrzy na mnie złym, okiem, kto na mnie nastaje! Niewątpliwie, w innych okolicznościach z radością przyjąłabym propozycję Deborah, ale teraz, cały czas i tak myślami byłabym w Pendorric.

— Właściwie... — zająknęłam się — ...mam tu tak dużo pracy..., i Roc...

— Nie zapominaj, — Morwenna podpowiedziała Deborah — że oni są niedawno po ślubie. Deborah zrobiła smutną minę.

— Trudno. Może innym razem. Sądziłam tylko, że potrzeba ci trochę odmiany i...

Jestem ci wdzięczna z całego serca za troskę i będę czekać na okazję, żeby odwiedzić cię później.

— Chciałabym, żebyś zabrała ze sobą Hyson, ale tak chciałabym pokazać Favel nasze stare domostwo.

— Jesteś bardzo uprzejma — dotknęłam jej ramienia lekkim gestem dłoni — i mam nadzieję, że wkrótce mnie znów zaprosisz.

— Naturalnie. Będę ci się stale naprzykrzać, aż się zgodzisz. Co powiesz na mały spacer?

— Wybierałam się właśnie do Polhorgan. Mam kilka spraw do omówienia z panią Dawson.

— Mogę pójść z tobą?

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Zostawiłyśmy Morwennę z jej kwiatkami i skierowałyśmy się na drogę do Polhorgan. Czułam się trochę jak winowajca, że odrzuciłam zaproszenie Deborah i zależało mi, żeby nie posądziła mnie o złą wolę.

Usiłowałam to jej wyjaśnić.

— Oczywiście, oczywiście, moja droga. Nie chcesz opuszczać męża. Prawdę mówiąc, jestem przekonana, że i Roc by protestował, gdyby znał mój projekt. Ale kiedyś może uda ci się pojechać ze mną, na przykład na jakiś weekend, gdy Roc będzie załatwiał gdzieś interesy. Czasami zdarza mu się taki wyjazd, a wtedy wykorzystamy okazję. To był tylko mój plan po...

Zadrżała.

— Gdyby nie ty, mogłybyśmy jeszcze tam siedzieć.

— Nigdy nie przestanę być wdzięczna losowi, że przyszło mi do głowy pójść na cmentarz — Chyba dlatego, że wszyscy byliśmy zdecydowani przeszukać każdą piędź ziemi. Kiedy pomyśle, że pomógł mi tylko szczęśliwy traf, dreszcz mnie przelatuje. Mogłam przecież obejść grobowiec z daleka i nie słyszeć was, ani wy mnie.

— Nie lubię o tym myśleć... nawet w dziennym świetle. Jest w tym też coś dziwnego. Roc powiada, że drzwi nie były zamknięte na klucz... tylko zatrzęsnięte. Muszę przyznać, że czuję się dosyć głupio.

— Cóż, możliwe, że wrota mogły się zatrzęsnąć.

— Pchałyśmy je tak rozpaczliwie; wkładałyśmy w to wszystkie nasze siły. Jest niemal niemożliwe, żeby nie puściły, gdyby były tylko przymknięte. A w dodatku ta świadomość, że jest tylko jeden klucz, który był wtedy zamknięty w szafie Roca!

— No więc, jedyną osobą, która miałaby możliwość zamknięcia drzwi na klucz musiałby być Roc. — Roześmiała się z tego nedorzecznego pomysłu, a ja śmiałam się wraz z nią.

— Dawniej były dwa klucze, o ile sobie dobrze przypominam — ciągnęła. — Jeden z nich ojciec Roca trzymał w tej samej szafie co obecnie.

— A kto miał drugi?

Umilkła na kilka sekund, a potem odparła krótko:

— Barbarina.

Reszta drogi upłynęła nam w milczeniu i rozstałyśmy się w pobliżu Polhorgan.

* * *

Od śmierci dziadka przestałam do Polhorgan spieszyć z radością. Bez niego miejsce wydawało się puste i niepotrzebne. Panująca tu obecnie atmosfera opuszczenia, działała na mnie przygnębiająco. Teraz ten dom kojarzył mi się z kobietą, której marzenia o własnej rodzinie nigdy nie zostały spełnione. Roc często śmiał się ze mnie, kiedy mówiłam w ten sposób o domach, bawiło go, że traktowałam je lak, jakby miały własną osobowość. No cóż, w tej chwili osobowość Polhorgan była zdecydowanie negatywna. Oczywiście, myślałam, jeśli dom się zapełni dziećmi, które nigdy nie widziały morza, nigdy nie Zaznały ciepła ani opieki, miejsce to stanie się zupełnie inne.

Marzenia! Nierealne marzenia! Jakbym słyszała głos Roca: „Poczekaj, aż urzędasy pokażą ci co potrafią! To kraina Robin Hooda, gdzie bogaci oskubywani są do cna”.

Nie dbałam o to, jakie mnie czekają trudności, byłam zdecydowana mieć moje sierotki, choćbym nie mogła zgromadzić ich tak dużo, jak pierwotnie marzyłam.

Pani Dawson wyszła mi na powitanie.

— Dzień dobry pani. Dawson i ja zastanawialiśmy się właśnie, czy pani dziś wpadnie. Jak dobrze, że pani przyszła. Czy raczy pani wypić herbatę w naszym saloniku? Jest coś, co nas martwi...

Przyjęłam zaproszenie, a pani Dawson, obiecując, że za chwilę będzie herbata, wyszła i posłała po męża.

Dziesięć minut później siedziałam w wygodnie urządzonej saloniku gospodarzy.

Dawson miał pewne trudności w przejściu do sedna sprawy i zorientowałam się szybko, iż jest to ciąg dalszy podejrzeń, które wysunął w noc śmierci dziadka.

— Widzi pani, madame, to jest tak: trudno mi to powiedzieć; człowiek boi się, żeby nie powiedzieć za dużo... a jednocześnie obawia się, że powie za mało.

Dawson był typowym szefem służby domowej. Dostojny, pewny siebie, taki jakiego potrzebował dziadek, typ służącego, określony przez Roca mianem „wzorcowego lokaja”.

— Zawsze byłeś ze mną szczerzy, Dawson. Nie powtórzę nikomu nic z tego co mi powiesz, jeśli nie będziesz sobie tego życzył.

We wzroku Dawsona odmalowała się ulga.

— Bardzo nie chciałbym, madame, być pozwany do sądu przez osobę, o której mowa. Choć, gdyby to wszystko okazało się prawdą, powinno być poczytane na moją korzyść.

— Chodzi o siostrę Grey?

— Nie inaczej. Nie wszystko w śmierci jego lordowskiej mości podobało mi się, madame, po rozważeniu tej sprawy pani Dawson i ja doszliśmy do wniosku, że doszło do tego w wyniku rozmyślnego działania.

— Czy dlatego tak myślisz bo pigułki znalazły się pod łóżkiem?

— Tak, proszę pani, jego lordowska mość miała dwa lżejsze ataki za dnia, a Pani Dawson i ja spostrzeżliśmy już dawniej, że kiedy napady choroby postępują po sobie w ciągu dnia, to nocny atak jest prawie pewny.

— Czy dziadek wzywał pielęgniarkę, kiedy źle się czuł w nocy?

— Tylko w groźniejszych przypadkach, gdy potrzebował morfiny. Wtedy używał dzwonek, który miał pod ręką, na nocnym stolyczku. Ale zawsze najpierw brał tabletki. Dzwonek też był na podłodze, madame, tam gdzie lekarstwo.

— Tak, wiem. Wyglądało to tak, jakby obie te rzeczy dziadek zrzucił, gdy sięgał po tabletki.

— A może ktoś chciał, żeby to takie sprawiało wrażenie?

— Sugerujesz, że siostra Grey celowo usunęła dzwonek i pigułki z zasięgu ręki dziadka?

— Mówię to pani tylko w cztery oczy.

— Ależ dlaczego chciałyby jego śmierci?! Przecież miała tu doskonałą posadę.

— Liczyła na zapis w testamencie — wtrąciła pani Dawson — A cóż jej szkodziło poszukać następnej pracy, gdzie mogłaby dostać kolejny legat?

— Nie sądzi pani chyba, że pielęgniarka uśmierca swoich pacjentów, żeby zdobywać pieniądze?

— To prawdopodobne, madame. Czuję się zmuszony wyjaśnić moje posądzenia wobec tej młodej kobiety, ale sądzę, że to awanturnica, której należy się strzec.

— Dawson, mój dziadek umarł, spoczywa w grobie. Doktor Clement orzekł zgon z przyczyn naturalnych.

— Pani Dawson i ja nie wąpimy w opinię doktora, lecz podejrzewamy, że śmierć jego lordowskiej mości została świadomie przyspieszona.

— To straszne oskarżenie, Dawson.

— Wiem o tym, proszę pani, dlatego nie chcę, aby domysły opuściły ściany tego pokoju; ale uznaliśmy, ja i pani Dawson, że z panią musimy nimi się podzielić. Ta kobieta wciąż zamieszkuje w sąsiedztwie.

Pani Dawson w zamyśleniu wpatrywała się w filiżankę.

— Rozmawiałam z panią Greenock, właścicielką „Domku pod Kormoranem”.

— To miejsce gdzie obecnie mieszka pielęgniarka?

— Tak, twierdząc, że to wypoczynek przed następną posadą. Pani Greenock wcale nie powitała jej z otwartymi rękami. Wolałaby wynająć domek tylko na zimę, a siostra Grey chciała w nim zamieszkać na — jak to określiła czas nieokreślony. Pan Pendorric jednak przekonał właścicielkę, żeby zawarła umowę z pielęgniarką.

Zacząłam rozumieć, dlaczego Dawsonowie chcieli ze mną rozmawiać. Pragnęli ujawnić swoje podejrzenia, dotyczące śmierci dziadka, lecz także powiadomić mnie, że w naszym otoczeniu mamy awanturnicę, która nie tylko jest osobą bez skrupułów, ale także utrzymuje większą zażyłość z moim mężem, niż oddanym sługom wydawało się właściwe.

Jeśli chcieli mnie zaniepokoić, to im się to znakomicie udało.

— Możliwie najzręcniej zmieniałam temat rozmowy i zaczęliśmy omawiać problemy Polhorgan. Poinformowałam ich, że moim życzeniem jest, aby sprawy gospodarskie biegły utartym torem, dopóki nie zdecyduję co zrobić z domem. Zapewniłam ich, że nie zamierzam niczego sprzedawać i pragnę, aby zostali tutaj jak długo zechcą.

* * *

Jeszcze tego popołudnia wybrałam się do doktora Clementa, by porozmawiać z nim o dziadku.

Gdy przyszłam, z warsztatu wyłoniła się Mabell ubrana w bawełnianą bluzkę i szeroką, żółtą spódnicę. Włosy miała upięte wysoko.

— Co za miła niespodzianka! — Zawołała serdecznie. — Andrew się ucieszy. Proszę do domu. To mój naprawdę udany dzień, pierwszy od dość dawna.

Doktor wyszedł na próg domku, przywitał się i oznajmił, że zjawiłam się w samą porę, bo właśnie ma wolne popołudnie.

Mabell zrobiła herbatę, podała ciastka — trochę spalone — i ciasto z lekkim zakalcem w środku.

Smakuje jak świąteczny pudding — ostrzegła mnie Mabell.

— Lubię puddingi — rozwiałam jej obawy.

Lubiłam Mabell, była jedną z niewielu, na których nie zrobiły wrażenia odziedziczone przeze mnie bogactwa.

Kiedy piliśmy herbatę poruszyłam raz jeszcze temat śmierci mojego dziadka.

— Czy żyłby dłużej, gdyby nie dostał ataku? — Spytałam.

— Tak. Ale musieliśmy liczyć się z tym, że takie ataki mogą nastąpić, a ich skutki, w każdym razie byłyby fatalne. Nie zaskoczyło mnie w najmniejszej mierze to ostatnie wezwanie do pani dziadka.

— Ale gdyby mógł na czas wziąć swoją tabletkę, mógłby jeszcze żyć!

— Widzę, że Dawson znów z panią rozmawiał.

— Z panem też o tym mówił, — prawda?

— Tak. Zaraz po śmierci lorda, o tym, że dzwonek i tabletki znalazł na podłodze.

— Gdyby... gdyby dziadek był w stanie dostać lekarstwo... dosięgnąć do dzwonka...

— Wydaje się najzupełniej oczywiste, że właśnie to próbował uczynić i zrzucił wszystko na podłogę. Niestety, wtedy atak, nie hamowany żadnym środkiem medycznym, przybrał groźne rozmiary i... nastąpiło zejście.

Mabel pokroiła ciasto i nałożyła mi kawałek.

— Już po wszystkim — rzekła łagodnie. — Rozpamiętywanie przeszłości nie przyniesie niczego dobrego.

— Jednak chciałabym znać szczegóły.

— Moim zdaniem Dawsonowie niezbyt dobrze zgadzali się z siostrą Grey — ciągnęła Mabell.

— Pielęgniarki znane są z tego, że lubią narzucać swoją wolę, zaś każdy majordomus jest czuły na punkcie własnej godności. Ochmistrynie zaś mają skłonność uważać dom za niepodzielne dominium, strzegąc zazdrośnie swej władzy. Tego typu konflikty nie są czymś niezwykłym, a Dawsonowie teraz zwietrzyli okazję, żeby się odegrać.

— A poza tym — wtrącił Andrew — choćby nawet Dawson zarzucił pielęgniarce umyślne działania, ona po prostu może stanowczo zaprzeczyć. Dawson nie ma żadnych dowodów.

— Ona tylko wygląda jak laleczka z saskiej porcelany, ale przypuszczam, że w rzeczywistości jest twarda jak skała — powiedziała Mabell. — Opieka nad lordem Polhorganem była dla niej niezłą posadą. W każdym razie, sprawiała wrażenie, że lubi swoje zajęcie. Jak długo była tu zatrudniona?

— Nieco ponad osiemnaście miesięcy — odparł doktor.

— Czy dobrze wykonywała swój zawód? — Spytałam.

— Całkiem zadawalająco.

— Sprawiała wrażenie jakiejś... oschłej, nieczulej?

— To pielęgniarka, która z racji swego zawodu obcuje z cierpieniem na co dzień. Doktorzy... pielęgniarki... trochę inaczej na to patrzą niż inni śmiertelnicy... zbyt dużo mają do czynienia z chorobą, bólem, nieszczęściem.

— Wiem, że mogę wam obojgu zaufać, pytam więc: czy nie sądzicie, że ona dowiedziała się jakoś, iż dziadek zapisał jej w testamencie tysiąc funtów i świadomie przyspieszyła jego śmierć?

Zapadło milczenie. Mabell wyciągnęła długą bursztynową cygarniczkę, otworzyła srebrną papierośnicę i poczęstowała mnie papierosem.

— Jeżeli byłaby w stanie zrobić coś takiego, — ciągnęłam powoli — to istnieje prawdopodobieństwo, że kiedy znajdzie nowe miejsce, życie kolejnego pacjenta mogłoby być zagrożone.

Doktor Clement wpatrywał się we mnie z napięciem i wreszcie rzekł:

— W obecnej chwili ona nie jest nigdzie zatrudniona. Odpoczywa. Ponadto sądzę, że byłoby rzeczą nierozsądną dopuścić, by takie słowa wyszły poza ściany tego pokoju.

Mabell, w swój bezceremonialny sposób zmieniła temat rozmowy.

— Otrząsnęłaś się już po tej nocnej przygodzie? — Spytała.

— Oo... tak.

— Nieprzyjemne zdarzenie — rzekł doktor.

— Jeszcze teraz dreszcz mnie przelatuje, kiedy o tym myślę.

— Drzwi się zatrzasnęły, prawda?

— Jestem pewna, że ktoś nas zamknął na klucz.

— Deszcz zamoczył zamek i sprawił, że się wtedy zaciął — domyślał się Andrew.

— Ale...

— Kto, na miłość boską, mógłby chcieć was zamknąć? — Mabel w zamyśleniu strząsnęła popiół z papierosa.

— Od tamtej chwili zadaję sobie to samo pytanie.

— Więc nie wierzy pani, że drzwi się zablokowały? — Andrew pochylił się wyczekująco.

Zawahałam się z odpowiedzią, uświadamiając sobie jakie mogę wyrzucić na nich wrażenie. Najpierw powtarzam podejrzenia wobec siostry Grey, potem napomykam, że ktoś mnie uwięził w grobowcu. To dwoje inteligentnych, otwartych ludzi. Jeśli się zagalopuję, mogą pomyśleć, że cierpię na manię prześladowczą.

— Ogólna opinia jest taka, że drzwi się zablokowały. Jest przecież tylko jeden klucz i na dodatek zamknięty w szafie, w gabinecie mojego męża. On sam przyniósł go do krypty i on też stwierdził, że drzwi nie były zamknięte na klucz.

— Dzięki Bogu, że was znaleźli.

— Gdyby nie przypadkowa obecność Deborah w pobliżu grobowca — a to był naprawdę tylko szczęśliwy traf — Bóg wie jak długo siedziałybyśmy tam jeszcze. Może nawet do dziś.

— O, nie! — Zawołała Mabell.

— Dlaczego nie? Takie rzeczy się przecież zdarzały.

— Niemożliwe. — Andrew wzruszył ramionami.

— W przyszłości, — wtrąciła Mabell — musisz być bardzo ostrożna.

Andrew znów nachylił się ku mnie z dziwnym wyrazem oczu.

— Tak, w przyszłości musi być pani bardzo ostrożna — powtórzył.

Mabell roześmiała się raczej nerwowo i zaczęła rozvodzić się nad garnkiem, który rzekomo wybitnie jej się udał. Po wypaleniu chciałyby usłyszeć moje zdanie na ten temat.

Podejrzywałam, że dopiero jak wyjdę, rodzeństwo zacznie roztrząsać moje problemy. Będą się, być może, zastanawiać jakie to zdumiewające, że drzwi były zatrzaśnięte, a nie zamknięte na klucz, mówić o tym, że Roc miał jedyny klucz. Słyszeli już niewątpliwie, że Roc przekonał panią Greenock, żeby wynajęła Althei Grey swój domek i będą zadawać sobie pytnie: cóż to się dzieje teraz w tym Pendorric?

Przez takie myśli wcale nie poczułam się lepiej.

* * *

Nie chciałam już wracać do rozmowy na temat dręczących mnie wątpliwości. I tak obawiałam się, że do Clementów powiedziałam zbyt dużo. Szkoda, że z Rokiem nie mogłam przedyskutować wszystkich moich obaw, ale spodziewałam się, że tylko śmiałyby się ze mnie, a poza tym sam był w to wszystko wplątany.

Usiłowałam wieść normalne życie. Dokładnie tydzień po tej mojej mefortunnej przygodzie, poszłam odwiedzić Jessea Pleydella. Przywiął mnie bardziej wylewnie niż zwykle i starał się mi bardzo wyraźnie okazać, jak cieszy go moje przybycie. Domyśliłam się z tego, że już słyszał naszą historię.

Tym razem nie siedzieliśmy przed domem — dzień był na to zbyt chłodny. Niemal mnie zmusił do zajęcia jego reprezentacyjnego fotela, gdy on parzył herbatę. Pozwolił mi nalać ją do filiżanek, a potem powiedział:

— Bardzo się zmartwiłem, kiedy usłyszałem, co ludzie mówili.

— Chodzi ci o...

— O to co zaszło na cmentarzu.

— Ach, to był tylko niefortunny wypadek.

— Nie podoba mi się to — pokręcił głową.

— Domyślamy się, że to zakrystian już dość dawno zostawił przez zapomnienie otwarte drzwi.

Nikt tego nie zauważył, bo nikt tam właściwie nie chodzi.

— No, nie wiem, nie wiem — mruknął Jesse.

Milczeliśmy dłuższą chwilę, a potem starzec odezwał się znowu:

— Droga pani, ja myślę, że musi pani być teraz szczególnie ostrożna. Bardzo ostrożna.

— Jesse! O czym ty mówisz?

— Och, gdyby te moje stare oczy nie były tak ślepe, mógłbym zobaczyć, kto był z nią wtedy na galerii.

— Jesse, naprawdę nie rozpoznałeś kto to był?

Jesse zrobił dziwny grymas i uderzył pięścią w kolano.

— Obawiam się, że tak.

— Eee, pewnie myślisz, że to była Lowella Pendorrice, ta która zmarła przed tylu laty.

— Nie widziałem wyraźnie, bałem się, a później gadali, że była przeklęta z chwilą, gdy stała się Małżonką z Pendorrice.

— Sądzisz więc, że ja...

— Myślę, że musi pani uważać, pani Pendorrice i myślę też, że nie powinna pani chodzić w takie miejsca, gdzie może panią spotkać coś złego.

— Chyba masz rację, Jesse — przytaknęłam, a po chwili milczenia rzekłam: — Twoje astry są jak malowane.

— Tak, tak. Mam nadzieję. To zasługa pszczoł. Bez przerwy je tu słyszę. Zawsze lubiłem astry, choć to smutne kwiaty, bo nazywamy je zwiastunami jesieni.

Wyszłam od niego, minęłam domki, i w pobliżu kościoła zatrzymałam się przed cmentarną bramą zaglądając do środka.

— Dzień dobry, pani Pendorrice. Dinah Bond szła w moim kierunku.

— Słyszałam, słyszałam. Biedna pani Pendorrice. Przypuszczam, że w tym grobowcu umierała pani ze strachu. — Niemal wyśmiewała się ze mnie. — Powinna pani pozwolić mi wcześniej powróżyć sobie z ręki — ciągnęła. — Ostrzegłabym panią.

— Nie było pani tutaj, kiedy się to przydarzyło, pani Bond?

— Nie. Mój Jim wziął mnie na targ. Bardzo późno wróciliśmy. Dopiero rano usłyszałam o tym. Było mi pani żal, bo mogłam sobie wyobrazić, co pani czuła w tej krypcie, w ciemnościach. — Podeszła bliżej i oparła się o bramę. — Tak sobie myślałam, że w tym wszystkim było coś dziwnego — ciągnęła. — Czy nic pani w tym nie uderzyło? Historia lubi się powtarzać.

— Co pani ma na myśli?

— Jak to, nie pamięta pani? Przecież Morwenna była kiedyś zamknięta w tym grobowcu. A teraz pani, z Hyson. Myślę, że ktoś sobie o tym przypomniał i usiłował to powtórzyć.

— A więc pani przypuszcza, że ktoś mnie zamknął na klucz? Wszyscy sądzą, że drzwi same się zatrzasnęły.

Zamiast odpowiedzi wzruszyła ramionami, a po chwili mówiła dalej jakby w natchnieniu:

— Była tu kiedyś Barbarina i wyszła za Pendorrica i była też Luiza Sellick, która musiała odejść i mieszka dotąd opodal Dozmary. Teraz tutaj przybyła pani — ludzie gadają, że pani stała się teraz bardzo bogata — jest pani nową Małżonką a...

— A...? Proszę mówić.

— Nie życzyła sobie pani wróżby z ręki, prawda? — Roześmiała się. — Nie wierzy pani, że to potrafię. Cóż, w takim razie i tak nie przekonam panią do moich przepowiedni. Ale tu wszystko ma swoje przeznaczenie i pasuje do swego wzoru — czy rozumie pani o co mi chodzi?

— Chyba nie.

Przeszła przez bramę cmentarną mijając mnie z uśmiechem.

— Może i jest pani bardzo bogata, pani Pendorrice — mruknęła — ale nie jest pani bardzo bystra. Rzuciła mi spojrzenie przez ramię i odeszła w kierunku kuźni, kołysząc biodrami w prowokacyjny sposób, który stał się jej drugą naturą.

* * *

To wszystko nie podziałało na mnie uspokajająco. Miałam ogromną ochotę porozmawiać z Rokiem i wyjawić mu co mnie gnębi, ale coś mnie od tego powstrzymywało. Chyba z tego powodu, że nie byłam do końca pewna, gdzie w tej łamigłówce mieściła się osoba Roca.

Dom był cichy i spokojny. Deborah zabrała Hyson i Carrie do Devonshire, a Lowella nie zgodziła się chodzić na lekcje, kiedy jej siostra ma czas wolny od nauki.

— Nie mogę być nie w porządku względem Hyson — argumentowała obłudnie. — Nie mogę się teraz uczyć, bo będę umieć więcej niż ona i potem nigdy mnie już nie dogoni.

Morwenna trochę się opierając, raczej dla zasady, ustąpiła w końcu, a Lowella deklarując nagły afekt dla ojca — jej uczucia zmieniały się równie często jak kierunek wiatru — przejawiała raptowną ochotę spędzania większości czasu z nim na farmie.

Złapałam się na tym, że stale nad słuchuję czy nie napłyną dźwięki pieśni lub gry na skrzypcach. Uświadomiłam sobie, że ta niemiła przygoda w grobowcu wstrząsnęła mną bardziej, niż chciałam przyznać. Miałam ochotę znaleźć się gdzieś poza domem, gdzie mogłabym spokojnie wszystko przemyśleć. Wzięłam więc samochód i wyjechałam na wrzosowisko.

Nie miałam zamiaru jechać tą samą, co poprzednio, trasą. Chciałam być tylko swobodna, sama i móc spokojnie myśleć z dala od domu. Zaczynałam podejrzewać, że tamto otoczenie oddziaływało na mnie w taki sposób, iż stawałam się bardziej psychicznie rozchwiana, niżby uzasadniała to sytuacja.

Wjechałam na odludną drogę na wrzosowisku, wyłączyłam silnik i oparłszy się plecami o samochodowy fotel zaczęłam rozmyślać. Przebiegałam pamięcią każdy szczegół tego, co się zdarzyło od pierwszego dnia, w którym spotkałam Roca. I choć rozważałam wszystko z różnych punktów widzenia, jedna natrętna myśl tłukła mi się po głowie: Roc, kiedy mnie brał za żonę wiedział, że będę dziedziczką.

Dinah Bond mówiła coś o tym, jak to historia się powtarza. Barbarina została poślubiona dla pieniędzy, podczas gdy jej mąż...??

To było coś, z czym nie mogłam się pogodzić. On nie był nigdy takim dobrym aktorem, żeby mnie oszukać ze szczętem. Myślałam o namiętności, którą wspólnie dzieliliśmy, o tym jak się ze mną kochał. Przecież to wszystko nie mogło być kłamstwem. Jeszcze mi w uszach brzmiał jego głos, kiedy mówił: „Kochanie, może i jestem graczem, ale nigdy bym nie ryzykował utraty czegoś, bez czego nie mogę się obejść”.

Nigdy też nie udawał świętego. Nigdy mi nie wmawiał, że jestem pierwszą i jedyną kobietą, którą kochał.

Odrzuciłam palonego papierosa, zapuściłam silnik i jechałam bez celu parę mil. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia gdzie jestem.

Otoczające mnie zewsząd wrzosowisko było dokładnie takie samo z każdej strony świata, krzyżujące się drogi prowadziły do nikąd. Pozostawało mi tylko jechać przed siebie aż napotkam jakiś drogowskaz.

Ruszyłam i po jakimś czasie znalazłam się w okolicach Dozmary. Gdy zobaczyłam rozlewisko, poczułam wielką ochotę raz jeszcze rzucić okiem na chłopca, który wyglądem tak bardzo przypominał Roca. Mimo wszystko, rzekłam do siebie, Luiza Sellick odgrywała przecież pewną rolę w historii Barbariny, a z kolei jej życie tak bardzo, wydawało się wiązać z moim.

Zatrzymałam samochód na brzegu rozlewiska i zesłam nad wodę. Sprawiała wrażenie szarej i lodowatej, a samo miejsce wyglądało na opuszczone. Zostawiłam samochód i pieszo dotarłam aż do drogi, która prowadziła do tamtego, zapamiętanego domu.

Nagle przyszło mi do głowy, że jeśli spotkam tu chłopca, może mnie poznać i zastanawiać się, po co tu wróciłam. Skręciłam więc w boczną dróżkę, wspinającą się na niewielki pagórek, o koleinach wyjeżdżonych tylko kołami wiejskich furmanek.

Miałam stąd widok na front domu, dzieliło mnie od niego tylko pole Porośnięte orlicą. Usiadłam za kępą tych dużych paproci i spoglądałam w kierunku domostwa, któremu teraz mogłam przypatrywać się bez °baw. Dostrzegłam garaż, stajnię i domyśliłam się, że chłopiec ma własnego konia. Ujrzałam z tyłu fragment cieplarni i starannie utrzymany ogród. Był to wygodny dom w raczej niezwykłym otoczeniu, bo całkowicie pozbawiony sąsiedztwa. Luiza Sellick chyba musiała czuć się tutaj samotnie, kiedy chłopiec odjeżdżał do szkoły, gdzie przecież chodzić musiał. Kim był chłopiec? Jej synem? Na to był chyba za młody. Nie mógł liczyć więcej niż trzynaście, no może czternaście lat. Petroc Pendorrice zmarł dużo wcześniej.

A więc czyje to dziecko? Było to pytanie z rodzaju tych, o których nie chciałam zbyt wiele myśleć. A gromadziło się ich coraz więcej.

Nagle otworzyły się drzwi werandy z oszklonym dachem i wyszedł chłopiec. Nawet z daleka rzucało się w oczy jego podobieństwo do Roca. Coś powiedział, a potem pojawiła się kobieta. Mimo woli skuliłam się za liśćmi paproci, żeby nie zostać rozpoznaną, bo tą kobietą okazała się Rachel Bective.

Ruszyli w kierunku samochodu, małego, szarego morrisa z garażu w Pendorrice.

Wsiadła, odjechała, a chłopiec pokiwał jej ręką na pożegnanie.

W momencie chwilowej paniki przemknęło mi przez myśl, że może rozpoznać mój samochód, kiedy będzie przejeżdżał obok. Biegiem pokonałam odległość, a kiedy dobiegłam do głównej drogi odczułam ulgę widząc, że skręciła w przeciwnym kierunku.

Wolnym już krokiem wróciłam do auta i odjechałam do domu.

Po co — zadałam sobie pytanie — Rachel Bective odwiedzała chłopca, który najwyraźniej miał powiązania z Pendorriceami?

* * *

Po kilku dniach wróciły do domu Deborah, Hyson i Carrie. Dziewczynka była blada i pomyślałam sobie, że ten wyjazd nie przyniósł spodziewanej korzyści.

— Tęskniła za Lowellą — rzekła Morwenna jakby w formie wyjaśnienia. — Nigdy nie są całkiem szczęśliwe, gdy przebywają osobno, choć będąc razem kłócą się niemal cały czas.

— Tylko bliźniaczki potrafią to zrozumieć. — Deborah uśmiechnęła się blado. — My to rozumiemy, prawda Morwenna?

— Tak, chyba tak — odparła Morwenna. — Roc i ja byliśmy sobie zawsze bardzo bliscy, choć rzadko dochodziło do sporów.

— Roc nigdy nie lubił zadawać sobie tyle trudu, by się z kimś wdawać w kłótnię — mruknęła Deborah. Zwróciła się do mnie: — Moja droga, niezbyt dobrze wyglądasz. Powinnaś jednak z nami jechać. Wspaniałe powietrze na wrzosowiskach postawiłoby cię na nogi.

— Och, Deborah, nasz morski klimat jest zdrowszy — roześmiała się Morwenna.

— Ale zmiana klimatu każdemu wychodzi na dobre.

— Cieszę się, że już wróciłyście — zwróciłam się do Deborah. — Brakowało mi was.

Wyglądała na uradowaną.

— Chodź ze mną, przywiozłam ci z domu prezent.

— Prezent?! Dla mnie?! Jaka jesteś kochana!

— To jest coś, co bardzo wysoko sobie cenię.

— Więc nie mogę tego przyjąć!

— Musisz, moja droga. Cóż to byłby za prezent, gdybym dała ci coś, czego pragnęłabym się pozbyć!

Może mogłabym pomówić z Deborah, pomyślałam. Naturalnie nie wprost, ale jakąś pośrednią drogą. Przecież ona chyba lepiej niż obcy ludzie powinna znać domowe sprawy.

W sypialni swojej pani Carrie rozpakowywała bagaże.

— Carrie, — zawołała Deborah — gdzie jest ten prezent dla pani Pendorrice?

— Tutaj — odparła służąca nie patrząc na mnie.

— Carrie źle znosi rozłąkę z ukochanymi wrzosowiskami — szepnęła mi Deborah.

Wzięła w dłoń mały przedmiot owinięty w bibułę. Odpakowałam podarunek i choć był to jeden z najpiękniejszych przedmiotów, jakie kiedykolwiek widziałam, wzbudził moją konsternację. W ramce, wyłożonej jadeitem i topazem, osadzona była delikatna miniatura młodej dziewczyny o pogodnych oczach i włosach spadających na ramiona.

— Barbarina — szepnęłam.

Deborah z uśmiechem spoglądała na obrazek.

— Wiem, jak się nią interesujesz i pomyślałam sobie, że chciałabyś to mieć.

— To piękna rzecz. Musi być bardzo cenna.

— Cieszę się, że ci się podoba.

— Czy ty też masz podobny wizerunek? Wolałabym twój.

Moje słowa najwyraźniej ją ucieszyły.

— Malarze zawsze chcieli malować Barbarinę. Ojciec interesował się sztuką i zapraszał do domu wielu artystów, którzy mawiali: „Musimy koniecznie namalować bliźniaczki; zacniemy od Barbariny”. Czasami dotrzymywali słowa, ale kiedy nadchodziła moja kolej, zwykle o mnie zapominali. Mówiłam ci kiedyś, że moja siostra miała coś, czego mnie brakowało. Przyciągała uwagę wszystkich, a ja, z wyglądu podobna do niej, byłam tylko jej bladym odbiciem, rzecz można, niedoskonałą kopią, zamglonym wizerunkiem dużo mniej atrakcyjnym.

— Nie doceniasz siebie, Deborah — zgańłam ją. — Jestem pewna, że byłaś równie urocza jak ona.

— Och, Favel! Jakie z ciebie kochane dziecko! Jak to dobrze, że Roc cię wyszukał i przywiózł do nas. Jestem mu wdzięczna.

— To ja powinnam odczuwać wdzięczność. Wszyscy tutaj są dla mnie tacy mili... a szczególnie ty.

— Ja? Zanudzając cię na śmierć moimi starymi zdjęciami i rozmowami o dawnych czasach?!

— Dla mnie jest to ogromnie interesujące. Chcę cię zapytać o tyle rzeczy!

— Więc co cię powstrzymuje?! Chodź, siądźmy przy oknie. Och, jak to dobrze znowu być w domu! Kocham moje wrzosowiska, ale morze jest bardziej ekscytujące. Takie zaskakujące, nigdy nie da się przewidzieć, jak będzie wkrótce wyglądać.

— Gdy Roc i Morwenna byli mali i wymagali twojej opieki, musiało ci bardzo brakować wrzosowisk.

— Czasami, ale kiedy wysłaliśmy ich do szkoły, wróciłam do Devonshire.

— Czy oni wakacje spędzali w Devon?

— Nie. Prawie zawsze oboje przyjeżdżali do Pendorric. Później Morwenna zaczęła przywozić ze sobą Rachelę i stało się prawie regułą, że i ona spędzała z nami cały wolny czas. Morwenna z jakiegoś powodu nadzwyczaj ją lubiła, choć Rachelę właściwie wcale nie była przyjemnym dzieckiem. Kiedyś zamknęła Morwennę w krypcie cmentarnej. Tylko dla zabawy! Ty chyba możesz sobie wyobrazić, jak przerażona była biedna Morwenna. Po tym zdarzeniu prześladowały ją nocne koszmary, a kiedy przysłam ją uspokoić, opowiedziała nu całą historię. Ale w zadziwiający sposób nie zakłóciło to ich przyjaźni i kiedy Morwenna z Rokiem wyjechali do Francji, Rachelę pojechała z nimi.

— Kiedy to było?

— Już byli prawie dorośli. Mogli mieć wtedy około osiemnastu lat. Wciąż miałam nadzieję, że Morwenna zakończy tę przyjaźń, ale nigdy się tego nie doczekałam. A w tym okresie cała trójka bardzo się ze sobą zżyła.

— Mieli około osiemnastu lat?...

— Tak. Morwennie bardzo zależało, żeby wyjechać do Francji. Pragnęła przez dwa miesiące pobytu poprawić akcent. Była już po średniej szkole i sądziłam, że chce jeszcze kontynuować naukę za granicą. Przekonała mnie, iż lepiej będzie zamieszkać w jakimś pensjonacie, gdzie o wiele łatwiej udoskonali język przez kontakty z rdzennymi Francuzami, niż ucząc się w szkole.

— Więc Morwenna wyjechała do Francji na dwa miesiące...

— A razem z nią Rachelę. No i Roc na pewien czas. Trochę się wtedy niepokoiłam. Roc spędzał z nimi tak dużo czasu i zaczęłam się obawiać, że on i Rachelę...

— Byłoby to... niepożądane?

— Moja droga, wiem, że to raczej małostkowe, ale jakoś nie mogłam znieść myśli, że Rachelę zostałaby panią na Pendorric. Ona nie miała tego czegoś... tej iskry bożej, uroku. Była wykształcona, ale z jakiegoś powodu nie lubiłam jej... nie potrafiłam jej ufać. Lecz to co powiedziałam, niech zostanie tylko między nami. Nie mówiłam dotąd tego nikomu.

— Chyba wiem, co masz na myśli.

— Ona jest zbyt sprytna. Człowiek odnosi wrażenie, że cały czas czeka na jakąś okazję. Może to tylko moja, niemądra wyobraźnia, ale mówię ci, byłam wtedy bardzo zaniepokojona, bo Rocowi zbyt zależało, na wygodnym pensjonacie dla dziewcząt. Mieszkał też z nimi przez pewien czas, a potem ciągle jeździł do Francji. Za każdym razem, kiedy stamtąd wracał, drętwiałam ze strachu, że może mi oznajmić to, czego się obawiałam. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło.

— To było tak dawno — zauważyłam.

Deborah pokiwała głową.

Zaczęłam w myśli liczyć. Mieli wtedy po osiemnaście lat, a chłopiec mógł mieć około czternastu. Roc teraz był w wieku trzydziestu dwóch lat.

Często wydawało mi się, że Rachelę kurczowo trzyma się Pendorric. Sprawiała takie wrażenie. Miała kompleksy, a jednocześnie była w niej pewna agresywność. Tak jakby stale dawała do zrozumienia: „Traktujcie mnie jak członka rodziny, bo inaczej...!”

No i jeździła odwiedzać chłopca, mieszkającego z Luizą Sellick!

— To było tak dawno — powtórzyłam. — Chyba w czasie, kiedy zmarł ich ojciec... to znaczy ojciec Roca i Morwenny.

— Nie, ojciec ich umarł wcześniej; kiedy mieli po jedenaście lat. Sześć lat po tym jak Barbarina...

Więc chłopiec nie mógł być synem Petroca seniora. Och, Roc dlaczego masz przede mną jakieś sekrety? Chyba nie jest to konieczne?!

W pierwszym odruchu chciałam przy najbliższej okazji pomówić z Rokiem, wyjawić mu swoje wątpliwości i podejrzenia.

Weszłam do pokoju, położyłam miniaturę na półce i stałam kilka minut patrząc w łagodne oczy malowanej twarzy.

Zdecydowałam jednak odwlec tę rozmowę i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o sieci, w którą zostałam wplątana.

* * *

Kiedy Mabell Clement wydawała przyjęcie wciąż jeszcze przeżywałam swoje duchowe rozterki. Drogę do domku doktora przejechaliśmy w milczeniu, oboje jacyś cisi i przygaszeni. Mnie dręczyły myśli o chłopcu z wrzosowisk i jego związku z moim mężem. Miałam wielką ochotę porozmawiać o tym z Rokiem, ale nie byłam pewna jej skutków. Bałam się, że Roc może nie powiedzieć mi prawdy. Z całej duszy pragnęłam usłyszeć tę prawdę, jednocześnie rozpaczliwie próbowałam zachować w nienaruszonym stanie moje cudowne szczęście małżeńskie.

Zaś Roc przypuszczając, że ta okropna przygoda w krypcie bardzo mnie rozstroiła i że potrzebny mi czas bym doszła do siebie, obchodził się ze mną delikatnie jak w dniach żałoby po śmierci mojego ojca.

Mabell okazała się wspaniałą gospodynią i wytworzyła się przyjemna, nieskrępowana atmosfera. Na przyjęciu było obecnych wielu przyjezdnych artystów, gdyż sceneria naszego wybrzeża czyniła zeń raj zwłaszcza dla malarzy. Ucieszyłam się, gdy jeden z nich wspomniał mego ojca i wyrażał się z uznaniem o jego pracach.

Z drugiej strony pokoju słyszałam śmiech Roca i zobaczyłam, że stanowił ośrodek zainteresowania jakiejś grupki złożonej przeważnie z kobiet. Cała gromadka wydawała się dobrze bawić i żałowałam, że nie mogę podzielać ich beztrioski.

— Jest tu ktoś, kto chce z tobą porozmawiać. — U mojego boku znalazła się Mabell z jakimś młodym mężczyzną. Przyglądałam mu się przez kilka sekund zanim go rozpoznałam.

— Jestem John Poldree, pamięta mnie pani?

— Tak. Był pan na balu...

Mabell lekko klepnęła go w ramię i odeszła.

— To był wspaniały bal — ciągnął młodzieniec.

— Cieszę się, że ma pan miłe wspomnienie.

— Lecz to, co nastąpiło potem, było bardzo smutne...

Kiwnęłam głową.

— Pani Pendorrice, jest coś, co chciałem pani powiedzieć, choć nie sądzę, by teraz miało to większe znaczenie.

— Tak?

— To dotyczy pielęgniarki.

— Siostry Grey?

— Przypomniałem sobie gdzie widziałem jej twarz. To było w jakiejś gazecie. Byłem w Genui, gdzie niezbyt regularnie docierała do mnie angielska prasa. Pamiętam, że przeglądałem stare

numery. W jednym z nich zobaczyłem zdjęcie pielęgniarki. To była ona. Siostra Althea Stoner Grey. Gdybym usłyszał tutaj jej podwójne nazwisko, przypomniałbym sobie od razu. Pamiętałem tylko twarz; rzadko spotyka się taką doskonałość rysów.

— Czego pan się o niej dowiedział?

— Obawiam się, że w pierwszej rozmowie z panią przedstawiłem ją w fałszywym świetle. Chodziło mi wtedy po głowie, że była zamieszana w jakieś przestępstwo. Mam nadzieję, że tę moją opinię już dawno puściła pani mimo uszu. Jednak, prawdę mówiąc, sprawa, w której pielęgniarka brała udział nie należała do najprzyjemniejszych. Ma szczęście, że nosiła wówczas dwuczłonowe nazwisko: mogła opuścić pierwszą jego część, stając się inną osobą. Wtopiła się w tłum rozlicznych Greyów. W przeciwnym razie wciąż jeszcze odczuwałaby skutki tamtej sprawy, którą zresztą przegrała.

— Co to była za sprawa?

— Doglądała jakiegoś starca a on zapisał jej swoje pieniądze, pominięta żona wystąpiła na drogę sądową o obalenie testamentu. Notatka była jedynie kilkuwierszowa, wie pani, jacy oszczędni w słowach i niedokładni potrafią być czasem dziennikarze.

— Kiedy to miało miejsce?

— Ze sześć lat temu.

— Spodziewam się, że zanim przyjęła posadę u dziadka, gdzieś wcześniej pracowała.

— Niewątpliwie.

— Sądzę też, że przedstawiła dziadkowi bardzo dobre referencje; on lubił mieć pewność w takich sprawach.

— Taka kobieta jak ona na pewno nie miała z tym trudności. Umie chodzić koło własnych spraw; to widać. Poza tym wygląda na osobę twardą i upartą.

— Też tak myślę.

— Chciałem z panią pomówić, jak tylko dowiedziałem się, kim ona jest. To chyba niepotrzebne, bo sądzą, że dawno wyjechała. — Roześmiał się.

— Przeciwnie. Nadal mieszka w pobliżu. Zafundowała sobie urlop i na jakiś czas wynajęła tu domek. Dziadek zostawił jej nieduży zapis, więc przypuszczalnie uważa, że może sobie pozwolić na odpoczynek.

— Prywatna pielęgniarka... to musi być intratne zajęcie, pod warunkiem, że ktoś jest na tyle zapobiegliwy, by sobie wybierać odpowiednio bogatych pacjentów.

— Choć, oczywiście, nie ma pewności, że będą oni umierać w czasie wygodnym dla opiekunki, pozostawiawszy stosowne zapisy.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Ta jest sprytna. Na moje oko jest ona z tych, co wybierają z dużą starannością. — Podniósł jeden z dzbanów, poustawianych wszędzie dokoła. — Ładna sztuka — ocenił.

Dla niego temat został wyczerpany, ale nie dla mnie. Nie potrafiłam tak od razu wyrzucić z pamięci siostrę Grey, a kiedy myślałam o niej, moje myśli biegły równocześnie do Roca.

Powrotna droga do Pendorrick upłynęła nam w głębokim milczeniu.

* * *

Od pewnego czasu dostrzegłam w Morwennie jakąś zmianę. Były dni, kiedy sprawiała wrażenie, że śni na jawie jakieś szczęśliwe sny, bo wtedy na twarzy malował jej się wyraz niemal zachwytu. Niekiedy zamyślała się, jakby zapominając o bożym świecie. Raz czy dwa w takiej chwili zadałam jej pytanie i nie doczekałam się odpowiedzi.

Pewnego wieczoru kiedy przebieraliśmy się do kolacji przyszła do naszego pokoju.

— Mam wam coś do powiedzenia — oznajmiła.

— Zamieniamy się w słuch — rzucił Roc.

Usiadła, milcząc przez kilka sekund. Roc rzucił mi zdziwione spojrzenie unosząc do góry brwi.

— Nie chciałam nikomu nic mówić, dopóki nie byłam całkiem pewna.

— No, no, nasza ciekawość rozgrzewa się do białości — zażartował Roc.

— Powiedziałam już Charlesowi, oczywiście, a teraz przyszedłam do was, zanim wszystko wyjdzie na jaw.

— Pewnie wkrótce usłyszymy tupot małych stopek w pokoju dzieciennym, co? — Domyślił się Roc.

— Och...! — Krzyknęła tylko i rzuciła się w ramiona brata.

Roc uściskał ją i zaczął zamasyżować ją w tańcu wokół pokoju. Raptem zatrzymał się z przesadną troską.

— No, teraz musimy na ciebie chuchać i dmuchać. — Wypuścił ją z objęć i pocałował z namaszczeniem w policzek. — Wenna, — zwrócił się do niej imieniem przywołanym z dzieciństwa — ogromnie się cieszę. To wspaniała wiadomość! Wszystkiego najlepszego!

W jego głosie brzmiał szczerzy zachwyt; ogarnęło mnie wzruszenie na widok ich braterskiego uczucia.

— Wiedziałam, że się ucieszysz!

Poczułam się niemal wykluczona z ich radości. Mogłam zaobserwować, jak bardzo byli sobie bliscy. Morwenna prawie zapomniała o mojej obecności i wiedziałam, że oznajmiając nam nowinę, miała na myśli przede wszystkim Roca. Przekonałam się teraz naocznie, jak wiele prawdy jest w opinii o mocnej więzi pomiędzy bliźniętami.

W pewnym momencie jednocześnie przypomnieli sobie, o mojej obecności.

— Favel, pomyślisz pewnie, że zwariowaliśmy — Morwenna zwróciła się do mnie.

— Ależ skąd. Przeciwnie. Cieszę się wraz z tobą i gratuluję.

— Gdybyś wiedziała, co czuję! — Szepnęła.

— Będziemy się modlić o chłopca — obiecał jej Roc.

— Tym razem musi być chłopak. Musi.

— Co na to wszystko Charles?

— A jak myślisz?! Jest zachwycony. Już wymyśla imiona.

— Pamiętaj, żeby było to dobre, stare imię kornwalijskie, ale na razie nie chcemy tu dalszych Petroców.

— Po tylu latach! — Morwenna cieszyła się jak dziecko. — To takie cudowne. Widzisz, Favel, zawsze pragnęliśmy chłopca...

Zeszliśmy razem na kolację; po posiłku Roc wznosił toast za zdrowie przyszłej matki.

Nazajutrz znów miałam okazję porozmawiać z moją szwagierką; stała się teraz bardziej przyjacielska, łagodna.

Zwierzyła się, że jest już trzeci miesiąc w ciąży i zaczyna planować wyprawkę niemowlęcia. Była tak pewna poczęcia syna, że zaczynałam się obawiać jej rozczarowania, gdyby na świat przyszła córka.

— Dziwisz się pewnie, że zachowuję się, jak młoda mężatka oczekująca pierwszego dziecka — rzekła ze śmiechem. — Ale tak właśnie się czuję. Charles bardzo pragnie chłopca... ja właściwie też, a zawsze wydawało mi się, że go jakoś zawiodłam, nie dając mu upragnionego syna.

— Z pewnością nie odbiera tego aż tak.

— Charles to taki dobry mąż. Nigdy nie pokazałby po sobie, że żywi do mnie urazę, ale wiem, jak marzy o chłopcu. Muszę bardzo na siebie uważać, żeby wszystko dobrze poszło. Kilka lat temu poroniłam i miałam poważne komplikacje; dr Elgin, który tu praktykował przed Andrew

Clementem nie zalecał mi ponawiania... a w każdym razie radził powstrzymać się przed zajściem w ciążę przez dłuższy czas. Rozumiesz, jak się czuję teraz!

— Tak, ale rzeczywiście musisz postępować z rozważą.

— Naturalnie, ostrożności nigdy nie jest za wiele.

— Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze, ale przypuśćmy, że będzie to jednak dziewczynka?

Na to zrzędała jej mina.

— Będiesz ją kochać tak samo, zobaczysz — zapewniłam ją.

— Zawsze się tak dzieje.

— Pewnie ją pokocham, ale to już nie będzie to samo. Pragnę syna, Favel. Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo.

— A wybrałaś już imię? Myślałam już o tym?

— Charles nalega żebyśmy, nazwali go Ennis. Jest to imię popularne w rodzinie Pendorriców. Jeśli ty będziesz mieć syna, nazwiesz go Petroc — to tradycja: najstarszemu synowi najstarszego syna zawsze nadawano imię Petroc. Ale Ennis jest równie dobre i także rdzennie kornwalijskie, a w dodatku pełne uroku, nie sądzisz?

— Ennis... — powtórzyłam.

Uśmiechnęła się, lecz malujące się mimo to na jej twarzy napięcie mocno mnie zaniepokoiło.

— Charles jest pewien, że to będzie Ennis — nie zmieniła tematu.

Pochyliłam się nad katalogiem z wyprawkami, który trzymała na kolanach i udawałam większe zainteresowanie, niż naprawdę czułam.

* * *

Nawet nowina Morwenny powodowała i utwierdziła mój stan niepewności i niepokoju. Ennis był imieniem często nadawanym w rodzinie Pendorriców, więc nie tylko wygląd chłopca z wrzosowisk ale i jego imię świadczyły o jego związku z tą rodziną.

Sądziłam, że potrafię ukryć swe podejrzenia wobec Roca, ale mi się to nie udało.

Pewnego dnia oświadczył, że zamierza zabrać mnie na wycieczkę, bo woja znajomość Konwalii — ogranicza się tylko do okolic naszego majątku.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Pendorric w powietrzu unosiła się lekka Jesienna mgiełka, ale Roc zapewnił mnie, że to tylko opary poranka, które wnet rozproszą się pod promieniami słońca. Miał rację.

Jechaliśmy przez wrzosowisko, potem skręciliśmy na północ, by Wreszcie zatrzymać się na lunch w przydrożnym hotelu.

Po posiłku uświadomiłam sobie, że Roc wywiózł mnie z domu, żeby ze mną poważnie pomówić.

— Teraz, — rzekł napełniając kielichy winem Cablis — wyduś to wreszcie.

— Co wydusić?

— To, co ci leży na sercu.

— Na sercu?

— Kochanie, w tym przypadku udawanie niewiniątka jest bezsensowne. Wiesz doskonale, o co mi chodzi. Przez ostatni tydzień mierzyłaś mnie wzrokiem, jakbyś podejrzewała, że jestem Sinobrodym, a ty moją dziewiątą żoną.

— Doprawdy, Roc, choć jesteś moim mężem już od kilku miesięcy, często mam uczucie, że nie znam cię dobrze.

— Czyżbym nie należał do tych, którzy zyskują przy bliższym poznaniu?

Jak zwykle potrafił jednym zdaniem sprawić, że udzielił mi się jego nastrój. Zaczynałam czuć się beztrzesko i radośnie, a moje podejrzenia wydały mi się niemądre.

— Jesteś jakiś... tajemniczy — oznajmiłam.

— A ty doszłaś do wniosku, że nadszedł czas, by zacząć rozwiązywać zagadki, co?

— Stanowimy małżeństwo i nie powinno być między nami żadnych tajemnic.

— Mam to samo zdanie. — Obdarzył mnie rozbajającym uśmiechem, który zawsze mnie wzruszał. — Wiem, co cię niepokoi. Odkryłaś, że przed ślubem nie wiodłem klasztorowego życia. To święta prawda, ale chyba nie chcesz zapoznawać się w szczegółach z każdym moim grzeskiem?

— Naturalnie, że nie — odparłam. — Nie z każdym, tylko z tymi większymi.

— Kiedy cię poznałem, uświadomiłem sobie, że wszystko co się przedtem zdarzyło, nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia.

— A teraz po ślubie nie ciągnie cię do starego trybu życia?

— Oświadczam ci, że jestem wiernym mężem w myśli, w mowie i uczynkach. Zadowolona?

— Tak, ale...

— Więc nie zadowolona?

— Są pewne osoby, które traktują cię w szczególny sposób i ja zastanawiam się, czy one zdają sobie sprawę z tego, że jakakolwiek zażyłość z tobą może mieć dla nich charakter... jedynie przyjacielski.

— Ach, wiem. Myślisz o Althei.

— Więc?

— Kiedy przybyła tutaj, by opiekować się twoim dziadkiem, pomyślałem, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu. Zaprzyjaźniłem się z nią. Rodzina zawsze przynaglała mnie do małżeństwa. Morwenna była już mężatką od lat i wszyscy dawali mi do zrozumienia, że teraz kolej na mnie i to mój obowiązek, ale ja jeszcze nie miałem zamiaru się ustatkować.

— Dopóki nie spotkałeś Althei?

— No, tak daleko nie sięgały moje plany. Można jednak przyjąć, że taka myśl przemknęła mi przez głowę jako ewentualna możliwość.

— A później dziadek poprosił cię, żebyś mnie obejrzał. Zdecydowałeś więc, że ja jestem lepszą propozycją.

— To brzmi trochę jak cytata z twojego dziadka. To wcale nie była kwestia „propozycji”. Już wcześniej doszedłem do wniosku, że nie chcę się ożenić z Altheą Grey, naprawdę, zanim lord Polhorgan wystąpił z tą swoją propozycją. A kiedy cię zobaczyłem — stało się! Po prostu. Okazałaś się dla mnie jedyną wtedy i na zawsze.

— Altheą chyba nie była z tego zadowolona.

— Do małżeństwa potrzeba dwojga. — Roc wzruszył ramionami.

— Zaczynam rozumieć. Chyba byłeś bliski zaręczyn z Altheą Grey, kiedy zmieniłeś zamiar, co?

A Dinah Bond?

— Dinah? Ona przyczyniła się do wyedukowania większości kawalerów w okolicy.

— Rozumiem. Nic poważnego?

— Absolutnie.

— A Rachela?

— Nigdy! — Zareagował niemal gwałtownie. — Po chwili spytał:

— Przesłuchanie skończone? Favel, zaczynam zastanawiać się czy nie jesteś przypadkiem zazdrosna?

Nie sądzę, żebym mogła być zazdrosna... bez powodu. Więc teraz już wiesz, że nie masz powodu.

— Roc... — zawałałam się, a on przynaglił mnie do mówienia. — Ten chłopiec, którego widziałam na rozlewisku...

— Tak?

— Wyglądał jak ktoś z rodu Pendorriców.

— Wiem, mówiłaś mi już przedtem. Chyba nie wyobrażasz sobie, że to owoc mojego grzechu przeszłości, Favel?!

— Cóż... Zastanawiam się właśnie, kim on jest?

— Wiesz, kochanie, nie masz chyba zbyt dużo zajęć? W czasie weekendu chcę się wybrać do naszej posiadłości na północnym wybrzeżu. Jedź ze mną. Dwie noce będziemy poza domem.

— Cudownie!

— Czy jeszcze coś cię gnębi?

— Nie rozumiem tak wielu rzeczy. Właściwie wszystko zaczęło się zmieniać od czasu, kiedy tam na wyspie, ujrzałam cię po raz pierwszy.

— To oczywiste, że po naszym spotkaniu nic nie mogło wydawać się takie samo, bo miłość poraziła nas jak piorun.

— Nie, Roc, nie chodzi mi o nas, a o innych. Nawet mój ojciec chyba się zmienił.

Twarz Roca przybrała nagle poważny wyraz i podjął nagle decyzję:

— Jest coś, czego nie wiesz o twoim ojcu, Favel.

— Coś, czego nie wiem?

— Tak, co przed tobą ukrywał.

— To niemożliwe. Zawsze mi się ze wszystkiego zwierzał. Byliśmy sobie tacy bliscy... mama, on i ja.

Roc pokręcił głową.

— Nie mówił ci wszystkiego. Nie powiedział ci na przykład, że pisał do dziadka.

Musiałam przyznać mu rację.

— Jak myślisz, dlaczego do niego napisał?

— Przypuszczalnie, doszedł do wniosku, że nadszedł czas, żebyśmy się spotkali.

— A nie wydaje ci się dziwne, że zwlekał z tym całe dziesięćnaście lat? Nie chciałem ci teraz tego mówić, Favel. Zamierzałem poczekać z tym, aż dobiedziesz pięćdziesiątki i będziesz szczęśliwą babcią, z wnuczętami bawiącymi się u twoich kolan. Wtedy te sprawy byłyby zbyt odległe, aby sprawić dotkliwy ból. Ale doszedłem do wniosku, że masz rację, nie powinno być między nami sekretów.

— Właśnie. Więc mów, proszę, co wiesz o moim ojcu.

— Napisał do twojego dziadka dlatego, bo wiedział, że jest śmiertelnie chory.

— Chory?!

— Tak. Zaraził się od twojej matki obcując z nią blisko i stale. W ostatnim stadium choroby nie powinna się z nim stykać, ale nie miała na to siły, a ojciec nie pozwolił jej odejść. Woleli udawać, że nic złego się nie dzieje, nie zwracali uwagi na jej stan. Przebywali ze sobą do końca, a on był jej jedyną pielęgniarką. „Powiedział mi też, że gdyby matka wyjechała na leczenie, mogłaby żyć trochę dłużej. Ale ona nie chciała.

— Więc on też... Nigdy mi nic nie mówił.

— Nie chciał, żebyś wiedziała. Bardzo się martwił o ciebie. W końcu postanowił napisać do Anglii i powiadomić dziadka o twoim istnieniu. Miał nadzieję, że dziadek zaprosi cię do Kornwalii. Chciał zostać sam na Capri, aby ci oszczędzić widoku swojej powolnej agonii.

— Ale przecież potrzebowałby opieki. Powinien wyjechać do sanatorium.

— To właśnie mu mówiłem i ufałem, że tak postąpi.

— Powiedział to wszystko tobie... a nie własnej córce?!

— Kochanie, to były niezwykle okoliczności. On mnie poznał, kiedy tylko wszedłem do pracowni i od razu wszystkiego się domyślił. Byłby to zaiste niezwykle przypadek, gdyby jakiś Pendorric przyjechał na wyspę, bez związku z listem, wysłanym do Polhorgan na miesiąc wcześniej. Znał dobrze metody twojego dziadka i odgadł od razu, że zostałem wydelegowany na przeszpiegi.

— Sądzę, że się przyznałeś.

— Lord Polhorgan nalegał, żeby nic nie mówić, ale niepodobieństwem było to ukryć przed twoim ojcem. Uzgodniliśmy jednakże, że tobie nic nie wyjawimy. Przypuszczaliśmy, że po moim sprawozdaniu dziadek na pewno napisze i zaprosi wnuczkę do Anglii. Tego oczekiwał twój ojciec. Ale później poznałem ciebie i dalej to już sama wiesz.

— A cały ten czas on był poważnie chory...!

— Zdawał sobie sprawę, że choroba zaczyna wkraczać w końcowe stadium. Ogromnie się ucieszył, kiedy dowiedział się o naszych matrymonialnych planach.

— Nie sądzisz, że mógł być zaniepokojony tym faktem?

— A czemużby?

— Ojcu zależało na moim szczęściu. Wiedział, że jestem wnuczką milionera, a ty możesz okazać się przecież tylko łowcą posagu.

Roc roześmiał się szczerze.

— Metody dziadka poznał na własnej skórze. Fakt, że jesteś jego wnuczką, nie zobowiązywał go jeszcze do przekazania ci majątku. Istniała możliwość, że mu się nie spodobaś, lub na mnie, jako twojego męża spojrzy krzywym okiem, a wtedy byłby zdolny cię wydziedziczyć. Twój ojciec dobrze to wiedział. Nie. On cieszył się z innych względów. Miał pewność, że otoczę cię opieką. Był szczęśliwy oddając cię mnie, a nie twojemu dziadkowi.

— Podejrzywałam, że czymś się zamartwia... tuż przed śmiercią. Zastanawiałam się nawet, czy mój ślub nie jest powodem jego niepokoju, czy nie boi się zostać sam. Co się właściwie zdarzyło tego dnia, kiedy poszliście się kapać?

— Favel, sądzą, że wiem dlaczego twój ojciec umarł.

— Dlaczego... umarł?

— Bo nie chciał już dłużej żyć.

— Chcesz powiedzieć...?

— Przypuszczam, że pragnął szybkiej i lekkiej śmierci i... znalazł ją. Zeszliśmy na plażę razem, pamiętasz. Była dość późna pora; na brzegu kręcili się nieliczni plażowicze. Kiedy dotarliśmy nad samo morze, twój ojciec zwrócił się do mnie: „Wiesz, że swój wolny czas powinieneś raczej spędzać z Favel”? Nie mogłem temu zaprzeczyć. „Wracaj do niej”, nakazał mi, „zostaw mnie, wolałbym być sam.” Potem popatrzył na mnie bardzo poważnie i powiedział jakby z jakimś namaszczeniem: „Cieszę się, żeś się z nią ożenił. Opiekuj się nią.”

— Sugerujesz, że celowo wypłynął daleko w morze, aby już nie wrócić?

Roc przytaknął ruchem głowy.

— Patrząc na to z perspektywy czasu mogę teraz powiedzieć, że wyglądał jak człowiek, który pod kolejnym rozdziałem swojego życia napisał już ostatnie słowo: „KONIEC”.

Ogarnęły mnie zbyt sprzeczne uczucia, aby wykrztusić choć słowo. W pamięci na nowo stanął mi tamten dzień, kiedy Roc wrócił do kuchni i siadłszy na stole, obserwował jak się krzątam. Nie wiedział jeszcze wtedy, co się stało, dopiero później do jego świadomości dotarło znaczenie pewnych słów... pewnych działań.

— Favel, — odezwał się Roc — chodźmy już stąd. Pojedziemy na wrzosowisko, tam się zatrzymamy i możemy rozmawiać do woli. Twój ojciec powierzył mi opiekę nad tobą, ufał mi, że będę się o ciebie troszczył. Ty też musisz mi zaufać, Favel.

* * *

Kiedy byłam z Rokiem, wierzyłam we wszystko co mówił, wątpliwości ogarniały mnie, kiedy zostawałam sama.

Och, gdyby wtedy ojciec mi się zwierzył, nigdy nie pozwoliłabym mu na to, co uczynił. Zająłabym się nim, przywiozła do Anglii; zapewniłabym możliwie najlepszą opiekę. Nie musiałby tak wcześnie umierać.

Jak wtedy potoczyłby się mój los?

W samotności uświadomiłam sobie, że rozmowa z mężem w istocie nie rozproszyła moich obaw, a nawet je zwiększyła.

Nie potrafiłam też oprzeć się uczuciu, że klucz do rozwiązania mojego problemu spoczywa w Dozmary. Złapałam się na ciągłym rozmyślaniu o jego mieszkańcach, o chłopcu i kobiecie.

Przypuśćmy, że spotkam się z Luizą Sellick. Właściwie czemu nie? Mogę jej przecież powiedzieć kim jestem i że słyszałam o jej powiązaniach z rodziną Pendorriców. Chyba wolno mi to uczynić zważywszy na charakter tego związku?

Sądząc z wyglądu — choć Luizę widziałam tylko przelotnie — sprawiała wrażenie uprzejmej i wyrozumiałej.

Czy mogę pójść do niej i powiedzieć, iż jestem stale porównywana z Barbariną Pendorrice, więc interesuje mnie każdy, kogo ona znała?

Wątpliwa argumentacja.

Lecz wciąż nękała mnie myśl, że powinnam pojechać do tamtego domku.

A może udać, że zgubiłam drogę? Nie, nie chcę niczego udawać.

Najlepiej będzie pojechać i na miejscu wymyślić jakiś pretekst.

Wzięłam ulubionego, niebieskiego morrisa i wyruszyłam na wrzosowisko.

Zatrzymałam samochód przed domkiem i wciąż nie byłam zdecydowana, co powinnam powiedzieć. Tak naprawdę to chciałam tylko zapytać: „Kim jest chłopiec, który wygląda jak ktoś z rodziny Pendorriców?” Jednak nie mogłam przecież zadać wprost takiego pytania.

Kiedy z namysłem spoglądałam na budynek, otworzyły się drzwi oszklonej werandy i wyszła z nich jakaś kobieta. Była leciwa i pulchna; najwyraźniej ujrzała mnie przez okno i wyszła zapytać czego sobie życzę.

Gdy się zbliżyła, wyszłam z auta i powitałam ją uprzejmym „Dzień dobry”, — Nazywam się Pendorrice — przedstawiłam się.

Kobieta wstrzymała oddech, a jej rumiane oblicze przybrało kolor ciemnej czerwieni.

— Pani Sellick nie ma dziś w domu — wyjąkała.

— A pani jest...?

— Jestem Polly, pracuję u pani Sellick.

— Stąd jest wspaniały widok — zagaiłam przyjmując swobodny towarzyski ton.

— My na to nie zwracamy uwagi. Przywykłyśmy, tak mi się zdaje.

— Więc... pani Sellick wyjechała?

— Odwiozła chłopca do szkoły. Wraca jutro.

Spostrzegłam, że Polly nagle zadrżała.

— Stało się coś złego? — Spytałam.

Kobieta zbliżyła się do mnie i wyszeptała:

— Pani nie przyszła zabrać chłopca, prawda?

Wlepiłam w nią zdumione spojrzenie.

— Proszę wejść do środka — zapraszała. — Nie możemy rozmawiać tutaj.

Prowadziła mnie przez trawnik na werandę, do holu. Potem otworzyła drzwi do miłego saloniku.

— Proszę łaskawie usiąść. Pani Sellick na pewno życzyłaby sobie, żebym panią czymś poczęstowała. Napije się pani kawy czy trochę mojego wina z czarnego bzu?

— Pani Sellick nie wiedziała, że przyjdę. Może nie powinnam zostać.

— To ja upraszam, żeby pani była łaskawa ze mną pomówić. Pani Sellick jest zbyt dumna, żeby o coś prosić. Z pewnością rzekłaby: „Tak... musisz zrobić, co ta pani każe...”, a dopiero po pani wyjściu okazałaby, że ma złamane serce. O nie, często modliłam się o okazję, żeby móc powiedzieć swoje, kiedy nadejdzie ten dzień. Widać zostałam wysłuchana przez Opatrzność, bo zdarzył się, kiedy ona wyjechała z chłopcem.

— Chyba to jakieś nieporozumienie...

— To nie jest nieporozumienie. Pani przybyła z Pendorric, a ona tego zawsze się bała. Często mawiała: „Polly, nie stawiałam żadnych warunków wtedy, nie będę stawiać i teraz”. Ona mi wszystko mówi. Wie pani.. — znam ją od samego początku. Sprowadziłam się tutaj razem z nią. To było wtedy, kiedy on się żenił. Dużo razem przeżyliśmy.

— Ach, tak.

— Proszę pozwolić podać pani kawę.

— Dziękuję. Może jednak lepiej będzie, jeśli nie skorzystam z zaproszenia. Pani Sellick może być niezadowolona, kiedy się dowie o mojej wizycie.

— To najśłodsze, najłagodniejsze stworzenie pod słońcem i często jej powtarzam, że jest zbyt łagodna. Tacy ludzie, jak ona, obrywają od losu. Ale nie zniosłabym, gdyby znów jej się coś przydarzyło. Nie dwa razy w jednym życiu... najpierw straciła je go, a teraz chłopca. To byłby dla niej zbyt ciężki cios. Chłopiec jest u nas od trzeciego tygodnia swojego życia. Stała się inną kobietą, od kiedy pan Roc go tutaj przywiózł.

— Pan Roc...?!

Kobieta kiwnęła głową.

— Bardzo dobrze pamiętam ten dzień. Zapadał zmierzch. Jestem pewna, że rozmyślnie czekali na tę porę. Przyjechali wprost z zagranicy... Pan Roc prowadził samochód, a z nim była jakaś kobieta... Wyglądała na bardzo młodą, choć niedokładnie ją widziałam. Kapelusz naciągnęła głęboko na czoło... nie chciała, by ją rozpoznano. Trzymała kiecko w ramionach i złożyła go wprost w objęcia pani Sellick, potem osiadła do auta i zostawiła pana Roca samego, by wszystko omówił.

Rachela! — pomyślałam.

— Widzi pani, Luiza miała poczucie winy. Kochała ojca pana Roca i sądziła, że się z nią ożeni. Tak by uczynił, ale Pendorric potrzebował pieniędzy, więc zamiast mojej pani poślubił tamtą, pannę Barbarinę. Nigdy Luizy nie rzucił, choć zdarzały się inne, ale to ona była dla niego tą jedyną. Kiedy umarła mu żona, poprosił ją o rękę. Odmówiła, uważała, że nie byłoby to stosowne. On potem często podróżował, ale wracał do Luizy. Nikt tyle dla niego nie znaczył, co ona. Sama pani jest teraz jedną z Pendorriców, na pewno słyszała pani całą historię i chyba nie muszę jej powtarzać. Kiedy umarł, ogromnie to przeżywała; była załamana. Zawsze chciała mieć z nim dziecko... choćby urodzone poza legalnym związkiem. Bardzo interesowała się jego bliźniakami, to była taka psotna parka. Dowiedziały się o swoim ojcu i przyszły kiedyś obejrzyć Luizę. To było już po jego śmierci, zaprosiła je i poczęstowała ciastem. Później też przychodziły od czasu do czasu. Powiedziała im kiedyś, że gdyby znalazły się w kłopotach — zrobi dla nich wszystko, co będzie w jej mocy. A potem przyszedł ten list od pana Roca. Był właśnie w kłopotach. Chodziło o dziecko, zwrócił się do niej o pomoc.

— Rozumiem.

— Naturalnie, zgodziła się pomóc. Pragnęła tego. Wzięła do siebie malutkiego Ennisa i od tamtej chwili stała się dla niego matką. To był dla niej punkt zwrotny. Kiedy do tego domu zawitał chłopiec, razem z nim weszło szczęście. Ale ona nigdy nie przestała się bać. Wyrastał na takie piękne dziecko, ale nie był jej. Nie wzięła pieniędzy, nie stawiała żadnych warunków. Wie pani, zawsze bała się, że któregoś dnia zjawi się pan Roc i zażąda chłopca. Gdy usłyszała o ślubie młodego dziedzica, była pewna, że zechce odebrać dziecko... Umierała ze strachu, mówię pani. Opowiadam wszystko, bo chcę, żeby pani ujrzała to we właściwym świetle.

— Czy on przychodził odwiedzać chłopca?

— Tak. Od czasu do czasu. Przepadał za chłopcem, a mały odwzajemniał jego uczucia.

— Cieszę się, że nie porzucił dziecka całkowicie.

— Och, o tym nawet nie ma mowy. Ale jest w tym coś dziwnego. Pendorrice nigdy wiele nie dbali o to, że wywołują skandale. Dlatego jego ojciec przychodził otwarcie do Luizy. Nie trzymał tego w sekrecie, choć wielu sądziło, że powinien. Z panem Rokiem jest inaczej, ale to chyba dlatego, że był wtedy taki młody. Nie mógł mieć wiele więcej, niż siedemnaście lat i Luiza poradziła mu zachowanie tajemnicy... dla dobra chłopca.

Wierzy, że nazywa się Ennis Sellick i nazywa Luizę ciotką. Przerwała i spojrzała na mnie błagalnie. — Pani Pendorrice, proszę panią, wygląda pani na dobrą... proszę zrozumieć, on jest z nami blisko czternaście lat. Nie może go pani nam teraz zabrać.

— Nie musisz się martwić — uspokoiłam ją. — Nie mam zamiaru go wam odebrać.

Odpnęła się i uśmiechnęła szczęśliwie.

— Ale... kiedy pani powiedziała kim jest...

— Przepraszam, że przestraszyłam cię Polly. Po prawdzie, popełniłam błąd, że tu przyszedłam. To była zwykła ciekawość. Słyszałam o pani Sellick i chciałam się z nią spotkać. To wszystko.

— Więc naprawdę pani nie weźmie chłopca?

— Zdecydowanie nie. To byłoby zbyt okrutne.

— Zbyt okrutne — powtórzyła. O, dziękuję, dziękuję pani! Spadnie nam kamień z serca. Proszę spróbować kawy. Luiza nie dałaby pani wyjść bez poczęstunku.

Przyjęłam zaproszenie. Czułam, że muszę się napić. Jak mogę mu teraz ufać?! Jeśli mógł mnie oszukać w sprawie chłopca, mógł zrobić to samo w innych kwestiach. Dlaczego mi nie powiedział?! To by wiele uprościło.

Polly przyniosła filiżankę. Wyglądała teraz na całkowicie szczęśliwą. Moja wizyta odniosła przynajmniej skutek, że przywróciła jej radość i spokój. Opowiedziała mi, że obie z Luizą pokochały to odludne wrzosowisko i jak trudno było zacząć uprawiać ogród; grunt tu był kamienisty.

— Wrzosowiska to nie żyzne ziemie — mówiła właśnie, kiedy usłyszałyśmy zajeżdżający samochód.

— To nie może być jeszcze pani Sellick — zawyrokowała Polly podnosząc się i podchodząc do okna. — To pan Pendorrice. — Na te słowa krew napłynęła mi do głowy i zaczęła szumieć w uszach. — Myślał chyba, że oni jeszcze nie wyjechali.

Wstałam, ale kolana mi drżały, że musiałam się oprzeć o krzesło, żeby nie upaść. Jak przez mgłę usłyszałam głos Roca:

— Polly, czyj samochód stoi przed domem?

— Och, jest pan dzisiaj, panie Pendorrice! — Zawołała Polly uradowanym głosem. — Pani Sellick uważała, że lepiej będzie wyjechać dwa dni wcześniej. Mieli zatrzymać się w Londynie, a jutro pojechać do szkoły. Pan chyba sądził, że nie ruszą się z domu tak szybko.

Roc wszedł przez werandę, kierując się prosto do saloniku jak ktoś, kto doskonale zna drogę.

Otworzył drzwi i wlepił we mnie wzrok.

— Ty tu?! — Spochmurniał; nie widziałam nigdy przedtem, żeby był taki rozgniewany. Staliśmy, mierząc się wzrokiem, jak para nieznanym. Weszła Polly.

— Pani Pendorrice powiedziała mi właśnie, że nie chce pan nam odebrać chłopca.

— Tak powiedziała? — Obrzucił spojrzeniem filiżankę po kawie.

— Ogromnie się uspokoiłam, bo choć nie wierzyłam, że pan mógłby to zrobić, ale... Miło mi też było poznać pańską żonę.

— Z pewnością. Moja droga, powinnaś poczekać, aż sam cię tu przywiozę — zwrócił się do mnie.

Mówił to lodowatym tonem, jakiego nigdy dotąd nie używał w stosunku do mnie.

— A dziś przyjechaliście tu państwo oboje ale osobno. Boże, co za dzień!

— Właśnie, co za dzień! — Powtórzył Roc niemal ze złością.

— Przyniosę panu kawy, panie Roc.

— Nie, nie. Dziękuję Polly. Przyszedłem zobaczyć się z chłopcem przed jego wyjazdem, ale się spóźniłem. Nie szkodzi. Za to spotkałem żonę.

— Przykro mi, że pani Sellick nie uprzedziła pana, ale ona nie lubi dzwonić do tamtego domu, wie pan, jak to jest — roześmiała się.

— Wiem. Czy jesteś gotowa do wyjścia? — Roc zwrócił się do mnie.

— Tak. Do wiedzenia, Polly. Dziękuję za kawę.

— Miło mi było gościć panią.

Stała w drzwiach posyłając za nami uśmiech, kiedy szliśmy do samochodów. Roc wsiadł do swojego, ja do mojego. Ruszyłam, a on za mną. W pobliżu mostka wyprzedził mnie i zatrzymał auto. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi, potem podszedł i stanął obok mnie.

— Okłamałeś mnie — odezwałam się pierwsza.

— A ty uznałaś za stosowne wpychać nos w nie swoje sprawy.

— One są moje, bo mnie dotyczą.

— Jeśli tak myślisz — jesteś w błędzie.

— Nie wolno mi zainteresować się synem własnego męża?

— Nigdy bym nie uwierzył, że możesz zrobić coś tak... małostkowego. Nie miałem pojęcia, że poślubiłem... szpiega.

— A ja nie mogę zrozumieć, czemu kłamałeś. Chyba mam prawo to zrozumieć!

— Jak to ładnie z twojej strony! Co za zainteresowanie! Jesteś też, naturalnie nadzwyczaj tolerancyjną i pobłażliwą żoną!

— Roc!

Popatrzył na mnie tak chłodno, że aż się cofnęłam.

— Chyba nie mamy już sobie nic do powiedzenia, nieprawdaż?

— Ależ przeciwnie! Jest tyle rzeczy, o które chciałabym zapytać!

— Znajdź sobie sama odpowiedzi. Przecież twój system szpiegowania doskonale się sprawdza. Odwrócił się, wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Pendorrice. Pojechałam za nim.

* * *

W domu Roc odzywał się do mnie tylko wtedy, gdy było to bezwzględnie konieczne. Wiedziałam, że planuje wyjazd na północ, ale nawet nie napomknął o wcześniejszej propozycji.

Zupełnie niemożliwą rzeczą było ukrycie przed domownikami faktu, że pokłóciliśmy się o coś, bo żadne z nas nie potrafiło zbyt dobrze taić swoich uczuć. Z pewnością wszystkich ciekawiło, co między nami zaszło.

Następnych kilka dni dłużyło mi się nieznośnie i byłam okropnie nieszczęśliwa. Tak fatalnie nie czułam się od śmierci ojca. Dwa dni po tej nieszczęsnej wizycie w Dozmary wyszłam na dziedziniec i usiadłam pod Palmą rozmyślając smętnie, że kończy się lato, a wraz z nim i moje szczęście.

Dzień był jeszcze słoneczny i ciepły, ale na krzewach można już było dostrzec rozsнутe sieci pajęczce, a piękno astrów i chryzantem nie mogło przesłonić faktu, że nadchodzi jesień. Lecz znajdowałam się w Kornwalii, więc róże nadal jeszcze kwitły, a krzewy hortensji wciąż jeszcze syciły oczy pojedynczymi kwitnącymi kiściami.

Z domu wyszła jedna z bliźniaczek i podskakując beztróska kierowała się do stawu nucąc pod nosem.

— Halo! — Zawołała. — Mama mówi, że nie wolno nam siadać na ławeczkach, bo są wilgotne. Możemy się przeziębnić. A tobie wolno?

— Nie sądzę, żeby były aż tak mokre.

— Tu wszystko jest wilgotne. Możesz złapać zapalenie płuc i umrzeć.

— Poznałam ją; to była Hyson. Od czasu naszej przygody w krypcie zmienił się jej stosunek do mnie; może nie tylko względem mnie — w ogóle wydawała się jakaś inna.

— Pewnego dnia to nastąpi... — rzekła w zamyśleniu.

— Chodzi ci o to, że kiedyś nadejdzie śmierć?

— Nie mów o umieraniu — zmarszczyła nagle brwi. — Nie lubię tego tematu... ostatnio.

— Stałaś się ogromnie wrażliwa, Hyson.

Dziewczynka spojrzała w górę na okna wschodniego skrzydła jakby chciała coś wypatrzeć.

— Spodziewasz się kogoś zobaczyć?

Nie odpowiedziała.

— Chyba musisz być zadowolona, Favel, że tam w grobowcu byłam z tobą — powiedziała po chwili.

— Tak, chociaż to trochę egoistyczne.

Hyson podeszła bliżej i zagładnęła mi w oczy.

— Wiesz co, ja też myślę, że dobrze się stało.

— Dlaczego? Przecież okropnie się bałaś, a to niezbyt przyjemne uczucie.

— Tak, ale było nas dwie, a to zasadnicza różnica — odparła z dziwnym uśmiechem.

Cofnęła się i złożyła wargi udając, że chce gwizdać.

— Umiesz gwizdać, Favel?

— Niezbyt dobrze.

— To tak jak ja. A Lowella potrafi.

Przerwała, patrząc znów w górę na okna.

— Słuchaj — szepnęła.

Z okien płynęły dźwięki skrzypiec.

— Kto gra? — Spytałam łapiąc nadgarstek Hyson.

— Wiesz chyba, nie?

— Nie, nie wiem, ale mam zamiar dowiedzieć się.

— To Barbarina.

— Barbarina nie żyje.

— Favel, nie chodź tam. Wiesz co to znaczy...

— Hyson! Ty coś wiesz! Kto gra na skrzypcach? Kto nas zamknął w krypcie? Mów!

Wydawało mi się przez chwilę, że w oczach dziecka ujrzałam błysk szaleństwa; nie był to widok przyjemny.

— To Barbarina — wyszeptła dziewczynka. — Słuchaj jak gra. Tą grą chce nam powiedzieć, że jest już zmęczona i nie będzie już czekać dłużej.

Potrząsnęłam nią z lekka, bo była bliska hysterii.

— Zamierzam dowiedzieć się, kto gra na tych skrzypcach! Pójdiesz ze mną; razem przyłapiemy tę osobę.

Opierała się, lecz ciągnęłam ją do wschodniego skrzydła, a po otwarciu drzwi wciąż słyszałyśmy przytłumione dźwięki muzyki.

— Chodźmy — rzuciłam i zaczęłyśmy wspinać się po schodach. Skrzypce umilkły, ale my nadal kierowałyśmy się do pokoju Barbariny. Gwałtownie otworzyłam drzwi. Instrument leżał na krześle, nuty na pulpicie. Pokój nie zmienił swojego wyglądu.

Zerknęłam na Hysoo, ale ona spuściła oczy i wbiła wzrok w podłogę.

Poczułam większy strach niż kiedykolwiek, bo nigdy przedtem nie czułam się tak całkowicie osamotniona. Najpierw miałam rodziców, którzy o mnie dbali, później — jak sądziłam — troszczył się o mnie mąż, a w końcu dziadek.

Teraz utraciłam ich wszystkich; tamci pomarli, a Roc? Nie mogłam już być pewna, że ochroni mnie przed niebezpieczeństwem, które — czułam to — zagrażało mi już z bliska.

Z końcem tygodnia Roc wyjechał w zapowiadaną podróż. Przed wyjazdem, kiedy byliśmy razem w sypialni zwrócił się do mnie słowami:

— Favel, ta sytuacja mi się nie podoba. Musimy to wyjaśnić, co bym dał za to, żebyś się nie mieszała w nie swoje sprawy! W dodatku w takiej niefortunnej chwili.

Był prawie taki sam jak dawniej; natychmiast odwróciłam się na pięcie gotowa wyjść mu na przeciw. Skwapliwie czekałam na dalsze słowa.

— To wszystko ma proste wytłumaczenie, — zaczął. — Ale nie mogę ci nic jeszcze teraz powiedzieć. Czy poczekasz i zaufasz mi?

— Ale...

— W porządku. Nie możesz, tak dłużej jednak nie wolno. Pomyślę o tym, jak będę poza domem. Jedno mi obiecaj: nie myśl o mnie bardzo źle, dobrze? Naprawdę nie jestem takim łajdakiem za jakiego mnie uważasz.

— Och, Roc! Wszystko to jest takie niepotrzebne. Nie musiałeś mi mówić tych kłamstw. Pragnęłabym, żeby to się nigdy nie wydarzyło.

— Nie możesz zaufać komuś, kto już raz skłamał, prawda? Patrzył na mnie smutnie i odniosłam wrażenie, że próbuje na mnie swojego uroku, tak jak tyle razy przedtem.

— Roc, powiedz mi wszystko — prosiłam. Teraz. Możemy znów być szczęśliwi.

Zawahał się.

— Favel, teraz nie mogę.

— Ale dlaczego?

— Bo to nie tylko moja sprawa, muszę jeszcze z kimś porozmawiać.

— A, rozumiem.

— Nic nie rozumiesz. Posłuchaj, Favel. Kocham cię. Ty też mnie kochasz. Zaufaj mi. Do diabła, czy nie możesz mi zaufać choć odrobinę?!

Nie potrafiłam się zmusić, żeby powiedzieć „tak”.

— W porządku. — Położył mi ręce na ramionach i musnął wargi przelotnym pocałunkiem, w którym nie było ani ciepła, ani namiętności. — Zobaczymy się w poniedziałek lub wtorek.

Potem wyszedł, a ja zostałam zawiedziona i tak samo nieszczęśliwa.

Lecz fakt, że wyjechał, stworzył mi okazję do samotnych przemyśleń; z pamięci napłynęły obrazy kilku incydentów z przeszłości. Odkąd przybyłam do Pendorric już dwa razy moje życie wisiało na włosku, co było o tyle dziwne, że w ciągu moich osiemnastu lat nie przytrafiło mi się tyle, w takim krótkim czasie. Przypomniałam sobie ów spacer na klifie. To Roc mnie wtedy uratował, ale równocześnie był świadom — czego nie wiedziałam ja — że jestem wnuczką lorda Polhorgana. W przypadku mojej śmierci on nie odziedziczyłby nic.

Przyszła mi do głowy okropna myśl: może to sposób na uspienie podejrzeń? Czy to był pomysł na to, że kiedy później zdarzyłby mi się jakiś nieszczęśliwy wypadek, ludzie pamiętaliby, że to jemu zawdzięczałam wtedy życie?

Nie, te myśli były odrażające. Ulegając im, zgadzałam się na własną sugestię, że Roc celowo zamknął mnie w krypcie, planując morderstwo!

Czułam się tak, jakby moja osobowość została rozszczepiona na dwoje: jedna część mnie, zdecydowanie opowiadała się za Rokiem, broniła go i wykazywała jego niewinność, a druga, tak samo zdeterminowana, udowodniła mu winę.

Któż bowiem inny mógł zamknąć na klucz drzwi grobowca? Kto mógł przyjść, otworzyć je i następnie przekonywać wszystkich, że były jedynie zatrzaśnięte? Kto inny mógłby chcieć się mnie pozbyć? A motyw? Po mojej śmierci Roc odziedziczyłby majątek mojego dziadka i odzyskał wolność, by na nowo poślubić kogoś, zgodnie ze swoim życzeniem. Kogo? Altheę Grey?

Przypomniałam sobie, co Polly mówiła owego ranka: gdy Barbarina umarła, ojciec Roca chciał poślubić Luizę.

Kiedy siedziałam zatopiona w tych niewesołych myślach, rozległo się pukanie do drzwi i weszła Morwenna. Przez moment ogarnęła mnie zazdrość na widok jej promieniejącej szczęściem twarzy.

— Witaj, Favel. Miałam nadzieję, że cię tu zastanę. — Spojrzała na mnie z troską. — Roc wyjechał jakiś rozdrażniony; dlaczego nie załagodziłaś sporu?

Milczałam, a ona w końcu wzruszyła ramionami.

— To do niego niepodobne — ciągnęła. — Zwykle gwałtownie unosi się gniewem, by po chwili zgasnąć i wszystko wraca do normy. Tym razem wygląda to na coś dłuższego.

— Nie martw się tym.

— Och, nie. Nie zamierzam. Wiem, że się wszystko ułoży. Zdarzyła mi się przykra rzecz. Musiałam oddać auto do warsztatu, a chcę wyjechać. Przyszłam zapytać, czy dziś będziesz potrzebowała swojego morrisa?

— Weź go, proszę — zgodziłam się. — Do Polhorgan pójde pieszo, mogę się obejść bez samochodu.

— Na pewno? Chciałam wybrać się do Plymouth. Doktor Clement nalega, żebym codziennie wypoczywała. Zrzedzi i zrzedzi, więc muszę się zgodzić i mam zamiar zająć się robótką na drutach. Potrzebuję trochę włóczki, a tutaj jest bardzo mały wybór.

— Bierz morrisa i nie kłopotz się o mnie.

Morwenna podeszła do mnie i pocałowała mnie niespodziewanie.

— Między tobą a Rokiem wkrótce wszystko będzie dobrze — rzekła.

Kiedy wyszła, od razu wybrałam się do Polhorgan. Nie było sensu siedzieć i zamartwiać się. Szłam drogą biegnącą wybrzeżem i aby nie myśleć o dwulicowości Roca, zaczęłam planować urządzenie sierocińca w Polhorgan.

Przybyłam na miejsce, witana przez państwo Dawsonów, a z ich min domyśliłam się, że nie mogli się doczekać, by mi coś powiedzieć.

Zaprosili mnie do saloniku, poczęstowali kawą, a potem przystąpili do rzeczy.

— Nie wspominalibyśmy o tym, madame, ale pani Dawson rozmawiała z panią Penhalligan i doszła do wniosku, że należy poruszyć tę sprawę. To delikatny temat, madame; pani Dawson i ja ufamy, że pani zrozumie, iż przyświeca nam tylko chęć jak najlepszego przysłużenia się pani...

Chcąc skrócić ten rozwlekły i mało konkretny wstęp przerwałam:

— Tak, tak. Oczywiście. Rozumiem, Dawson.

— A więc, madame, powiem pani. Nie chciałem nadmieniać o tym wcześniej bo obawiałem się, że może to odbić się na... kimś, kogo z mojej pozycji nie wypadało krytykować. Ale kiedy pani Penhalligan porozmawiała z panią Dawson...

— Proszę powiedzieć mi wszystko, Dawson.

— Więc, proszę pani, doktor Clement był pewny, że jego lordowska mość umarł śmiercią naturalną i odradzał nam opowiadać o tym, co się wtedy zdarzyło. Nie dochodzono przyczyny zgonu i przypadek uznano za zejście naturalne. Ale są sposoby na przyspieszenie śmierci, madame, a pani Dawson i ja od dawna jesteśmy zdania, że jego lordowska mość został przedwcześnie wysłany do grobu.

— Tak, wiem, że dzwonek i pudełeczko z lekarstwem znalazły się na podłodze, ale równie dobrze dziadek mógł je sam zrzucić, kiedy po nie sięgał.

— Tak, mógł, madame, kto mówi, że nie mógł? W sądzie nie można opierać się na przypuszczeniach. Pani Dawson podsłuchiwała jednak rozmowę pomiędzy jego lordowska mością a pielęgniarką, rankiem, tego dnia, kiedy zmarł.

— Ooo... Jaka rozmowę?

— Jego lordowska mość zagroził jej dymisją, jeśli nadal będzie widywała się z panem... — Dawson chrząknął przepraszająco — z panem Pendorrikiem.

Chciałam zaprotestować, ale miałam tak ściśnięte gardło, że nie wyszedł przez nie żaden dźwięk. Usłyszałam już dość. Nie mogłam znieść więcej rewelacji.

— Więc to wydaje się raczej dziwnym przypadkiem, że kilka godzin później jego lordowska mość nie dosięgnął pigułek. Pani Dawson i ja nie zapominamy, madame, że w testamencie umieszczono legat dla pielęgniarki, która była zatrudniona u jego lordowskiej mości w chwili jego śmierci.

Ledwie docierało do mnie to, co Dawson mówił. Myślałam: jak dużo kłamstw usłyszałam od niego? Przyznał się, że był prawie zaręczony z Altheą Grey. Potem dowiedział się o moim istnieniu. Poślubił mnie tak samo, jak jego ojciec poślubił Barbarinę. Jaki wpływ miała na niego przeszłość? Byliśmy aktorami w jakimś ponurym dramacie, powielając role, grywane poprzednio.

Barbarina została pojęta za żonę, by wnieść pieniądze do Pendorric. Czy moje małżeństwo było wynikiem takiej samej kalkulacji, a mój mąż jest zakochany w Althei Grey? Kto był tym niewyraźnym cieniem, dostrzeżonym przez Jessea Pleydella, w dniu kiedy Barbarina poniosła śmierć? Może to był jej mąż, Petroc Pendorric?

Popadam w histerię, pomyślałam. Popuszczam wodze wyobraźni.

Nigdy nie uwierzyłabym w te rewelacje o Rocu, gdyby nie ta scena w domku nad rozlewiskiem.

Myśli wymykały mi się spod kontroli. Czy Althea Grey celowo usunęła pigułki w nadziei, że to przyspieszy śmierć pacjenta? Jego zgon sprawił, że ja odziedziczyłam majątek, a teraz... musiałam umrzeć, żeby pieniądze przeszły w ich ręce.

Zastanawiałam się, co plotki krążące wokół, głoszą na temat mojej osoby. Pani Penhalligan rozmawia z panią Dawson. Czy wszyscy wiedzą o naszych kłopotach małżeńskich? Czy znają powody?

Dawsonowie patrzyli na mnie z troską i współczuciem. Czyżby mnie ostrzegali, że Roc i Althea byli kochankami? A może sugerowali, że jeśli pielęgniarka, nie mając skrupułów, przyspieszyła śmierć mojego dziadka, tym bardziej nie będzie ich miała wobec mnie?

— Dziadek wyolbrzymiał pewne sprawy. Przypuszczał, że kiedy stał się inwalidą, przykutym do fotela, zaczął zamartwiać się nie istniejącymi kłopotami. To przejaw tej choroby, na którą cierpiał.

Dawsonowie patrzyli na mnie wzrokiem pełnym smutku. Pani Dawson chciała coś jeszcze mówić, ale jej mąż był zbyt wielkim dyplomata, by na to pozwolić. Uciszył ją gestem dłoni.

Z jego miny wywnioskowałam, iż jest zadowolony z dobrze spełnionego obowiązku.

* * *

Gdy opuściłam Polhorgan, miałam pewne obawy, że nie zachowam spokojnego wyrazu twarzy. Przepelniał mnie niepokój. Tak wiele było spraw, które chciałam wyjaśnić; musiałam zacząć działać. Jedyną rzeczą, której nie mogłam ścierpieć, to bierność.

Pragnęłam z kimś porozmawiać i gdyby Morwenna nie wyjechała do Plymouth, pobiegłabym do niej i zwierzyła się ze wszystkich moich trosk i obaw. Ale została przecież w domu Deborah, ona też nadaje się na powiernicę.

Doszedłszy do domu, skierowałam się prosto do jej pokoju.

Nie było jej. Kiedy niepewna co dalej począć, jak sobie poradzić z kłębiącymi się we mnie wątpliwościami, schodziłam do holu, zadzwonił telefon.

Podniosłam słuchawkę i po drugiej stronie usłyszałam zduszony śmiech.

— Mówi Althea Grey. Byłam pewna, że panią złapię.

Stałam wstrząśnięta, gdyż właśnie jej osoba ostatnio tak wiele miejsca zajmowała w mych myślach i nabierałam coraz większej pewności, że ona odgrywa ogromną rolę w całej powiklanej sytuacji.

— Czy zechciałaby się pani ze mną zobaczyć przed wyjazdem?

— Przed pani wyjazdem? — Powtórzyłam.

— Tak. Wkrótce opuszczam te strony. Jutro.

— Wyjeżdża pani na stałe?

— Proszę przyjść, to wszystko pani opowiem. Już od jakiegoś czasu chciałam z panią pomówić.

Kiedy się mogę pani spodziewać?

— Nie wiem... może zaraz.

— Dobrze. To mi odpowiada. — Zaśmiała się znowu i odwiesiła słuchawkę.

Pospiesznie wysłałam kierując się do „Domku pod kormoranem”.

Była to stosownie dobrana nazwa. Budynek zbudowano nad małą zatoczką, w której, oprócz szybujących wysoko w górę i nurkujących raptownie w dół gromadki mew, ujrzałam istotnie parę kormoranów. Usadowiony na wystającej z morza skale domeczek był mały, pomalowany na niebiesko i białe i prowadziła do niego stroma ścieżka. Wymarzony domek letniskowy.

— Halo! — W jednym z szeroko otwartych okien ujrzałam pielęgniarkę. — Wypatrywałam pani.

Wspinałam się ścieżką niemal w całości zarośniętą chwastami, u której końca zastałam Altheę.

— Pakuję się właśnie.

— Już pani wyjeżdża?

— Mmm. Proszę do środka.

Weszłam prosto do pokoju z interesująco w sensie architektonicznym przedzielonym oknem, wychodzącym na zatoczkę. Umeblowanie było skromne, najwyraźniej pod kątem potrzeb letników; zawierało jedynie najniezbędniejsze sprzęty, wszystkie w kolorach nijakich, praktycznych, na których brud nie byłby widoczny.

— W stosunku do Polhorgan to raczej duża różnica — zauważyła pielęgniarka, ogarniając wzrokiem otoczenie i wyciągając papierośnicę, patrzyła na mnie wzrokiem, w którym dostrzegałam — lub może tak mi się wydawało — coś na kształt rozbawienia.

— To miło z pani strony, że przyszła pani do mnie z wizytą.

— Mogę odwdziżyć się tym samym: to miłe, że mnie pani zaprosiła.

— Miałam szczęście, że panią złapałam jeszcze przed wyjazdem. Dzwoniłam wcześniej, ale nie było nikogo.

— Właśnie wróciłam, a Roc wyjechał na kilka dni.

— Wiem.

Podniosłam brwi do góry i znów wydało mi się, że błysk rozbawienia przemknął jej po twarzy.

— Wszechobecna plotka — rzuciła Althea w formie wyjaśnienia. — Tutaj nie można nawet kiwnąć palcem, żeby za chwilę wszyscy już o tym nie gadali. Czy widział ktoś, jak pani tu szła?

— Nie. Czemu?... Nie sądzę.

— Gdyby ktoś panią zobaczył, dopiero by się zaczęły domysły!

— Nie wiedziałam, że tak szybko opuści pani Kornwalię.

— Już po sezonie. Pusto tu. — Wzruszyła ramionami. — Można przejść klifem całe mile i nie spotkać żywej duszy. Sama pani przekonała się; na całej trasie z Pendorrice nie było nikogo. Taki zastój nie jest w moim guście. Czy napije się pani herbaty?

— Nie, dziękuję.

— Kawy?

— Dziękuję. Także nie. Nie mogę zatrzymać się długo.

— Szkoda. Nigdy dotąd nie miałyśmy okazji uciąć sobie prawdziwej pogawędki. Tutaj jest tak spokojnie. Często przychodziło mi na myśl, że pani mnie o coś posądza. Chciałabym to wyjaśnić.

— Posądza? Co pani ma na myśli?

— Odgrywa pani rolę niewiniątka.

— Dlaczego pani mnie tu zaprosiła? Myślałam, że chce mi pani coś powiedzieć.

— Racja. Teraz nadeszła stosowna pora. Dostałam już nową posadę i przed wyjazdem chciałam uporządkować wszystkie swoje sprawy. — Wyciągnęła przed siebie długie, szczupłe nogi i przyglądała się im z zadowoleniem. — Stary bogaty dzentelmen, wyruszający na wycieczkę dookoła świata, potrzebuje pielęgniarki do stałej opieki. Bogaci starcy — to moja specjalność.

— Bogaci, lecz młodzi nie wchodzi w grę?

— Z młodymi jest taki kłopot, że nie potrzebują pielęgniarki. — Parsknęła śmiechem. — Pani Pendorrice, pani naprawdę wygląda na zaniepokojoną.

— Zaniepokojoną?

— To odludne miejsce, a przypuszczam, że nie ma pani najlepszej opinii na mój temat. Zaczyna pani żałować przyjscia i zastanawia się, jak tu zgrabnie upozorować odwrót? Prawda? Ale proszę pamiętać, że jest pani tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli. A moje zaproszenie przyjęła pani nawet chętnie. To nie było zbyt mądre, co? Jest pani tutaj i nikt o tym nie wie. Działa pani nierozważnie, pani Pendorrice, pod wpływem chwilowego impulsu. Proszę podejść i obejrzeć mój widok z okna.

Wzięła mnie za rękę. Jej uścisk był silny i przypomniałam sobie w tej chwili jak Mabel Clement mówiła kiedyś, iż Althea Grey tylko z wyglądu przypomina figurynkę z saskiej porcelany.

Przyciągnęła mnie do okna trzymając moją dłoń w mocnym uchwycie, a wolną ręką otworzyła okno. Spojrzałam w dół na pionową skalną ścianę opadającą do morza. Daleko w dole fale rozbiły się z szumem o ostre, wystające krawędzie skał.

— Przypuścmy, — wysyczała — że ktoś by wypadł z tego okna. Żadnych szans! Tego domku nie powinno się wynajmować lunatykom lub tym, którzy planują jakieś zabójstwo.

Przez kilka sekund naprawdę wierzyłam, że zwabiła mnie tutaj, żeby mnie zabić. Pomyślałam: zaplanowała to... to sposób na oswobodzenie Roca z więzów małżeńskich i zyskanie fortuny mojego dziadka.

Czytała chyba w moich myślach, bo kiedy puściła moją rękę, znów na jej twarzy zobaczyłam rozbawienie.

— Uważam, — rozciągała słowa — że będzie pani wygodniej na siedząco.

— W jakim celu mnie tu pani sprowadziła?

— Zaraz to pani powiem. — Prawie pchnęła mnie na podniszczoną kozetkę, a sama siadła naprzeciw w fotelu.

— Pani Pendorrice, — rzekła — może pani przestać się bać. Moim zamiarem jest tylko porozmawiać. Naprawdę nie musi się pani obawiać mnie, ani o mnie. Za kilka dni będę już bardzo daleko stąd.

— Żal pani wyjeżdżać?

— Błędem jest czegokolwiek żałować. Kiedy klamka zapadnie należy się z tym pogodzić. Pani zawsze była o mnie zazdrosna, prawda? Bez powodu. Przecież ożenił się z panią, no nie? Choć to prawda, że kiedyś myślał o małżeństwie ze mną.

— A pani?

— Naturalnie, że tego chciałam. To byłby dobry mariaż. Lecz nie wiem, czy odpowiadałby mi tak całkowicie. Lubię przygody. Choć z drugiej strony już mi stuknęła trzydziestka, więc chyba czas się ustatkować.

— Życie wydaje się pani... zabawne?

— Pani nie? A powinno. To jedyny sposób na przeżycie. Podjęłam decyzję, — rzekła nagle — powiem pani wszystko, co pani chciała usłyszeć.

Najwyraźniej śmiała się ze mnie, ale — choć to wydaje się dziwne

— wierzyłam jej całkowicie. Była sprytna, obyta w świecie, doświadczona i zdolna niemal do wszystkiego, ale sprawiała wrażenie prawdomównej — nie dla zasady, lecz po prostu dlatego, że bardziej zabawne wydawało jej się mówić prawdę niż kłamać.

— Czym się pani zajmowała przed przybyciem do Polhorgan?

— Spytałam.

— Pracowałam jako prywatna pielęgniarka.

— Pod nazwiskiem Stoner Grey?

— Na ostatniej posadzie występowałam jako Grey. Podwójne nazwisko nosiłam poprzednio.

— Dlaczego nie używa pani pierwszego członu nazwiska?

— Nabrało niekorzystnego rozgłosu. Nie przejmowałabym się tym gdyby nie to, że mogłabym mieć trudności z odpowiednią dla mnie pracą. Ludzie są tacy pamiętliwi. Widzę, że już pani wie o tamtym incydencie. Założę się, że to Dawsonowie mi się przysłużyli.

— Nie oni... kto inny. Kiwnęła głową.

— Gdyby wszystko poszło dobrze, nie musiałabym już nigdy pracować. Nie było w tym nic niewłaściwego. Stary dżentelmen sporządził testament na moją korzyść, lecz krewni podważyli go na takiej podstawie, że starzec był *non compos mentis*... i żona wygrała proces.

Przypuszczam, że pani skłoniła go do takiego zapisu.

— No cóż... tak pani sądzi? — Pochyliła się do mnie. — Pani jest miłą kobietą, pani Pendorric, a ja... nie jestem taka miła. Nie mam pani zalet, nie mam dziadka milionera. Z taką jak ja, Pendorricowie się nie żenią — Jestem niespokojnym duchem, lubię przygody. One dodają życiu pikantności. Dzieciństwo i młodość spędziłam na nędznej, podmiejskiej ulicy i nie jest to warte wspomnienia. Postanowiłam wyrwać się stamtąd na zawsze. W pewnym sensie byłam podobna do pani dziadka, ale nie miałam jego smykałki do interesów. Nie wiedziałam, jak się ustawić, żeby zarobić miliony. Ale odkrycie własnej urody nie zajęło mi zbyt dużo czasu. Wiedziałam, że dla dziewczyny jest to najlepszy majątek. Wyuczyłam się zawodu pielęgniarki i zamierzałam pracować prywatnie, co było najlepszą drogą osiągnięcia moich celów. Dlatego zdecydowałam się przyjąć pracę u pani dziadka. Zorientowałam się, że mogę sobie wybierać posady.

— Miała pani nadzieję otrzymać jego pieniądze?

— Każdy ma prawo do nadziei. Potem zjawił się Roc. Pani wie, kobiety mojego pokroju zawsze rozważają wszystkie możliwości.

— Z tych dwóch możliwości zdobycie Roca chyba rokowało większe nadzieje... zwłaszcza kiedy pani lepiej poznała dziadka?

Roześmiała się.

— Tak mi się wydawało. Ale okazał się dla mnie za sprytny. Przejrzał mnie na wylot. Lubił mnie, to prawda. Ja też go bardzo lubiłam. Co więcej lubiłabym go tak samo, gdyby był prostym rybakiem, ale on zawsze trzymał się na dystans. Dostrzegał we mnie to „coś”... jakby to

powiedzieć?... co nie jest tym, czego dżentelmen szuka u swojej żony, a w każdym razie żony, w pojęciu Roca. Zostaliśmy więc tylko dobrymi przyjaciółmi, a potem wyjechał i przywiózł sobie panią. Ale, że ma dobre serce i naturę uprzejmą, nie chciał, żebym czuła się odprawiona. Właśnie dlatego był dla mnie dodatkowo miły i uważający. Ja jednak dostrzegłam, że to wzbudzało pani zazdrość. — Znowu roześmiała się z całego serca. — Czy teraz już wszystko jasne?

— Niezupełnie — odparłam. — A jak umarł dziadek?

Popatrzyła na mnie z napięciem, a twarz jej przybrała wyraz bardziej poważny niż podczas całej naszej rozmowy.

— Przyznałam się pani, że chciałam wykorzystać okazję, żeby podreperować swoje finanse, ale to jeszcze nie oznacza, że jestem morderczynią. Wyznawałam zawsze zasadę, że innym na życiu zależy tak samo jak mnie. Mogę ludzi wykorzystywać, tak... ale nie zabijać.

— I po raz kolejny w jej oczach pojawiły się iskierki uśmiechu. — A więc dlatego była pani tak wystraszona! Podwójnie cieszę się z pani przyjścia. Mogę więc, przed wyjazdem wyjaśnić i to małe nieporozumienie. Pani dziadek często gubił swoje pudełko z tabletkami. Raz to nawet się zdarzyło w obecności pani. — Czy pani sobie to przypomina?

Pamiętałam. To było wtedy, kiedy opuściwszy wcześniej Polhorgan zastałam ją i Roca sam na sam na plaży.

— Zrzucił te pigułki, zdenerwował się, że nie będzie mógł ich dosięgnąć, kiedy będą potrzebne i w tym wzburzeniu zrzucił też i dzwonek. To wszystko, pani Pendorrice. Jestem gotowa na to przysiąc. W ogóle wtedy był raczej podniecony. Martwił się o panią. Wiedział, że swego czasu, między pani mężem a mną, była pewna zażyłość i o tym ze mną rozmawiał. To go dręczyło, choć zapewniałam go, że oprócz przyjaźni, nic nie było pomiędzy mną, a Rokiem. Oświadczam pani raz jeszcze, że nie uczyniłam nic, żeby przyspieszyć jego śmierć.

— Wierzę pani — zapewniłam ją. I tak było.

— To dobrze. Świadomość, że uznaje mnie pani za zdolną do takiego czynu, sprawiłaby mi przykrość. Można mi zarzucić wiele innych rzeczy, ale nie morderstwo. — Ziewnęła i przeciągnęła się.

— Pomyśleć, że za miesiąc będę pływać się w słońcu... a tu... Pendorrice spowijają jesienne mgły i sztormowe wiatry zaatakują mury Polhorgan.

— Pójdę już. — Podniosłam się z miejsca.

Odprowadziła mnie do drzwi.

* * *

Spotkanie z Altheą Grey wprowadziło chaos w moich uczuciach, gdyż okazała się zenująco szczerą. Kiedy słuchałam jej wynurzeń, wierzyłam jej bez zastrzeżeń, teraz zaś gubiłam się w domysłach, czy nie bawiła się setnie moją naiwnością.

Czy istotnie odjeżdża? Jeśli to prawda, to przynajmniej wiem, że bez Roca — co jest dla mnie pewnego rodzaju pociechą.

Koniec tego dnia wydawał się odległy jeszcze o całe wieki. Nie miałam ochoty wracać do Pendorrice, ale nic innego nie miałam w planie. Postanowiłam odszukać Deborah i pomówić z nią o moich problemach, choć, prawdę mówiąc, osłabła trochę moja nieprzeparata chęć do zwierzeń.

Zbliżyłam się do domu, kiedy spotkałam biegnącą mi naprzeciw panią Penhalligan. Gospodyni była bardzo wzburzona i z trudem zdołała wyjąkać coś niezrozumiałego:

— Och, pani Pendorrice... coś okropnego... był wypadek...

Serce mi zamarło, a potem zaczęło walić jak szalone. Roc! To była moja pierwsza myśl. Powinnam być z nim...

— Panienska Morwenna, proszę pani... Miała wypadek samochodowy. Dzwonili ze szpitala.

— Morwenna... — szepnęłam bez tchu.

— Tak. Zdarzyło się to podobno na wzgórzu Ganter. Zabrali ją do szpitala w Treganter.

— Jak ona...?

— Powiedzieli, że stan jest poważny. Pan Chaston już tam pojechał.

Byłam wstrząśnięta i oszołomiona; zupełnie nie wiedziałam co robić.

— A dziewczynki?

— Zajął się nimi panna Bective. Powiedziała im.

W tej chwili nadjechała Deborah. Wsiadła z samochodu i zawołała do nas:

— Ale ciepły poranek, prawda? Czy... czy coś się stało?

— Zdarzył się wypadek. Morwenna. Jechała do Plymouth.

— Ciężki? Jest ranna?

Przytaknęłam.

— Charles pojechał do szpitala. Sądzę, że to coś poważnego.

— O, Boże — szepnęła Deborah. — A Hyson i Lowella?

— Są z Rachelą.

Deborah zasłoniła sobie oczy rękami.

— To straszne. — Łkanie wydobywało się jej z gardła. — Boże! W jej stanie! Żeby tylko coś złego nie stało się dziecku!

— Czy mamy pojechać do szpitala?

— Tak. Jedźmy natychmiast! — Zawołała Deborah. — Biedny Charles. Chodź, Favel, to niedaleko.

Gdy odjeżdżaliśmy, pani Penhalligan patrzyła za nami z troską. Deborah prowadziła z miną ponurą i zaciętą.

— Kochała Morwennę jak matka, pomyślałam. Wychowywała przecież ją i Roca po śmierci ich matki.

— Nie powinniśmy pozwolić jej jechać — mruknęła Deborah. — Taka była ostatnio roztargniona.

— Ja mogłam ją zawieźć — rzekłam ze smutkiem.

— Albo ja. A właściwie po co tam się wybrała?

— Po włóczkę na ubranka dla dziecka.

— Co za ironia losu. Tak pragnęła syna i z tego powodu... Nagła myśl dzieliła mnie jak obuchem.

— Deborah, Morwenna nie jechała swoim samochodem. Wzięła małego morrissa, którym zwykle ja jeździłam!

Deborah kiwnęła głową.

— Brała go już przedtem. A poza tym, była zawsze takim dobrym kierowcą.

Umilkłam. Ten zbieg okoliczności na starszej pani nie zrobił większego wrażenia. Ja niemal bałam się analizować swoje myśli.

Odeгнаłam od siebie ponure refleksje. Staję się przewrażliwiona! Przecież przede wszystkim należałoby najpierw znać przyczynę wypadku. A jeżeli była to jakaś usterka pojazdu, to nie powinnam sobie od razu wyobrażać, że ktoś uszkodził go celowo w przekonaniu, że to ja usiądę za kierownicą. Jak by się to skończyło, gdybym to ja, niedoświadczona w prowadzeniu auta, jechała dziś rano?

Deborah dotknęła mojej dłoni.

— Favel, nie wolno nam przewidywać najgorszego. Musimy żywić nadzieję, że ona wyjdzie z tego.

* * *

Ten dzień upłynął nam w atmosferze napięcia i strachu. Życie Morweny wisiało na włosku, a byłam przeświadczona, że moje także znalazło się w niebezpieczeństwie. To co się zdarzyło, nie było nieszczęśliwym wypadkiem, a częścią zbrodniczego planu i ktoś z mojego otoczenia jest teraz niezadowolony, bo w pułapkę wpadła niewłaściwa osoba.

Znalazł się naoczny świadek wydarzenia. Wypadek miał miejsce na wzgórzu Ganter, niezbyt stromym, lecz długim zjeździe do Treganter. Jeden z mieszkańców tych okolic zauważył jak samochód, najwyraźniej pozbawiony swobody manewrowania, zjechał z drogi. Mignęła mu jeszcze przerażona twarz kobiety siedzącej za kierownicą, a potem pojazd uderzył w drzewo.

Późnym popołudniem zatelefonowano ze szpitala i po tej rozmowie, Charles zabrawszy dzieci, pojechał zobaczyć Morwennę. Obie z Deborah, na jego życzenie, pojechałyśmy za nimi. Widoczne było, że bał się tego, co zastanie po przyjeździe na miejsce.

Mnie i Deborah nie wpuszczono do chorej; była bardzo słaba i tylko najbliższej rodzinie pozwolono na widzenie.

Nigdy nie zapomnę twarzy Hyson, kiedy stamtąd wyszła. Dziewczynka była blada, ze ściągniętą twarzą tak, że wyglądała niemal jak stara kobieta. Lowella płakała, ale ona nie uroniła ani jednej łzy.

Charles oznajmił nam, że zostaje w szpitalu bo stan Morweny jest bardzo ciężki, a nas prosi, żebyśmy odwiozły bliźniaczki do domu.

W Pendorrice Rachelę i pani Penhalligan z niecierpliwością oczekiwały wiadomości, a potem przeszłyśmy do zimowego saloniku. Dobrą chwilę siedziałyśmy, wszystkie pogrążone w ponurym milczeniu, które nagle przerwał ostry krzyk Hyson:

— Głowę miała całą w bandażach! Nie poznała mnie! Mamusia mnie nie poznała! Ona umrze... a śmierć to coś okropnego!!

Deborah ogarnęła dziecko ramionami.

— Cicho, kochanie... no, cicho. Przestraszysz Lowellę.

Dziewczynka wyrwała jej się z uścisku. Miała dzikie oczy i była na skraju hysterii.

— Trzeba, żeby była przerażona! Wszyscy powinniśmy się bać, bo mamusia umiera! Ja... ja... nienawidzę tego!!

— Mamusia wyzdrowieje — uspokajała ją Deborah.

Przez kilka sekund Hyson patrzyła prosto przed siebie, a potem nagle skierowała wzrok na mnie. Wpatrywała się we mnie z napięciem, aż Deborah spostrzegłszy to, objęła jej głowę ręką i przytuliła do piersi.

— Zabiorę ją do mojego pokoju — rzekła. — Zostanie ze mną na noc. To straszne... straszne.

Ruszyła do drzwi otoczywszy dziewczynkę ramieniem, ale Hyson odwróciła głowę po raz drugi wbiła wzrok we mnie.

— Nienawidzę tego... nienawidzę! — Krzyknęła.

Deborah delikatnie wypchnęła ją z pokoju.

Roc przyjechał do domu, najszybciej jak mógł. Był oszołomiony tym co się zdarzyło i zdawał się nie pamiętać o naszym nieporozumieniu.

Następne dni spędziliśmy właściwie w szpitalu, choć tylko Charles i Roc mogli odwiedzać Morwennę.

Deborah cudownie zajęła się dziećmi. W tych dniach wymagały szczególnej opieki — zwłaszcza Hyson,

Trzy dni po wypadku podano nam pierwszą pomyślną wiadomość, że Morwenna przypuszczalnie wyjdzie z tego cało. Niestety straciła dziecko, ale jej jeszcze nie powiedziano.

Wiozłam wtedy Charlesa ze szpitala do domu. Był bardzo zdenerwowany i rozmawiał ze mną, z większą zażyłością, niż kiedykolwiek przedtem.

— Wiesz, Favel, ile to dla niej znaczyło! Ja, naturalnie, chciałem syna, ale ona na tym punkcie miała coś w rodzaju obsesji. A teraz nie będziemy mogli mieć więcej dzieci... już nigdy. Tak mi powiedzieli.

— Ale Morwenna będzie cała i zdrowa... — szepnęłam.

— Jak tylko będzie cała i zdrowa — powtórzył — nie wolno nam niczego innego żałować.

* * *

Kiedy lekarze nabrali pewności, że życiu Morwenny nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo, Roc znów wyjechał. Twierdził, że jego dalszy pobyt w domu nic by już siostrze nie dał, a ktoś musiał doglądać spraw, bo Charles powinien być w Pendorric w zasięgu ręki i na każde wezwanie szpitala.

W ostatnich dniach żyłam tak pochłonięta nieszczęściem Morwenny, że nie miałam głowy rozmyślać o własnym położeniu. Gdy jednak ustalono, że nastąpiła jakaś nietypowa usterka układu kierowniczego, która spowodowała ten tragiczny wypadek, moje obawy wróciły. Ja bardzo dobrze wiedziałam, że samochód, kiedy nim jeździłam dzień przed tym nieszczęściem, był całkowicie sprawny.

Spędziłam samotną i bezseną noc, a następnego ranka zadzwoniła Mabell i zaprosiła mnie na kawę. W głosie jej przebijało wzburzenie, a gdy przybyłam do ich domku objęła mi dłoń mocnym uściskiem i rzekła:

— Bogu dzięki, że przyszłaś.

— Czy coś się stało? — Dopytywałam się.

— Nie mogłam w nocy oka zmrużyć, bo myślałam o tobie. Andrew jest bardzo zmartwiony. Rozmawialiśmy o tym prawie całą noc. Favel, nam się to bardzo nie podoba.

— Nie rozumiem. Co się wam nie podoba?.

— Wiesz chyba, a zresztą może i nie wiesz... ale zapewniam cię, że Andrew się martwi. On jest najbardziej zrównoważonym człowiekiem pod słońcem, a teraz wytrąciło go to z równowagi. Powiada, że za dużo tych niefortunnych przypadków, żeby przejść nad tym do porządku dziennego.

— O czym ty mówisz?

— Usiądź. Zrobię ci kawę. Za chwilę przyjdzie Andrew, a przynajmniej będzie próbował zaraz się zjawić, ale odbiera poród u pani Pengally i możliwe, że się spóźni. Jeśli jego nie będzie, ja muszę otworzyć ci na wszystko oczy.

— Nigdy cię nie widziałam, Mabell, w takim wzburzeniu.

— Bo też nigdy dotychczas nie czułam się tak rozgorączkowana. Ani razu dotąd nie zetknęłam się osobiście z kimś, na czyje życie czyha morderca.

Wlepiłam w nią przerażony wzrok; fakt, że jej przyszło na myśl to samo co mnie, nadawał mojemu podejrzeniu rzeczywistą treść.

— Favel, musimy rozumować logicznie, musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Nie ma sensu powtarzać utartego frazesu: „Tutaj się takie rzeczy nie zdarzają...” ani „mnie się to nie może stać”. Przyjmijmy do wiadomości, że coś takiego może istotnie nastąpić. Ty w dodatku odziedziczyłaś majątek, a ludzie zazdrośni są o pieniądze bardziej niż o cokolwiek innego. Dla pieniędzy są gotowi zabijać.

— Masz chyba rację, Mabell.

— Słuchaj, Favel. Ktoś zamknął cię w krypcie na dobre. Mogłaś tam krzyczeć, a i tak nikt by cię nie usłyszał, mogłaś umrzeć ze strachu lub głodu. Morderca miał taki właśnie plan. Gdyby Deborah przypadkowo nie poszła tamtędy i nie usłyszała waszego wołania mogłabyś jeszcze tam być... ty i ta mała dziewczynka.

— To prawda.

— Przypuśćmy, że znajdzie się na to jakieś proste wytłumaczenie. Założmy, że rzeczywiście drzwi się zacięły, tak jak powiadali...

Przerwała a ja pomyślałam: Tak jak Roc powiadał. Och, Roc... tylko nie ty! Tego nie potrafiłabym znieść.

— Cóż, powiedzmy, że to możliwe — ciągnęła. — Ale dziwne jest to że po tak krótkim czasie twój samochód, rozbił się. Gdy z Andrew usłyszeliśmy co się stało, byliśmy oszołomieni. Obojgu przyszła nam do głowy ta sama refleksja.

— Myślisz, że... — próbowałam mówić spokojnie — ...że ta osoba, która zamknęła mnie w grobowcu, uszkodziła mój samochód?

— Sądę po prostu, że takie dwa wypadki nie mogą być zwykłym zbiegiem okoliczności.

— Był jeszcze jeden — opowiedziałam jej o tablicy ostrzegawczej na klifie. — Roc pomyślał o niebezpieczeństwie i przyszedł po mnie.

Usta Mabell zacięły się w prostą, wąską linię. Powiedziała:

— No proszę, jeszcze i to, chociaż nie było to tak niebezpieczne. To nie to samo co krypta i... samochód.

— Ale jednak ktoś usunął tablicę. Musiał to być ktoś, kto wiedział, że jestem w Polhorgan. A te wszystkie gry na skrzypcach, śpiewy, historia o małżonkach...

— Mówiłam już, podejrzanie to wygląda. Bardzo lubimy cię, Favel — ja i... Andrew. Przypuszczam, że ktoś chce wyrządzić ci krzywdę, i że ten ktoś jest z Pendorrice.

— To straszna myśl i teraz kiedy Roc wyjechał...

— Roca nie ma?

— Z końcem ubiegłego tygodnia wyjechał w interesach, potem wrócił zawiadomiony o wypadku, a obecnie musiał dokończyć transakcji.

Mabel wstała. Miała zacięty wyraz twarzy i wiedziałam, kogo podejrzewa.

— Ta siostra opuściła już „Domek pod kormoranem” — rzekłam.

— Słyszałam, że miała wyjechać.

Chwilę milczałyśmy, a potem Mabell wybuchnęła.

— Według mnie powinnaś na jakiś czas opuścić ten dom... dopóki coś się wyjaśni! Właściwie czemu nie mogłabyś przenieść się do nas na jedną lub dwie noce? Mogłybyśmy wtedy pogadać ile dusza zapagnie i czułabyś się tu bezpiecznie.

Rozejrzałam się wokół po pokoju, obwieszonym obrazami Mabell (tymi, których nie udało się jej się sprzedać) i obstawionym przeróżnymi wytworami jej autorstwa.

Wydało mi się tu swojsko jak w raj. Tu mogłabym czuć się całkowicie spokojnie i znalazłabym czas, żeby wszystko przemyśleć, a do towarzystwa była Mabell i Andrew. Nie wymyśliłam pretekstu do opuszczenia domu.

— Moja obecność tutaj mogłaby wydać się dziwna — oponowałam.

— Przypuśćmy, że zaczęłabym malować twój portret. Czy to nie doskonała wymówka?

— Nie bardzo. Ludzie by zaraz gadali, że mogę przychodzić codziennie nie do pozowania.

— Ale kiedy myślę, że tam wrócisz, cierpnie mi skóra. Boję się, co może się jeszcze wydarzyć.

Pomyślałam o Rocu. Znowu wyjechał bez słowa. Chyba więc mogę na krótko zamieszkać u swoich przyjaciół?

— Słuchaj, zawiozę cię i będziesz mogła się spakować — namawiała mnie Mabell. — Weź tylko rzeczy na noc.

Była tak stanowcza, a ja tak zbита z tropu, że pozwoliłam jej wyprowadzić samochód z garażu i zawieźć się do Pendorric. Gdy dojechaliśmy do celu zwróciłam się do Mabell:

— Muszę powiedzieć pani Penhalligan, że nie będę nocować w domu. Jako wyjaśnienie, podam malowanie portretu... choć muszę powiedzieć, że w samym środku tych wszystkich kłopotów moja nagła chęć posiadania własnej podobizny może wydać się dosyć dziwna.

— Zdarzają się wiele dziwniejsze rzeczy — odparła spokojnie Mabell.

Poszłam do swego pokoju i włożyłam do torby kilka najpotrzebniejszych drobiazgów. Cały dom wydawał się bardzo spokojny. Teraz byłam już pewna, że ktoś postanowił mnie zabić i że to może nastąpić w Pendorric. Gra na skrzypcach, pieśń Ofelii — to były znaki ostrzegawcze — Ktoś próbował wyprowadzić mnie z równowagi, sprawdzić, żebym uwierzyła w legendę o duchu.

Lecz przecież duchy nie potrafią zamykać drzwi na klucz, ani psuć mechanizmów samochodowych.

Spakowałam torbę. Pozostało zejść do kuchni i powiadomić o wyjeździe panią Penhalligan. Gdyby w domu była Morwenna, wyjaśniłabym jej, że chcę się zatrzymać na chwilę u Clementów. Charlesowi nie chciałam zawracać głowy, ale przecież mogę poinformować Deborah.

Udałam się do jej pokoi. Była u siebie. Kiedy weszłam, czytała książkę, ale rzuciwszy na mnie wzrokiem zerwała się na nogi i cały spokój odpłynął jej z twarzy.

— Favel, co się stało? Jesteś taka zdenerwowana.

— Wszystko jest takie denerwujące.

— Drogie dziecko. — Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do fotela przy oknie. — Usiądź i mów co cię trapi.

— Przyszłam ci powiedzieć, że wyprowadzam się na dzień lub dwa do Clementów.

Patrzyła na mnie zdumiona.

— Do doktora i jego siostry?!

— Tak. Mabell zamierza namalować mój portret. — Już kiedy to mówiłam, czułam jak żałośnie i dziecinnie to brzmi. Wiedziałam, że ona rozszyfruje moją wymówkę, ale była dla mnie zawsze taka dobra i wyrozumiała. Nabrałam pewności, że zrozumie moje wyjaśnienia. Nie mogłam uchybić jej inteligencji przez zatajenie prawdy.

— Deborah, ja chcę stąd odejść! — Wybuchnęłam. — Tylko dzień lub dwa, ale muszę stąd odejść!

Kiwnęła głową.

— Rozumiem. Ostatnio niezbyt dobrze układają się sprawy pomiędzy tobą a Rokiem i jesteś zdenerwowana. A do tego to wszystko...

Umilkłam i spokojnie słuchałam, jak mówiła dalej:

— To całkiem zrozumiałe. Nawet dobrze ci zrobi zmiana otoczenia na krótki czas. Sama się czuję podobnie. Ten strach o życie Morwenny był... okropny. Teraz, gdy zagrożenie minęło i do naszej świadomości dotarło w jakim napięciu żyliśmy, zaczynamy odczuwać skutki tego szoku. Wybierasz się więc do Clementów?

— Tak. Mabell mi to zaproponowała. Już się spakowałam. Deborah zmarszczyła brwi.

— Moja droga, czy to rozsądne?

— Rozsądne?

— Cóż, Mabell nie mieszka sama. Nasza społeczność jest nieduża i aż kipi od plotek. To zabrzmiało niedorzecznie, ale widzisz... spostrzegłam... a sądzę, że i inni musieli się zorientować... że doktor się tobą interesuje.

Poczułam, że oblewa mnie rumieniec.

— Dr Clement?!

— On jest młody, przystojny, a niewiele potrzeba, by dostać się na ludzkie języki. Możesz powiedzieć, że Pendorrice zawsze byli głównym tematem plotek; to prawda. Ale dotyczyło to jedynie męskich przedstawicieli rodu. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa z kobietami; one musiały być bez zarzutu. To oczywiście niesprawiedliwe, lecz cóż — taki jest ten świat. Chodziło naturalnie o dzieci. W dzisiejszych czasach to śmiechu warte, ale w takim miejscu jak tu plotka i skandal wciąż mają skrzydła. Zrobisz jak chcesz, Favel, ale ja naprawdę nie sądzę, żeby... w tych okolicznościach... zamieszkanie w Tremethic było najlepszym rozwiązaniem.

Najpierw mnie to rozbawiło, lecz potem przypomniałam sobie skwapliwą przyjaźń Clementów. Andrew wyraźnie okazywał, jaką przyjemność znajduje w moim towarzystwie, Mabell to widziała. Czyżby dlatego była dla mnie tak przychylnie usposobiona?

— Jestem pewna, że Mabell Clement zrozumie, jeśli jej wszystko wyjaśnimy. Przyrowadź ją, Favel.

Mabell wyglądała na zdumioną, kiedy zapraszałam ją do środka, ale Deborah wyłożyła całą sprawę dyplomatycznie i choć artystka całkiem wyraźnie się z tym nie zgadzała, nie usiłowała narzucić mi swego zdania.

— Ach te małe miejscowości! — Westchnęła Deborah z machnięciem ręki. — Wszystkie są takie same! Tak niewiele się tu dzieje, że ludzie wszędzie dopatrują się dramatów.

— Nie powiedziałałabym, żeby w Pendorrice niewiele się działo — zauważyła Mabell. — Favel została zamknięta w grobowcu, a Morwenna miała wypadek, który omal nie skończył się tragicznie.

— Takie przypadkowe wydarzenia są okazją do doszukiwania się czegoś niesamowitego w zwykłych sytuacjach — rzekła Deborah.

— Nie, pomysł z przeprowadzką nie wydaje mi się właściwy, Mabell. Widzisz, moja droga, jeśli Favel tak bardzo pragnie portretu, przecież może zachodzić do ciebie co dzień. — Zwróciła się do mnie. — A jeśli chcesz wyjechać stąd, złotko, mogę cię zabrać na weekend do Devon. Jak myślisz? Zawsze chciałaś zobaczyć mój dom. Jeśli chcesz, możemy wyruszyć jutro. Co ty na to?

— Zgadzą się.

Mabell, choć trochę rozczarowana, że nie skorzystam z jej gościny, wydawała się dość zadowolona z takiego rozwiązania.

— Cóż bardziej naturalnego, że obie wyjedziemy sobie na dzień lub dwa — uśmiechnęła się Deborah. — A zanim wróci twój mąż, już dawno będziemy z powrotem.

— To dobry plan. Ten wyjazd będzie dla mnie... wytchnieniem — rzekłam.

Mabell zgodziła się ze mną.

* * *

Gdy Mabell odjechała, Deborah powiadomiła Charlesa o naszych zamiarach. Uznał to za doskonały pomysł. Dziećmi zajmie się Rachela Bective, a i tak dopiero po naszym powrocie będzie wiadomo, kiedy Morwenna wyjdzie ze szpitala.

— Moja droga, nie widzę powodu, czemu miałybyśmy czekać do jutra — ekscytowała się Deborah. — Możemy przecież jechać już dziś. Jeśli ty zdołasz się wybrać, to ja tym bardziej.

Miałam przemożną ochotę uciekać z Pendorrice gdyż wydawało mi się, że coś mi zagraża, a niebezpieczeństwo czyha na mnie gdzieś tutaj, w domu.

Zebrałam swoje rzeczy. Deborah przykazała Carrie spakować walizki. Potem zajęła samochodem przed zachodni portyk, a służąca zniosła bagaże.

Gdy okrążyliśmy róg domu z północnych drzwi wypadły bliźniaczki.

Pędem rzuciły się do samochodu.

— Halo babciu Deb, halo Małżonko! — Zawołała Lowella. — Po południu jedziemy do mamusi! Tata zabiera nas do szpitala!

— To cudownie, kochanie. — Deborah zatrzymała samochód.

— Mama już wkrótce będzie w domu.

— Gdzie jedziecie? — Dopytywała się Lowella.

— Zabieram Favel, by jej pokazać mój dom.

Hyson złapała kurczowo bok samochodu.

— Weźcie mnie ze sobą.

— Nie teraz, serduszko. Zostań z panną Bective, my niedługo wracamy.

— Ja chcę pojechać. Chcę tam być. Nie chcę tu zostać... sama. — W głosie Hyson brzmiała piskliwa nuta.

— Nie teraz, nie tym razem — powtórzyła Deborah. — Zabierz ręce. — Dotknęła dłoni dziewczynki. — Hyson puściła samochód i Deborah ruszyła. Kiedy się odwróciłam, ujrzałam Rachelę Bective, wychodzącą z domu i Hyson, biegnącą za autem.

Deborah przyspieszyła i wyjechałyśmy z podjazdu na drogę.

* * *

Rzekę Tamar przekroczyłyśmy w Gunislake i odniosłam wrażenie, że im większa odległość dzieliła nas od Pendorrice, tym lepszy humor ogarniał Deborah. Dopiero teraz widać wyraźnie jak bardzo przygnębiały ją ostatnie wypadki.

Mówiłyśmy wiele o Morwennie, szczególnie o tym, jaka to ulga kiedy już wiadomo, że życiu jej nic już nie zagraża.

— Gdy poczuje się zdolna do podróży, wezmę ją do siebie, na wrzosowisko — zadeklarowała się Deborah. — Jestem pewna, że nasze powietrze może zdziałać cuda.

Po minięciu Tavistock wjechałyśmy na właściwe wrzosowisko. Przypominało ono bardzo podobne tereny w Kornwalii. Jednak zdaniem Deborah — można wyczuć pewną subtelną różnicę, kiedy człowiek na tyle dobrze je pozna. Nie ma nic piękniejszego nad dartmoorskie wrzosowiska, zapewniła mnie i nalegała, żeby Carrie ją w tym poparła, co służąca zresztą skwapliwie uczyniła.

Carrie też była radośnie podniecona; udzielił mi się ich beztroski nastrój i po raz pierwszy od kłótni z Rokiem ogarnęło mnie uczucie spokoju.

Dwór Laranton stał samotnie, około mili za wsią. Imponował wyglądem — zbudowany w stylu królowej Anny, z masywnymi żelaznymi bramami.

Na zapleczu budynku był mniejszy domek, w którym mieszkali Hansonowie i ich syn, kawaler. Deborah wyjaśniła mi, że wszyscy pracują przy utrzymaniu domu i dbają, żeby był zawsze gotowy na jej przybycie.

Wyjęła klucz i otworzyła frontową bramę, po której piał się klematis. Kiedy kwitł, musiał być piękną ozdobą wejścia.

— Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej — zawołała. — Wejdz, moja droga. Chodź, pokażę ci nasze stare domostwo, mój prawdziwy, najprawdziwszy dom.

Spotkałyśmy po drodze panią Hanson, która nie okazała najmniejszego zdziwienia, widząc swą panią niespodziewanie w domu. Deborah wydawała jej polecenia uprzejmie, lecz stanowczo.

— Pani Hanson, to jest żona mojego siostrzeńca. Zatrzyma się u nas na dzień lub dwa. Proszę wysłać Carrie, żeby przygotowała dla niej niebieski pokój.

— Tak. Powiedziałam: niebieski pokój. I niech Carrie włoży do łóżka dwie butelki z gorącą wodą. Wie pani, jak nieswojo zwykle czuje się człowiek, spędzając pierwszą noc w obcym łóżku. Chciałybyśmy też dostać coś do jedzenia, pani Hanson. Mamy za sobą drogę z Pendorrice.

Posadziła mnie niemal na siłę twierdząc, że na pewno jestem zmęczona.

— Zamierzam cię rozpieszczać — oświadczyła. — Jak to dobrze, że mam cię tu wreszcie. Zawsze pragnęłam cię tutaj gościć.

Usiadłam w fotelu, przy oknie wychodzącym na starannie utrzymany trawnik i rabatki kwietne.

— Hanson to dobry ogrodnik, ale u nas uprawa ziemi nie jest tak łatwa jak w Pendorrice. Mamy tu grunt kamienisty i ostre zimy. Tam, w Pendorrice, śnieg należy do rzadkości, a zobaczyłabyś tutaj... Bywały zimy, gdy Barbarina i ja nie mogłyśmy nosa wychylić z domu cały tydzień. Wszystko było absolutnie zasypane.

Rozejrzałam się po pokoju zastawionym gustownymi meblami, z dużym wazonem chryzantem, na marmurowym stoliku, zdobionym złoceniami.

— Kazałam pani Hyson trzymać w domu zawsze świeże kwiaty — wyjaśniła Deborah, śledząc kierunek mego wzroku. — Barbarina, zanim nie wyszła za męża, codziennie układała kwiaty. Potem ja przejęłam ten obowiązek, ale muszę przyznać, że nie potrafiłam robić tego tak kunsztownie jak ona. — Wzruszyła ramionami. — Nie mogę się doczekać, żeby pokazać ci pokój. Powinien być już gotów. Ale najpierw posiłek. Jestem już głodna, a ty? To nasze wrzosowiskowe powietrze! Och, jak to dobrze być w domu!

— Dlaczego spędzasz tak wiele czasu w Pendorrice, kiedy najwidoczniej wolisz być tutaj?

— Ze względów rodzinnych... Morwenna, Roc, Hyson, Lowella — to moja rodzina. Pendorrice to ich dom, a ja, jeśli chcę być z nimi, muszę mieszkać właśnie tam. Tutaj przyjeżdżam tylko od czasu do czasu; zabieram ze sobą Hyson tak często, jak tylko się da. Lowella woli morze, ale jej siostra najwyraźniej lubi wrzosowiska.

— Miała wielką ochotę i tym razem zabrać się z nami.

— Wiem, moja droga. Ale wiedziałam, że tobie potrzebny jest całkowity spokój. Poza tym, dopóki jej matka jest w szpitalu, ona powinna być na miejscu. Ach, Favel, w domu czuję się znowu młoda. Tutaj wszystko przypomina mi młodość. Mam niemal wrażenie, że ojciec jeszcze żyje, i że w każdej chwili w drzwiach może ukazać się Barbarina.

— Czy Barbarina po ślubie przyjeżdżała do domu często?

— Tak. Jej uczucia do tego miejsca były takie same, jak moje. To był przecież także i jej dom. Tutaj spędziła większą część życia. Przepraszam cię, Favel; gadam i gadam bez końca, o przeszłości mogłabym mówić w nieskończoność; to cecha starości. Wybacz mi, chciałabym, żebyś tu była szczęśliwa.

— Taka jesteś dla mnie miła.

— Moja droga, przecież tak bardzo cię lubię.

Chwilę milczałyśmy i pomyślałam, że gdybym pojechała z Deborah do jakiegoś małego, cichego hotelu, byłoby mi łatwiej. Szkoda, że uciekłszy spod wpływu Pendorrice, trafiłam do domu, gdzie Barbarina przeżyła swoje dzieciństwo i młodość, a wspomnienia o niej otaczały mnie ze wszystkich stron.

Weszła pani Hanson zawiadamiając, że posiłek jest gotów.

— Zrobiłam omlet, madame — oznajmiła. — Gdybym miała więcej czasu...

— Jestem pewna, że będzie wyborny — uśmiechnęła się Deborah.

— Pani Hyson jest jedną z najlepszych kucharek w Devon.

Omlet istotnie był wyśmienity, a na deser zostałyśmy uraczone ciastem i bitą śmietaną.

— Prawdziwa deVońska śmietanka — westchnęła radośnie Deborah. — Chyba zgodzisz się ze mną, że jest lepsza niż kornwalijska?

W istocie nie wyczułam żadnej różnicy, ale odparłam uprzejmie, że faktycznie jest bardzo dobra.

— Naśladują w tym nas, a jeszcze plotą, że to my ściągamy od nich! Poprawił się nam humor i nabrałam przeświadczenia, że Deborah nie mogła zrobić niczego lepszego niż przywieźć mnie tutaj. Teraz widziałam jasno, że pomysł przeniesienia się do Clementow nie był zanadto trafiony.

Po posiłku przeszliśmy do saloniku na kawę, a potem Deborah pokazała mi mój pokój.

Było to przestronne, widne pomieszczenie na poddaszu, o dwóch wielkich oknach i lekko skośnym suficie. Naprzeciwko okien, pojedyncze łóżko ustawione było w czymś w rodzaju wnęki; poza tym w pokoju stało biureczko, szafa na ubrania, nocny stoliczek i toaletka; łóżko było przykryte niebieską kapą, na podłodze leżał niebieski dywan.

— Jak tu ładnie! — Zawołałam.

— Zupełnie na szczycie domu. Jasno i przewiewnie, prawda? Podejź tu i wyjrzyj przez okno.

Był wieczór, ale na niebie wisiał księżyc i w jego świetle mogłam dostrzec ciemne zarysy wrzosowiska rozciągającego się poza ogrodem.

— Zobaczysz to w świetle dziennym. Bezkresne morze wrzosów, usiane ciernistym janowcem; piękne jak malowane, pocięte korytami licznych strumyczków, które w słońcu lśnią jak srebro.

— Przyjemnie byłoby pójść jutro na przechadzkę.

Nie odpowiedziała. Zachwyconym wzrokiem wpatrywała się w widok za oknem.

— Pomóc ci w rozpakowaniu? — Spytała.

— Nie. Zabrałam ze sobą bardzo mało rzeczy.

— Masz tu dużo miejsca do rozlokowania się. — Otworzyła drzwi wielkiej szafy.

Wyciągnęłam drobiazgi, a moje dwie sukienki, które zabrałam z domu powiesiłam na ramiączkach.

— Pokażę ci teraz resztę domu — oznajmiła Deborah.

Zwiedzanie starego domostwa bardzo mnie zajęło. Obejrzałam dawny pokój dziecienny — miejsce zabaw obu siostr, pokój muzyczny, gdzie Barbarina uczyła się grać na skrzypcach, duży salon z wielkim fortepianem i zerknęłam przez okno na ogród, otoczony wysokim murem.

— Przy tym murze rosną brzoskwinie. Nasz ogrodnik najlepsze okazy zawsze zachowywał dla Barbariny.

— Nie byłaś o nią trochę zazdrosna?

— Zazdrosna o Barbarinę?! Nigdy! Żyliśmy ze sobą w bliskości, możliwej jedynie dla bliźniąt. Nie potrafiłabym być o nią zazdrosna.

— Sądzę, że Barbarina była szczęśliwa, mając taką siostrę.

— Tak, miała szczęście... do końca.

— A co się właściwie zdarzyło? — Poczułam jakiś wewnętrzny przymus, żeby raz jeszcze zadać to pytanie. — Czy to był naprawdę wypadek?

Twarz jej ściągnęła się nagle i Deborah odwróciła się do mnie tyłem.

— To było dawno. — Brzmiało to niemal żałośnie.

— I wciąż czujesz...?

Najwidoczniej wzięła się w garść, bo odpowiedziała spokojnie.

— Plotkowano, że w tym czasie był ktoś z nią na galerii.

— Wierzysz w to?

— Tak.

— Ale kto...

— Nie mówiono tego wyraźnie, ale ludzie szeptali, że to...

— Mąż?

— Powszechnie znany był skandal z tamtą kobietą. Wciąż się z nią widywał; nawet po ślubie z Barbariną nie przestał jej odwiedzać. Z Barbariną ożenił się dla pieniędzy. Bardzo ich potrzebował. Domy, takie jak Pendorríc, są jak wielkie monstra... stale pochłaniają nowe porcje karmy w postaci dopływu gotówki.

— Sądzisz, że zabił żonę, bo chciał odziedziczyć jej majątek i ożenić się z Luizą Sellick?

— Wielu ludziom to właśnie przychodziło do głowy.

— Ale przecież jej nie poślubił.

— Pewnie się nie odważył. — Uśmiechnęła się do mnie dzielnie.

— Wiesz, Favel, myślę, że nie powinniśmy rozmawiać w ten sposób. To nie jest w porządku względem... Petroca.

— Przepraszam. To pobyt tutaj, w domu Barbariny, nasunął mi te wszystkie skojarzenia.

— Zmieńmy temat. Powiedz mi, czym chciałabyś się tutaj zająć.

— Zobaczyć jak najwięcej. Jutro zamierzam wcześniej wstać. Będę tu przecież tak krótko, a tyle chciałabym zwiedzić.

— A więc miejmy nadzieję, że się dobrze wyśpisz. Na nowym miejscu nie zawsze łatwo o zdrowy sen. Polecę pani Hanson przynieść ci coś do picia. Czego chciałabyś się napić? Ziółek, kakao czy zwykłego mleka?

Zdecydowałam się na mleko.

Jeszcze chwilę rozmawiałyśmy, a potem ona poszła zamówić mleko. Następnie zaprowadziła mnie na górę, pięknie rzeźbionymi schodami.

— Tu będziesz miała spokój.

— Jak to dobrze!

— Barbarina zawsze mawiała, że to jej ulubiony pokój. Mieszkała w nim, aż do samego wyjazdu do Pendorríc.

— To pokój Barbariny?

— Najpiękniejsza z sypialń, dlatego ci ją dałam.

— To miło z twojej strony.

— Podoba ci się? Jeśli nie, dam ci inny pokój.

— Tu jest pięknie, ale...

Roześmiała się nagle.

— Ona straszy w Pendorríc, a nie w swoim rodzinnym domu! — Zapaliła lampę. — Będzie ci tu w wygodnie, zobaczysz. I ciepło. Poleciłam włożyć do łóżka butelki z gorącą wodą. — Wsunęła rękę pod przykrycie. — Tak, już tam są.

— Dobranoc, moja droga. Śpij ej dobrze. — Stała przy mnie, uśmiechając się mile. Potem ujęła mi twarz w obie dłonie i pocałowała.

— Zaraz przyślę mleko.

Wyszła i zostawiła mnie samą. Rozebrałam się i podeszłam do okna, spoglądając na nocny pejzaż wrzosowiska. Jaki tu spokój — pomyślałam. Dopiero tutaj będę mogła swobodnie podumać o wszystkich niecodziennych wypadkach. Może tu hi będę w stanie zdecydować co dalej począć.

Rozległo się pukanie do drzwi i ze zdumieniem ujrzałam Deborah we własnej osobie, wchodzącą ze szklanką mleka na małej tacce.

Położyła tacę na stoliku.

— Osobiście przyniosłam ci mleko. Nie pozwól mu wystygnąć śpij dobrze.

Raz jeszcze pocałowała mnie i wyszła.

Usiadłam na krawędzi łóżka i pociągnęłam łyk mleka. Było bardzo gorące.

Położyłam się do łóżka, ale jeszcze nie chciało mi się spać. Żałowałam, że nie wzięłam ze sobą czegoś do czytania, ale opuszczałam Pendorrice w takim pośpiechu, że nawet o tym nie pomyślałam.

Rozejrzałam się po pokoju, czy nie dojrzę jakiejś półki z książkami, a wobec jej braku pomyślałam o szufladzie stolika. Niemal bezwiednie ją otworzyłam; wewnątrz szuflady leżała jakaś książka w skórzanej oprawie. Wyciągnęłam ją, otworzyłam i na pierwszej karcie przeczytałam, napisany dziecinną ręką tytuł: „Pamiętnik Deborah i Barbariny Hyson”. I dalej pod spodem: „Jest to chyba jedyny na świecie pamiętnik pisany przez dwie osoby, ale my nie jesteśmy zwykłymi osobami. My jesteśmy bliźniaczkami”. Podpisano: „Deborah Hyson. Barbarina Hyson”.

Patrzyłam na oba podpisy. Były tak podobne, jakby pisała je ta sama ręka.

A więc bliźniaczki pisały pamiętnik.

Byłam podekscytowana tym odkryciem, a wnet, uświadomiwszy sobie moje wścibstwo, zdecydowanie zamknęłam księgę i upiłam trochę mleka. Nie potrafiłam się jednak zmusić, żeby odłożyć pamiętnik do szuflady.

Stronice zapisała ręka Barbariny. Jeśli przeczytam jej wynurzenia może uda mi się lepiej ją poznać. Już od początku, od kiedy tylko o niej usłyszałam, pobudzała swą osobą moją ciekawość. Coraz wyraźniej czułam, że Barbarina jest w jakiś sposób związana z tym, co mi się przydarzyło. Teraz, kiedy siedziałam w obcym łóżku, przyszło mi na myśl, że moje położenie wcale nie stało się bezpieczniejsze. Kiedy wrócę, znów mogą powtórzyć się zamachy na moje życie.

Przypomniałam sobie tę dziwną pieśń, którą słyszałam na cmentarzu, zanim ktoś zamknął mnie w grobowcu. Jeśli prawdą było to, że Ktoś zamierzał mnie zamordować, to morderca usiłował stworzyć pozory, iż moja śmierć ma związek z legendą Barbariny. Nie było też wątpliwości, że jeśli okoliczna ludność wierząca w zabobony ma skłonność przypisywać śmierci Małzonek z Pendorrice jakimś siłom nadprzyrodzonym, to również i każde niezwykle zdarzenie będzie interpretowane podobnie.

Trzymając pamiętnik w ręku, nabierałam przeświadczenia, że byłabym chyba niemądra odrzucając coś tak pomocnego. W tej księdze może znajdować się coś znamionnego, jakaś wskazówka odnosząca się do śmierci Barbariny. Czyjej życie przed tym tragicznym upadkiem było podobne do mojego? Czy ona też, tak samo jak ja, czuła, jak zaciska się wokół niej pętla niebezpieczeństwa? Może znajdę odpowiedź w jej pamiętniku?

Ale to przecież pisanina z okresu dzieciństwa, przemknęło mi przez głowę; nie znajdę w nim chyba nic na temat jej życia w Pendorrice.

Byłam jednak zdecydowana przekonać się o tym.

Księgi przypuszczalnie nie przeznaczono pierwotnie na dziennik, bo na stronicach nie były drukowane daty. Wpisano je ręcznie.

Pierwszy zapis nosił datę dwunastego września.

„Carrie uszyła nam nowe sukienki. Nie potrafiła nas rozróżnić i zamierzała zaznaczyć nasze stroje naszymi imionami. Tak jakby nie było to wszystko jedno! Zawsze wymieniałyśmy się ubraniami, tak jej też powiedziałyśmy. Barbarina nosiła stroje Deborah lub odwrotnie, ale Carrie upierała się, że musimy ubrać się w sukienki dla nas przeznaczone”.

Kolejne strony zawierały, widziany oczyma dziecka, zapis codziennego życia, w domu na wrzosowisku. Nie zdołałam się zorientować, która z nich to pisała, gdyż ani imię, ani nawet forma liczby pojedynczej nie były stosowne, wszystko było w liczbie mnogiej. Czytałam i czytałam o dziecięcych sprawach, aż doszłam do pustej kartki. Przez chwilę sądziłam, że to koniec pamiętnika, ale po kilku stronicach zapis zaczynał się znowu. Kolejne strony wypełnione były innym pismem, bardziej dojrzałym, skąd wysnułam wniosek, że notatki zostały na jakiś czas zarzucone, a potem ktoś wrócił do tego ponownie.

„13 sierpnia. Zgubiłam się na wrzosowisku. Było cudownie”. Poczułam ogarniające mnie podniecenie, bo wiedziałam, że pisała to Barbarina.

Ten sam charakter pisma na dalszych stronach wskazywał, że czytać będę jej wynurzenia.

„16 sierpnia. Petroc poprosił o moją rękę i tatuś, oczywiście, jest zachwycony. Udawał zdumionego, tak jakby ten fakt był dla niego zaskoczeniem, a przecież wszyscy wyczekiwaliśmy tego tak długo! Ja zaś, nie mogę się wprost doczekać, by zostać panią na Pendorric. Wtedy będę mogła uwolnić się od Deborah. To dziwne, że tak bardzo pragnę uciec od siostry, która dotychczas była dla mnie jakby częścią mojej osoby. W pewnym sensie jest nią nadal. Chyba dlatego żywi dla Petroca te same uczucia, co ja. Zawsze dotąd było nas dwie do dzielenia wrażeń, uczuć i kłopotów — niemądrych, błahych trosk, które wydają się takie ważne, kiedy jest się dzieckiem. Ale teraz wszystko się zmieniło. Chcę stąd odejść — oderwać się od Deborah. Nie mogę znieść spojrzenia, jakim mnie obrzuca, gdy jestem z Petrokiem. Patrzy zupełnie tak, jakby chciała czytać z moich myśli, tak jak czyniła to przedtem, ale teraz w wyrazie jej oczu pojawiło się coś, na kształt nienawiści. A może to ja zaczynam nienawidzić ją?

„1 września. Wczoraj ojciec, ja i Deborah złożyliśmy wizytę w Pendorric. Rozmowa toczyła się głównie wokół przygotowań do ślubu i cały wieczór byłam ogromnie podekscytowana. Dziś, podczas przejażdżki konnej z Petrokiem spotkałam Luizę Sellick. Słusznie ludzie podziwiali jej urodę. Wyglądała na smutną, bo chyba już teraz wie, że traci Petroca na zawsze. Spytałam go o nią. Może nie powinnam tego czynić, ale nigdy nie potrafiłam usiedzieć spokojnie, gdy mnie coś nurtowało. To Deborah była tą spokojniejszą. Petroc oznajmił mi, że z nią skończył. Mam nadzieję, że to prawda. Gdyby tak nie było, miałabym ochotę ją zabić. Nie mogę znieść nawet myśli, żeby się z kimś dzielić Petrokiem. Czasami żałuję nawet, że nie potrafiłam zakochać się w innym. George Fanshawe byłby na pewno dobrym mężem, aż tak stracił dla mnie głowę, albo Tom Lellerway. Ale to musiał być Petroc! Dlaczego Tom i George nie zakochali się w Deborah? Przecież wyglądamy dokładnie tak samo; niektórzy ludzie nie potrafią nas rozróżnić. A jednak oni wybrali mnie. Tak samo działo się od samego początku. Gdy szliśmy na przyjęcia, Deborah trzymała się w moim cieniu. Mawiała: „Ludzie mnie nie chcą. Weszłam tu tylko na twój bilet”. A ponieważ w to wierzę, w końcu stało się to rzeczywistością. Teraz Deborah nie wie, że nadal piszę pamiętnik, więc mogę być zupełnie szczerą. Co za ulga!

„3 września. Pendorric! Co za wspaniały, stary dom! Kocham go, kocham! I Petroca! Co w nim jest takiego, że wydaje się inny niż wszyscy i jedyny na całym bożym świecie?! To chyba magia! Petroc jest taki wesoły, beztroski, ale czasami mnie przeraża; nagle staje się jakiś obcy, nieobecny, jakby nie do końca był ze mną”.

Potem było kilka pustych stron, ale po nich dostrzegłam dalszy ciąg.

„3 lipca. Dziś znalazłam ten stary pamiętnik. Wieki minęły, odkąd napisałam ostatnie słowo. Ostatni mój zapis pochodził jeszcze sprzed ślubu. Zamierzałam przestać pisać przez kilka miesięcy, a okres przerwy rozciągnął się w lata. Jakie to do mnie podobne! Cóż, nic nie szkodzi! Nie wiem właściwie, po co to znowu zaczynam. Chcę chyba w ten sposób podnieść się na duchu. Odkąd urodziłam bliźniaki nie czułam takiej potrzeby, dopiero teraz przyszła mi ochota na opisywanie swoich przeżyć. Dziś, gdy obudziłam się w środku nocy, przy moim boku nie było Petroca. Od razu pomyślałam o tamtej kobiecie. Luiza Sellick! Jak ja jej nienawidzę! Różne krążą o niej pogłoski. Podejrzewam, że on wciąż się z nią widuje — a także z innymi kobietami. Taki przystojny, atrakcyjny i miałby tego nie wykorzystywać?! Skoro chciałam wiernego męża, nie powinnam poślubić takiego mężczyzny jak Petroc. Nie jestem przecież ślepa. Domyślam się też, że ludzie gadają za moimi plecami. Często na przyjęciach, gdy zbliżam się do jakiś gości pograżonych w rozmowie, najwyraźniej zmieniają temat. Wiem, że mówią o mnie, o Petrocu — i o jakiejś kobiecie. Przepuszczalnie o Luizie Sellick. Także służba patrzy na mnie z politowaniem.

Szczególnie pani Penhalligan, lecz nawet i stary Jesse. Myślę czasami, że oszaleję, jeśli tego nie zmienię. Ale kiedy próbuję rozmawiać z Petrokiem, nigdy nie traktuję mnie poważnie. „Wiesz przecież, że cię kocham” — zbywa mnie. A gdy pytam ironicznie: „Ile jeszcze innych kobiet?” Odpowiada beztrzesko: „Mam czułą naturę”. Nigdy nie bierze niczego serio. Nie potrafi. Dla niego życie to ciągle zabawa. Jak różne wiodłam życie w rodzinnym domu i ile w nim było radości!”

Podeksytowana treścią pamiętnika nie spostrzegłam nawet co dzieje się ze mną. Kilka razy szeroko ziewnęłam, powieki zaczęły mi ciążyć i z trudem utrzymywałam otwarte oczy. Takie objawy senności nie byłby niczym nadzwyczajnym, gdyby nie fakt, że zawartość pamiętnika powinna nie tyle mnie usypiać, co nawet wybijać ze snu.

Z determinacją kontynuowałam czytanie.

„8 sierpnia. Ubiegłe dwa tygodnie przebywała tu Deborah. Odnoszę wrażenie, że przyjeżdża tu teraz częściej. Zaszła w niej jakaś zmiana, jakby coś się w niej przełamało. Stała się bardziej ożywiona i śmiech łatwiej jej przychodzi. Dla obcych ludzi może nie jest to zbyt widoczne, ale oni nie znają jej tak dobrze jak ja. Pożyczyła sobie kiedyś ode mnie mój kapelusik do jazdy konnej — czarny, z niebieską szarfą. Stała przed lustrem i rzekła: „Nie sądzę, żeby ktoś poznał, że to nie jesteś ty — nikt na to nie wpadnie”. I rzeczywiście, od kiedy stała się bardziej ożywiona i ruchliwa, jej podobieństwo do mnie ogromnie wzrosło. Różnice między nami niemal się zatarty. Wiem, że czasami, służba zwracała się do niej, biorąc ją za mnie. Ogromnie ją to bawiło. Przychodziło mi do głowy, że bardzo chciałaby być na moim miejscu. Gdyby tylko wiedziała... Ale nigdy tego nikomu nie powiem, nawet jej. To zbyt upokarzające. Nie, nie potrafiłabym zdobyć się na to, by zwierzyć się Deborah z tych wszystkich pustych nocy, kiedy obudziwszy się, nie znajduję przy sobie Petroca. O tym jak bezsennie krążę po pokoju wyobrażając sobie gdzie jest i co robi. Gdyby ona wiedziała jak boleśnie wtedy cierpię, nie chciałaby znaleźć się na moim miejscu. Patrzy na Petroca oczyma obcych ludzi, widząc w nim fascynującego mężczyznę. Ja, jako jego żona odbieram wszystko inaczej. Czasem go nawet nienawidzę.

20 sierpnia. Wczoraj między nami doszło do małżeńskiej sceny. Petroc utrzymywał, że muszę się uspokoić. Oświadczył, że nie wie, do czego może dojść, jeśli nie będę bardziej panować nad sobą. Panować nad sobą! Kiedy tak się mnie traktuje! On powiada, że jestem zbyt zaborcza. Powtarza: „Nie wtykaj nosa w moje sprawy, a ja będę się trzymał z dala od twoich”. Cóż to więc za małżeństwo!

27 sierpnia. Od tygodnia się do mnie nie zbliżył. Czasem jestem pewna, że między nami już wszystko skończone. Powiedział mi, że nie może znieść moich awantur. Nie może, bo jest winny! Chciałby wieść życie na własną modłę — mniej więcej tak samo jak przed ślubem, zachowując przy tym pozory, że wszystko jest w najlepszym porządku. Petroc nie cierpi skandali. Jest też leniwy. To dlatego się ze mną ożenił; Pendorric potrzebowało pieniędzy, a ja je miałam — proste rozwiązanie. Ożenił się bogato i nie musiał się martwić. Jest z pozoru gładki i czarujący, a w istocie nieodpowiedzialny i okrutny. Gdybym mogła zdobyć się na taką beztrzeską jak on! Gdybym potrafiła powiedzieć sobie: „To tylko Petroc. Muszę go brać takim, jakim jest”. Ale nie potrafię. Za bardzo go kocham. Nie znosi, kiedy ponoszą mnie nerwy i tracę panowanie nad sobą. Ojciec też tego nie lubił, ale był zawsze wtedy miły i delikatny. Mawiał tylko: „Barbarino, moja kochana, musisz się uspokoić. Popatrz na Deborah, jest tak spokojna. Bierz przykład z siostry”. I to zwykle pomagało. Pamiętam, że Deborah i ja byliśmy jak jedna osoba. Ona w swym charakterze posiadała cały spokój, za to ja całą gwałtowność. Ojciec mógł ubolewać nad tą cechą mojej natury, ale to właśnie czyniło mnie atrakcyjną, a Deborah wydawała się nieco bezbarwna. Teraz spokój Deborah mógłby mieć na mnie zbawienny wpływ, ale ona się zmieniła.

29 sierpnia. Dziś z mego okna ujrzałam Deborah, wracającą z konnej przejażdżki. Miała na sobie czarny kapelusik z niebieską wstążką. Tym razem była to jej własność, nie moja. Ale

sprawiła sobie dokładnie taki jak mój. Gdy wyjechała z za węgła stajni, z domu akurat wychodziły dzieci z boną. „Halo, mamusiu!” Zawołały dzieciaki a ona zatrzymała się, by je ucałować. Bona zwróciła się do niej: „Kolano Morwenny ładnie się goi, pani Pendorric”. Pani Pendorric! A więc i bona i dzieci wzięły ją za mnie. Wpadłam w gniew. Znienawidziłam Deborah, a odczułam to tak, jakbym znienawidziła samą siebie. Dopiero po kilku minutach zreflektowałam się i zadałam sobie pytanie: Dlaczego Deborah nie wyjaśniła im, że to pomyłka? Ale tego nie zrobiła. Pozwoliła im myśleć, że spotkali matkę i panią tego domu.

2 września. Jeśli nic się nie zmieni, to chyba się zabiję. Myślę o tym coraz częściej. Zyskam spokój na zawsze. Nie będzie dłużej problemów z Petrokiem, nie będzie zazdrości. Czasem nie mogę doczekać się śmierci. Często przypominam sobie legendę o Małżonkach. Służba jest przekonana, że duch Lowelli Pendorric błąka się po domu. Po zmroku ludzie boją się wejść na galerię, gdzie wisi jej portret. Lowella zmarła po roku małżeństwa, przy narodzinach syna, przeklęta przez kochankę swojego męża. Mężczyźni rodu, od tego czasu, nie zmienili się wiele. Rozmyślałam nad swoim losem w Pendorric, jestem gotowa uwierzyć, że klątwa rzucona na kobiety, panie tego domu, działa naprawdę do tej pory.

3 września. Dziś Petroc powiedział mi, że staję się coraz większą histeryczką. Cóż mogę na to poradzić? Moja wina polegała na tym, że prosiłam, aby więcej czasu spędzał ze mną, żeby kochał mnie tak jak ja jego. To chyba niezbyt wygórowana prośba? Ale on zabiega jedynie o przyjemności, a to oznacza kobiety — kobiety przez cały czas. Choć sądzę, że wciąż widuje się z Luizą Sellick. Jest w tym pewna stałość, naturalnie na jego sposób. Jediną rzeczą, o którą dba naprawdę jest Pendorric. Jak się pieklił tego dnia, kiedy odkryto korniki w balustradzie galerii! Szczególnie uszkodzona część znajduje się w pobliżu portretu Lowelli. Ostatnio dużo o niej myślę.

12 września. Deborah nadal jest z nami i nie wydaje się, aby chciała szybko wrócić do swego domu na wrzosowiskach. Ona istotnie się zmieniła. Myślę czasami, że stała się bardziej podobna do mnie, a ja do niej. Ostatnio już bez żenady używa moich rzeczy, tak jakby były jej własnością. Robiliśmy to dawniej, ale teraz są zupełnie inne okoliczności. Deborah przyszła do mojej sypialni na rozmowę. Trochę to było niecodzienne, ale odniosłam wrażenie, że próbuje coś ode mnie wyciągnąć na temat Petroca, lecz kiedy udałam, że chcę jej coś o nim powiedzieć, spłoszyła się i odeszła. Innego dnia przyniosła moją kurtkę — zwykły, codzienny żakiet w kolorze musztardy. „Prawie go nie nosisz?” — zagadnęła — „a mnie się zawsze podobał”. Włożyła go, a kiedy na nią patrzyłam, miałam dziwne uczucie, że to ja jestem Deborah, a ona, która tak bardzo pragnęła znaleźć się na moim miejscu, stała się wreszcie Barbariną. Tak się czułam, jakbym spoglądała sama na siebie. Czyżby Petroc miał rację w tym, że ogarnia mnie obłąd? Deborah zdjęła żakiet, ale kiedy wychodziła, powiesiła go sobie na ramieniu i odtąd go już moje oczy nie oglądały.

14 września. Strasznie płakałam. Dlatego wyglądam tak fatalnie. Nic dziwnego, że Petroc mnie unika. Od kilku tygodni sypia w ubieralni. Próbuję sobie wmówić, że tak jest lepiej. Nie wiem wtedy, czy śpi w domu, więc nie muszę się martwić, z kim spędza noc. Ale mimo wszystko to mnie ciągle dręczy.

20 września. Nie mogę w to uwierzyć. Muszę napisać, żeby zobaczyć to czarno na białym. Jeśli tego nie zrobię, chyba oszaleję. Wszystko inne mogłam znieść, ale nie to. Wiem o Luizie Sellick i mogę to nawet zrozumieć — co więcej, do pewnego stopnia wybaczyć. Było nie było, chciał się kiedyś z nią ożenić. Ale to! To wbrew naturze! Teraz jej nienawidzę! Nienawidzę Deborah! Nie ma dla nas obu miejsca pod jednym niebem. Może nigdy nie było. Powinniśmy być jedną osobą. Nic dziwnego, że oszukiwała otoczenie nie wyprowadzając ludzi z błędu, gdy nazywali ją panią Pendorric. Petroc i Deborah!! To niesłychane! Ale w jakimś sensie do przewidzenia. Mimo wszystko w niej jest tak dużo mnie samej, a także odwrotnie. Jesteśmy jednością — czemuż nie mogłybyśmy dzielić się z Petrokiem, tak jak dzieliłyśmy tyle innych rzeczy? Stopniowo zabierała

mi to, co było wyłącznie moje — nie tylko męża, lecz również i osobowość. Ten sposób, w który się teraz śmieje, jak śpiewa! To nie Deborah, to Barbarina. Pozornie spokojnie zajmowałam się sprawami domowymi, pozwalając służbie sądzić, że nie dbam o resztę. Stałam uśmiechając się, kiedy ktoś coś do mnie mówił, udając zainteresowanie tak jak wtedy, gdy stary Jesse proponował przyniesienie czegoś do holu — jakiejś rośliny czy może czegoś innego? Tak, tak, mówiłam nie słuchając. Biedny, stary Jesse! Jest niemal całkiem ślepy. Powiedziałam mu, żeby się nie martwił; postaramy się, aby mu było dobrze. Petroc tego dopilnuje z pewnością. To jedno mu trzeba przyznać — jest dobrym panem dla służby. Piszę błahostki, aby nie myśleć. Deborah i Petroc — widziałam ich razem! Wiem, co ich łączy! Wchodził do jej pokoju. To jest w pobliżu galerii, blisko miejsca gdzie wisi wizerunek Lowelli Pendorrice. Ubiegłej nocy, leżąc bezsennie, słyszałam stuk tych drzwi. Słyszałam ich — Petroca i Deborah. Ach, jakże ich nienawidzę! Nienawidzę oboje! To nie powinna być ona! Tolerowałam inne kobiety, ale nie będę tolerować jej! Lecz jak można to przerwać?

21 września. Postanowiłam popełnić samobójstwo. Już dłużej nie mogę! Zastanawiam się tylko, jak to zrealizować. Chyba utopię się w morzu. Powiadają ludzie, że to lekka śmierć, po krótkiej chwili walki o życie następuje zgon. Moje ciało wyrzuci woda i Petroc się dowie. Nigdy tego nie zapomni. Będę prześladować go przez resztę życia. Sprawię, że legenda zamieni się w prawdę. „Małżonka z Pendorrice” zwykła straszyć w domu i ja, Barbarina, będę tą małżonką. To rozwiązanie wydaje mi się właściwe i jakieś nieuniknione. Jestem przekonana, że to jedyna droga”.

Całą resztę tej stronicy pozostawiono nie zapisaną i po raz kolejny sądziłam, że doszłam do końca pamiętnika. Ziewnęłam i poczułam się bardzo zmęczona. Ale przewróciłam kartkę i zobaczyłam dalsze zapiski, przeczytanie których przeraziło mnie tak bardzo, że senność niemal zupełnie uleciała ode mnie.

„19 października. Oni myślą, że nie żyję”. Nikt o tym nie wie, nawet Petroc. Dobrze się składa, że mnie unika, bo nie może odkryć prawdy. Większość czasu spędza poza domem. Jeździ chyba do Luizy Sellick po pocieszenie. A niech tam! Już mnie to nie obchodzi. Wszystko, ale to wszystko teraz jest inaczej. To — podniecające. Nie ma na to lepszego słowa. Nie powinnam pisać pamiętnika; to zbyt niebezpieczne, ale lubię rozpamiętywać zdarzenia. Stale do tego wracam. To takie zabawne — tak zabawne, że czasami pękam ze śmiechu, gdy jestem sama. W obecności innych jestem spokojna — przerażająco spokojna. Muszę być. Czuję, że żyję bardziej, niż przez ostatnie lata. To śmieszne — oddycham pełnią życia dopiero teraz, kiedy uważana jestem za martwą. Coś każe mi to zapisać, bo w przeciwnym wypadku wszystko ulegnie zapomnieniu. Postanowiłam się zabić. Zamierzałam się utopić. Chciałam zostawić list dla Petroca, że to on jest winowajcą. Ta myśl zatruwałaby mu potem resztę życia, tego jestem pewna. Potem to wszystko zdarzyło się tak nagle. Nie było wcale zaplanowane. Niespodziewanie wpadłam na pomysł w jaki sposób nowa Małżonka może zająć miejsce Lowelli Pendorrice, by ta biedaczka mogła wreszcie spoczywać w pokoju. Do mojej sypialni weszła Deborah. Ubrana była w mój musztardowy żakiet, a oczy jej były jasne i błyszczące. Promieniowała radością i zadowoleniem, które starczyły za słowa; od razu wiedziałam, że spędziła z nim noc. „Wyglądasz na zmęczoną, Barby”, rzekła. Zmęczoną! Też by tak wyglądała, gdyby leżała bezsennie całą noc. Też byłaby wyczerpana. Ona też później nie zazna spokoju sumienia. Potem, po mojej śmierci, nie będzie chyba mogła być kochanką Petroca. „Petroc naprawdę martwi się tą galerią” — zaczęła — „Myśli, że trzeba będzie wymienić całą balustradę”. Jak ona śmie do mnie mówić, co Petroc czuje! Jak śmie mówić w taki sposób, jakby miała jakieś prawa do Petroca i Pendorrice! Zwykle wyczuwała moje nastroje, ale nie teraz, kiedy głowę ma pełną Petroca. Podniosła z fotela jakąś moją szarfę — szarfę, którą Petroc kupił mi osobiście, kiedy byliśmy we Włoszech — śliczny drobiazg z jedwabiu w kolorze szmaragdowym. Machinalnie założyła ją sobie na szyję. Z chwilą gdy wzięła tę szarfę, coś się we mnie spięło.

Nagle ten drobny fakt nabrał niesłychanej ważności. Mój mąż — moja szarfa. Poczułam się tak, jakbym już dłużej nie miała własnego życia. Sama się teraz dziwię, czemu jej nie wyrwałam mojej własności, ale tego nie zrobiłam. „Chodź, rzućmy okiem na tę galerię”, — mówiła dalej — „trzeba zobaczyć, bo to może stwarzać zagrożenie. Robotnicy przychodzą dopiero jutro”. Jak martwa szłam za nią na galerię; zatrzymałyśmy się pod obrazem Lowelli. „To tutaj, spójrz Barby”. Wtedy naraz stało się dla mnie jasne. Zamierzałam umrzeć, bo nie widziałam powodu, żeby dłużej żyć. Deborah stała blisko, zniszczonej przez korniki, poręczy. Stąd do holu była daleka droga, było tu dość wysoko. Czułam, że Lowella Pendorrice śledzi nas ze swego płótna jakby mówiła: „Żeby mogła spoczywać w pokoju, musi umrzeć kolejna Małżonka”. To stara legenda, a w starych przekazach zawsze ukryte jest ziarno prawdy. Dlatego trwają przez wieki. Teraz Deborah stała się — w pewnym sensie — Małżonką z Pendorrice. Petroc tak ją traktował, a poza tym była częścią mnie. Czasem nie byłam pewna, którą z nas ja sama jestem. Cieszę się, że potrafię pisać te słowa, chociaż to takie niebezpieczne. Dlatego postaram się, by tego pamiętnika nie oglądały ludzkie oczy. Tylko Carrie go widziała; ona jedna wie też, co się wydarzyło. Kiedy czytam te słowa, wyraźnie sobie wszystko przypominam. To jedyna droga, żeby odtworzyć dokładnie co się stało tamtego dnia. W chwili kiedy stanęła niebezpiecznie blisko poręczy, a ja, pochyliwszy się, pchnęłam ją z całej siły, odżyłam na nowo. Wciąż jeszcze brzmi mi w uszach ten dźwięk. „Och, Barbarino — nie!” Usłyszałam, lub może wyobraziłam sobie, że słyszę. Naturalnie ja wiem, że to ja jestem Barbarina, a Deborah pochowano w rodzinnym grobowcu. Mogę śmiać się w kułak i mówić sobie: Ale ze mnie spryciara. Oni myślą, że jestem martwa, a ja będę żyła jeszcze całe lata. Jednak jedynie wtedy, kiedy przebiegłam wzrokiem ostatnie karty pamiętnika, jestem absolutnie i do końca pewna, kim naprawdę jestem”.

Zdrętwiałam z grozy.

Potem było jeszcze kilka zapisków, więc choć owładnięta przerażeniem, czytałam dalej.

„20 października. Nie powinnam ulegać chęci pisania, ale nie mogę się oprzeć. Pragnę przelać na papier wszystko, co sobie przypominam i dopóki to pamiętam, gdyż zaczyna mi się mącić i nie jestem całkowicie pewna tego, co się zdarzyło. Ktoś był wtedy w holu i strach mnie obleciał, ale to tylko stary Jesse, a on na pewno nic nie zobaczył. Stałam na galerii, spoglądając na rozłupane drewno poręczy. Nie byłam w stanie spojrzeć w dół. Nie zatrzymałam się tam długo. Jesse pobiegł po pomoc; mógł niczego nie dostrzec, ale czuł, że coś jest nie w porządku. Wbiegłam do najbliższego pokoju Deborah, gdyż musiałam zniknąć z galerii, zanim zostanę dostrzeżona. Rzuciłam się na łóżko i leżałam cicho, a serce waliło mi jak młotem. Nie wiem, jak długo tak leżałam, ale wydawało mi się, że mijają całe godziny. W rzeczywistości mogło to być jedynie kilka minut. Usłyszałam głosy, okrzyki przerażenia. Co tam się teraz dzieje w holu? Miałam ogromną ochotę to wszystko ujrzeć na własne oczy, ale wiedziałam, że muszę pozostać na miejscu. Po chwili rozległo się pukanie. Nie ruszyłam się z łóżka, kiedy weszła pani Penhalligan. „Panno Hyson zdarzył się okropny wypadek”. Podniosłam się i wbiłam w nią wzrok. „Poręcz galerii. Była w gorszym stanie niż sądziliśmy. Pani Pendorrice...” — przerwała, a ja bez słowa wciąż się w nią wpatrywałam. Wyszła i usłyszałam jak mówiła za drzwiami: „Panna Hyson, biedaczka, jest w strasznym szoku. To zresztą nic dziwnego — obie były sobie tak bliskie, że już bliżej nie można. Ja ich, na przykład, nie mogłam odróżnić”.

„Zeszłam na brzeg i zapatrzyłam się w morską toń. Była szara i zimna. Nie potrafiłabym zdobyć się na desperacki krok. Łatwo jest mówić o śmierci, lecz kiedy ona zajrzy komuś w oczy pozostaje tylko przerażenie. Strach paraliżuje. Sprawiałam wrażenie tak ogłuszonej tym wszystkim, co się stało, że zmusili mnie do pozostania w łóżku. Petroca nie widywałam na osobności, tylko w towarzystwie innych. To mi odpowiadało. On był jedynym, którego się obawiałam. Z całą pewnością, w innych okolicznościach, rozpoznałby we mnie swoją żonę. Ale nawet te

przypadkowe kontakty dały mi pewne o nim pojęcie. Nie był to już ten sam beztroski Petroc. Jego wesołość zniknęła. Najwyraźniej miał wyrzuty sumienia. Służba plotkowała. Wierzyli, że to był palec przeznaczenia. Przecież nieszczęście zdarzyło się tuż przed obrazem tamtej małżonki; nie można iść na przekór przeznaczeniu. Barbarina musiała umrzeć. Nikt ze służby, za żadne skarby, nie zbliżyłby się do galerii po zmroku. Wierzyli, że teraz Barbarina będzie nawiedzać Pendorrice. I tak było. Pamięć o niej prześladowała Petroca aż do dnia śmierci. Legenda zamieniła się w rzeczywistość. Małżonka z Pendorrice umarła właśnie tak, jak wskazywała legenda i nie mogła zaznać spokoju w grobie.

Nie wyjadę. Nie potrafię opuścić dzieci. Nazywają mnie teraz ciocią Deborah. Jestem Deborah. Stałam się spokojna i łagodna. Tylko Carrie wie o wszystkim. Czasem nazywa mnie panienką Barbarina. Boję się Carrie, ale ona nie mogłaby wyrządzić mi krzywdy, za bardzo mnie kocha. Zawsze byłam jej ulubienicą i faworytką wszystkich. Teraz się to zmieniło; inny jest też stosunek ludzi do mnie. Zwracają się do mnie jako do Deborah i muszę pamiętać, że to Deborah żyje, a Barbarina jest martwa.

1 stycznia. Nie będę dłużej pisać pamiętnika. Nie mam nic do opisywania. Barbarina nie żyje. Zginęła w nieszczęśliwym wypadku. Petroc prawie się do mnie nie odzywa. Sądzi pewnie, że byłam o nią zazdrosna i miałam nadzieję na jego ponowny ożenek. Nawet nie wie, ile w tym jest prawdy! Ale teraz już nie dbam o niego, nawet o nim nie myślę. W całości poświęciłam się dzieciom. Nie obchodzi mnie wcale, że Petroca nigdy nie ma w domu. Już przecież nie jestem jego żoną, tylko szwagierką opiekującą się sierotami. Teraz jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek, choć czasem wspominam siostrę i czuję jej obecność. Kiedy jestem sama, przychodzi do mnie nocą, oczy jej płoną ponurym oskarżeniem. Nie może spoczywać w pokoju. Jej duch prześladowuje mnie i Petroca. Jest tak jak w legendzie — nie może spocząć, dopóki następna Małżonka nie zajmie jej miejsca.

20 marca. Przeczytałam całą księgę. Ostatni raz. Nie będę jej więcej czytać, nie będę w niej już nic pisać. Schowam ją, wywożę, bo zakłóca mi spokój. Barbarina nie żyje, a ja stałam się Deborah; jestem łagodna, spokojna i oddana Morwennie i Rocowi. Barbarina mnie nawiedza — musi, bo tak nakazuje legenda. Czytanie pamiętnika wzbudza mój niepokój. Nigdy już do niego nie będę wracać.

Pod tym było tylko jeszcze jedno zdanie:

„Pewnego dnia do Pendorrice przybędzie nowa małżonka, a potem Barbarina będzie mogła spocząć w pokoju”.

Więc to prawdziwa Barbarina przywiozła mnie do swojego domu, ona też zwabiła mnie do grobowca, także ona szukała okazji, żeby mnie zabić!

Nie wiedziałam, co robić w tej sytuacji. Cóż mogłam uczynić w nocy? Byłam sama z Barbarina i Carrie, bo Hansonowie spali już w swoim domku.

Przed wszystkim muszę drzwi mojej sypialni zamknąć na klucz. Próbowałam wyjść z łóżka, ale moje nogi nie były zdolne wykonać żadnego ruchu. Nawet w takim wzburzeniu nie mogłam zapanować nad sennością. Jeszcze tylko przemknęło mi przez myśl, że chyba śpię i to wszystko było tylko koszmarem. W tym momencie pamiętnik wysunął mi się z bezwładnych palców, a zapadając w sen, miałam uczucie jakbym wkraczała w głęboką, ciemną otchłani.

Zbudziłam się nagle. Przez kilka sekund wciąż jeszcze byłam w głębokiej, mrocznej otchłani niebytu, ale wnet przedmioty zaczęły przybierać swoje kształty. Gdzie się znajduję? Wzrok mój padł na stolik. Przypomniałam sobie pamiętnik i wszystko co zaszło tego wieczora.

Miałam także niejasną świadomość, że coś mnie wyrwało ze snu i zaraz napłynęło podejrzenie, że już nie jestem sama. Ktoś jest w pokoju.

Sen dopadł mnie tak nagle, że nie zdołałam zmienić pozycji w łóżku. Mogłam spoglądać na stolik bez poruszania głową. Znów ogarniała mnie fala senności, mroczna otchłań chciała pochłonąć mnie po raz wtóry.

Byłam taka znużona... zbyt zmęczona, żeby się bać... zbyt zmęczona, by dbać o to, że ktoś jest w moim pokoju.

Ja śnię, pomyślałam. Naturalnie, to musi być sen, bo z cienia wynurzyła się jakaś postać. Była to kobieca sylwetka odziana w domowy strój. Wtedy promień księżycy padł jej na twarz.

Senne powieki spoczywały mi ciężko na oczach; jak z oddali słyszałam jej głos.

— Tym razem, młoda żonko, nie będziesz miała żadnego wyjścia. Ludzie nie będą już gadać o duchu Barbariny... ale o twoim.

Chciałam krzyknąć, ale jakiś instynkt ostrzegł mnie, żeby tego nie uczynić i raz jeszcze zastanawiałam się, czy to dzieje się naprawdę.

Nigdy dotychczas, w całym swoim życiu tak się nie bałam. Nigdy też nie byłam tak straszliwie senna, choć trwoga zaczynała mnie otrzeźwiać. Co mi się tu stanie? Tak bardzo, tak okropnie pragnęłam być w swojej sypialni w Pendorric u boku Roca. Tam jest bezpieczeństwo — tu czai się śmierć.

To tylko koszmar, nocny majak, powiedziałam sobie. Zaraz się obudzę i będzie po wszystkim.

Stała u stóp łóżka, spoglądając na mnie, a ja ukradkiem patrzyłam na nią spod rzęs, oczekując z drżeniem na jej kolejne pociągnięcie.

Pod wpływem impulsu chciałam ją zagadnąć, ale coś mnie ostrzegało, że najpierw muszę się dowiedzieć co zamierza. Nigdy nie doświadczyłam przedtem takich uczuć. Byłam śpiąca — a jednocześnie całkowicie świadoma, przerażona — a jakbym stała na uboczu przyglądając się tej scenie chłodnym okiem. Czułam się, jakbym z dystansu oglądała przerażoną kobietę, leżącą w łóżku i tę drugą, której wyraźnym zamiarem było uczynienie jakiegoś zła.

Doznałam olśnienia. Jestem pod wpływem narkotyku. Wsypano go do mleka. Do mleka, które Deborah przyniosła mi osobiście. Deborah? Nie... nie Deborah. Całe szczęście, że nie wypłam całej filizanki, gdyż byłabym teraz pogrążona w głębokim, narkotycznym śnie.

Kobieta uśmiechała się. Później zobaczyłam, że jakby czymś spryskiwała łóżko. Podeszła do okna i stała kilka sekund, potem nie poświęcając mi nawet jednego spojrzenia, wybiegła z pokoju.

Uświadomiłam sobie, że powtarzam wciąż w myślach: to sen, to tylko sen. Wtem ocknęłam się raptownie; szeroko rozwartymi oczyma wpatrywałam się w ścianę ognia. Paliły się zasłony i firanki. Jedną, dwie sekundy wlepiłam wzrok w płomienie, zanim odzyskałam pełną świadomość rzeczywistości.

Poczułam woń benzyny i rozumiejąc potworność sytuacji, wyskoczyłam z łóżka, runęłam do drzwi. W tej samej chwili łóżko stanęło w płomieniach.

* * *

Trudno mi przywołać w pamięci późniejsze wydarzenia. Kiedy łąpałam za klamkę, przez jedną okropną sekundę byłam pewna, że w tym szalejącym płomieniach pokoju, jestem zamknięta na klucz jak w grobowcu. Na szczęście drzwi były otwarte.

Szarpnęłam je, wyskoczyłam i miałam jeszcze na tyle rozsądku, by je za sobą zamknąć. Wtedy ją zobaczyłam. Biegła korytarzem, więc ruszyłam za nią krzycząc: — Pożar! Pożar!

Odwróciła się i zobaczyła mnie.

— Szybko! Pali się w moim pokoju! Trzeba wszczać alarm!

Patrzyła na mnie zdezorientowana. Poznałam, że jest obłąkana i przez tych kilka dramatycznych sekund zapomniałam nawet o ogniu.

— Chciałaś mnie zabić... Barbarino! — Zawołałam.

Przerażenie wykrzywiło jej twarz. Usłyszałam jej szept;

— Pamiętnik... Dobry Boże! Ona czytała pamiętnik.

Złapałam ją za ramię.

— Podłożyłaś ogień w moim pokoju. Zaraz się rozprzestrzeni. Szybko... Gdzie jest Carrie? Na tym piętrze? Chodźmy. Szybko!

Wargi Barbariny poruszały się miarowo. Mruczała do siebie:

— Wszystko tam było... w pamiętniku... Widziała pamiętnik... Widziała pamiętnik... Widziała...

Na korytarz wyszła Carrie, owinięta starym szlafrokiem, z włosami ciasno splecionymi i przewiązаныmi czerwoną tasiemką.

— Carrie! — Zawołałam. — Pali się w moim pokoju. Zadzwoń szybko po straż pożarną!

— Carrie! Carrie! Ona... wie... — jęknęła Barbarina.

Trzymałam rękę Carrie w mocnym uścisku.

— Pokaż mi, gdzie jest telefon. Nie ma ani chwili do stracenia. Musimy wydostać się z domu. Rozumiesz?

Ciągnęłam Carrie po schodach w dół. Nie oglądałam się za siebie będąc pewną, że Barbarina biegnie za nami.

Nigdy więcej jej nie ujrzałam. Po chwili górne piętro zamieniło się w morze płomieni. Wtedy zobaczyłam, że nie ma Barbariny. Przypuszczałam, że wyrwana gwałtownie ze swego nierzeczywistego świata, nie potrafiła się zdobyć na żadną rozsądną decyzję. Myślała tylko o obciążającym ją pamiętniku. Dla niej przedstawiał jedyne świadectwo tego, co się naprawdę zdarzyło, a strata oznaczała zerwanie więzi z przeszłością. Próbowала uratować pamiętnik. Nie chcę nawet myśleć o tym co się z nią stało, gdy wpadła do tamtego pokoju.

* * *

Dopiero po blisko godzinie brygada strażacka dojechała do pożaru, a wtedy było już za późno, by uratować dom. Gdy przybiegli Hansonowie zauważyliśmy brak Barbariny. Hanson odważnie wspinał się na schody próbując ją wydostać z płomieni. Musieliśmy powstrzymać Carrie siłą, bo chciała się rzucić w ogień po swoją panią.

Rozpamiętując to, co się zdarzyło, trudno mi ustalić kolejność wypadków. Najwyraźniej pamiętam chwilę, gdy siedząc w gościnie u Hansonów, pijąc podaną herbatę usłyszałam znajomy głos.

— Roc! — Krzyknęłam i rzuciłam mu się w ramiona; staliśmy dłuższą chwilę kurczowo objęci.

Był to Roc, którego dotąd nie znałam. Przez zasłonę podejrzeń nie zdołałam przedtem zobaczyć go takim, jakim naprawdę był: silny pragnieniem otaczania mnie opieką, słaby w trosce o moje bezpieczeństwo, gotowy do batalii o mnie z mocami ciemności, a jednocześnie pełen obaw, by mi się nic złego nie stało.

Minął już rok od tej okropnej nocy, a pamięć o tym wciąż żyje w moich wspomnieniach jakby to było wczoraj. Być może, jeśli ktoś, tak jak ja, otrze się o gwałtowną śmierć, nie jest w stanie nigdy tego przeżycia pogrzebać głęboko w niepamięci.

Często mówię do Roca:

— Gdybym nie była tak pochłonięta czytaniem pamiętnika, na pewno wypiłabym całe mleko. Kiedy Barbarina weszła do mego pokoju, byłabym nieprzytomna i to byłby mój koniec. Tylko szczęśliwym trafem wyszłam z tego cało.

Roc zwykł odpowiadać:

— Całe życie zależy od przypadku. Gdyby twój ojciec nie przybył na nasze wybrzeże, nie byłoby cię wcale.

Istotnie. To prawda.

Trudno zrozumieć wszystkie procesy zachodzące w umyśle Barbariny. Jestem pewna, iż przez większość czasu była naprawdę święcie przekonana, że ona, to Deborah. Nie mogłaby odgrywać swej roli tak dobrze, gdyby było inaczej. Także jej charakter musiał się znacznie zmienić po śmierci bliźniaczej siostry, bo faktycznie przyjęła jej osobowość. Im bardziej starała się zachowywać jak Deborah, tym bardziej się nią stawała. Klątwa rzucona na głowy Małżonek z Pendorric stała się jej obsesją. Wierzyła, być może, że ducha Deborah miała w swoim ciele i dlatego stała się nią. Stale myślała o siostrze, którą sama zabiła więc była przeświadczona, że jest przez nią nawiedzana i z tego też powodu usilnie pragnęła, by następna małżonka mogła zacząć odgrywać rolę ducha Pendorric.

Czyż jednak można do końca wyjaśnić pokrętne szlaki myśli chorego umysłu?

Moje domysły musiały zawierać trochę prawdy, bo nie ulega wątpliwości, że w niebezpieczeństwie znalazłam się od chwili przybycia do Pendorric.

Biedna, prostoduszna Carrie, opanowana poczuciem obowiązku, łatwo dała się uwikłać w chorobliwe, nierzeczywiste życie swojej pani, która jej tłumaczyła, że Barbarina i Deborah są teraz jedną osobą. Uległa Carrie wierzyła w to, będąc jednocześnie jedyną, która wiedziała, że kobieta, która znalazła śmierć na galerii, to była Deborah. Czasami nie potrafiła pojąć Barbariny. Te wszystkie niepojęte dla siebie sprawy Carrie mogła przyjąć jedynie w ten sposób, że wmówiła w siebie, iż obydwie panienki naprawdę żyją.

To właśnie Carrie zawdzięczaliśmy garść informacji, która pozwoliła nam nieco zrozumieć szaleństwo Barbariny. Wszystkie te lata kiedy służąca bez reszty oddana była swojej pani i niemalże dzieliła z nią jej . obłęd, naruszyły równowagę psychiczną starej kobiety i teraz Rocowi zależało, żeby jej za bardzo nie naciskać i denerwować. Oddaliśmy ją pod opiekę dawnej niani Roca, która mieszkała na devońskim wybrzeżu, Carrie obecnie tam przebywa.

Daleko trudniejszą przeprawę mieliśmy z Hyson, którą Barbarina też próbowała wciągnąć na orbitę swojego szaleństwa. W Lowelli i Hyson widziała replikę siebie i Deborah, a ponieważ przez większość czasu naprawdę wierzyła, że jest Deborah, darzyła sympatią mniej atrakcyjną z bliźniaczek. Jej uczucie dla dziecka było głębokie i zaborcze, a Hyson, zafascynowana jej odmiennością, Ignęła do niej, tym bardziej, że Barbarina względem ulubienicy odkrywała śmieiej swoje prawdziwe oblicze. Hyson, choć tego nie rozumiała, czuła niezwykłość świata Barbariny i tak jak ona nauczyła przenosić się w zmyślony świat. Barbarina dawała do zrozumienia dziecku, że wciąż żyje, a Hyson jej uwierzyła. Wierzyła też, że to Barbarina zwabiła mnie do grobowca, żeby, zgodnie z legendą, móc spocząć w pokoju.

Od Carrie dowiedzieliśmy się także, że Barbarina chodziła czasem do pokoju muzycznego, by pograć na skrzypcach, i że to ona śpiewała pieśń Ofelii. To ona usunęła znak ostrzegawczy przed ścieżką na klifie w nadziei, że mnie spotka śmiertelny wypadek. Również i ona zamknęła mnie w grobowcu, gdyż miała drugi klucz do drzwi krypty. Chodziła tam często w sekrecie, tłumacząc Carrie, że chce być z Barbariną. Nigdy by się nie znalazła w pobliżu grobu, gdyby nie wiadomość o zaginięciu Hyson. Domyśliła się, gdzie dziewczynka może się znajdować i ze względu na dziecko, zrezygnowała wtedy z możliwości pozbycia się mnie. Ostrożnie otworzyła kluczem drzwi, a dopiero potem poszła po Roca. Uszkodzenie samochodu było również jej sprawką, ale wypadek sprawił, że to Morwenna uległa wypadkowi.

Często zastanawiałam się na tym, jak to legenda o Małżonkach mogłaby z łatwością znaleźć w życiu swe potwierdzenie. Niewielu bowiem ludzi mogło, tak jak ja, tyle razy otrzeć się o śmierć i wywinąć się z jej szponów. Nie udałoby mi się to, gdyby Barbarina była morderczynią, zabijającą

z zimną krwią. Na moje szczęście tak nie było. Gdyby chciała mordować z premedytacją, planowałaby wszystko starannie, ale ona żyła we własnym, wymyślonym świecie, żyła jakby na dwóch poziomach i nie potrafiła odróżnić, gdzie rzeczywistość styka się z ułudą. Miała kufrы ubrań po Deborah i kiedy bywała w Devon często nosiła jej rzeczy. Hansonowie nie byli niczego świadomi, a kiedy Carrie zwracała się do niej imieniem Barbarina, sądzili po prostu, że służącej mąci się w głowie ze starości.

Rozmyślałam czasem, jakie szkody wyrządziłaby w naturze Hyson, gdybym nie przybyła do Pendorrice. Dziecko było nerwowe, z głową nabitą dziwnymi wyobrażeniami. Dziewczynka już zaczynała wierzyć, że ona i Lowella to jakby Deborah i Barbarina. Babka zyskała sobie jej przywiązanie przez to, że wołała ją od jej weselszej i żywszej siostry. I tak zaczęła się dokonywać powolna destrukcja dziecięcego charakteru.

Inne wydarzenia także się do tego przyczyniały. Hyson musiała znieść zamknięcie w grobowcu. Ze wzmianek babci dziewczynka wiedziała, że w tym dniu coś ma się zdarzyć. Była przekonana, że postać widziana przez nią na cmentarzu to duch Barbariny. A potem, kiedy Barbarina otworzyła drzwi krypty i śpiewem wabiła mnie do wnętrza, dziewczynka wślizgnęła się pierwsza. Zostałyśmy więc zamknięte razem i od tej chwili Hyson zaczęła rozumieć grozę śmierci. Pojęła, że śmierć nie zawsze przychodzi lekko i szybko, że istnieje cierpienie przed osiągnięciem niebytu.

Później zobaczyła w szpitalu matkę i musiała zrozumieć, że to ja miałam być ofiarą.

Śmierć ukazała jej się jako coś zniechęcającego; wzbudzała strach i dotykała tych, których dziewczynka kochała — jej własną matkę i mnie, którą także darzyła pewnym uczuciem.

Była przerażona, kiedy zobaczyła, że odjeżdżam z Barbarina samochodem. Wpadła w histerię tak gwałtowną, że zaalarmowany ojciec posłał po doktora Clementa. Trochę jednak czasu upłynęło, zanim mogli wyłowić coś sensownego z beładnie rzucanych przez dziecko słów. Doktor Clement natychmiast zadzwonił po Roca, a on od razu ruszył do Devon.

Choć do tej okropnej nocy w domu Barbariny los nie oszczędzał mi napięć i niebezpieczeństw, dopiero w późniejszych miesiącach, okresie spokoju i bezpieczeństwa, nauczyłam się o życiu dużo więcej niż przedtem.

Po pierwsze poznałam historię chłopca mieszkającego z Luizą Sellick. Wypadek wpłynął na dojrzałość uczuć Morwenny, gdyż wyznała Charlesowi, że chłopiec jest jej synem. Obawiała się wspominać o tym wcześniej jako, że dziecko było owocem jej krótkiego burzliwego romansu w wieku siedemnastu lat.

Rachela Bective, która jako dziecko tak bardzo pragnęła przyjeżdżać do Pendorrice, że zamknęła Morwennę w krypcie, by szantażem wymusić na niej zaproszenie, okazała się wierną przyjaciółką. Zaopiekowała się Morwenną w jej trudnych miesiącach, choć naturalnie, Roc też był pod ręką. Zresztą zwrócenie się o pomoc do Luizy to był pomysł Roca. On i Rachela zawieźli dziecko do domku na wrzosowisku, a Luiza z radością powitała możliwość wybawienia z kłopotów dzieci Petroca.

— Nie mogłem powiedzieć ci prawdy, bo przysiągłem Morwennie, ale zamierzałem ją przekonać, że musimy cię wtajemniczyć — wyjaśnił mi Roc. — Kłopot polegał na tym, że ona panicznie się bała, żeby Charles się nie dowiedział.

A więc i przed moim przybyciem w Pendorrice gościł już strach i dramat.

W minionym roku uczyniliśmy znaczny postęp w kierunku przekształcenia Polhorgan w sierociniec. Wyglądało na to, że kiedy formalności zostaną zakończone, będę bardzo zajęta prowadzeniem interesów tej mojej nowej rodziny. Rachela Bective zgodziła się zostać nauczycielką sierot, a doktor Clement ma służyć swoją fachową pomocą. Dawsonowie zostają, choć, przewiduję, że nie uniknie się lekkich tarć pomiędzy nimi a Rachelą. Nie lubię Racheli — i wątpię, czy to się kiedykolwiek zmieni — ale krzywdziłam ją dotąd w swych posądzeniach i

usilnie próbuję ocieplić stosunki. Ja tylko urzekł sposób życia, jakiego nie znała. Romantyczny, ogromny dom musiał sprawiać duże wrażenie na sierocie, wychowanej przez ciotkę, która mając własne dzieci traktowała ją jako dopust Boży. Mała Rachel, kiedy została wysłana do dobrej szkoły za pieniądze, które w spadku pozostawili rodzice, kurczowo złapała się tej, swojego rodzaju jedynej sposobności. Przyłgnęła do Morwenny, nie odstępując jej ani na krok; ale w godzinie próby okazała się dobrą przyjaciółką. Pomogła Morwennie, a później często — na równi z Rokiem — odwiedzała domek Luizy, przynosząc wieści o synu, którego matka bała się odwiedzać. Trwało to aż do czasu, kiedy Morwenna zdobyła się na wyznanie prawdy mężowi.

Bliźniaczki zostały oddane do szkół — każda do innej. Hyson najpierw spędziła pewien czas w Bournemouth, sama z matką. Obie musiały odzyskać siły. Liczyliśmy na to, że Hyson wyrośnie z tego złowieszczego piętna, jakie Barbarina odcisnęła na jej charakterze. Musieliśmy jedynie jeszcze przez jakiś czas traktować ją z dużą ostrożnością.

Tak, to był istotnie znamienity rok — rok, który rozwiązał większość spraw.

Wszyscy dojrzeliliśmy, zmądrzeliliśmy, ale nie ma w tym chyba nic dziwnego, bo doświadczenia takie, jakie stały się naszym udziałem, nie spływają po człowieku bez śladu.

Morwenna zrzuciła brzemię, które jak chrześcijaństwo w „Wędrownikach Pielgrzymów” dźwigała przez czternaście lat. Dowiedziała się przy tym, że Charles nie jest taki świętoszkowaty, jak sądziła. Mało tego, był smutny i rozczarowany, że przez te wszystkie lata nie miała do niego tyle zaufania, żeby powierzyć mu swoją tajemnicę.

Ennis i Luiza stali się w Pendorrice częstymi gośćmi. Morwenna nie zamierzała odbierać Luizie chłopca, ale chciała dzielić z nią trudy i radości jego wychowania, a ja miałam nadzieję, że z czasem stanie się on dla Charlesa tym synem, którego pragnął.

My zaś żyliśmy się ze świadomością, że pewnego dnia będziemy zmuszeni poddać się walce o utrzymanie Pendorrice. Będziemy przypuszczalnie musieli otworzyć dom dla publiczności i pogodzić się z tym, że obcy ludzie zaczną regularnie przewijać się przez nasze pokoje. Naturalnie pozostawimy sobie nasze apartamenty, ale to już nie będzie to samo.

Roc już teraz pogodził się z losem.

— Człowiek nie może walczyć z postępem. To tak jakby chciał walczyć z wiatrakami.

Całe moje pieniądze włożyliśmy w Polhorgan — takie było życzenie Roca.

Często się ze mną droczył, przymawiając mi, że posądzałam go kiedyś o machinacje w celu poślubienia bogatej dziedziczki, a potem knowania, żeby ją zabić.

— Ale i tak — mawiał z satysfakcją — kochałaś mnie... do pewnego stopnia.

Miał rację. Podczas tych miesięcy zagrożenia i wątpliwości, darzyłam go głęboką miłością fizyczną; dawał mi szczęście choć oceniłam go tylko przez pryzmat tego co widziałam, co słyszałam i czułam.

Ale miłość niejedno ma imię i tego oboje uczymy się wciąż od nowa każdego dnia.

Kiedy chodzimy na spacer do Zatoczki Pendorrice i spoglądamy na Polhorgan, wznoszący się wysoko na skale, lub na „Domek pod Kormoranem”, gdzie mieszkała kiedyś Althea Grey, wspominamy te wszystkie wątpliwości, które, choć nie osłabiły naszej namiętności, stały się jednak świadectwem, że zaczęliśmy właśnie podróż w nieznaną, pełną niespodzianek krainę wspólnego, przyszłego życia.